

Tadeusz

**MESZKO**



**ŚMIECIOWI  
LUDZIE**

**RUBIEŻE**  
RZECZYWISTOŚCI

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacje

## Rozdział 1. Groby i śmietniki

Czyj to szkielet?

Uwolnić śmieci

Fatalny początek tygodnia

Znajdź mi filmowca

Dziewczyna jak syrena

## Rozdział 2. Grzebanie w śmieciach

Wizytacja sponsora wykopalisk

Spotkanie z dawnym dowódcą

Piątek wolności: wyborcze dylematy

Niedzielną przejażdżką

## Rozdział 3. Fasady

Nie ma jak w domu

Piątek wolności: Olimpiada i modyfikacje ciała

Wizyta w Luna Park

## Rozdział 4. Rach-ciach siekierką

Dyskoteka przebierańców

Chcę być syreną

## Rozdział 5. Dwa światy

To nie ten trop

Wyniki badań szkieletu centaury

Odnalezienie tropu

## Wyprawa do innego świata

### Rozdział 6. Klonowanie na zamówienie

Zaciskanie węzła

Piątek wolności: genetyka na co dzień

Ja mam czyste ręce

Gabinet doktora Garilicy

### Rozdział 7. Hodowla doskonałych żołnierzy

W fabryce zmutowanych wojowników

Pochwycenie intruzów

Nie my was zapraszaliśmy

### Rozdział 8. Śmieciowa kolacja

W siedzibie Haddada

Zwiedzanie rajskiego ogrodu

Wasze transformacje

### Rozdział 9. Więźniowie rajskiego ogrodu

Federico w przedszkolu

Ann w bibliotece

Nie chcę płetw

Przebudzenie Terrego

Pierścienie Rotwanga

Udany lot Terrego

### Rozdział 10. Być jak bogowie

Ucieczka

Piątek wolności: Powrót do normalności

Tadeusz  
**MESZKO**

# **ŚMIĘCIOWI LUDZIE**

Bydgoszcz 2018

*Bibliotekarium*

## ŚMIECIOWI LUDZIE

Copyright © by Tadeusz Meszko 2018. All rights reserved

Copyright © by Bibliotekarium 2018

Redaktor prowadzący – Marek Żelkowski

Redakcja – Wojciech Chudziński

Korekta – Anna Potrzeba

Projekt typograficzny oraz logo serii – Tadeusz Meszko

Skład – Tadeusz Meszko

Projekt okładki – Tadeusz Meszko

Fotografia na okładce – Tao Szatański (pasaż w Freedom Tower w Nowym Jorku)

W książce wykorzystano fragmenty *Odysei* Homera, w tłum. Lucjana Siemieńskiego, Tower Press, Gdańsk 2000.

Konwersja i opracowanie formatów elektronicznych



Wydanie I elektroniczne

Bydgoszcz 2018

ISBN 978-83-950151-5-1

**RUBIEŻE**  
RZECZYWISTOŚCI

Bibliotekarium

ul. Kaczmarczyka 17, 85-796 Bydgoszcz

e-mail: [redakcja@bibliotekarium.pl](mailto:redakcja@bibliotekarium.pl)

Nevicom sp. z o.o.

ul. Kaczmarczyka 17, 85-796 Bydgoszcz

*Dla Edyty, za uratowanie mi życia podczas zrywania jabłek –kilka kilometrów od miejsca, gdzie odnaleziono grób centaury.*

*Podziękowania dla Tao Szatańskiego, za wirtualny kurs jego taksówką po Nowym Jorku.*

## Rozdział 1.

# Groby i śmietniki

### Czyj to szkielet?

Czy może być coś bardziej wyciszającego natłok myśli, niż ukrycie się przed palącym słońcem w cieniu drzew oliwnych? Ann Laskowski, biała kobieta o delikatnych, wschodnich rysach twarzy, już nie była tego pewna. Ann od wielu miesięcy z determinacją prowadziła wykopaliska, lecz w tej chwili schroniła się, mówiąc, że musi coś sprawdzić w notatkach. A prawda była taka, że zwątpiła w sens swoich poszukiwań i musiała przetrwać gorycz porażki w samotności. Siedziała na drewnianym, koślawym krzeselku o wiklinowym siedzisku, podpierając dłońmi podbródek, wpatrzona w krajobraz. Stanowisko archeologiczne zlokalizowane było na zachód od wioski Pelion, na wysokości ponad 1600 metrów n.p.m., pośród pagórków porośniętych głównie sosnami i kasztanowcami, z wystającymi ponad korony drzew białymi skałami. W linii prostej trochę ponad dwa kilometry od wioski, ale jazda samochodem terenowym zajmowała aż czterdzieści minut. Codzienne minuty zwątpienia czy właśnie ten dzień przyniesie przełom. Greccy filozofowie nie martwili się harmonogramem prac, tylko delektowali życiem i, popijając wino, rozprawiali o istocie bytu.

Tesalia. Zielona kraina pomiędzy górami zanurzonymi w chmurach a skrzącym się migotaniem słońca morzem. Już nie tak spalona jak

Peloponez, ale wciąż ciepła, z gajami oliwnymi i zielonozłotymi, olbrzymimi jak melony jabłkami. To z Tesalii, dwa tysiące lat temu, Jazon wyruszył na niebezpieczną, pełną niezwykłych przygód, wyprawę po złote runo. Ale Tesalia to również kraina centaurów. Świątłego Chirona – wychowawcy Jazona, Heraklesa czy Achillesa. Jak i pijaka oraz gwałciciela Eurytiona, który w czasie wesela króla Pejritoosa dobierał się do panny młodej. Ann już od trzech lat szukała grobu porywczego centaury, którego w niesławie pochowali inni centaurowie. Szukała i coraz bardziej wątpiła, czy go odnajdzie.

Myśli Ann błądziły między czasami Homera a własną przyszłością, której tak właściwie nie miała. W Nowym Jorku czekał na nią Terry, jednak wciąż brakowało jej pewności, czy to on jest tym jedynym. Była też profesura na uniwersytecie, grzebanie w zakurzonych dokumentach oraz wykłady dla ludzi bez pasji. Tego nie można było nikogo nauczyć – wiedziała o tym doskonale. Albo miałeś, albo nie miałeś marzeń oraz siły, by pójść za nimi wbrew zdrowemu rozsądkowi. Niestety, marzenia jej studentów nie wykraczały poza dobrze płatną pracę. Terry również nie potrafił odnaleźć własnego celu, co nie wróżyło stabilizacji związku. Wciąż walczył z niespełnionymi marzeniami, głównie o lataniu, zostaniu kosmonautą, później pilotem, a ostatnio choćby operatorem drona. Poznała go na wyspie Bahrajn w 2014 roku. Ona prowadziła wykopaliska w wiosce Al Janabiya, przeszukując groby z okresu hellenistycznego, gdzie odnalazła tak ważną tabliczkę, która doprowadziła ją do Pelion. On był na misji wojskowej, o której niewiele mówił. Wiedziała jedynie, że jest powiązana z dronami. Zanim wyjechał, coś między nimi zaiskrzyło. Spotkali się kilka miesięcy później w Nowym Jorku, a po roku zamieszkali razem w jej mieszkaniu. Cios przyszedł w 2016 roku. Terry podczas kolejnej, tajnej misji, został ranny w lewą nogę. Po rekonwalescencji, dzięki protekcji dawnego dowódcy, zaczął pracować dla charytatywnej organizacji „Lost in Life”. To go uspokoiło, tylko raz na tydzień wyskakiwał w piątek na popijawę z przyjaciółmi, ale też wewnętrznie przygasł. Ann nie wiedziała, czy wolała go rozedrganego, wciąż poszukującego nieosiągalnego celu, czy też tego spokojniejszego, lecz wypalonego? Pojawiła się w nim jakaś zadra. Fizycznie



noga została wyleczona, jedynie lekko utykał, jednak w głowie powstały szkody, jak po wybuchu bomby atomowej. Z pewnością uważał, że nie jest w pełni sprawny i jeżeli Ann zgodzi się z nim zamieszkać, zrobi to z litości. Ten sposób myślenia był żaloszny i rzeczywiście mógł wywoływać odruch politowania. Ale nie dotyczyło to wspólnego życia z Terryem! Jednak, poza czekaniem, niewiele mogła zrobić. A później otrzymała grand na wykopaliska w Grecji i sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Od trzech lat sytuacja znajdowała się w zawieszaniu, widywali się najwyżej przez kilka miesięcy w roku. I już nie wiedziała, czy warto pielęgnować ten związek, czy może lepiej poszukać nowego faceta?

Ann uznała, że czas podsumować życie. Miała już ponad trzydzieści lat. A tak naprawdę powinna przyznać się, że była przed czterdziestką. Najlepsze lata spędziła na stanowiskach archeologicznych – jak Terry goniąc za marzeniami – i już za kilka lat sama stanie się wykopaliskiem. To był ostatni czas na odnalezienie ustatkowanego męża, urodzenie dzieci. Uciekała przed takim podsumowaniem ostatnich dwudziestu lat życia, lecz kiedyś musiała sobie powiedzieć: nie będziesz drugim Schliemannem, nie udowodnisz, że baśniowe stwory Homera były istotami z krwi i kości. Już wiedziała, że była taka sama jak Terry. Obydwoje gonili za czymś nieosiągalnym. Westchnęła po raz setny i podjęła decyzję: na razie nie będzie szukać innego mężczyzny, porzuci pracę w terenie i spróbuje uratować związek. Wróci do Nowego Jorku i będzie wykładać na uniwersytecie.

\*\*\*

Naraz Ann zobaczyła pięcioletniego chłopca, w krótkich spodenkach i t-shirtcie z dinozaurem. Biegł w stronę namiotu, machając rękoma, jakby oganiał się od pszczoł. To był Jorgos, synek jednego z pracowników Alexisa, który bardzo pragnął mu pomóc w odkopaniu śladów praojców. „Tak się rodzą pasje, drążące nas przez całe życie” – pomyślała.

Zasapany Jorgos wpadł pod zadaszenie i chwytając ją za rękę, pociągnął w stronę stanowiska.

– Pani archaiológos, znaleźliśmy!

– Tak. A co? – zaśmiała się, pozwalając chłopcu porwać się z krzesła.

– Nie wiem dokładnie. Jakieś ostó... – krzyczał, ciągnąc ją za dłoń. – Okropne ostó. Żółte, ze strzępami materiału. Brr...

Kości? Czyżby grób Eurytiona? Teraz ona przejęła inicjatywę, ciągnąc chłopca za sobą.

– Biegnijmy, to ważne.

Już z daleka zauważyła, że grupa stoi wokół jednego z wielu stanowisk, wytypowanych przez nią jako możliwe miejsce pochówku. Takich miejsc w okolicy znajdowało się tysiące i rozkopanie wszystkich nie było możliwe. A wskazówki, którymi dysponowała Ann, miały raczej charakter intuicyjny i nie znajdowały wsparcia w dokumentach. Pogrzeb Eurytiona odbył się w trakcie wojny centaurów z Lapitami, a on nie był wodzem. Przyjęła więc, że grób nie mógł być okazały, chociaż z pewnością postarano się o zachowanie wymogów grzebania zmarłych. Podjęła decyzję, aby skupić się na pagórkach porośniętych trawą i drzewami, nawet tymi wysokimi – minęło wszak kilka tysięcy lat – które na wschodnim zboczu byłyby obsypane kamiennym gruzem.

Gdy podbiegła do stanowiska i przedarła się przez krąg wynajętych robotników, zobaczyła grób. Płytkie na metr wewnątrz, które obłożono jedynie półmetrową warstwą białych kamieni. W mroku dostrzegła kości człowieka i czworonożnego zwierzęcia. Nie, to nie była prawda – te słowa musiała powtórzyć sobie w głowie kilka razy, by to, co ujrzała, utrwaliło się w jej umyśle. To był szkielet tułowia człowieka nasadzonego na grzbiet i kończyny konia!

Cofnęła się o kilka kroków i z pewnej odległości zaczęła analizować miejsce pochówku.

To z pewnością nie był grób Agamemnona, nazywany skarbcem Atreusza, odkopany przez Schliemanna w Mykenach. Widać było, że zmarłego pochowano w pośpiechu. Co prawda odziano go w najlepsze stroje, a w pobliżu tego człowieka ułożono wyszczerbiony miecz oraz kilka dzbanów z winem, ale nie próbowano nawet pochować go głębiej, na końcu długiego korytarza prowadzącego do właściwego grobowca. Zwłoki oparto

o zbrocze w pozycji stojącej –być może po to, aby mógł w każdej chwili zerwać się do biegu –i przysypano kamieniami. Grobu nawet nie uszczelniono gliną. Jednak za największe odkrycie należało uznać to, że nawet, jeżeli nie był to szkielet Eurytiona, mieli do czynienia ze szczątkami centaury. Centaura lubiącego wino.

–A gdzie jest Norbert? –była wściekła, że jej asystent nie dopilnował pracowników.

–Odszedł na pięć minut –odpowiedział Alexis, nie patrząc jej w oczy.

–Alexis, nie kłam. –Milczał, wbijając wzrok w buty. Ann rozejrzała się. Nie dostrzegła również stażystki, Teresy. –A niech to, musieli akurat teraz...

Wzięła się w garść. Już za późno na wyrzuty. Co się stało, to się stało. Ponownie podeszła bliżej i zaczęła przyglądać się szczegółom szkieletu. Aż zaniemówiła, gdy dostrzegła, że kość nosowa została ucięta, jednocześnie nie zauważyła żadnego pęknięcia czaszki. Czy zmarłemu obcięto uszy, trudno było stwierdzić bez dokładnej analizy medycznej, jednak resztki opaski wokół czaszki wskazywały, że tak właśnie mogło być. Rana potwierdzała słowa Homera –to naprawdę mógł być Eurytion. Homer napisał, że w czasie weselnej bójki Tezeusz i jego towarzysze obcięli centaurovi nos oraz uszy. Odetchnęła z ulgą. Istniała bowiem też inna, mniej prawdopodobna wersja, w której Tezeusz, z braku miecza, cisnął w głowę Eurytiona kamiennym dzbanem.

Podbiegł zadyszany Norbert.

–O kurcze! Kto to jest?

Ann oderwała wzrok od szkieletu. Miała ochotę obsztorcować asystenta, lecz nim podjęła decyzję, jakimi epitetami go zganić, zauważyła podchodzącą Teresę, wytrząsającą z sukienki źdźbła trawy. Mogła obojgu wygarnąć uleganie fizycznym popędom, lecz któż zdoła je poskromić? Centaur z obciętym nosem stanowił najlepszy dowód tego, że nikt.

–Przyjrzyj się szkieletowi i powiedz, co o nim sądzisz. –Zrezygnowała z reprimendy i zapytała o to, co było teraz najważniejsze.

Norbert przez kilka minut obchodził znalezisko z każdej strony, a jego oczy robiły się coraz większe z wrażenia. W końcu potrząsnął z niedowierzaniem głową i oznajmił:

– To musi być falsyfikat. Połączone szczątki różnych zwierząt, tak jak krowo-koń czy owco-byk z Dorset.

Ann nie wydawała się przekonana. Czytała o tym wykopalisku. Archeologowie odnaleźli celtycki grób jeszcze sprzed inwazji Imperium Rzymskiego, w którym złożono krowę z końskimi kończynami, konia z krowimi rogami, a nawet owcę z głową byka... zamiast tyłka. Jednak od razu było widać, że te hybrydy stworzono już w czasie pochówku z kości różnych zwierząt.

– Nie dostrzegam żadnych śladów, by zakładać, że złożono tu w kupę kilka szkieletów – stwierdziła Teresa, potwierdzając opinię Ann. – A zresztą, po co ktoś miałby to robić?

– Trzeba załatwić zezwolenie na przeprowadzenie badań w ośrodku naukowym – oświadczyła Ann. – Dopiero wtedy uzyskamy pewność. A teraz do roboty, zajmijcie się stanowiskiem tak, jak się należy. I już bez wspólnych przerw.

Była szczęśliwa. Naraz uświadomiła sobie, że to nowe znalezisko sprawi, że nie będzie mogła wrócić do Terrego. No tak, pomyślała, nigdy nie można być szczęśliwym w pełni.

## Uwolnić śmieci

Pokiereszowane przez nieuwagę lub bezmyślność ludzką karoserie samochodów czekały w stertach na egzekucję. Pomędzy skazanymi rzędami wraków, w lichym ubraniu siedł korpulentny, czterdziestoletni biały mężczyzna z poszarzałą ze zmęczenia twarzą, trzymając w dłoni pogiętą reklamówką z dwoma hamburgerami od Shake & Shack na kolację. Nadchodził zmrok i William Trotter uznał, że czas poszukać noclegu na najbliższą noc. Jego ostatni dom, srebrny sedan Chrysler Sebring, został rano sprasowany. No cóż, taki los czekał wszystkie wraki, ale William przyzwyczał się do jego przestronnego wnętrza i żałował, że auto nie przetrwało kilku dni dłużej.

Terenem działania Williama był trójkąt ulic 126 Street, Willets Point Boulevard oraz Norther Boulevard. Znajdowało się na nim kilkanaście szrotów samochodowych. W ostatnich latach, między Willets Point a ściekiem Flushing Creek, otworzono również kilka punktów ze sprzętem komputerowym, lecz specjalnością Trottera pozostały samochody. Znał wszystkie na pamięć i za drobną opłatą podpowiadał klientom, gdzie znajdują części do aut osobowych, a gdzie do amerykańskich czy meksykańskich tirów.

William nie lubił wychodzić poza teren swojego królestwa, a i Nowy Jork chyba nie lubił, jak go odwiedzał. Po raz kolejny przekonał się o tym kilka dni temu, gdy uległ namowom pracownika jednej z organizacji charytatywnych – Terrego jakiegoś tam – i zgłosił się do kliniki na badania medyczne. Udział w programie pomocy społecznej „Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie” gwarantował mu miejsce w łóżku szpitalnym, chociaż on nie wyobrażał sobie, aby mógł dać się przykuć do łóżka choćby na godzinę. Jednak coraz częściej doskwierały mu przeziębienia, cholerne kichanie i dreszcze, a program pozwalał również na wizytę u lekarza, a później otrzymywanie darmowych leków. Spacer ulicą miasta, pośród zwykłych ludzi, spoglądających na niego z niesmakiem lub próbujących wcisnąć drobniaki, uświadomił mu, że jego miejsce jest na tym terenie, nawet jeżeli był to szrot. Też był śmieciem.

Niespodziewanie William usłyszał silniki kilku samochodów. Kto o tej porze odwiedzał jego królestwo? Z pewnością ludzie o złych zamiarach. Zmienił kierunek i lekkim truchtem ruszył w kierunku intruzów.

\*\*\*

Pomarańczowy Volkswagen ogórek zjechał z 126 ulicy w Willets Point Boulevard. W jego wnętrzu, obok innych mężczyzn, siedział Cristian Jensen, osiemnastolatek o jasnej skórze i żółtych, prostych włosach. Po obydwu stronach ciągnęły się parterowe baraki, z tandetnymi –przeważnie w czerwonym kolorze –szyldami. Po kilkuset metrach skręcili w prawo,

w 35 Avenue i dotarli pod wiadukt Van Wyck Expressway. Ogórek zatrzymał się. Tutaj znajdował się cel ich misji – szrot sprzętu komputerowego. Zapomniane miejsce na trasie przelotowej cywilizacji.

– Uwaga, rozpoczynamy akcję – usłyszał głos szefa.

Z auta pierwszy wyskoczył Cristian, za nim Radomir i Lorenzo. Kierowca Bruce oraz formalny szef grupy Philip Weber pozostali na miejscach. Cristian przeszedł do tyłu i otworzył na całą szerokość drzwi, tak aby Radomir i Lorenzo mogli bez przeszkód wyjąć niemego bohatera tej akcji.

Wielosilnikowy statek latający Cristiana, model Dragonfly 3A, dla laika nie wyglądał zbyt okazale. Nie miał aerodynamicznych kształtów, wpakowanych w zaokrąglone pudło z włókna szklanego. Tworzyło go sześć nagich ramion z wirnikami plus jedno, o największej sile nośności, umieszczone pośrodku. Za to, kiedy inne amatorskie drony, półprofesjonalne quadrokoptery czy hexakoptery, bzycały jak rój os, Dragonfly Cristiana był cichy i równie zabójczy jak jego pierwowzór w świecie owadów. Poza tym miał do dyspozycji o wiele dłuższy czas pracy, potrafił z pełnym obciążeniem pozostawać w powietrzu trzy kwadransy. Na to obciążenie składały się trzy kamery oraz wyrzutnia miniharpunów. Dwie z kamer, w rozdzielczości 16K, filmowały akcję w zakresie światła widzialnego, trzecia, w mniejszej rozdzielczości, była kamerą termowizyjną.

Do Cristiana podeszła starsza o kilka lat od niego zastępczyni grupy Andrea Ubels. Dla niego to ona była mózgiem akcji – Philip Weber stanowił tylko ich wizytówkę.

– Za ile minut będziesz gotowy? – zapytała z troską Andrea.

– Wystarczy mi dziesięć – odparł, wiedząc, że gdyby nawet powiedział, że pół godziny, walczyłyby o ten czas dla niego jak lwica. Zdawała sobie sprawę z tego, że bez odpowiedniej oprawy relacji, słowotok Webersa nie przyciągnie milionów internautów.

– OK – dziewczyna skinęła głową. Philip Weber, trzydziestolatek o blond włosach i groteskowo czarnych brwiach, wyszedł z volkswagena i władcym wzrokiem ocenił miejsce akcji. Zamknął oczy, uniósł głowę i rozchyłając lekko nozdrza wciągnął powietrze. Westchnął z nostalgią i oznajmił:

– Nie ma jak zapach śmieci przed wieczornym drinkiem.

Zaśmiali się jedynie Radomir i Lorenzo. Andrea udała, że nie usłyszała nędznej trawestacji cytatu.

Grupa Greenpeace podeszła do wybranej wcześniej bramy z blachy falistej. Liche zabezpieczenie, lecz za wrotami były przecież jedynie śmieci. Lorenzo bez trudu przeciął kłódkę i weszli na mały placyk z kilkoma boksami ze sprzętem. Głównie telefonami komórkowymi, ale również smartfonami i tabletami. Weber zaczął się przechadzać, zaglądając do środka. Wciąż kręcił z niezadowoleniem głową. Sterty sięgały co najwyżej półtora metra.

– Te są za niskie – skrzywił się z niesmakiem Weber. – Mówiłaś, że mają wysokość trzech metrów!

– Były większe... – tłumaczyła się załamana Andrea. – Musieli wywieźć część sprzętu.

– Co najmniej jedna musi być wyższa... – zdecydował Weber.

– Szefie, a może przesypujemy tych kilka kupek w jedną większą – zaproponował Lorenzo.

– Musimy tak zrobić. Inaczej akcja straci siłę przekazu – zgodził się Weber.

Andrea odetchnęła z ulgą. Połączyła się z Cristianem:

– Cristian, osadź drona. Mamy przestój.

Jego Dragonfly był już w powietrzu, chociaż ta część akcji nie miała być filmowana. Start i lądowanie to najtrudniejsze manewry i Cristian wolał, aby dron pozostał w górze.

– Ile minut?

– Co najmniej kwadrans – usłyszał po chwili.

– Baterie wystarczą. Wykonam oblot terenu. Może przydadzą się przebitki innych szrotów. I zrobię ujęcia Van Wyck Expressway. Pędzących samochodów, których kierowcy sądzą, że zmierzają do celu, podczas gdy tak naprawdę kręcą się tylko w kieracie cywilizacji.

– Dobrze... Kupuję pomysł. Jensen, koniecznie to sfilmuj – usłyszał głos Webera.

Cristian skrzywił się z niesmakiem. Myślał, że mówi do Andrei. Weber wiele rzeczy kupował, lecz nigdy za nic nie płacił. Choćby dobrym słowem.



\*\*\*

Od strony Northern Boulevard nadjechały dwa czarne auta o kanciastych kształtach. Podobnie jak ogórek członków Greenpeace, również skręciły w 35 Avenue.

Na tylnym siedzeniu pierwszego wozu, w słuchawkach na uszach, w otoczeniu wielu monitorów siedział dwudziestokilkuletni Edgar Simasius. Kamery zainstalowane na dachu pozwalały mu śledzić otoczenie w świetle widzialnym, jak też obraz termiczny.

–Gdzie w tej chwili jest nasz cel? –nie odwracając głowy zapytał mężczyzna siedzący z przodu. Był to dowódca grupy, Michał Plutin.

–Hm, opuścił swój rewir i przemieścił się w stronę rzeki –odpowiedział Edgar.

–Czyżby poszedł się wykąpać? Przynajmniej nie zasmrodzi nam wnętrza –zaśmiał się kierowca, spoglądając rozbawiony na dowódcę. Szybko jednak umilkł, gdy zobaczył, że Misza nie podchwycił żartu.

–Szefie, widzę tam grupę pięciu osób –zgłosił Edgar.

–Cel jest z nimi?

–Nie. Ale podąża w ich kierunku –odpowiedział technik.

–Może lepiej odłożymy akcję na jutro? –zapropozował kierowca.

–Obiecałem, że dostarczę śmiecia dzisiaj –odparł zdecydowanie dowódca. –Zatrzymajmy się tutaj. Rozpoczynamy akcję.

\*\*\*

Dragonfly był już w powietrzu i dokonywał pierwszego zwiadu. Nagle Cristian zamarł. Z samochodów zaczęli wysiadać ludzie. Umieśnieni, o łysych głowach. W paramilitarnych ubraniach, z bronią automatyczną w dłoniach. Czyżby przyjechali ich zlikwidować? Już chciał połączyć się z Andream, uprzedzić grupę, gdy widok pasażera z przedniego siedzenia pierwszego auta zamroził mu mózg. Mężczyzna nie był tak umięśniony jak pozostali, lecz miał... rogi.



Cristian zwiększył ogniskową obiektywu. Widział go tak wyraźnie, jakby ten stał pod jego stopami. Cristian musiałby odlecieć dronem dalej i obniżyć trochę pułap lotu, aby dostrzec wyraźniej twarz rogakza – lecz wtedy mógłby zdradzić swą obecność.

Dzięki podglądowi z kamery termowizyjnej zauważył postać człowieka kryjącego się po drugiej stronie szrotu, do którego weszli członkowie grupy Greenpeace.

Przerzucił się na obraz nowej grupy. Zobaczył, że obchodzą szrot z obydwu stron. Zrozumiał, że ich celem nie są jego towarzysze, a nieznajomy. Zamierzali go otoczyć.

\*\*\*

Philip Weber stał przy wysokim na ponad trzy metry kopcu. Gdyby nie drobne oszustwo – pod cienką warstwą telefonów i smartfonów znajdowały się papierowe kartony – nie udałoby się uzyskać takiej wysokości. Ale Weber wiedział, że w relacjach telewizyjnych i internetowych taki szczegół nie zostanie zauważony.

– Możemy zaczynać Weber? – zapytała Andrea.

– Wolałbym, aby sterta była jeszcze wyższa, ale niebawem zajdzie słońce i nic nie nakręcimy.

– Lorenzo, Radomir, Cristian gotowi do zdjęć?

– Tak. Tak. Gotowy.

– Akcja! – wydała komendę Andrea.

– Nie dbamy o planetę, nie dbamy o rodziców i osoby starsze, nie dbamy o przedmioty ułatwiające nam życie codzienne – Weber zrobił krótką pauzę, dając czas kamerzyście na pokazanie planu ogólnego. – Znajdujemy się na wysypisku śmieci. Chociaż w języku fachowym są one nazywane szrotami. Ale, tak czy owak, to ostateczny etap obiegu przedmiotów długo wyczekiwanych, wymagających wielu poświęceń, uwielbianych, kochanych, a teraz skazanych na ostateczną likwidację. Przed sprasowaniem, a później wywiezieniem do hut, wyjmuje się z nich części mające jakąkolwiek wartość,

wyższą niż cena złomu. Do niedawna było to złomowisko samochodów, od dwóch lat swoje miejsce spoczynku znalazły tu również komputery, drukarki, telefony, smartfony...

\*\*\*

William Trotter z uwagą przysłuchiwał się słowom młodzieniaszka, lecz w końcu nie wytrzymał:

– Dzieciaki, jesteście piękni i młodzi i macie kasę rodziców. Czujecie się jak młodzi bogowie. Poczekajcie z dziesięć lat, aż życie wkopie was w glebę. Ciekawe, kurwa, co wtedy powiecie o prawach smartfonów.

Nagle kapral Trotter wyczuł, że nie jest sam. Przestał słuchać aktywistów wielkich spraw i skupił się na swym otoczeniu. Nie ruszył się, ale jego zmysły nastawiły się na wyłapanie najcichszego dźwięku, a nozdrza zaczęły wciągać powietrze, aby wyczuć obce, niepasujące do otoczenia zapachy. Zwierząt lub – co gorsza – ludzi.

Stracił dwie minuty, ale już był pewien. Wielu ludzi zacieśniało krąg wokół niego z dwóch stron. Zasadzka! Jeszcze ich nie widział, ale słyszał i wyczuwał. Uciekać! Ale dokąd? Mógł przeskoczyć przez płot i wbiec na plac szrotu, gdzie grupa młodych bawiła się w sprawiedliwość. Ale przecież nie było wykluczone, że działali razem? Zrezygnował. Próba przebiecia się przez jedno ze skrzydeł okrążenia też nie miała sensu. Nawet gdyby go nie pochwycili, to i tak kula okaże się szybsza. Kapral Trotter zrozumiał, że musi dobiec do nadbrzeża Flushing Creek. Jak tylko znajdzie się na otwartej przestrzeni, ucieknie im. Był tego pewien. Co prawda nie posiadał już takiej formy, jak w Afganistanie, kiedy to potrafił biec 50 kilometrów piaszczystą pustynią, ale przecież aż tak daleko nie będą go gonić. Wystarczy mu kilometr, dwa, aby zostawić pościg w tyle i ukryć się w zaroślach lub wbiec między budynki.

\*\*\*

Na podzielonym ekranie Cristian obserwował pościg z wszystkich trzech kamer. Dostrzegł, że postać przy płocie wystrzeliła jak z procy i pognała w kierunku rzeki. Nim okrążające go grupy to zauważyły, uciekinier był już przy rzece. Ale nie wskoczył do wody, czego spodziewał się Cristian, a skręcił w prawo i zaczął gnać wzdłuż wybrzeża. Ścigający zareagowali z opóźnieniem. Dwóch ludzi rzuciło się do biegu wprost w kierunku rzeki, trzeci – ten niski, z rogami – wybrał kierunek po skosie. Cristian rozszerzył pole widzenia kamer. To był dobry wybór. Za wiaduktem ścieżki obydwu tras zbiegały się i jeżeli ścigający będzie biegł wystarczająco szybko, przetnie uciekinierowi drogę. I tak też się stało. Nie minęła minuta a pędzący rogacz zderzył się ze swym celem. Cristian przybliżył maksymalnie ogniskową obiektywów.

Gdyby był tylko jeden napastnik, mężczyźnie pewnie udałoby się uciec. Ale w kilka sekund po upadku dotarło do niego dwóch pozostałych członków grupy. Wierzgający nogami uciekinier został skutecznie przygwożdżony do ziemi.

\*\*\*

Philip Webber zachowywał się, jakby znajdował się w transie. Rozkręcał się z każdą minutą przekazu. Był pewien, że jego przemowa pobije rekord oglądalności.

– Ta sarta czeka aż zostanie z niej wyspany każdy cent. Złomiarze przypieką te telefony, przepuszczą przez nie prąd, wymoczą w żrących sosach, wydobywając rzadkie – i cenne – metale. Powiecie, że to dobrze, wyczerpujące się kopaliny wrócą do obiegu bez konieczności budowania nowych kopalń. Tak, to prawda, gdyby nie jeden szczegół.

Weber podszedł bliżej do kopca i wyciągnął z niego jeden z aparatów.

– Z tych smartfonów wyjęto baterie oraz karty PIN. Ale, gdybyśmy je z powrotem włożyli, okazałoby się, że są w pełni sprawne. Wyrzucono je, gdyż zestarzały się technologicznie. Szybsze procesory, bardziej pojemne nośniki pamięci, ekrany o większej rozdzielczości spowodowały, że już

przestały nam wystarczać. Przecież sąsiad ma lepszy model, więc ja muszę mieć jeszcze lepszy. To nasza próżność sprawia, że koło handlu obraca się coraz prędzej, miażdżąc nas później niespłaconymi kredytami.

Weber włożył do smartfonu baterię, a potem kartę.

– Uwolnijmy śmieci, schowajmy je ponownie w kieszeniach garniturów.

Wybrał numer i włączył tryb głośnomówiący.

– Halo, dzwonię do ciebie! Przygarnij starego smartfona, on zna twoje najskrytsze marzenia.

Weber pogładził aparat i schował go do kieszeni.

– Koniec! – krzyknęła Andrea.

– Nagraliście? – chciał wiedzieć Weber.

Operatorzy skinęli głowami. Mężczyzna spojrzał w górę.

– A gdzie jest dron? – zapytał z wyrzutem.

\*\*\*

Powalony na ziemię, z unieruchomionymi rękoma, Trotter zaczął kopać nogami, rozdając celne ciosy. Jeden z nich trafił w usta żołnierza próbującego go obezwładnić. Trysnęła krew.

– Job twoju mać – usłyszał. Kapral znał ten język z filmów oglądanych w młodości. To był Rusek, Ukrainiec lub inna komunistyczna swołocz.

– Czego ode mnie chcecie? Nie mam pieniędzy – krzyczał ze złością.

Do jego twarzy zbliżyła się postać z wyrastającymi z głowy rogami. William Trotter nie znał lęku, ale widok rogacza go wystraszył.

– Wiemy o tym. Ale masz coś o wiele bardziej wartościowego. Coś, czego potrzebuję.

– To niemożliwe, wiedziałbym o tym – rzucił hardo Trotter. Wobec komunistów nie zamierzał okazywać słabości.

– A jednak... mylisz się. Nawet taki śmieć, jak ty, może mieć coś cennego – uśmiechnął się rogacz. I zadał mu nokautujący cios w szczękę. Potem wstał i odchodząc rzucił do pozostałych:

– Zapakujcie go do samochodu. Koniec akcji.

\*\*\*

Dragonfly wylądował bezpiecznie. Cristian był wciąż pod wrażeniem tego, co sfilmował i bał się, że nieostrożny ruch roztrzęsionych dłoni spowodzi katastrofę na jego cacko.

Nawet nie zauważył, że podeszła do niego Andrea.

– Co się stało? – zapytała z troską.

– Sam nie jestem pewien – odpowiedział łamiącym się głosem. – Robiłem rekonesans, gdy moją uwagę przykuły dwa rządowe vany. A przynajmniej takie, jakimi jeździ FBI. Zacząłem je filmować, bo podejrzewałem, że chcą nam przeszkodzić w akcji...

– Ojej. I co? – dziewczyna zaniepokoiła się.

– Nie, nie chodziło im o nas. Porwali człowieka, jakiegoś bezdomnego. Uśpili go i zaciągnęli do jednego z vanów. Wrzucili do środka jak worek ziemniaków.

– Ale naszą akcję też sfilmowałeś? – zapytała ostrożnie, podejrzewając jaką usłyszy odpowiedź.

– Andrea, jeden z porywaczy miał rogi! Nie mogłem oderwać od niego obiektywu. Zapomniałem o akcji.

– Co!?! – usłyszeli ryk wściekłości. To był Weber, który w międzyczasie podszedł do nich niezauważony. – Chcesz powiedzieć, że jakiś bezdomny ukradł nam show!?

– Mamy jeszcze zdjęcia z pozostałych kamer – usiłowała załagodzić sytuację Andrea.

– Zburzyłeś konstrukcję przekazu. Osłabiłeś wymowę mojego przesłania – krzyczał Weber szturchając palcem pierś Cristiana.

– Przestań Philip! Zdjęcia z góry miały być użyte tylko jako przebitki. Nic wielkiego się nie stało – próbowała go uspokoić Andrea.

– I co teraz zrobisz?! – Weber nie zamierzał zrezygnować.

– Wrócę i jak najszybciej opublikuję na YouTube film z porwania – odpowiedział Cristian, odpychając dźgający go palec Webera.

## Fatalny początek tygodnia

Terry Mykonos, wysoki na ponad metr dziewięćdziesiąt czterdziestolatek o wysportowanej sylwetce, jednak już zdradzającej brak aktywnego wysiłku, jechał windą w górę w towarzystwie dwóch mężczyzn w wieku dwudziestu kilku lat. Jego towarzysze wyglądali na takich, którzy potrzebują pomocy. Skóra spalona słońcem, krótko ostrzyżone włosy, sztywna postawa, w rozkroku, z rękoma założonymi jedna na drugą, wzrok utkwiony w jednym punkcie. Obydwaj w identycznych koszulkach hawajskich oraz szortach, co z pewnością stanowiło sposób na odreagowanie wojskowych uniformów. Było rzeczą oczywistą, że jeszcze miesiąc temu służyli na misji w Afryce lub Bliskim Wschodzie. Wyjeżdżasz na wojnę ratować świat, a po powrocie okazuje się, że to ty potrzebujesz pomocy świata. Nic tak nie uzmysławia bezsensu życia jak walka na froncie. Możesz sobie wmawiać, że walczysz o wolność rodziny, ojczyzny, ale wcześniej czy później uświadamiasz sobie, że wróg też o to walczy. Stoicie po przeciwnych stronach jedynie z powodu ambicji polityków.

Terry miał nadzieję, że nie jada do biura „Lost in Life”. Wielu interesantów, zamiast do „Wounded Warrior Project” piętro wyżej, trafiało do nich. To nie był duży problem, w sumie łączyły ich podobne cele. Jednak główne zadanie jego fundacji polegało na odnalezieniu nieradzących sobie w życiu weteranów i skierowaniu ich do odpowiedniej organizacji, która zajęłaby się nimi dalej. Można powiedzieć, że „Lost in Life” było agencją detektywistyczną wyspecjalizowaną w poszukiwaniu zagubionych, a Terry był jednym z jej detektywów. Z racji wykonywanych obowiązków powinien zainteresować się problemami towarzyszy w windzie. Jednak teraz odczuwał złość i nie chciał żadnych nowych klientów. Wraciał z Queens, gdzie umówił się z sierżantem Leonardem Creswellem. Gdy zapukał do jego drzwi, nikt nie odpowiadał. Sąsiedzi mówili, że powinien być w środku. Tknięty złym przeczuciem, Terry wyłamał drzwi. Mieli rację, sierżant był w mieszkaniu. Leżał martwy na łóżku. Obok dostrzegł strzykawkę. No cóż, spóźnił się. Pewnie ostatni, złoty strzał. To nie było pierwsze spóźnienie, jakie mu się

przydarzyło, lecz dzisiaj Terry zaczął się zastanawiać, czy nie powinno być ostatnie.

Winda stanęła. Terry ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał go jeden z mężczyzn.

– Nie to piętro – szczerknął. Krótko i wyraźnie, jakby to był rozkaz.

– To wy jedźcie wyżej, ja wysiadam tutaj – odparł Terry i lekko utykając na lewą nogę, wyszedł z windy. Po chwili znalazł się w przestronnej sali z wieloma biurkami. O tej godzinie była niemal pusta, wszyscy detektywi znajdowali się w terenie.

– Heeyyy... Terrrry – przeciągając słowa, z zalotnym uśmiechem, powitała go Eliza Visser. Okrągłutka jak pączek trzydziestolatka o fioletowych włosach, rozczapierzonych jakby trafił w nie piorun.

– Hey, Eliza – odpowiedział, zmuszając się do uśmiechu. Kobieta potrafiła być bardzo nieprzyjemna, gdy ktoś ją ignorował i Terry nauczył się, że lepiej udawać radość, gdy witała go w tak przesłodzony sposób. Minał Elizę wydymającą w zalotnym uśmiechu usta i ruszył w głąb sali.

Nim usiadł za biurkiem, przyskoczył do niego wychudzony młodzieniec, z pryszczami na twarzy, który był bankiem informacji na temat wszystkich podopiecznych, jakich mieli. Diego Munguia pracował dla nich dopiero od pół roku, ale Terry nie wyobrażał sobie, aby mogło go zabraknąć. Chłopak nie potrzebował komputera, by pamiętać nazwiska, stopnie oraz adresy wszystkich klientów fundacji. Był w tym szybszy niż komputer.

– Słyszałeś? – zapytał przerażony chłopak. Terry skrzywił się z niesmakiem.

– O tragedii w Nowym Orleanie? – Media od rana krzyczały o zamachu we Francuskiej Dzielnicy w Lafitte's Blacksmith Shop na Bourbon Street. Prawie dziesięciu zabitych, kilkudziesięciu rannych, a co najgorsze – zburzony najstarszy budynek miasta. Prezydent Trump zapowiedział, że nie pozwoli, aby terroryści powstrzymali strumień amerykańskiego piwa prosto z beczki do gardeł Amerykanów i wyłożył z własnej kiesy 100 tysięcy dolarów. Po czym ruszyła narodowa zbiórka mająca na celu odrestaurowanie budynku. Ale nie ulegało wątpliwości, że jeszcze długo nikt nie napije się w nim lokalnego, warzonego piwa z beczki. Diego pokręcił przecząco głową.



– Nie, o wczorajszej akcji „Uwolnij śmieci” – wyjaśnił.

– Widziałem mnóstwo stert śmieci po drodze. Gdzie je uwolnili? – zaśmiał się Terry.

– Nie chodzi o śmieci.

– To o co? – Terry już nic nie rozumiał. Zazwyczaj Diego mówił dość składowo, ale widocznie ten poniedziałek nie tylko dla Terrego był ciężkim dniem. – Diego, nie mam nastroju do zagadek, spóźniłem się do sierżanta Leonarda.

– A niech to! – Diego zacisnął ze złością dłoń. Wykasowanie danych z bazy pamięci człowieka nie było tak proste, jak z komputera. Chłopak opanował się jednak i oznajmił: – Niestety Terry, też mam złą wiadomość. W czasie tej akcji porwano kaprala Trottera.

– Uznali go za śmiecia?! – krzyknął skołowany Terry, ściągając na siebie wzrok Elizy. Pomachał jej uspokajająco dłonią. Ponownie posłała mu całusa.

– Terry, spokojnie – zasyczał cicho Diego.

– No mów! – zażądał Terry.

– Nie uwierzysz... Lepiej zobacz to na YouTube.

To były zdjęcia z drona. Jedno długie ujęcie, z wykorzystaniem teleobiektywu. Operator porzucił zamiar sfilmowania akcji i skoncentrował się na pościgu za Trotterem. Terry skupił uwagę na autach, którymi przyjechali porywacze. Ich wygląd sugerował, że nie był to zwykły napad bandycki lub zemsta gangów, a akcja dobrze zorganizowanej grupy.auta bardzo przypominały używane przez armię pickupy International MXT-MV. Znał je doskonale, nie były wygodne, lecz za to bezpieczne, odporne zarówno na miny drogowe, jak i ostrzał z broni ciężkiej. Samochody ze zdjęć miały identyczne drzwi, nadkola, tylko stanowiły o wiele bardziej luksusową wersję pierwowzoru.

Porywacze działali metodycznie, wykorzystując nowoczesne środki łączności. Jedynym niepasującym elementem do tej akcji była osoba dowódcy. Cóż to za maskarada, w jakim celu założył te śmieszne rogi? Jednak, poza tym zgrzytem, film nie pozostawiał żadnych wątpliwości: kapral William Trotter został porwany.

Trotter służył w Afganistanie. W czasie jednego z patrolów jego oddział



został okrążony przez Talibów. Kapralowi udało się przebić przez pierścień okrążenia. Potem ruszył po pomoc, jednak problem polegał na tym, że nie miał środków łączności, a od najbliższego miejsca postoju wojsk dzieliło go pięćdziesiąt kilometrów. Sierżant nie zastanawiał się, co ma robić. Zaczął biec po piasku oraz kamieniach, które przypiekały go palącym słońcem. Biegł bez wytchnienia cztery godziny. To był niesamowity wynik, jedynie najlepsi chodźnicy osiągalni podobne rezultaty. Za ten szalony bieg został odznaczony Srebrną Gwiazdą. Próbowano zrobić z niego zawodnika, lecz odpowiedział, że nie lubi biegać pod czyjeś dyktando.

William nie miał klaustrofobii, lecz zawsze twierdził, że czuje się źle widząc ściany w odległości mniejszej niż kilkadziesiąt kroków. Wolał otwarte przestrzenie i z tego powodu wybrał życie na szrocie, spanie w samochodach.

To było co prawda pierwsze porwanie, ale nie pierwszy przypadek zaginięcia podopiecznych Terrego. W ostatnim miesiącu zdarzyło się to już trzy razy, co z wczorajszym zniknięciem Trottera oznaczało utratę czterech osób. I chociaż Terry, chcąc pozostać przy zdrowych zmysłach, musiał oswoić się z faktami, to porwanie kaprała kazało mu przyjrzeć się tym przypadkom z innej perspektywy.

Zaczął porównywać ich dossier. I to nie na ekranie monitora, a wertując papierowe wydruki. Uważał, że przeglądając linijki tekstu na ekranie, nieświadomie pominie większość ważnych informacji. A zapisane słowa pozostają w pamięci na długo.

Szeregową Jordana Onziema z Queens była mechanikiem w bazie Irkicik w Turcji i przygotowywała samoloty do nalotów na tereny zajęte przez ISIS w Libii oraz Syrii. Starszy szeregowy Hyesung Rhee, zebrzący na Manhattanie, stacjonował na Okinawie w Japonii. Mieszkająca na Bronksie kapral Claudia Hurtad, służyła w Navy Seals i brała udział w szturmie na bazę terrorystów al-Szabab, odpowiedzialnych za atak na centrum handlowe Westgate w Kenii. Mężczyźni i kobiety. Biali, czarni, Azjaci i Latynosi. Żadnego związku, a nawet podejrzenie zróżnicowane pochodzenie. Marynarka, siły powietrzne i dwa razy wojska lądowe. Najwięcej było żołnierzy z piechoty. Bronks, Manhattan i Queens. W tym

również trudno było dostrzec coś dziwnego, weterani niższych stopni nie mieszkali w najlepszych dzielnicach Nowego Jorku. Czy istniał jakiś wspólny mianownik? Poza tym, że wszystkich tych ludzi można by nazwać „śmieciami społeczeństwa dobrobytu”.

Zrezygnowany odsunął teczkę od siebie. A może jednak były to przypadkowe zaginięcia? Rokrocznie ginie w wypadkach, popełnia samobójstwa lub umiera w wyniku chorób równie wielu żołnierzy, jak na polu walki. A byli już tak blisko odzyskania równowagi. William zapisał się przedwczoraj do programu gwarantującego pełną opiekę zdrowotną. Program „Obamacare” nie rozwiązał problemu, a ten nowy miał wypełnić lukę, przynajmniej w odniesieniu do byłych żołnierzy.

Terry zastygł w bezruchu. Nie patrząc w dokumenty przeanalizował sytuację pozostałych weteranów.

– Tak, to oczywiste! – wykrzyknął.

Sprawdzenie danych zajęło mu tylko pół minuty. W końcu odnalazł wspólny punkt: wszyscy żołnierze, którzy zaginęli, zgłosili się do programu „Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie”. Była to szeroko reklamowana w Internecie i telewizji akcja, mająca objąć opieką medyczną osoby nieubezpieczone. Detektywi fundacji otrzymali polecenie, aby promować program wśród byłych żołnierzy.

Terry już wcześniej zastanawiał się, czy warunek ujawnienia kodu genetycznego miał pomóc policji w stworzeniu bazy DNA wszystkich obywateli, czy też był to jedynie chwyt, uświadamiający bezdomnym, że nie ma nic za darmo, nawet jeżeli jest to nic niewarta informacja o kodzie genetycznym? Wtedy stwierdził, że to niska cena za możliwość leczenia szpitalnego i nakłaniał podopiecznych, by zgłosili się do programu. Kapral William Trotter, po kilku tygodniach sugestii, też się zgodził. Teraz Terry uznał, że musi bliżej przyjrzeć się temu programowi.

To był pierwszy punkt zaczepienia. Za drugi uznał porywacza z rogami. Co to za bzdurny pomysł afiszowania się? Chyba że miał to być rodzaj maski? Każdy będzie szukał rogowca, a porywacz zdejmie po akcji rogi i nikt już go nie pozna. Terry skrzywił się. Wydało mu się to trochę naciągane.

– Diego, mam prośbę.

Diego spojrział na niego pytająco.

– Zbierz informacje od pozostałych, ilu podopiecznych ostatnio zaginęło.

– Ilu porwano?

– Nie. Przestali się odzywać. I to nie z powodu śmierci.

– Rozumiem.

Terry nie mógł się skupić. Tak właściwie nie mógł już nic więcej zrobić bez zbadania sprawy w terenie. Miał dwa tropy, za którymi postanowił pójść równolegle. Na szczęście w obydwu przypadkach znalazł odpowiednich ludzi, mogących mu pomóc. Postanowił nie odkładać śledztwa.

– Muszę coś załatwić – wyjaśnił Elizie, wychodząc z pracy.

– Jasssne, skaaaarbie – wysyczała, posyłając mu buziaka. Gdyby nie była tak nachalna, może nawet dałoby się z nią porozmawiać.

## Znajdź mi filmowca

Terry postanowił odwiedzić osobiście Federica. Wolał nie poruszać tematu rozmowy przez telefon czy łącza internetowe. Uprzedził jedynie przyjaciela, że niebawem do niego zajrzy.

– Spoko, do północy będę siedział w domu – usłyszał. Zadzwoił jeszcze do Subiry, umawiając się na drugie spotkanie.

Drugi raz tego samego dnia będzie musiał pojechać na Brooklyn. Mając ustalony plan działań, wyszedł z pracy i przeszedł na

34 Street Penn Station. Było słoneczne, upalne popołudnie, które w betonowej dżungli powodowało, że ubranie lepiło się do skóry. Żałował, że nie może być teraz z Ann w Grecji, popijać ouzo w tawernie ze stolikami ustawionymi na plaży, czując na policzkach delikatną bryzę. A później, ale gdzieś dopiero koło drugiej, trzeciej w nocy, kiedy już nie będzie tak parno, rzucić się z Ann na łóżko i kotłować do świtu. Jednak dla Ann ważniejsze było poszukiwanie mitycznego centaury. Od tygodnia nawet nie zadzwoniła, chociaż wcześniej rozmawiali co dwa dni. Ten związek chyba umierał. Może rzucić to wszystko i pojechać do niej? – pomyślał. Jak tylko dowiem się, kto

porywa moich podopiecznych – zdecydował z westchnieniem irytacji, wiedząc, że śledztwo może trwać zbyt długo i na pewno się spóźni.

Po kilku minutach, jeszcze zanim pojawił się peron stacji, Terry wszedł w tłum okularników GDV, pogrążonych w wirtualnych światach. Oceniał, że czeka go kilkadziesiąt minut stania w kolejce do kontroli antyterrorystycznej. Rozejrzał się po twarzach oczekujących. Niemal każdy w wieku poniżej dwudziestki skracał czas oczekiwania oglądaniem filmów, przeglądaniem Internetu lub grą. Nieruchome głowy z klapką na jedno oko i nerwowo drgającą prawą lub lewą dłońią. System Global Digital View pozwalał sterować obrazem za pomocą ruchów palców. Impulsy idące z mięśni były odczytywane przez serce systemu, tak jak dawniej ruchy rysika czy myszki komputerowej. W ten styl życia wpadał teraz każdy nastolatek. Osoby starsze o kilka lat wołały wlepić gały w ekrany smartfonów, jeszcze starsi – tabletów. Starzy, jak on, bliscy czterdziestki, błędzili wzrokiem po ścianach, najstarsi przeglądali gazety. Technologiczny podział w przypadku pokoleń nie znał koloru skóry ani bariery językowej.

Terry unikał metra. Częste alarmy, w większości fałszywe, wzmogły procedury bezpieczeństwa. Teraz już nie wystarczyło sprawdzenie dokumentów, trzeba było przejść nie tylko przez kontrole osobiste, lecz również prześwietlenia wykrywające skład soków w żołądku. Chipy wszywane pod skórę nie sprawdziły się, gdyż można je było wydłubać i przy bramkach użyć podmienionego. Za to przebąkiwano, że niebawem będzie sprawdzany kod genetyczny. I to porównywany nie z odpowiednim dokumentem, a bazą DNA w centrali. To miało wykluczyć możliwość podrabiania dokumentów – albo miałeś to samo DNA, co wzorzec, albo bez pytania cię usypiano i przewożono na salę przesłuchań. On jeszcze nie był na badaniach, ale obiecywał sobie, że musi je wykonać jak najszybciej. Jeżeli twój kod DNA znajdował się w banku danych, mogłeś skorzystać na lotniskach z wydzielonych bramek i przejść kontrolę o połowę szybciej. Terremu przyszła do głowy myśl, czy badanie „Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie” nie jest przypadkiem częścią realizacji programu badań biometrycznych? Ale, nawet jeżeli tak było, to przecież nie powód, aby porywać weteranów wojennych. Chyba nikt ich nie podejrzewał, że są

uśpionymi terrorystami?

Pasażerowie godzili się na podobne utrudnienia, gdyż nie wszystkie alarmy okazywały się dowcipem. W ostatnich dwóch latach wybuchły już cztery bomby, zabijając blisko trzysta osób.

Terry zawsze wolał brać taksówkę, zwłaszcza gdy udało mu się złapać Kajtka. Kajtek był taksówkarzem starej daty, znał miasto bez GPS. Nie jeździł głównymi drogami, ale wybierał trasy, które raczej nie interesowały terrorystów. Wysadzenie w powietrze sterty kartonów na zapleczach sklepów, resztek jedzenia z restauracyjnych kuchni, nie przebije się na czołówki serwisów. Terroryci szukali zazwyczaj miejsc albo mocno zatłoczonych, albo będących ikonami miasta. Jedynie urwanie ręki Statuy Wolności, zburzenie katedry Św. Patryka czy przerwanie przęsła jednego z mostów miało szansę na rozgłos. Gdyby nie to, że przed mostem Brooklińskim i tak musieliby stać w korku, zadzwoniłby do Kajtka.

\*\*\*

Terry wyszedł z metra na stacji 24 Court Street, po czterdziestu minutach jazdy. Pokonanie trasy zajęło 18 minut, a oczekiwanie przed bramkami policji ponad pół godziny. Czyli, tak właściwie, tyle samo, co pokonanie trasy taksówką. Na szczęście dom Federica znajdował się w odległości kilkuset metrów od stacji metra.

Wdusił przycisk domofonu z numerem mieszkania i od razu usłyszał: „Włącz, otwarte”. Był pewien, że przyjaciel nie oderwie się od pracy. Gdy wszedł do pokoju, rzeczywiście ujrzał Federica siedzącego przed kilkoma monitorami komputerów. Pokój był duży, ale niemal pusty. Poza biurkiem przypominającym podkowę zwróconą w stronę okna, znajdował się tu tylko stoliczek z dwoma fotelami pod przeciwległą ścianą.

– Daj mi chwilę – usłyszał. – I przynieś z kuchni piwo!

Federico Colucci był młodszy od Terrego, miał 37 lat. Był również niższy o kilkanaście centymetrów i bardziej szczupły. O te kilkanaście kilogramów, które z chęcią bym zrzucił – westchnął z zazdrością Terry. Federico nosił

zarost a la Van Dyke. Od Ann dowiedział się, że był to flamandzki malarz, na którego portretach twarze mężczyzn często zdobiły długie wąsy oraz bródka – nazywana przez Subirę kozią. Federico nie wymagał takiej opieki jak podopieczni Terrego, co nie znaczy, że wszystko było z nim w porządku. Ale zawsze był taki i Terry nie potrafił wyobrazić go sobie innego.

Ścianę na wprost zajmowało kilka plakatów, większych niż standardowe, z ulubionych filmów Federica. Nie było na nich Angeliny Jolie w czarnym biustonoszu powiększającym cycki z filmu *Tomb Rider*, nie było również Clinta Eastwooda z dwoma rewolwerami z czasów spaghetti westernów, ani nawet mistrza Yody w kolorze sepii z napisem „Niech moc będzie z tobą”. Federico był miłośnikiem ery ekspresjonizmu niemieckiego z lat trzydziestych ubiegłego wieku i ścianę w jego pokoju wypełniały plakaty z wykoślawioną architekturą oraz postaciami o nadmiernie ekspresyjnych gestach. Terry już wiedział, że na przykład czarna istota, przypominająca trochę małpę, pochyloną nad leżącą z wyciągniętymi rękoma kobietą, to bohaterka *Gabinetu doktora Caligari*. Pozostałe dwa również pochodziły z tego filmu, a ich wspólną cechą było to, że przedstawiały architekturę o zaburzonej perspektywie.

–Dlaczego wciąż oglądasz te filmy? –zapytał przyjaciela podczas pierwszej wizyty. To była późna godzina i do krzywizny prezentowanej architektury dołączyła krzywizna wywołana wypitym alkoholem.

–Szczerze? –Terry skinął głową. To był czas na szczerość, byli w połowie drugiej butelki whisky. –Fascynuje mnie scenografia oraz oświetlenie w tych filmach. Akcja jest mniej istotna, chociaż to śmietnik osobliwości, w którym długo mogliby grzebać psychiatrzy. –Federico wskazał dłonią na komputery. –Spójrz, jestem za bardzo uporządkowany i te krzywizny mają mi przypominać, że nie jestem robotem.

–Miałem wrażenie, że od informatyka wymaga się porządku?

–No właśnie, może powinienem zmienić zawód. –Federico zaśmiał się z goryczą. –Ale mylisz się. Program można napisać na wiele sposobów. A, co ciekawe, nie zawsze czysty, przejrzysty kod jest tym, który najsprawniej działa.

–Jak to możliwe?

–Do zrozumienia długiego zdania nie jest potrzebne przeczytanie wszystkich słów. Porządny informatyk jest tresowany do pisania kodu w składni zrozumiałej dla innych. A wystarczy połowa słów, aby zrozumieć treść całego zdania.

–A ktoś inny to zrozumie?

–Hm, tego nie jestem pewien... –złośliwy chichot Federica był jednoznaczną odpowiedzią. –Często ja sam nie pamiętam, dlaczego napisałem pewne fragmenty programu. Ale działają, więc nie zastanawiam się nad tym długo.

To był problem Federica. Bywał genialny, ale nie potrafił pracować systematycznie. Równie ważne było dla niego ulepszenie programu do sterowania muzyką w zależności od tego, po co sięga do lodówki, jak i programu dodającego milionowe części dolara do własnego rachunku.

–I w ten sposób piszesz programy?

–Staram się. Plakaty z *Gabinetu doktora Caligari* przypominają mi, że nie wszystko musi być prawdziwe. Geniusz jest ukryty w wypaczonym spojrzeniu. To ta iskra wznosząca nas do niebios. Dopóki widzę zafałszowaną perspektywę –wiem, że jestem zbyt normalny. Gdy ściany na plakatach się wyprostowują –staję się genialny. To mój sprawdzian przeciętności i geniuszu.

Terry wrócił z dwoma butelkami piwa, jedną stawiając przed klawiaturą. Federico zastygł, a później szybko napisał kilka linijek kodu i zamknął okienko programu, nad którym pracował. Sięgnął po butelkę i odwrócił w stronę Terrego.

–Przejrzałem film. To jest autentyczny zapis. Jedno ujęcie z drona, sam dobrze to wiesz –Federico wzruszył ramionami i przeszedł do innego tematu. –Cenię Greenpeace, ale w tym wypadku chyba robią niepotrzebny szum. Kto by chciał używać sprzętu z przestarzałym oprogramowaniem? To walka z wiatrakami. Wiesz, że nie cierpię globalizacji, ale ma ona również dobre strony. Jak dostęp do najnowszych urzędzeń.

–Jesteś za młody, by to zrozumieć. Wychowałeś się już w czasach przedmiotów wyrzucanych po okresie gwarancji...

–A może nawet przed –wtrącił Federico.



–... a ja pamiętam sprzęt produkowany do użytku na całe życie. A przynajmniej na wiele lat – dokończył zdanie Terry.

–To dzisiaj niemożliwe – Federico, przekrzywiając głowę, spojrzął na przyjaciela z ironicznym uśmiechem. Gospodarz wskoczył na swój ulubiony temat i Terry wiedział z doświadczenia, że teraz trudno będzie go od niego oderwać. Musiał to przeczekać. Najlepiej w milczeniu.

–Korporacje rozkręciły spiralę chciwości i nie potrafią tego zatrzymać. Bowiem zdolności produkcyjne rosną w tempie Moore`a. Dzisiaj mamy wydajne roboty przemysłowe i oprogramowanie w środku, starzejące się szybciej niż opakowanie. A bez wzrostu demograficznego nie nastarczy ludzi, by kupić wszystkie wyprodukowane dobra. Powiem ci coś, moda na hołubienie jak najliczniejszej gromadki dzieci to korporacyjny spisek. Boją się, że ich dochody spadną. Tylko że ludzie jakoś nie chcą rozmnażać się w wykreślonym w Excelu tempie. Korporacyjni stratedzy sięgnęli więc po drugi ze sposobów: chodzi o to, aby produkować rzeczy, które będą psuły się po roku, abyś musiał kupić nowe egzemplarze...

–Oceniasz wartość sprzętu po oprogramowaniu. Jednak przed epoką komputerową ważna była trwałość. Konstrukcja siekiery jest taka sama od wieków, a czas poświęcony na wytworzenie urządzenia więcej wart niż zużyty materiał. Ja wolę dawne podejście do sprzętu.

–I stałe w uczuciach kobiety? – zaśmiał się Federico.

–A model Alfa Romeo z 1936 roku, sprzedany za 36 milionów dolarów?

–Terry nie odpowiedział bezpośrednio na zaczepkę. –Lub mój *Trzmiel*?

*Trzmiel*em Terrego było dwudrzwiowe, granatowe BMW 850i E31 z 1992 roku. Jego pięciolitrowy silnik V12 od przełomu wieku dudnił w jego duszy tak samo, jak ryk silników startującego wahadłowca. *Trzmiel* rozpędzał się do setki w 6,2 sekundy –gdyż był to model z ręczną skrzynią biegów, osiągający 250 km/godz. Miał okazję sprawdzić to na niemieckich autostradach. Terry odziedziczył *Trzmiela* po ojcu, który kupił auto, gdy z rodziną stacjonował w Ramstein-Miesenbach. Ojciec uwielbiał ekstremalne prędkości tak samo w powietrzu, jak i na drodze. I chociaż w dniu jego śmierci Terry studiował już w Seattle, to zdecydował się sprowadzić z Niemiec ulubiony samochód ojca.



– To co innego – Federico machnął lekceważąco dłonią. – Alfa ma wartość historyczną, twój *Trzmiel* sentymentalną.

– Federico, może wrócimy do analizy filmu. Czy twoim zdaniem mógł zostać sfalszowany?

– Wiesz, jak trudno byłoby zainscenizować tak rozległy plan? Rozplanować ruch sceniczny dla takiej liczby aktorów. Gdyby ujęcia wykonano ze smartfonu lub nawet kamery ręcznej i zostałyby zmontowane – mógłbym szukać śladów fałszerstwa. Można pobawić się programami i podmienić kilkadziesiąt klatek, ale nie cały film.

Terry zamyślił się. Przyjaciel potwierdził jego przekonanie, chociaż przez jakiś czas łudził się, że wygląd rogowca stanowił żart zdolnego grafika.

– Możesz się dowiedzieć, kto go opublikował?

– To nie jest żadne wyzwanie, robota na kilka minut. Daj mi powód, abym zatracił się w sobie poszukując rozwiązania problemu – Federico skrzywił się z niesmakiem.

– Dobrze, obiecuję, że znajdę godny twojego umysłu problem – odparł kpiąco Terry. – Czy teraz pomożesz?

– Potrzebujesz adres IP?

Terry skinął głową.

– Adres IP, adres właściciela komputera, imię i nazwisko.

– Da się zrobić, YouTube nie strzeże swoich klientów tak dobrze jak Apple.

Federico wciąż był przygaszony.

– Zazdrościsz autorowi zdjęć liczby polubień? – zapytał Terry, domyślając się, o czym myśli przyjaciel.

– Eh, kiedyś chciałem zostać operatorem, ale w dzisiejszych czasach każdy, kto ma choćby zegarek, może nakręcić film. A nowa wersja łączności GDV, już nie poprzez okulary a soczewkę kontaktową, ma mieć warstwę rejestrującą obraz. Zadaniem operatora będzie jedynie patrzeć, najlepiej bez mrugnięcia. Kiedyś to było rzemiosło, fach wymagający wiedzy niemal tajemnej. Dzisiaj wystarczy być w odpowiednim czasie, w odpowiednim miejscu, a zgarniesz kliknięcia i nagrody na festiwalach. Artyzm się nie liczy, im głupszy film, tym więcej splendoru.

– A nie myślałeś o montażu?

– To prawda, że ten etap produkcji filmu wymaga przynajmniej minimum umiejętności. Każdy może nakręcić materiał, ale zmontować go potrafią jedynie nieliczni. Tylko że dzisiejszy montaż to sieczka. Nastawiona na to, abyś nawet po tysięcznym obejrzeniu reklamy, klipa muzycznego czy nawet filmu – i tak wszystkiego nie zauważył.

Porozmawiali jeszcze kwadrans, na tematy bez znaczenia.

– Muszę już lecieć – oznajmił w końcu Terry, zerkając na zegarek.

– Gdzie ci się spieszy? – zapytał zaskoczony Federico.

– Umówiłem się na basenie z Subirą – odpowiedział niechętnie.

– Poszedłbym z tobą, ale ona nie lubi, jak przyglądam się jej w kostiumie... – mruknął z żalem gospodarz.

– To prawda – przyznał Terry głośno się śmiejąc.

Federico spojrział na niego wzrokiem, który mógłby zabić.

## Dziewczyna jak syrena

W dzisiejszych planach Terry uwzględnił jeszcze rozmowę z Subirą Bustamante. Umówił się z nią na basenie. Dziewczyna od zawsze lubiła wodę, używki oraz muzykę rockową. Wody używała w nadmiarze nawet do drinków, muzyki słuchała niemal non stop. Kiedyś też dużo brała, ale od kilkunastu lat była czysta, znalazła nawet stałą pracę. Nie skończyła studiów medycznych, ale trzy lata wystarczyły, aby znaleźć pracę w klinice medycznej Langone Medical Center na Manhattanie. Terry miał nadzieję, że może Subira podpowie mu, co takiego może znajdować się w kodzie DNA osób zgłaszających się do programu, że tak wiele z nich zdecydowano się porwać?

Z mieszkania Federica do basenu na Flushing Avenue poszedł pieszo. Usiadł w cieniu drzew i obserwował dziewczynę, słuchając muzyki z głośników ustawionych na krawędzi pływalni. To były prywatne głośniki Subiry i zawsze wystawiała je na czas treningu.

Subira płynęła tuż przy dnie w połączonej monopłetwie – już wiedział, że tak to się nazywa – przypominającej ogon mitycznych syren, raz po raz wypinając ponętny tyłek. Wyglądała pięknie. Terry nie wiedział czy syreny były czarne, ale właściwie dlaczego miałyby być tylko białe? O to musiałby zapytać Ann, jednak na pewno by się zirytowała. Zanim poznał Ann, był z Subirą. I chociaż rozstali się jeszcze przed poznaniem z Ann, dobrze wiedział, że lepiej o przeszłości za dużo nie mówić.

Terry rozpoznał brzmienie, jak i tytuł nagrania. To była długa suita *Na krawędzi* zespołu Yes. Początkowo nie rozumiał ich muzyki, a nawet go drażniła. Łomot perkusji, rozwydrzone gitary, wibrujące w uszach klawisze. No i ten cienki, wysoki wokół Jona Andersona. Jakby był kastratem. Ten głos nie pasował do rocka. No, ale jak mówiła Subira, to nie był zwykły rock, tylko rock symfoniczny. Rzeczywiście, klawisze brzmiały jak organy, a chór składał się z samych eunuchów. Z czasem, zmuszany przez Subirę do ciągłego słuchania tych samych płyt, w bezwładzie dźwięków zaczął wyłapywać muzyczne smaczki, przemyślaną kompozycję. Żaden z instrumentów nie grał dla siebie, wszystkie były podporządkowane przesłaniu nagrania. Głos Andersona współbrzmiał z innymi instrumentami. Nie zagłuszał ich, pozwalał słyszeć słowa w połączeniu z muzyką, a nie – jak u innych – wybuchać jakimś krzykiem w harmidrze. Ckliwy, kiczowaty tekst o facecie, co rusz podnoszącym się i upadającym, w połączeniu z równie ckliwą muzyką, dzwoneczkami, śpiewem ptaków, po wielu przesłuchaniach stał się dla niego manifestem walki; wiary, że każdy jest w stanie rozwinąć skrzydła.

W końcu, po dwóch latach bliskiej znajomości i wysłuchaniu dziesiątki razy tej samej płyty, Terry zrozumiał tę muzykę.

– Cieszę się, że już rozumiesz Yes. Szkoda, że za późno – podsumowała dwa lata ich związku.

Ale, co by nie mówić, była to muzyka sprzed pół wieku. Zauważył, że jego przyjaciele ugrzęźli w przeszłości. Subira w muzyce połowy ubiegłego stulecia, Federico w niemych, czarno-białych filmach sprzed stu lat, a Ann najgłębiej, bo w historii sprzed tysięcy lat. Tylko jego fascynacje wybiegały w przyszłość. Wszechświat na wyciągnięcie dłoni, podróże po horyzont

czegoś, co nie ma końca...

Nieustanne lawirowanie na krawędzi marzeń i codzienności – jak przyznawał w duchu sam przed sobą.

\*\*\*

Subira zauważyła Terrego dopiero gdy wychodziła z wody. Pomachała mu ręką i krzyknęła, że wróci za dziesięć minut. Była w kostiumie, który nie tylko podkreślał kształty jej figury, ale ujawniał fakt, że miłość Subiry do zespołu Yes nie dotyczy jedynie muzyki. Cała lewa strona ciała dziewczyny była wytatuowana. Poczynając od szyi, poprzez ramię, tułów, a kończąc na nodze, z dużym palcem stopy włącznie, widniały wielokolorowe tatuaże utrzymane w stylistyce okładek Yes, autorstwa Rogera Deana. Wśród gąszczu powyginanych konarów drzew, często rosnących na równie poskręcanych formacjach skalnych nie z naszego świata, ukrywały się przedziwne stwory: smoki, ośmiornice, owady i ptaki. Dla kontrastu, jedynie na prawym ramieniu można było dostrzec niepozorny, siny tatuaż formacji, w której służyła w Afganistanie – wąż, lecz nie Eskulapa, a jadowity gad, z otwartym pyskiem oplatającym nabój.

Wróciła już po sześciu minutach. Była przygaszona, co na jej twarzy uwydatniało się bardzo szybko. Szerokie usta, wysunięte kości policzkowe oraz duże, ciemne oczy z brwiami zarysowanymi wysoko ponad nimi, powodowały, że nawet jeżeli nie była smutna, a jedynie zamyślona, wyglądała jakby miała pretensje do całego świata. Terry już wiedział, że jest wręcz odwrotnie, ale komuś, kto jej nie znał, mogła wydawać się zgorzkniałą, wredną suką. Jednak dzisiaj twarz dziewczyny z pewnością odzwierciedlała zły humor.

Podeszła do niego, przywitali się, przytulając i całując w policzki.

– Co cię gryzie? – zapytał wprost.

– Chciałabym zrobić coś szalonego, popłynąć za siódme morze – westchnęła głęboko.

– Przecież możesz zgłosić się do jakiejś szalonej wyprawy. Masz

kwalifikacje i jako sanitariusz, i jako nurek. Z pewnością wiele ekip z chęcią by cię zatrudniło. Nie bój się wyruszyć za siódme morze, nic cię tutaj nie trzyma.

– No właśnie, nic mnie nie trzyma – odparła skwaszona. – Życie wyciekło mi przez palce. Gdy byłam młoda uważałam, że sukces mam w garści, a okazało się, że ugrzęzłam w gównie. I z każdym dniem, gdy budzę się zrana potem po koszmarach nocnych, wstaję i idę do pracy – zagłębam się w tym gównie coraz bardziej. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Nic nie osiągnęłam i pewnie już niczego nie dokonam. Nie chcę być statystką we własnym życiu, chcę być jego pierwszoplanową aktorką. Mam ochotę wrócić do ćpania, odlecieć z tego bezdusznego świata. A gdy umrę i rozrzucicie moje prochy, popiół pewnie wpadnie niewinnemu przechodniowi w oko, ten przeklnie, wyciągnie chusteczkę i przetrze spojówkę. I to będzie koniec Subiry, która kiedyś marzyła. Tyle po mnie zostanie.

Od dawna miała mu to ochotę powiedzieć, ale przecież Terry o tym wiedział. Porównanie życia do gówna pływającego w szambie było jego ulubioną metaforą, przeznaczoną na chwile głębokiej depresji. I późniejszej złości, przeradzającej się w bunt.

– Subira, ocknij się. Podejmij jakieś decyzje, choćby w sprawach prywatnych. Odrzucasz Federica, nie dopuszczasz innych facetów. To jak chcesz znaleźć męża? Pod wodą?

Spojrzała na niego z irytacją, wstrzymując oddech i lekko rozchylając nozdrza.

– Federico to przyjaciel i niech tak zostanie. Nie mam ich zbyt wielu. A poza tym on jest zalany przez cały dzień. Nie pije jedynie w czwartki, aby w piątek przyjść na spotkanie w miarę trzeźwy. W takie towarzystwo mnie wpychasz? Za tydzień obydwójce będziemy zapruci od przebudzenia do zaśnięcia przy kieliszku – prychnęła ze złością. Terry musiał jej przyznać rację. – A innych mężczyzn... dopuszczam – dodała.

– Na kwadrans, raz na kwartał – Terry nie ustępował, dobijał ją systematycznie. W końcu od tego ma się przyjaciół, by mówili prawdę prosto w oczy. Subira oklapła, wypuściła powietrze z płuc, przez jej usta przemknął grymas niezadowolenia.

– Zdziwiłbyś się. Przeważnie na krócej. I rzadziej.

Terry zaśmiał się, a i ona, po chwili wahania, odpowiedziała śmiechem. Jeszcze nieco wymuszonym, ale Terry znał ją na tyle długo, by poznać, że już nie wróci do ponurych myśli. Przynajmniej dopóki będą rozmawiali.

– Z jakim przychodzisz problemem? – porzuciła niebezpieczne tematy. – Nie chciałeś nic powiedzieć przez telefon.

– Natknąłem się na dziwną sprawę i chciałem zasięgnąć informacji.

Spojrzała na niego z uwagą.

– Śledztwo? – w pytaniu Terry wyczuł nutkę lęku.

– Na razie prywatne – spróbował zbagatelizować sprawę. Jej, skrzywiona w grymasie niezadowolenia, twarz wskazywała, że nie będzie to łatwe.

– Terry, zrozum wreszcie, że nie jesteśmy już drużyną. Nawet nie jesteśmy razem. Spotykamy się jedynie raz w tygodniu, aby splukać rozterki. Pożartować, pośmiać się, a nie prowadzić narady bitewne. Nie mogę wciąż żyć przeszłością – sam to powiedziałeś. Może powinnam zrezygnować z „piątek wolności” i poszukać nowym znajomych?

Terry stał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Miała rację, nie powinien wykorzystywać dawnych znajomości. Każdy miał własne życie, z własnymi, nierozwiązanymi problemami.

Subira westchnęła głęboko i spróbowała się uśmiechnąć.

– Terry, tym razem ci pomogę, ale to ostatni raz – wzięła go pod rękę i już lżejszym tonem dodała: – Chodźmy coś zjeść, po treningu jak zwykle zgłodniałam.

\*\*\*

Przeszli do pobliskiego All About Indian Food na Bushwick Ave. Mało przyjazne wnętrze – bez okien, z bordowymi ścianami i kanapami z ciemnobrązowym obiciem – ale za to jedzenie, które obydwójce uwielbiali. Terry zamówił skrzydełka kurczaka Indian Wings, a Subira gotowane w sosie curry Salmon Fish. Jedząc Terry opowiedział jej o akcji Greenpeace oraz o porwaniu kaprala Trottera. Wycierając serwetką usta, stwierdził:

–Nie rozumiem hasła tej całej akcji. Dlaczego w tych badaniach tak ważna jest zgoda na pobranie próbek kodu DNA?

Specjalnością Subiry była genetyka, w klinice pracowała na oddziale chorób genetycznych i chromosomowych. Tylko ona mogła mu wyjaśnić dlaczego dla sponsora akcji tak ważne było poznanie kodu DNA.

–Terry, niewiele wiesz o rozwoju genetyki. Możesz zrobić badania krwi, poddać się tomografii komputerowej, rezonansowi magnetycznemu, dzięki czemu będziesz znał stan zdrowia organizmu. Możesz też zaaplikować odpowiednie środki, aby powstrzymać rozwój choroby. Ale jedynie znajomość genów pozwoli ci wykryć ryzyko choroby na dwadzieścia, pięćdziesiąt lat wcześniej. I już teraz podjąć działania, aby nie doszło do jej rozwoju.

–Jasne, ale tak się dba jedynie o zdrowie tych mających pełne ubezpieczenie. Będących w stanie wyłożyć miliony na eksperymentalne terapie. Nie widzę celu inwestowania podobnych pieniędzy w ludzkie śmieci.

–Może są testerami? – zasugerowała Subira.

–To możliwe. Ale to chyba wciąż za słaby powód –Terry nie był przekonany do tego pomysłu. Subira przez chwilę milczała, kręcąc oczami w lewo i prawo. Terry znał to zachowanie –był to objaw przeszukiwania pamięci.

–Mam! –niemal krzyknęła, po odnalezieniu odpowiedniej informacji. – Kilka lat temu słyszałam o ciekawej kradzieży na Sardynii. Może nie wiesz, ale wyspa ta słynie z długowieczności jej mieszkańców...

–Subira, zlituj się. Przejdź do tematu –Terry, zrezygnowany, opuścił głowę.

–Ale to jest właśnie na temat, chodzi o główny motyw tej kradzieży. – Terry spojrział na przyjaciółkę z zaciekawieniem. –Z banku danych wykradzono kilkanaście tysięcy próbek DNA. Trudno o lepszy materiał niż próbki, które potencjalnie zawierają geny długowieczności. Wiele ośrodków medycznych czy koncernów farmaceutycznych pracuje nad „eliksirem młodości”, wykładając na badania olbrzymie pieniądze. Taka kradzież pozwoliła zapewne zleceniodawcy zaoszczędzić nie tylko setki, a może i miliony dolarów, ale też wiele lat gromadzenia próbek.



– Ciekawe, ale oni raczej nie będą długo żyli... – mruknął Terry.

– Terry, nie wiem, ile zdołam się dowiedzieć. Dlaczego nie uderzysz do znajomych z wywiadu?

– To są jedynie domysły, nie mam twardych dowodów. No, może poza rogami porywacza – uzupełnił.

– Co? Wiesz, że tego porywacza zdradza kobieta? – zaśmiała się, niepewna czy Terry żartuje, czy mówi poważnie.

– To nie przerośnia – skrzywił się Terry. – Mówię o prawdziwych rogach. Nie takich, jakie przypisuje się diabłom czy demonom. Krótszym czy dłuższym, wyrastającym pionowo. Rogi porywacza są jak rogi byka. Długie, wyprofilowane z głowy poziomo, a dopiero potem pnące się w górę. Przy czaszce mają kolor kości, z czarnymi końcówkami.

– Żartujesz? To jakiś wariat – Subira wciąż nie mogła uwierzyć, że Terry mówi poważnie.

– Z pewnością wariat, ale nie żartuję.

– A inne szczegóły?

– Pytasz czy miał ogon i nozdrza byka? Trudno powiedzieć, gdyż zdjęcia były kręcone z góry, tylko na kilku klatkach widać fragmenty twarzy. Federico nad tym pracuje. A ogon mógł schować w spodniach.

Subira miała ochotę się roześmiać, lecz widząc, że Terry jest poważny, odpowiedziała:

– No dobrze, spróbuję zbadać sprawę. Dowiem się, do czego jest im potrzebny kod genetyczny.



## Rozdział 2.

# Grzebanie w śmieciach

### Wizytacja sponsora wykopalisk

Ann Laskowski, w otoczeniu władz administracyjnych regionu Tesalia-Grecja Środkowa, oczekiwała na wizytę fundatora wykopalisk Damiano Haddada. Był miliarderem, właścicielem koncernu Global Digital View, a pieniądze, jakie posiadał, czyniły z niego najważniejszego gracza w każdym rejonie świata. Liczyły się z nim władze wielu krajów. Haddad uznał, że nie ma czasu na podróż samochodem, wizytę w parlamencie oraz ratuszu, tylko od razu chce znaleźć się na terenie wykopalisk. Tym sposobem wierzuszka miejscowych decydentów udała się do miejsca przylotu władcy pieniądza. Udało im się znaleźć lądowisko w odległości niecałych stu metrów od wykopalisk. Haddad miał przylecieć helikopterem z lotniska Nea Anchialos w pobliżu Wolos, które za czasów Homera zwano Jolkos.

Naraz przy stanowisku powitalnym pojawił się Jorgos. Ann prosiła Alexisa, aby tego dnia zatrzymał chłopca w domu i była zła, że nie potrafił upilnować syna. Pomimo niezadowolenia spojrzała na Jorgosa z zaciekawieniem. Dzisiaj założył długie spodnie i białą koszulę. Jak miała mu wytłumaczyć, że zmiana ubrania to nie wszystko, i nie zmieni to jego sytuacji? Rozejrzała się w poszukiwaniu ojca, który by go odprowadził, ale nie zauważyła Alexisa. Podeszła do chłopaka.

– Jorgos, mówiłam ci, że mamy ważną wizytę – powiedziała ze smutkiem, kładąc chłopcu dłoń na ramieniu. – Nie możesz się tu kręcić.

– Ale ja muszę podziękować temu panu, co dał pieniądze na odnalezienie grobu centaury – odpowiedział z przekonaniem i wypinając dumnie pierś, dodał: – Ubrałem się odpowiednio, nie przyniosę pani wstydu.

– Jestem o tym przekonana. Należysz do naszych najlepszych pracowników.

– No więc dlaczego? – pochwała jedynie spotęgowała rozpacz wyrostka. Jakże trzeba uważać, co się mówi młodym – pomyślała Ann.

– Tam będzie mnóstwo oficjeli. Wiesz, takich sztywniaków, patrzących tylko na przepisy. A ja nie mam prawa zatrudniać młodocianych.

– Rozumiem – odparł cicho, opuszczając głowę. – Wiem, wiem, jestem za młody. Ale jak dorosnę, to będę mógł...

– No właśnie – ucieszyła się, że zrozumiał w czym tkwi problem. Chłopak uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– To niech mi pani powie, dlaczego tata wciąż powtarza: „Jakbym chciał mieć tyle lat, co ty”. To jaki wiek jest dobry? Ja mam za mało lat, tata uważa, że ma za dużo...?

– Jorgos, żeby to ja wiedziała.

Wreszcie odnalazł się Alexis. Nie był tak elegancko ubrany jak syn, chociaż włożył długie, dżinsowe spodnie oraz czystą niebieską koszulę. Podszedł do nich i chwycił chłopaka mocno za dłoń.

– Przepraszam panią, gdy wychodziłem biegał jeszcze w krótkich spodenkach za kozami. Byłem przekonany, że ani mu w głowie wizyta tutaj. Musiał mieć przygotowane ubranie i tylko czekał, aż wyjdę... – zaczął tłumaczyć się przed Ann. – Zaraz go wyprowadzę.

Pociągnął opierającego się chłopca za sobą, lecz Ann zatrzymała go.

– Daj mi chwilę.

Przykucnęła przed Jorgosem. Musiała mu jeszcze coś powiedzieć.

– Obiecuję, że jutro opowiem ci ze szczegółami, jak przebiegła wizyta.

– To nie to samo... – Nie był tym zachwycony. W końcu jednak potulnie poszedł za ojcem.

W tym momencie Ann usłyszała hałas mielących powietrze łopat

helikoptera.

\*\*\*

Duży śmigłowiec usiadł na lądowisku. Czyżby świta miliardera była aż tak liczna? – zastanawiała się pani archeolog. Nie myliła się. Nim jeszcze łopaty przestały wirować, z wnętrza wyskoczyło dwóch ochroniarzy. Bez brzuszka, bez jakichkolwiek wątpliwości, gotowych do działania. Podobni to Terrego sprzed lat – pomyślała Ann. Stanęli po obydwu stronach drzwi, rozglądając się czujnie. Później ze środka wysypało się trzech starszych mężczyzn z wypakowanymi teczkami w dłoniach. Czyżby chcieli policzyć kości szkieletu? – zdziwiła się. Nastąpiła chwila przerwy. Główny bohater z pewnością celebrytuje moment ukazania się tłumowi – skomentowała tę pauzę z grymasem na twarzy. Myliła się jednak, bo z helikoptera wysiadł pięćdziesięcioletni, niski i okrągłutki mężczyzna, z chmurą złotych, niesamowicie skręconych loczków na głowie. Wyglądał jak putto na emeryturze. Krótkimi kroczkami przebiegł skulony poza zasięg łopat i dopiero wtedy odetchnął z ulgą, co rusz ocierając spoconą twarz dużą chusteczką z materiału. W chwilę po nim ukazał się sponsor wykopalisk – Damiano Haddad.

Ann wiedziała, że Haddad jest młodym człowiekiem, ale dopiero teraz uświadomiła sobie jak młodym. Wyglądał jak nastolatek dopiero co rozpoczynający studia. Tylko że właściciel wielu miliardów dolarów nigdy nie studiował. Ann nie знаła wszystkich faktów z jego życia, wiedziała jedynie, że w wieku szesnastu lat napisał oprogramowanie zmieniające sposób komunikacji z urządzeniami wyposażonymi w procesory. Czyli, tak właściwie, z wszystkimi urządzeniami. Właśnie to sprawiło, że obecnie każdy obywatel świata płacił mu tantiemy.

Miliarder, z szerokim uśmiechem na twarzy podbiegł do Ann.

– Panie Haddad, witamy na stanowisku archeologicznym w Pelion – przywitała się, podając mu dłoń. Uścisnął ją energicznie oburącz.

– Jestem wdzięczny, to niesamowity zaszczyt dla mnie – jego przywitanie

było o wiele bardziej na miejscu, niż jej suche słowa. A, gdy po chwili dodał: „Proszę mi mówić Damiano”, Ann uznała, że chyba na tym odludziu zdziczała i może czas wracać do cywilizacji.

– A ty mów mi Ann – przystała na nawiązanie bliższej relacji.

Po kilku minutach powitań oraz nieistotnych przemówień, świta miliardera obiegła przedstawiciele władz. Może w tym celu ich sprowadził? – uśmiechnęła się do siebie Ann.

– Mój wujek i prawnicy zajmą się teraz oficjalną częścią naszej wizyty, a my może moglibyśmy udać się na stanowisko? – zaproponował. Przystąpiła na tę propozycję z ulgą.

Ruszyli wąską ścieżką pod górę, wyprzedzał ich jeden ochroniarz, a za nimi postępował drugi. Widocznie pozostała część świty nie wymagała ochrony.

– Powiedz mi, jak zaczęła się ta historia? – zadał najgłupsze z możliwych pytań. Westchnęła bezradnie.

– „Wino zbłąźni każdego, kto miarę przebierze” – rozpoczęła, nieświadoma, że powtarza słowa Homera.

– „Winem spity Eurytion, Kentaur w świecie głośny, / W domu u Pejritoja szął go uniósł sprośny” – dokończył Damiano. – Pieśń dwudziesta pierwsza: *Próba łuku*.

– Nie wiedziałam, że znasz na pamięć *Odyseję* – zatrzymała się, spoglądając na niego uważnie. Mógłby być jej synem, a w tej chwili to ona poczuła się speszona. Wciąż ją zaskakiwał.

– Sądziłaś, że jestem rozwyzdrzonym młodzieńcem, który ma za dużo pieniędzy i nie wie, na co je wydać? – zapytał, nadal się uśmiechając. Dawno nie widziała tak szczerego uśmiechu.

– Prawdę mówiąc, tak... – To nie była dyplomatyczna odpowiedź, lecz Ann nie potrafiła kłamać. Miliarder nie obraził się, jego uśmiech stał się nawet jeszcze szerszy.

– Cenię ludzi za mówienie prawdy, podziwiam też upartych. Zawierzyłaś jednej drobnej wzmiance w *Odysei*.

Nie dosyć, że wykladał pieniądze na jej badania, to jeszcze prawił jej komplementy. Szkoda, że podobnych miliardarów jest na świecie tak mało.

– Schliemann dał mi przykład. Ja jedynie poszłam jego śladem, odnajdując to, czego on nie zdążył – odparła, uznając że tym razem udzieliła właściwej odpowiedzi. Jednocześnie prawdziwej – i dyplomatycznej.

Podeszli do stanowiska. W tej chwili już ogrodzonego oraz ukrytego przed deszczem pod zadaszeniem z desek. Artefakty, ponumerowane i starannie zapakowane, przechowywano gdzie indziej, jednak na czas wizyty sponsora wyjęto je ze skrzyń i powtórnie ułożono w odpowiednich miejscach. Szkieletu centaura nie ruszano, gdyż Ann bała się, że jeśli nawet ponumeruje kości i umieści je w skrzyniach, nikt nie uwierzy, że tak naprawdę stanowiły całość: tułowie człowieka połączone z korpusem konia. Najchętniej zatopiłaby je w szkło.

Damiano, z równą jak u Jorgosa autentycznością, zaczął przyglądać się grobowi.

– „I wywlekłszy pijaka mieczem mu odsiekli / Nos i uszy. On do dom powlókł się pijany, / Nie wiedząc, jak okrutnie za to był skarany” – ponownie zacytował słowa Homera.

– „Z tego wojna się wszczęła Kentaurów z Lapity / Najgorzej na niej wyszedł Kentaur, co był spity” – dokończyła.

– Jak stary jest ten szkielet? Może mieć kilkadziesiąt tysięcy lat? – W głosie Damiano dało się wyczuć pragnienie, aby Ann potwierdziła jego przypuszczenia. Spojrzała na młodego sponsora z łagodnym uśmiechem, maskującym irytację z powodu wysnuwania podobnych hipotez.

– Homer żył w VIII wieku p.n.e., a wydarzenia opisane w *Iliadzie*, jak oblężenie Troi, według historyków miały miejsce 400 lat wcześniej. To potwierdza hipotezę, że źródłem informacji były przekazywane od wieków ustne opowieści. Akcja *Odysei*, częściowo z bohaterami poznanymi w *Iliadzie*, rozgrywa się dziesięć lat po zdobyciu Troi. Szkielet nie może więc być starszy niż 3200 lat.

– Hm, pewnie masz rację – mruknął z nutą zawodu w głosie.

– Jedenaście lat temu odkopano w Troi szkielety kobiety i mężczyzny. Znajdowały się w warstwie z czasów wojny trojańskiej. A znając dosyć dokładną – jak na wydarzenia sprzed tysięcy lat – datę wojny, znamy również czas wojny między centaurami a Lapitami.

Przez twarz Damiano przebiegł grymas niezadowolenia.

– Ale opowieść o Eurytonie nie jest umiejscowiona w czasie. To jedynie wspomnienie, przypowieść z czasów herosów. A, jak podaje wielu, żyli oni dużo wcześniej. W epoce brązu – zauważył, patrząc z nadzieją na Ann. Pokręciła przecząco głową.

– To przesuwaj datę o góra dwa tysiące lat. Nie dwadzieścia czy nawet trzydzieści tysięcy lat, o których mówisz.

– To prawda... – młody miliarder zamyślił się.

Naraz na daszku nad grobem Ann zobaczyła głowę Jorgosa.

– Jorgos, zejść natychmiast! – krzyknęła przerażona.

Po minucie, z opuszczoną głową i dłońmi pokornie złożonymi z tyłu, stał przed nimi. Jego koszula już nie była biała.

– Jorgos, mówiłam ci, żebyś dzisiaj nie przeszkadzał! – skarciła go z wyrzutem.

– Ann, nie krzycz na niego – Damiano przerwał jej reprimendę. – On mi nie przeszkadza, a nawet czuję się lepiej. Kiedy nam towarzyszy, nie jestem już najmłodszy.

Ann machnęła z rezygnacją ręką. Miliarder podszedł bliżej do chłopca i przykucnął na piętach.

– Byłeś przy odnalezieniu centaury?

– Taaak... Od dawna pomagam pani Ann – wystrzelił bez zastanowienia, lecz szybko się zreflektował i – niczym doświadczony polityk – dodał: – Nie znaczy to, że pani Ann mnie zatrudnia. Mam wakacje, a mój tata tutaj pracuje, więc często go odwiedzam.

– A jaki jest cel twojej dzisiejszej wizyty?

– Chciałem zobaczyć wielkiego człowieka, który wyklada duże, bardzo duże pieniądze, na szukanie starych kości moich przodków.

Damiano nie ukrywał zadowolenia ze słów chłopca.

– Pewnie wiesz wszystko o tym znalezisku? – Młodzik energicznie pokiwał głową. – To może opowiesz mi o nim? Pozwolisz? – zwrócił się do Ann.

Tak, jakby miała wybór. Z wymuszonym uśmiechem potwierdziła, że Jorgos będzie równie kompetentnym przewodnikiem, jak ona sama.

Uradowany chłopak zaczął objaśniać Damiano znaczenie odnalezionych artefaktów. Pojawienie się niesfornego Jorgosa pozwoliło Ann odetchnąć. Wcześniejsza rozmowa z Damiano ujawniła, że jego oczekiwania co do wieku znaleziska są bardziej marzeniami nastolatka, niż przypuszczeniami wynikającymi z wiedzy. Nie powinna się temu dziwić, jeszcze kilka lat temu był chłopcem. I może dobrze, że w tak młodym wieku, zamiast wydawać pieniądze na zabawki, postanowił przeznaczyć je na badania archeologiczne. Chyba że poszukiwania centaura były dla niego zabawą?

\*\*\*

Wizytacja Damiano Haddada na stanowisku archeologicznym trwała pół godziny. Wracali na lądowisko sami, gdyż Jorgos pobiegł do domu podzielić się z mamą nowiną, że rozmawiał z miliarderem. Damiano od kilku minut milczał.

– Wyślemy szkielet na badania promieniotwórczym izotopem węgla C<sup>14</sup>. Wtedy poznamy dokładną datę pochówku – oznajmił zdecydowanym tonem.

– Ależ na to jest za wcześnie. Równie ważne są badania gleby, szczątków roślinnych, znalezionych artefaktów – zaprotestowała Ann.

– Te badania można prowadzić równolegle – oświadczył Damiano.

– Ależ...

Nie słuchał jej.

– Próbkę szkieletu wyślemy też do fachowców od DNA. Chcę wiedzieć, czy uda się odtworzyć kod genetyczny centaura.

– Jak uważasz... – przestała protestować widząc, że jej argumenty nie zmieniają decyzji sponsora.

– Chcę aby szkielet jak najszybciej znalazł się w Nowym Jorku. Będiesz nadzorować badania, a na wykopaliskach może pozostać asystent. Ekipa, która przygotowuje szkielet do transportu już jedzie samochodami z Wolos. A jutro przyleci samolot, aby go zabrać do Nowego Jorku. Prawnicy, którzy przybyli ze mną, z pewnością uzyskali wszelkie potrzebne podpisy. Mój wuj Firas, to ten grubasek, którego widziałas, tego dopilnuje.



Ann zaniemówiła. Ujawniło się drugie oblicze sponsora: „Sponsor daje – sponsor rządzi”.

– Po badaniach szkieletu zastanowimy się, jakich jeszcze opisanych przez Homera postaci będziesz szukać. Cyklopa Polifema, a może Meduzę?

Co on sobie myśli? – skrzywiła się Ann. Miała ochotę powiedzieć miliardrowi, że najchętniej poszukałaby Tezeusza, aby złożył mu skórę, jak niegdyś rozbrykanemu centaurovi.

## Spotkanie z dawnym dowódcą

Od kilku dni Terry nie szukał nowych podopiecznych, nie odwiedzał również starych. Zakopał się w aktach osobowych zaginionych weteranów, wciąż zastanawiając się, komu mogłoby zależeć na ich umiejętnościach. A tych właściwie nie posiadali. Byli zwykłymi żołnierzami, potrafili biegać, strzelać czy rzucać granatem, nie byli specjalistami, których kwalifikacje można by uznać za wyjątkowe. Z niecierpliwością też czekał na informacje od Federica i Subiry, ale oni jak na razie milczeli.

Przerwał mu telefon. Dzwonił jego były dowódca z Afganistanu Frank T. MacCormack, obecnie pełniący wysoką funkcję w Department of Homeland Security. To on załatwił mu pracę w „Lost in Life”. I to jemu, zaledwie wczoraj, Terry wysłał krótką notatkę o licznych zniknięciach byłych wojskowych. Widocznie pułkownik MacCormack uznał, że sprawa jest poważna.

– Witaj Frank, za kilka minut będę w okolicy twojej firmy. Czy nie napiłbyś się ze mną kawy w Starbucks – to nie było pytanie.

– Z przyjemnością zrobię sobie przerwę – odparł szczerze.

– To do zobaczenia.

\*\*\*

Terry zdążył napocząć pyszny sernik z truskawkami i wypić połowę

mrożonej Caffè Americano, zanim w drzwiach stanął spóźniony o pięć minut wysoki, pięćdziesięcioletni mężczyzna, w nienagannie wyprasowanym i – jak zwykle – wykrochmalonym wyjściowym mundurze z oficerskimi naszywkami. Gdy dwadzieścia lat temu się poznali, Frank był kapitanem, obecnie – od kilku lat pułkownikiem. Terry pozostał porucznikiem. Gdy witali się jak starzy druhowie, z serdecznym poklepywaniem po plecach, Terry wyczuł, że mundur jego byłego dowódcy zamiast krochmalem, pachnie tytoniem. A przecież Frank nie palił!

– Co u ciebie słychać? – zapytał pułkownik. Stał sztywno, wyprostowany, jakby połknął kij.

Frank zawsze był taki, a odkąd włożył mundur pułkownika, aż strach było pomyśleć, co by się stało, gdyby ktoś wywarł na niego nacisk. Pewnie trzasnąłby jak sucha zapałka – zaśmiał się w duchu Terry.

– Cieszę się, że utrzymujesz formę i wciąż ćwiczysz.

– To nawyk. Jak palenie papierosów. Trudno się go pozbyć – odpowiedział zaczepnie Terry, ciekaw, co skłoniło przyjaciela do powrotu do nałogu. Frank albo nie zrozumiał aluzji, albo przełknął ją bez mrugnięcia okiem. A może nie czekał na odpowiedź Terrego, gdyż od razu przeszedł do następnego pytania z listy, mającej pomóc w odnowieniu bliskiego kontaktu.

– A jak tam w pracy?

– Bywa ciężko, ale dobre jest to, że mogę pomagać – odpowiedział górnolotnie, nie chcąc zdradzić, co naprawdę myśli na temat przyczyn konfliktów w ostatnim dwudziestoleciu. Wojna w Iraku nie była potrzebna. Wymyślono pretekst do ataku, aby przekazać rodakom, że władze USA panują nad sytuacją po zamachu na World Trade Center. Późniejsze wojny to już efekt domina. Zabawy w walkę z zachodnią cywilizacją Osamy Bin Ladena nie doprowadziłyby do obecnej sytuacji, gdyby George W. Bush nie dbał tak o własny wizerunek twardego prezydenta. Należało wysłać oddział po Osamę, tak jak to zrobił Obama, a nie wszczynać wojnę. Do czego doprowadzą gierki obecnego prezydenta, Trumpa, trudno było przewidzieć. Ale Terry uważał, że z pewnością nie zakończą wojny z islamistami. Nawet jeżeli zniszczy ISIS, to nowa głowa potwora odrośnie. A gdy weźmiemy pod

uwagę Rosję, miotającą się między strachem i dumą, czyszczącą sytuację wokół granic; jeżeli nie pominiemy Chin, tylko czekających, aby zalać połowę świata własnymi obywatelami – to młodych ludzi nie czekała dobra przyszłość. Terry już nie chciał patrzeć na kolejne kostki domina, przewracające się z powodu urażonych ambicji polityków. Cieszył się, że może wyciągnąć pomocną dłoń do tych, którzy już oberwali.

Odpowiedź zadowoliła pułkownika.

–No, ale musisz chodzić po niebezpiecznych dzielnicach, wyszukiwać po śmietnikach potrzebujących pomocy, znosić ich smród –MacCormack z niesmakiem ciągnął wątek. Po raz kolejny miał okazję przekonać się, że Frank bardzo zmienił się od czasu wspólnej walki na froncie. Terry znał prawdziwy powód powołania „Lost in Life”. Formalnie organizacja nie miała nic wspólnego z wojskiem, ale tak naprawdę była jego ekspozyturą. Politycy w wykrochmalonych garniturach uważali, że weterani wojenni, nie potrafiąc odnaleźć się w cywilnym życiu, są podatni na infiltrację i po prostu lepiej mieć ich na oku, a nawet wydać kilka milionów dolarów, niż później pakować zabitych przez nich obywateli w czarne worki. Terry jednak traktował pracę inaczej. Nie interesowały go motywy wykładania pieniędzy, ważne, że mógł je przeznaczyć na pomoc kolegom. Dlatego nie podobały mu się ostatnie słowa pułkownika i nie miał zamiaru tego ukrywać.

–Zapominasz, że równie dobrze to mógłby być mój świat –przerwał mu ostro. Jakże się zmienił –pomyślał. A może zawsze był taki jak teraz, tylko wcześniej tego nie pokazywał? Aby nie zaognić sytuacji, szybko zmienił temat: –Czy już wiadomo, kto dokonał zamachu w Nowym Orleanie?

–Islamiści od razu ogłosili, że to ich człowiek, ale oni nawet wybuch wulkanu uznają za zamach przeprowadzony przez ich fanatyka. Prawda jest taka, że zamachowiec miał olbrzymie problemy psychiczne. Czuł się skrzywdzony, chciał zostać kadetem New Orleans Military & Maritime Academy, ale nie przyjęto go, więc z wściekłości wysadził restaurację.

–Dlaczego więc nie sprostowano informacji?

–Terry, wciąż brakuje nam funduszy. Niech dopiszą sobie ten zamach do listy sukcesów – tym większą cenę zapłacą, gdy nadejdzie dzień rozliczeń

–pułkownik zaśmiał się nieprzyjemnie. –A dzięki ich pazerności na przechwałki, prezydent będzie mógł wystąpić o zwiększenie funduszy. W ten sposób otrzymamy możliwość zapobieżenia autentycznym próbom zamachów. Ich Allah nigdy nie pokona naszego Boga.

Terry nie zgadzał się w kwestii przyczyn ataków terrorystycznych, co nie oznaczało, że nie dostrzegał skutków wojen nazywanych religijnymi. Według niego traktowanie terroryzmu jako wojny religijnej, co politycy obydwu stron świadomie czynili w mediach, było wielką pomyłką. Ciemny lud łatwiej kupi konieczność obrony lub ataku –zależnie od strony konfliktu –jeśli linia podziału będzie wyraźnie zarysowana. Jednak żaden imam czy papież nie pociągnąłby za sobą wyznawców, gotowych poświęcić życie doczesne w zamian za dobra bytu niebiańskiego, gdyby tu i teraz zamachowcy mogli korzystać w pełni z uroków życia. Gdyby posiadali pracę i świadomość, że ich praca jest ważna. I gdyby za tę pracę otrzymywali te same produkty i usługi, które otrzymuje się w odległych stronach świata. Religia wykorzystywała frustracje osób odrzuconych lub niedopuszczonych do podziału dóbr. Ale, gdyby nie było religii, znalazłby się inny powód. Kolor skóry, wzrost, tusza. W ostateczności czempionat w rozgrywkach ligowych lub kolejność utworów na liście przebojów.

–Zaintrygowała mnie twoja notatka –Frank w końcu przeszedł do sedna sprawy. –Czy to pewne?

–Że zaginęło wielu zgłaszających się do programu ludzi? Tak. Kto za tym stoi? Nie wiem. Ale się dowiem.

–Codziennie dwudziestu dwóch weteranów wojny w Afganistanie lub Iranie odbiera sobie życie. Nie możemy dopuścić do tego, aby ktoś ich jeszcze zabijał.

–Na razie nie ma mowy o zabójstwach. W jednym przypadku mam pewność, że to było porwanie, w pozostałych to są, jak na razie, zaginięcia –sprostował słowa pułkownika Terry.

–Sądysz, że mogą stać za tym terroryści? Może przygotowują jakiś duży zamach?

–Porywane osoby są mało istotne, jeśli spojrzeć na to z punktu widzenia militarnego. To weterani armii –nie byli specjalistami od materiałów

wybuchowych, paliw raketowych czy choćby zabezpieczeń informatycznych. Tak więc to mało prawdopodobne, chociaż niewykluczone.

– Potrzebujesz pomocy?

– Wiem jedno: przed zaginięciem lub porwaniem wszyscy zgłosili się do programu „Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie”. Zastanawiam się, skąd ten wymóg badań genetycznych? No i nic nie wiem o firmie wykładającej pieniądze na tę pomoc. To w sumie duże pieniądze. Może za darczyńcą kryje się jakaś firma rządowa? – spojrzał pytająco na Franka, lecz ten pokręcił przecząco głową.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Ale spróbuję zdobyć informacje o tym darczyńcy.

\*\*\*

Pułkownik MacCormack podszedł do długiej, czarnej limuzyny o zaciemnionych szybach, zaparkowanej przed Brother Jimmy's BBQ. Przed otwarciem drzwiczek rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje. Gdy nie zauważył nikogo podejrzanego, z ulgą wsiadł do limuzyny.

– Może nam pomóc? – zapytał mężczyzna schowany za chmurą dymu z cygara.

– Z pewnością – odparł Frank T. MacCormack, dyskretnym ruchem dłoni usiłując rozwiać tytoniową chmurę. – On jest jak bąk lub trzmiel. Wydaje się, że nie ma w nim ani krzty energii, lecz jak wystartuje do lotu, nic go nie powstrzyma.

– Wolę orły, ale zobaczymy, co zrobi twój bąk. Jak polecą w dobrym kierunku, to posada w Pentagonie jest twoja.

Podmuchał dymu popłynął w stronę twarzy pułkownika. Frank T. MacCormack wyprostował się, lecz przed nikotynową agresją nie był ucieczki. Nie cierpiał polityków, jednak musiał to znieść, jeśli marzył o awansie.

## Piątek wolności: wyborcze dylematy

W końcu nadszedł wyczekiwany koniec tygodnia. Do miejsca cotygodniowych spotkań, nazwanych piątkami wolności, zawsze podrzucał i odbierał ich Kajtek. Kończyły się one późno w nocy i lepiej było nie wracać własnym samochodem czy metrem. Istniały co prawda miejskie auta autonomiczne, poruszające się bez udziału kierowcy, lecz w piątkowe wieczory był na nie zbyt duży popyt. Kajtek, ponadsześćdziesięcioletni mężczyzna z nieodzowną, czerwono-białą bandamką na głowie, znał ich od wielu lat. Wsiadając do taksówki nie musieli mówić, gdzie ma jechać, a gdy rozwoził ich upojonych cotygodniowym spotkaniem, dobrze wiedział, jaki obrać kierunek. Kajtek nie mieszkał w Nowym Jorku na stałe. Od trzydziestu lat przyjeżdżał z Polski na kilka miesięcy, po czym wracał do ojczyzny. W ostatnich latach coraz rzadziej pracował jako taksówkarz i Terry zastanawiał się, kto ich będzie woził, gdy postanowi przejść na emeryturę.

– Słyszałeś, co ten ryży dureń chce zrobić? – zapytał Terrego ledwo ten wsiadł. Kajtek nie tracił czasu na gry wstępne, od razu wyrzucał to, co leżało mu na wątrobie. – Już nie wystarczy mur na granicy z Meksykiem. Teraz planuje utworzyć getta dla muzułmanów!

– Bzdury, to jedynie kampania wyborcza – zaśmiał się Terry.

Kajtek był innego zdania.

– Oj, Terry, nie znasz historii faszystowskich Niemiec.

– Zapominasz, że mój ojciec stacjonował w Europie i do wyjazdu na studia mieszkałem w Niemczech – zaproponował Terry.

– A tak, rzeczywiście, wspominałeś o tym. – Przez chwilę jechali w milczeniu, jednak Kajtek nie wytrzymał długo i wrócił do tematu. – Ale współczesne Niemcy to nie te sprzed stu lat. A my, Polacy, wiemy o tym najlepiej. I Hitler, i nasz Kaczyński zaczynali od drobiazgów, a później nagle pierdu – i budziłeś się w zniewolonym kraju.

– Ostre porównanie. A nie zapomniałeś o Leninie, Stalinie i wielu innych?

– Stalin czy Hitler – jeden pies im mordę lizał. Może i ostre porównanie,

ale ja widzę wiele analogii. Wiedz, że idolem Kaczyńskiego jest Stalin. A w Rosji to była rewolucja, ona zawsze –jak policja –najpierw bije po głowie, a dopiero później pyta, kim jesteś. Natomiast Kaczyński włożył bezboleśnie w dupę, w przypadku wielu nawet z radosnym mlaskaniem pośladków, i ujawnił prawdziwy cel zmian dopiero wtedy, gdy już przenicował ich mózgi. I co teraz mamy...? Lepiej nie mówić, już nawet nie chce mi się wracać do kraju. Gdyby nie Juwenia i dzieciaki, zostałbym tu na stałe.

– A nie uważasz, że są na świecie więksi dyktatorzy niż Kaczyński?

– Oczywiście, że są. Masz słuszość. Bez chwili zastanowienia mogę wymienić z dziesięciu –przyznał mu rację Kajtek, jednak od razu dodał: – Ale jestem Polakiem i mój dyktatorek boli mnie najbardziej. O innych tylko słyszę, a ten dobiera się do mojego osobistego tyłka. Trudno w Polsce nie być katolikiem, co nie oznacza, że mamy być państwem wyznaniowym. A kult jednostki nieudolnego prezydenta, który zginął w katastrofie lotniczej, wysłany przez brata do Smoleńska, to po prostu rehot historii. Gdy Kaczyński ogłosi go bogiem, Polska zostanie dyktaturą wyznaniową KKK. I nie chodzi mi tu o ten wasz Ku-Klux-Klan, a Katolicki Komunizm Kaczyńskiego. Na szczęście jeszcze mu się to nie udało, chociaż wciąż puka do papieskich bram, aby ogłosić brata świętym.

– I co, sądzisz że Trump szykuje nam coś podobnego?

– Terry, zapamiętaj, to nie kampania wyborcza. Obozy dla muzułmanów nie są niczym nowym. Już to zrobiliście w czasie II wojny światowej. W obozach Relocation Centers internowano wtedy ponad 100 tysięcy Japończyków. Dzisiaj nie ma otwartej wojny, jest jeszcze gorzej. W USA żyje blisko 6 milionów osób wyznania muzułmańskiego, i każdą z nich można oskarżyć o działalność terrorystyczną. Powiem ci coś: nie wszystkie stany mogą to zrobić, ale to tylko przyczynek do rebelii, wyjścia z unii. Rozpadniecie się i zostanie kadłubek imperium, jak Mała Brytfanka, bez Szkocji i Irlandii.

Taksówka Kajtka zatrzymała się przed budynkiem o ciemnopomarańczowych ścianach, na parterze którego znajdowały się trzy wysokie, półokrągłe okna oraz drzwi z blachy. Niewielki szyld zwiślał obok



wejścia, ale każdy, kto nie znał tego miejsca, mógł nie zauważyć, że mieściła się tu latynoamerykańska restauracja Leyenda, czynna w piątki do trzeciej rano. Mało kto domyśliłby się również, że cztery lata temu ten bar uznano za jeden z osiemnastu najlepszych w kraju. Przyjaciele wybrali go na miejsce cotygodniowych spotkań w rok po objęciu prezydentury przez Trumpa, jako protest przeciwko polityce wobec sąsiadów z południa. To był ogólnonarodowy protest i Trump zgrzytał zębami, widząc jak jego działania przynoszą odwrotny skutek.

– O trzeciej? – zapytał Kajtek.

– Dzisiaj być może krócej, dam ci znać pół godziny wcześniej – odparł wysiadając z taksówki.

– Udanej zabawy!

Kajtek odjechał, a Terry wszedł do środka. Lokal był już pełen. To była knajpka z miejscami dla dwudziestu osób. Z gablotami mieszczącymi wiele gatunków wódek z całego świata oraz ladą, przy której mogło usiąść z dziesięciu klientów. Na sali stało kilka stolików i kanapy z miękkimi siedzeniami; było też patio, w którym ustawiono drewniane ławy i krzesła. Wystrój wnętrza był surowy, ścianę z barem i ladą otynkowano, natomiast z przeciwległej zdarto tynk, ujawniając ciemnobrązowe cegły, rozświetlone teraz delikatnym światłem lampionów ze świecami. Za barem stała współautorka sukcesu tego miejsca, Ivy Mix. Terry zauważył też stałą bywalczynię, kilka lat starszą od niego Lidkę, jednak Subiry i Federica jeszcze nie było.

Przywitał się z Ivy, złożył zamówienie i mimowolnie zaczął przysłuchiwać się temu, o czym mówiła Lidka. To był nieposkromiony żywioł. Piekielna gaduła. Nikt nie był w stanie powstrzymać jej słowotoku, chociaż Terry doceniał to, że potrafiła opowiadać i słuchało się jej z otwartymi ustami. W monologi wkładała tak wiele energii, że pasja kobiety udzielała się słuchaczom i wystarczyło kilka słów, by zostać porwanym.

– Przed przyjściem tutaj przechodziłam koło lustra i pomyślałam, że może trochę ogarnę włosy, bo nie chesałam ich od rana. Przystanęłam, patrzę, i widzę jakąś starą dupę, a nie siebie. Zdziwiłam się, co ona tam robi i powiedziałam, żeby spadała z mojego lustra, ale nie posłuchała. Stara flama,

pomarszczona twarz, siwe włosy wylazające spod farbowanych blond. Kto to, do diabła, był? Przypominała moją matkę, a może nawet bardziej babkę. W każdym razie to nie byłam ja. Przecież jestem młoda, mam więcej energii niż moja dwudziestoletnia córka. I jak na zawołanie pojawiłam się w lustrze. Młoda, świeża, nawet w potarganych włosach. Przytuliłam się do tej obcej flamy za szkłem i powiedziałam: „Kocham cię, mamo. Nie pij za dużo, bo rano będziesz miała potężnego kaca”. A ta a stara dupa w lustrze zachnęła się i mówi: „Córuś, o mnie się nie martw”, poprawiła włosy i zniknęła. No to teraz powiedzcie mi, kogo widziałam w lustrze, skoro moje młodsze odbicie zostało w domu, a ja jestem tutaj?

Terry z butelką ouzo i karafką wody wyszedł do patio. Każdy upijał się na swój sposób. Terremu w końcu udało się namówić Ivy, aby sprowadziła dla niego ouzo, Federico rozsmakował się w rumie Neisson Blanc, Subira sączyła tequilę Cimarron. A gdyby była Ann, z pewnością zamówiłaby gin Hendricks.

Subira i Federico już siedzieli przy stoliku –oczywiście kłócąc się. Na blacie stały talerze z resztkami kolacji oraz butelki ich ulubionych trunków. Subira ubrała zieloną, krótką sukienkę, w której wyglądała tak apetycznie, jak lekko przyrumieniony pstrąg w zielonej sałacie. Federico, jak zwykle, był w szarej koszuli z krótkim rękawem, którą z pewnością włożył rano. Przypominał rozgotowaną kaszę gryczaną. Te dania bez dwóch zdań nie pasowały do siebie. Przywitali się zdawkowo i wrócili do rozmowy. Może i dobrze, Terry musiał zastanowić się nad spotkaniem ze swoim byłym szefem.

–Wsłuchaj się w muzykę. Początkowo usłyszysz kakofonię, lecz gdy zrozumiesz kod –odkryjesz ukryte piękno. Zawsze –bez względu na to, czy słuchasz muzyki, czy czytasz –chodzi o poznanie kodu. Wyłapanie akcentów. Chwil, gdy jesteś na szczycie fali, i tych, gdy w dolinie czekasz na przybój. Ponieważ tak, jak w przypadku surfera, jest to walka z żywiołem. Znając szczyty i doliny –poradzisz sobie z każdym problemem.

–A kod informatyczny? –zapytał podchwytliwie Federico.

–Pewnie też ma swoją falę –wzruszyła ramionami Subira. –Ale ja wolę kod gestu, słowa, ciała. Na informatyce się nie znam, informatyka to dla

mnie współczesne hieroglify.

– A dla mnie twoja muzyka to magia.

Terry, przysłuchując się ich rozmowie, pomyślał, że może jednak Subira postanowiła rozgryźć orzech, skoro stara się go przekonać do słuchania muzyki. Ucieszył się, że wreszcie – po ośmiu latach znajomości – coś między nimi iskrzy.

– Coś taki skwaszony? – zapytała Subira, gdy Terry zdążył już wypić dwie szklanki ouzo.

– Kajtek zasypał mnie wątpliwościami na temat wyborów prezydenckich. Zaśmiali się.

– To już nie wybory, a zwykły ranking popularności. Demokracja w czasach telewizji i Internetu straciła sens – skrzywił się Federico.

– Nam te wybory się nie podobają – odpowiedział Terry. – Ale jak sądzicie: czy Kennedy dla starszego pokolenia nie był takim samym złem, jak dla nas Trump? Mówiono, że jest zbyt młody, zbyt ugodowy. Poza tym osoby startujące w wyborach nigdy nie uważają się za satrapów. Mają wizję i siłę, aby ją realizować, nawet wbrew woli większości. To wewnętrzne przekonanie o słuszności własnych poglądów może być tak silne, że przed wprowadzeniem ich w życie nic nie jest w stanie ich powstrzymać. A w przypadku porażki zawsze znajdują jakieś wyjaśnienie. Manipulacje elit, patrzenie przez swój własny brzuch a nie dobro ogółu, w ostateczności można odwołać się też do woli Boga.

– Ależ Trump jest starym, bezmyślnym nerwusem – zaprotestowała Subira.

– Chodzi mi o coś innego. Na całym świecie dla średniego i starszego pokolenia ostatnie wybory polityków uważane są za najgorsze z możliwych. Nie rozumiemy młodego pokolenia, a to oni zbudują nowy, wspaniały świat. Jednak już bez nas. Jesteśmy śmieciami przeszkadzającymi im w realizacji wizji. Zapominamy o tym, że to oni będą żyć z rządzącymi, i może takich ludzi potrzebują. Szala raz przeważa się na stronę ugodowych, a raz agresywnych polityków. W swej masie społeczeństwo jest mądrzejsze od najświatlejszych umysłów. Jego wybory to często niedostrzegalny przez mędrców strumyk prawdy. A po kilku latach ten strumyk staje się głównym

nurtem.

– A zwycięstwo Hitlera w 1933 roku? – zapytał ironicznie Federico.

– Obywatele Niemiec nie głosowali na furiata, jego fobie ujawniły się później. To był populistą. I wiele z obiecanych spraw zrealizował. Zbudował autostrady, które po wojnie stały się podstawą sukcesu gospodarczego Niemiec. Postawił na broń rakietową, gdyż ta nie była objęta obostrzeniami, co pozwoliło nam oraz ZSRR dokonać podboju kosmosu. Tak więc to dobry przykład, ma tylko jedną wadę – sugeruje negatywne konsekwencje. A tak być nie musi. Ja wymieniałbym raczej Franklina Delano Roosevelta i jego Wielki Ład.

– No tak, to wybór ustawiający życie kraju po dzień dzisiejszy – zgodził się Federico. – Tak jak mur Trumpa. Brak ludzi do pracy w południowych stanach i pięciokrotny wzrost cen narkotyków.

– Podejrzewam, że populiści zawsze wygrywali. Tylko dzisiaj, w tym oświetlonym jupiterami mediów szambie wyraźniej ich widać. Ann powiedziałyby nam pewnie coś więcej, lecz wydaje mi się, że grecka demokracja nie różni się tak bardzo od naszej. Zawsze był to wybór większości – czyli środka, nie myślącego ideałami, a żołądkiem. Najgorzej, że kiedyś wybór, jaki podejmiemy, przekroczy granice rozsądku. Po fetowaniu na wiecach, ludzie przebudzą się na kacu i zadadzą sobie pytanie: „Kurwa, kogo my wybraliśmy?!”. I to będzie koniec demokracji. Nie pozostanie nic innego, jak zdać się na tyrana rządzącego zgodnie z własnym widzeniem prawa i sprawiedliwości, aż do śmierci.

– Ale to jest chore – jęknęła Subira, splukując niesmak w ustach łykiem tequili.

– Podobno nie ma lepszego sposobu rządzenia krajem niż demokracja – zauważył Federico.

– Więc monarchia nie ma szans? – zapytała z udawanym żalem Subira. – Ach, gdzie są ci księżęta z dawnych lat.

– Gdzie te książeczki... – dodał Federico.

– Chcesz na pół wieku oddać władzę jednej osobie? Wybory co kilka lat dają przynajmniej szansę na lepszą zmianę – wzruszył ramionami Terry.

– Jak i wybór jeszcze większego wciskacza kitu – skwitowała Subira.

–Przynajmniej debaty byłyby ciekawsze.

–A może zrobimy konkurs piękności? –zaproponowała Subira. –Skoro kandydaci nie mają zamiaru spełniać obietnic wyborczych, to po co o nie ich wypytywać? Niech lepiej zaśpiewają, zatańczą. Lady Gaga na prezydenta! Przynajmniej kłamać będzie śpiewająco. Jeżeli nie możemy mieć mądrego prezydenta, to niech przynajmniej będzie to ładny prezydent.

Jej słowa zamknęły temat. Już nic więcej nie można było dodać.

Przez następnych kilka godzin rozmawiali o sprawach bez znaczenia. Gdy w butelce skończyło się ouzo, Terry zerknął na zegarek i wstał.

–Już wychodzisz? Jeszcze nie ma północy –zdziwił się Federico.

–Dzwoniła Ann, wraca w poniedziałek. Muszę trochę posprzątać mieszkanie –wyjaśnił.

–Zrezygnowała z poszukiwań stworów Homera? –zapytała Subira.

–Wręcz odwrotnie. Coś znalazła.

–Co? Niemożliwe! Co odkopiała?

–Przed potwierdzeniem autentyczności znaleziska nie chciała ujawniać co. Właśnie w tym celu wraca do Nowego Jorku.

–A jak śledztwo w sprawie porwań?

–To wy mi powiedzcie. Dotarłeś do IP filmowca? –zapytał Federica.

–Jeszcze nie. Ale może jutro będę mógł ci przekazać adres.

–Ja też nie mam żadnych wiadomości –uprzedziła pytanie Terrego Subira. –Przeglądałam literaturę, wiadomości w Internecie i nie znalazłam dobrego powodu, aby ktoś chciał pobierać próbki DNA. Ale w przyszłym tygodniu wraca z urlopu moja szefowa, więc może ona coś podpowie.

## Niedzielną przejażdżka

W niedzielne popołudnie zadzwonił do Terrego Federico, podając mu namiary na filmowca ze szrotu. Terry już nie miał pomysłu, w jaki sposób mógłby doprowadzić mieszkanie do stanu zadowolającego Ann, uznał więc, że nie będzie przekładał wizyty na później i od razu pojedzie pod

wskazany adres.

Do domu Cristiana Jensena podjechał *Trzmiel*. Zaparkował przy University Place i dalej poszedł pieszo. Pięciopiętrowy budynek z czerwonej cegły lśnił luksusem. Wynajęcie mieszkania w tym miejscu nie było z pewnością tanie, chłopak nie należał do klasy śmieciowej. Wejście do klatki schodowej Cristiana Jensena znajdowało się między restauracją Moms Cooking a salonem fryzjerskim Bleu sur Bleu. Wypracowany w czasie walk na froncie nawyk kazał mu sprawdzić potencjalne drogi ucieczki. Na ścianie we wnęce pięły się w górę schody przeciwpożarowe.

Na szczęście blaszane drzwi do budynku stały otworem, ponieważ jakaś staruszka wyprowadzała właśnie na spacer cztery yorki. Wszystkie jasnobrązowe, z czerwonymi –wyglądającymi na bożonarodzeniowe – kokardami na czubku głowy. Ich długie włosy, zasłaniające duże, ciemne oczy, sprawiały wrażenie, jakby psiaki były obrażone. Dwa wyrywały się do przodu, dwa zaparły się nie chcąc wyjść na zewnątrz. Terry przytrzymał drzwi, aby kobieta mogła uwolnić obydwie dłonie i poskromić opór niesfornych czworonogów. Szarpnęła smyczami tak silnie, że prawie przefrunęły przez próg. Terry niemal cmoknął z uznaniem dla werwy, która kryła się w drobnej postaci staruszki.

Po chwili zapukał do drzwi mieszkania Jensena na drugim piętrze.

–Otwarte! Proszę wejść –usłyszał. Co za niefrasobliwość –pomyślał, wchodząc do środka. Mieszkanie przypominało warsztat. Chłopak siedział tyłem do drzwi przy długim biurku zastawionym częściami do różnych urządzeń. Było tam wiele dronów, robotów samojezdnych, dostrzegł też robota przypominającego pająka. Pod sufitem podwieszono kilka modeli samolotów i statków kosmicznych. Terry wiedział, że chłopak studiował na Wydziale Inżynierii Mechanicznej Massachusetts Institute of Technology i wyglądało na to, że wybór kierunku studiów był jak najbardziej odpowiedni.

–Pieniądze leżą na ławie, tam też proszę zostawić pizzę –powiedział gospodarz, nie odwracając głowy. Zajęty był lutowaniem i Terry rozumiał jego niechęć do odrywania się od pracy. Ale żeby nawet nie zerknąć, kto wchodzi do mieszkania?

–Po co ci pizza, skoro masz jedzenie od mamy na dole? –zapytał spokojnie.

Chłopak podskoczył, jakby kropla cyny spadła mu na dłoń. Zerwał się z krzesła i dopadł do Terrego.

–Co pan tu robi?!

–Zaprosiłeś mnie –Terry wzruszył ramionami, bezceremonialnie odsunął niższego o głowę chłopaka i wszedł do środka.

–Nikogo nie zapraszałem –zaprotestował młodzieniec, by po chwili dodać: –...dziadku.

–Przed sekundą sam kazałeś mi wejść.

Chłopak zaniemówił. Terry mógłby dalej bawić się w kotka i myszkę, ale nie miał na to czasu.

–Potrzebuję informacji o waszej akcji na szrocie –wyjaśnił. Chłopak momentalnie się zjeżył.

–Nic o tym nie wiem, dziadku.

–I to nie z twojego komputera wrzucono film do sieci? –zapytał, uświadamiając mu, że nie jest dziadkiem i wie co to adres IP.

–Dziadku, skąd mam wiedzieć, od kogo przychodzisz –na szczęście gospodarz niczemu nie zaprzeczył. Musi go jeszcze tylko trochę skruszyć, a będzie gotów do schrupania.

Terry wypatrzył pod sufitem moduł księżycowy LM. Od razu poczuł sympatię do chłopaka. Skoro poświęcił tyle czasu na odtworzenie miniatURY pojazdu, który pozwolił ludziom postawić stopę na Księżycu, nie mógł być tak zły, jak chciał, by go postrzegano. Terry podszedł bliżej. To nie był model z plastyku, do kupienia w sklepie za kilkanaście dolarów. To był model kartonowy. Każdy fragment modułu księżycowego musiał wycinać własnoręcznie. Na pewno praca na wiele miesięcy. Kiedyś, studiując na Caltech w Pasadenie, sam zrobił podobny. Wtedy jeszcze marzył, że poleci na Marsa lub księżyc Jowisza –Europę.

–A nie kusilo cię, by zrobić model Saturna V? –zapytał o raketę, która wynosiła moduły LM w misjach Apollo.

–Zbudowałem. Z silnikiem na paliwo ciekłe własnej konstrukcji –chłopak podszedł do modułu księżycowego, patrząc na niego, jak na dawno



utraconą, ale wciąż pamiętaną miłość.

– Jaki osiągnęła pułap? – dopytywał się z ciekawością Terry.

– 13,5 kilometra – odparł z dumą chłopak.

Terry pokiwał z uznaniem głową.

– Człowieku, czego ty ode mnie chcesz? – jęknął Cristian.

– Odnaleźć porwanego weterana. To nie był nikt ważny. Śmieć, który pewnie nie przetrzymałby najbliższej zimy. To, że w Afganistanie uratował oddział chłopaków w twoim wieku, nic nie znaczy, to było dawno temu. Ale tak się składa, że jest moim przyjacielem. Chcę go odnaleźć, a ty byłeś na miejscu i możesz mi pomóc. Więc nie wyjdę stąd, dopóki nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz.

Chłopak już zmiękł, wydawał się gotowy do spowiedzi.

– Widziałem tylko to, co sam możesz zobaczyć w sieci. Zaraz po porwaniu musiałem osadzić drona. Nie potrafię ci pomóc – odpowiedział z autentycznym współczuciem w głosie. Nie przekonał tym Terrego. Jego wyjaśnienia były logiczne, lecz nabrał pewności, że chłopak coś ukrywa. Zaczął spacerować po mieszkaniu, oglądając inne modele.

– Dron, który sfilmował akcję, to też twoja konstrukcja?

– To nie dron, a wielosilnikowy statek latający Dragonfly 3A – sprostował urażony. – Oczywiście, że moja.

Terry podszedł do okna, zastanawiając się, co ma zrobić. Jak zmusić chłopaka do szczerości? Przecież nie będzie go torturował. Nagle na parkingu po drugiej stronie ulicy E 8th zauważył dwa vany. Te same, co na szrocie, z którego porwano kaprała Trottera. Wjechały na chodnik i zatrzymały się na wysokości przystanku autobusowego. Murowany mandat, ale to nie był problem Terrego. Jego problemem było to, że porywacze również dotarli do filmowca-amatora. Tylko w jakim celu? Pospolita zemsta za ujawnienie wizerunku rogacza w mediach wydawała się zbyt słabym powodem. Z drugiego vana wyskoczyło dwóch osiłków w kurtkach. Było zbyt ciepło na skórzane, długie kurtki. Terry zaczął żałować, że nie wziął ze sobą broni. Podeszli do pierwszego auta, z którego wyszedł niższy mężczyzna. Z okna drugiego piętra trudno było dostrzec szczegóły, lecz Terry odniósł wrażenie, że z jego głowy wyrastają rogi. Nie miał okazji dłużej się przyglądać,

ponieważ mężczyzna włożył na głowę kowbojski kapelusz z szerokim rondem.

– Hej synku, zerknij przez okno, czy to nie te vany sfilmowałeś na szrocie? – zapytał, odsuwając się od futryny.

Chłopak zbladł, jednak nie ruszył się z miejsca.

– Aleś ty uparty, dziadku – spróbował zbagatelizować sprawę.

– Wyjrzyj przez okno, a zrozumiesz przyczynę mojego natręctwa.

Chłopak podszedł do okna i niepewnie zerknął przez nie.

– O kurwa!

– Prawda, że widziałeś już tego rogacza?

Grupa wkroczyła na jezdnię i zaczęła przechodzić na drugą stronę. Dowódca rogi miał bycze, lecz sylwetkę co najwyżej cielaka. Za to dwóch jego towarzyszy było prawdziwymi bykami. Krótkie, szerokie szyje, spojrzenia buchające testosteronem.

– Wychodzimy schodami przeciwpożarowymi – zdecydował Terry.

– Chcesz uciekać? – zaprotestował, bardziej oburzony niż wystraszony, chłopak.

– Wolisz zostać i walczyć z tymi byczkami? Jak myślisz, co ukrywają pod kurtkami? – Terry uświadomił gospodarzowi konsekwencje pozostania w mieszkaniu. Chyba zrozumiał, bo zamilkł i poddał się jego wskazówkom.

Wybiegli na ulicę E 8th i szybkim krokiem przeszli do zaparkowanego *Trzmiela*.

– Wsiadaj! – rzucił Terry otwierając drzwi.

– Rany, co to za złom. Wystrugałeś go w piwnicy?

– Więcej szacunku! Nie obrażaj *Trzmiela*, bo ten złom właśnie ratuje ci życie.

Cristian rozejrzał się niespokojnie i już bez słowa wskoczył do środka. Terry zapalił silnik, wdusił pedał gazu aż do podłogi, tak żeby usłyszeć pełną moc silnika. Nie musiał tego robić, lecz chciał pokazać chłopakowi, że *Trzmiel* nie jest śmieciem, który powinno się przerobić na żyletki.

– Muszę przyznać, że ma piękne brzmienie – chłopak spojrzał na Terrego z uznaniem.

Nim ten zdążył włączyć się w uliczny ruch, zobaczył zagląających

w uliczkę dwóch byczków rogacza. Musiał przejechać obok nich albo zawrócić i ruszyć w przeciwną stronę. W obydwu przypadkach mogli ich zauważyć.

Wciąż wbrew logice wykręcił z piskiem opon, po dwudziestu metrach ostro zakręcił w lewo, przejechał dwie przecznice i skręcił w prawo, wjeżdżając na Broadway. Starał się nie poddać panice i jechał z przepisową prędkością, obserwując we wstecznym lusterku czy ich ścigają. Na razie było czysto.

– Dlaczego tak bardzo chcą cię złapać? – zapytał, nie patrząc na chłopaka.

– Nie wiem... – Cristian odwrócił głowę. – Dziadku...

Terry przyhamował, jakby zamierzał się zatrzymać.

– Nie musisz jechać ze mną, możesz wysiąść. – Chłopak nie ruszył się z miejsca. – Ale jeśli mam ci pomóc w ucieczce, musisz zacząć odpowiadać na pytania dziadka. Rozumiesz wnuczku?

Nie odpowiedział.

– Co jest na filmie, że cię ścigają?

– Niczego więcej tam nie ma.

Terry odwrócił głowę w stronę chłopaka i spokojnie czekał.

– Naprawdę – odparł niemal płaczącym głosem Cristian. Tym razem Terry mu uwierzył. Nie przestawał jednak patrzeć na niego z wyczekiwaniem. Po chwili milczenia Cristian dodał: – Chodzi o coś innego.

Terry z ulgą wcisnął pedał gazu. Zwłaszcza, że dostrzegł jeden z vanów porywaczy.

– Mój Dragonfly potrafi więcej niż tylko filmować.

– Co takiego?

– Przygotowałem go do innego celu. Mieliśmy śledzić trasy kutrów wielorybnych.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w prawo i wjechał w Broome Street. Miał nadzieję, że drugi van porywaczy nie jedzie Mercer Street. Mogliby go wtedy złapać w kleszcze.

– Czy wiesz, że do dzisiaj trwa ten brutalny proceder i co roku zabijanych jest blisko czterysta płetwali? – mówił dalej Cristian.

– A wiesz ile zbyt wygadanych dzieciaków ginie? – przerwał mu Terry,

lecz chłopak jakby nie zrozumiał aluzji. Rozgadał się.

– Chcieliśmy śledzić podejrzane statki. Gdy zauważają naszą jednostkę, potrafią przez wiele dni nas zwodzić, udając, że nie szukają wielorybów. Ponadto przekazują ostrzeżenie przed nami. My śledzimy jeden, a w tym czasie załogi kilku innych kutrów bez obaw wbijają harpuny w wieloryby.

Na skrzyżowaniu Mercer Street odnalazł się drugi van. Terry zdążył przejechać skrzyżowanie przed nim, jednak teraz mieli za sobą obydwa samochody porywaczy. Terry wdusił pedał gazu. Przyśpieszył, aby jak najszybciej dojechać do Ave of the Americans. *Trzmiel* zamruczał.

– Niecny proceder – podsumował wypowiedź Cristiana i szybko przeszedł do głównego tematu: – Ale co mają z tym wspólnego drony?

– Śledzenie satelitarne jest dla nas za drogie. Jednak możemy wbić w ich statki harpun z pluskwą. Naznaczamy ich, po czym odpływamy...

– Nie można wbić pluskwy z kuszy? – Terry pomyślał o prostszym sposobie.

– Tak blisko nie pozwolą nam podpłynąć. A jeśli nawet, to cały czas bacznie nas obserwują. W nocy nie zauważą drona.

– I miałeś taką pluskwę na jego pokładzie?

– Przykleiłem ją do dachu jednego z vanów.

To jest nawet ciekawe – pomyślał Terry. Dotarło do niego, że dzięki pluskwie Greenpeace może poznać dokładną trasę vanów. A to może doprowadzić go do miejsca przetrzymywania Trottera.

Zbliżali się do skrzyżowania z W Broadway i Terry zastanawiał się, jak zmylić pościg. Nie jechał zbyt szybko, a i porywacze nie byli tacy głupi, aby przekraczać dozwoloną prędkość. Takie działanie bardzo szybko zakończyłoby się interwencją policji. Policjanci, którzy przed prezydenturą Trumpa bez zbędnych pytań strzelali do Afroamerykanów, teraz – i tu rację miał Kajtek – jeszcze szybciej sięgali po broń w przypadkach podejrzenia o terroryzm. Kolor skóry, za duży plecak, a nawet zbyt obszerny brzuch, co w tyjącym na potęgę społeczeństwie mogło stanowić problem, było wystarczającym powodem do otwarcia ognia. A co dopiero pędzący samochód. Terry postanowił poprosić o pomoc Federica.

– Federico, uciekam przed pościgiem dwóch vanów. Możesz mnie

pokierować?

- To mogę. Zielona fala?
- Plus informacja, gdzie są vany.
- Da się zrobić. Daj mi minutkę.

W Broadway Street przeciął już na zielonych światłach. Do ostatniej chwili jechał lewą stroną, sugerując, że zamierza skręcić w Watts Street, lecz w ostatniej chwili niemal wpadł na znak rozjazdu i wybrał prawą stronę. Rowerzysta w pomarańczowej kamizelce ledwo zdążył uciec przed maską *Trzmiela*.

Jeszcze przez dwie przecznice pędził Broome Street, a później skręcił w Ave of the Americans i, korzystając z pasa strażackiego, pognął czteropasmówką, prowadzony zieloną falą Federica. Gdy przy zmianie biegów zgrzytnęła przekładnia, Terry niemal zawył z bólu. Vany porywaczy, jak przyklejone, wciąż trzymały się w odległości pięćdziesięciu metrów za nimi. Terry jechał używając niskich biegów, dwójki, najwyżej trójki. Trochę zarzynał silnik, lecz nie chciał stracić możliwości gwałtownych przyśpieszeń. Byle tylko źle nie zmieniał biegów. Wykorzystał chwilę spokoju i wrócił do przerwanej wcześniej rozmowy.

- Musieli zauważyć twoją pluskwę... – stwierdził.
  - Ale to dziwne, jeszcze godzinę temu działała.
  - Niszcząc ją od razu, daliby ci sygnał, że ją znaleźli. Mogli ją też podpiąć do innego wozu. A ty spokojnie siedziałeś w domu – wyjaśnił.
  - To prawda... – zgodził się Cristian.
  - Masz zapisane trasy tego vana? Potrzebuję ich.
- Cristian skinął głową, lecz zaraz dodał:
- Teraz nie mam do nich dostępu. Dane mam w chmurze.
  - No to uciekajmy, abyś mógł mi przekazać dane.

Pościg nie był jedynym problemem uciekinierów, *Trzmiel* oraz czarne vany, które go ścigały, mogły okazać się łakomym kąskiem dla znudzonych kontrolerów. On sam widząc vany podczas akcji na szrocie pomyślał o rządowych limuzynach – z pewnością algorytmy programów komputerowych służb były ustawione na wyłapywanie podobnych sytuacji. Groził im nie tylko pościg rogowca, lecz i ostrzał z góry.

– Wyjrzyj przez okno. I sprawdź, czy nie ma nad nami helikopterów! – krzyknął do Cristiana.

– Policyjnych?

– Jakichkolwiek.

Zdziwiony chłopak opuścił szybę i wychylił głowę. Po kilku sekundach schował ją i powiedział:

– Żadnego nie widzę.

Terry nie mógł uciekać przed dwoma wrogami. Musiał znaleźć sposób na zneutralizowanie przynajmniej jednego.

– Federico, a czy możesz dotrzeć do sieci antyterrorystycznej i oflagować moje auto jako rządowe?

– A niby skąd mam mieć do nich dostęp?

– Masz dostęp do wszystkiego – Terry połechtął próżność przyjaciela. Na nic się to jednak zdało.

– Ale nie w kilkadziesiąt sekund.

– Próbuje, a ja zadzwonię do krochmalnego pułkownika.

Ave of the Americans właśnie się kończyła. Miał do wyboru wjechać do Central Parku, gdzie było ograniczenie prędkości lub skrócić w prawo w 5th Ave. Kusiło go, by wpaść do parku i próbować zgubić vany na jednej z tamtejszych uliczek. Uznał jednak, że stworzy za duże ryzyko dla spacerowiczów. Poza tym vany porywaczy były przygotowane do jazdy w terenie, a jego *Trzmiel* miał bardzo niskie zawieszenie i próba ucieczki trawnikiem mogłaby się źle skończyć.

Skręcił w prawo, przemknął przez 59th Street, minął 5th Ave i wjechał w Madison Ave. Vany porywaczy trzymały się od jego *Trzmiela* w odległości dwudziestu metrów. Za blisko...

Dopiero teraz znalazł czas, aby zadzwonić do pułkownika MacCormacka.

– Wiozę świadka z dowodem porwania. Ale ścigają nas dwa vany porywaczy. Możesz mi zapewnić osłonę?

– Już dzwonię do centrum. Czym jedziesz?

– Swoim *Trzmiel*em.

– Jeszcze jest na chodzie?

– Za chwilę wjadę do Central Parku – Terry pominął uwagę przyjaciela.

– Rozumiem, nie masz czasu. Już dzwonię do odpowiednich służb.

Na szczęście wykrochmalony pułkownik nie zapomniał jak czasem ważna jest szybkość podejmowania decyzji. Słusznej czy błędnej – to było mniej istotne.

Terry skręcił w lewo w E 85th Street i po stu metrach, ponownie przecinając 5th Ave, wpadł w 85th Street Transverse. Jeden z vanów nie miał tyle szczęścia. Zderzył się z samochodem dostawczym. Usłyszeli głuchy huk i wysokie tony, jakie wydaje sypiące się szkło. Drugi van nie zwalniając pognął za nimi. Teraz jechał dwupasmówką, z obydwu stron okoloną wysokim na metr murkiem, która przed wiaduktem zwężyła się do pojedynczego pasa. Terremu pozostało tylko jedno wyjście.

– Masz gdzie się ukryć? – zwrócił się do Cristiana.

– Dlaczego pytasz? – Terry pominął milczeniem tę manierę odpowiadania pytaniem na pytanie, z satysfakcją zauważając, że przynajmniej przestał już być dziadkiem.

– Masz czy nie?

– Tak... – z dziwnie błogim uśmiechem odpowiedział chłopak. O czym on myśli – zastanowił się Terry. Chyba nie o nocnym klubie go-go?

– Jesteś zbyt cenny, aby przez przypadek coś ci się stało. Wysadzę cię i ściągnę pościg na siebie. A gdy będziesz bezpieczny, przekażesz Federico nagranie z pluskwy. Przygotuj się. Trzymaj się mocno, a jak zatrzymam wóz, błyskawicznie skacz. Musisz schować się za najbliższym samochodem.

Za New York City Police Department Terry skręcił w prawo na parking schowany pośród drzew. Po kilku metrach wdusił pedał hamulca i zatrzymał auto.

– Wyskakuj!

Cristian nadspodziewanie zgrabnie wyskoczył z auta i przycupnął za białym oplem. Terry wdusił pedał gazu i szybko wrócił na 85th Street Transverse, obserwując sytuację za sobą. Van porywaczy nie zatrzymując się pognął za *Trzmiel*. Po kilkuset metrach wyjechał z Central Parku i pognął W 86th Street. Po prawej minął Starbucks, żałując, że nie może zatrzymać się na kawę. Trudno. Skręcił w prawo w Amsterdam Ave. Przed sobą miał prawie dwa kilometry prostej drogi. Dobrze znał ten teren, mieszkał



w pobliżu. Postanowił nie ograniczać mocy silnika. Rozpędził się na trójce do maksymalnych obrotów, po czym wrzucił czwórkę i wciąż wciskał pedał gazu. Nadszedł czas decyzji. Nie miał dużego wyboru. Chciał uniknąć korków przed mostami, ale w końcu któryś musiał wybrać, byli przecież na wyspie i nie mógł krążyć po niej w kółko. Zdecydował się na George Washington Bridge, gdyż przebiegały przez niego międzystanowe autostrady, a wyjazd z Nowego Jorku nie był objęty mytem.

Nagle usłyszał syreny policyjne, sfera psów zwietrzyła zwierzynę. We wstecznym lusterku zobaczył van porywaczy, a za nim kawalkadę wozów policyjnych. Ucieszył się, może obecność policji powstrzyma zapędy porywaczy? Zanim zdążył dojechać do mostu, na wysokości Highbridge Park zobaczył, jak dach vana otwiera się i wysuwa się z niego stanowisko z ciężkim karabinem maszynowym.

–No nie, bez żartów! –jęknął. Porywacze sięgnęli po ostateczny argument. Mógł się domyślić, że zamiłowanie do vanów w stylu militarnym nie wynikało jedynie z ich potrzeb estetycznych.

Pierwsza seria zgruchotała pnie drzew rosnących na poboczu. Odetchnął z ulgą.

Niestety, druga posiekała karoserię *Trzmiela* oraz przebiła obydwie tylne opony. Terremu udało się nie doprowadzić do przekoziółkowania samochodu, lecz ściągnęło go w prawo. Wóz przeleciał przez chodnik, rozbił płotek i resztą pędu wbił się w gruby pień drzewa. Maski odpadła i owinęła wokół pnia, z silnika dobyły się kłęby pary.

Stado policyjnych wozów opadło go jak sfera psów rannego niedźwiedzia. Odetchnął z ulgą. Chwilowo był bezpieczny.

## Rozdział 3.

# Fasady

### Nie ma jak w domu

Jeżeli nie leciałeś dalej niż kilka tysięcy kilometrów, lepiej było nie wsiadać do samolotu. Bramki, sprawdzanie bagażu, kontrole osobiste – to był prawdziwy horror. Ann przylatywała z Aten liniami Olympic Airlines na terminal pierwszy. Umówili się, że Terry zaczeka na nią przed budynkiem portu. W końcu ją zobaczył. Ubrana była w jasną sukienkę w kwiaty i białe półbuty na grubym obcasie. Wciąż smukła, wyglądała jak dziewczynka. Jej twarz promieniała... Ciekawe, czy to z powodu jego obecności, czy dzięki sukcesom odniesionym w Grecji? Nieważne. Ann też go dostrzegła. Zostawiła zaopatrzoną w kółka walizkę, podbiegła i skoczyła mu w ramiona. Uniósł ją w górę i zakręcił. Śmiejąc się, wirowała w jego ramionach. Czuł ciepło jej ciała, czuł jej wilgoć, i to, że go kocha.

Kajtek czekał na nich przy taksówce, wystawiając twarz do słońca. Gdy ich dostrzegł, rozłożył dłonie i serdecznie wyściskał Ann. Wrzucił walizkę do bagażnika i po chwili już jechali do domu. Ann z zadowoleniem zauważyła, że Terry nie był taki apatyczny, jakim zapamiętała go poprzednio.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – oznajmił nieoczekiwanie, z miną skarconego psiaka. Ann zamarła oczekując najgorszego. – Wczoraj rozbiłem *Trzmiela*.

Odetchnęła z ulgą, to nie było to, czego się obawiała. Dopiero po chwili dotarł do niej sens jego wypowiedzi.

– Nic ci się nie stało? A co z *Trzmiel*em?

– Jak widzisz nie, chociaż jestem trochę poobijany. W wiele miejsc będziesz musiała pochuchać... Z *Trzmiel*em gorzej, owinął się wokół drzewa. Musimy się zastanowić, czy warto go remontować.

– Koniecznie! – zdecydowała bez chwili wahania. – To nie tylko samochód, to niemal członek rodziny.

– Chyba masz rację – zgodził się Terry, chociaż po jego minie widziała, że nie jest przekonany. – No, a teraz mów, co odkryłaś.

– Terry, to jest tak niesamowite, że wolę ci powiedzieć, gdy będziemy w domu. Teraz zdradzę jedynie, że sponsorem badań okazał się właściciel koncernu GDV.

– Damiano Haddad?

– No właśnie. Wyobrażasz sobie? Nie spodziewałam się tego.

– Nie chcę wam przeszkadzać, wiem jak ciągnie zakochanych do siebie po wielu miesiącach rozłąki... – do rozmowy wtrącił się Kajtek. – Ale zazdroścę waszemu krajowi. Wy macie Gatesa, Zuckerberga, Haddada. To same młodzieniaszki.

– Byli nimi, gdy zaczęli zmieniać świat, bo dzisiaj to już starsi panowie – zauważył Terry.

– Haddad nie ma jeszcze 21 lat – zachnęła się Ann.

– A my kogo mamy? Starego pierdziela Kaczyńskiego. Kawalera, bez prawa jazdy, bez konta bankowego, bez żony, za to z kotem. I jak on postrzega zmianę świata? Oczywiście jako powrót do lat dzieciństwa. Jedna partia, jeden program telewizyjny. Aha, no i jeszcze ponowna chęć kradzieży księżycy.

– Co? – Ann i Terry zaśmiali się równocześnie.

Sądząc po tonie odpowiedzi Kajtka, to wcale nie był żart.

– Jako dzieciak grał z bratem bliźniakiem główną rolę w filmie *O dwóch takich, co ukradli księżyc* – wyjaśnił. – No i Kaczyńskiemu fabuła pomieszala się z rzeczywistością. Nie może znieść, że księżyc wciąż świeci dla zakochanych, nieustannie knuje jak go ukraść, schować przed innymi. Bo on

nie potrzebuje księżyca. I wciąż wścieka się, że inni wolą jego blask, niż lśnienie wypolerowanych pomników brata.

\*\*\*

Kajtek wysadził ich przy W84. Wynajmowali mieszkanie w piętrowym budynku nad wypożyczalnią samochodów Enterprise CarShare. W domu czekał tort ozdobiony lukrowanym bukietem czerwonych róż, który przed wyjazdem na lotnisko Terry odebrał z pobliskiej piekarni Angela's Cake.

Pierwsze godziny spędzili w łóżku, a potem postanowili chwilę odsapnąć. Ann przywiozła z Grecji płytę lokalnego artysty i teraz słuchali charakterystycznej muzyki, z wiodącym brzmieniem bouzuki.

Ann, ubrana w długą, flanelową koszulę Terrego, siedziała na kanapie z podkurczonymi nogami i delektowała się różanym torcikiem. Terry zajmował fotel naprzeciwko, smakując przywiezione przez Ann tsipouro. Wyrób nie ze sklepu, a domowej produkcji, sporządzony przez Alexisa. Przekazując jej butelkę, powiedział: „Pamiętam, że twój mężczyzna lubi ouzo. Daj mu do spróbowania ten trunek. Niech przekona się, że najlepsze ouzo nie dorównuje najgorszemu tsipouro. A moje jest przedniej jakości”. Już po pierwszych łykach Terry był pewien dwóch rzeczy: tsipouro było mocniejsze niż ouzo i nie miało posmaku anyżu. Do trunku nie dolał wody, a jedynie zagryzał tsipouro suszonymi figami. Też z plantacji Alexisa.

– A wiesz, że w Europie nie można się napić Absysu. Jest zakazany – powiedziała Ann, patrząc jak Terry krzywi się, szybko sięgając po figę. – Oni bardzo rygorystycznie podchodzą do żywności genetycznie modyfikowanej.

– Załatwię, aby Iva zgodziła się podać butelkę na najbliższym piątku wolności.

– A co słyszeć u Subiry. I Federica?

– Dowiesz się w piątek. Lepiej w końcu zdradź, co odkopałaś.

Ann spojrzała na Terrego z figlarnym uśmiechem.

– Ale przyrzeknij, że mi uwierzysz.

– Przecież wiem, że nie potrafisz kłamać...

– No dobrze – Ann odstawiła talerzyk z tortem. – Pewnie domyślasz się, że odnalazłam grób Eurytiona, znanego z legend i poematu Homera jako centaury? – Terry skinął głową. – Ale nigdy byś się nie domyślił, że to faktycznie był koń z tułowiem człowieka. Terry, odnalazłam grób mitycznego centaury! To, że był to Eurytion, w tym przypadku staje się wiadomością drugorzędną.

– Żartujesz? – zapytał mimowolnie, chociaż dobrze wiedział, że mówi prawdę. Ale to było absolutnie niesamowite. Centaur?

– Obiecałeś, że mi uwierzysz – odpowiedziała nadąsana, lecz Terry dostrzegł, że jej zachowanie było udawane i to, że się zdziwił, ucieszyło ją.

– Ale przecież to niemożliwe! – pozwolił jej przedłużyć czas odbierania zasłużonych pochwał.

– Jak najbardziej możliwe. Zresztą niebawem będę znała oficjalne stanowisko zespołu medycznego. Szkielet jest już w Nowym Jorku, właśnie dlatego mogłam wrócić. Wyobrażasz sobie, jakie to odkrycie implikuje konsekwencje? Jeżeli Homer pisząc o centaurach nie zmyślał, może to oznaczać, że istniały również cyklopy, chimery, gorgony, harpie i inne hybrydy.

To Terremu nawet nie przyszło do głowy. I tak trudno było mu uwierzyć w opis tego, na co natrafiono w grobie. Nie potrafił znaleźć odpowiedniej szufladki w mózgu, do której mógłby włożyć podobne rewelacje. Gdyby przeczytał o tym w Internecie lub gazecie, sprawa byłaby prosta: sezon ogórkowy. Gdyby zobaczył to na YouTube lub nawet w CNN, podejrzewałby manipulację. Ale skoro powiedziała to Ann, musiała to być prawda. Tylko że to przecież nie było możliwe. Dotychczas uważał, że powrót współczesnej kultury do starożytnych lub średniowiecznych mitów, wiąże się z rozczarowaniem rozwojem techniki. Nowe domy w kosmosie, nawet tym najbliższym, okazały się, póki co, nierealne. Od pół wieku nie potrafiono wrócić na Księżyc, wciąż odkładano misję na Marsa. Marzenia o nowych światach de facto upadły – jednak otworzono inną furtkę do tajemnicy i świat zaczął szukać cudów w przeszłości, w magii, mitach i religiach. Stąd fantasy i fanatyzm religijny. Tak myślał jeszcze pięć minut wcześniej.

– Opowiedz mi o wizycie sponsora – zmienił temat, chcąc dać sobie czas na przetrwanie tych rewelacji.

Ann skrzywiła się.

– Z początku myślałam, że to świątły pasjonat historii i literatury. A okazało się, że pracowałam dla jakiegoś dupka z kilkoma zerami.

– Tych zer jest co najmniej dziewięć – zauważył Terry.

– Co z tego – liczba cyfr nie wywarła na Ann żadnego wrażenia. – Nieważne, czy dwa, czy sto zer. Jego nie interesuje prawda, a chęć sławy. Zapisanie nazwiska w Wikipedii nie tylko pod hasłem „zero”, lecz także „Homer”. Po raz kolejny mogłam przekonać się, że pieniądze nie wyzwalają z głupoty, a często utwierdzają w przekonaniu, że wiedza jest zbędna. Skoro zarobiłem miliony nie czytając książek, edukację natomiast skończyłem na podstawówce, znaczy to, że nauka jest niepotrzebna – tak właśnie myślą bogacze.

Terry patrzył na Ann, starając się powstrzymać od uśmiechu. Rzadko dawała się porwać negatywnym uczuciom, była raczej niepoprawną optymistką.

– Jednak bez jego pieniędzy nie odkryłabyś szkieletu – przypomniał jej ugodowo.

– To prawda. I właśnie to najbardziej mnie wkurza – westchnęła.

– Z tego, co pamiętam, zawsze tak było – Terry potrząsnął głową. – Ktoś miał wizję, a ktoś inny w nią wierzył i, nierzadko ryzykując bankructwo, wykladał własne pieniądze. A jeśli wizjoner nie znajdował sponsora, umierał rozgoryczony. Być może powinniśmy go pożałować, że nie spełnił swoich marzeń, lecz niekiedy dla świata było lepiej, że tak się nie stało. To takie naturalne sito, w nawiązaniu do brzytwy Ockhama nazywam je brzytwą historii. Gdyby każdy miał pieniądze na realizację swoich wizji, już by nas na tym świecie nie było.

– Albo mielibyśmy stałą bazę na Marsie, a wokół Jowisza krążyłaby stacja kosmiczna Jowisz Lab – zripostowała.

Przytyk Ann był celny. Ale czy i on nie należał do grupy fantastów, którzy byli pewni, że tylko ich widzenie świata jest słuszne? Kopernik wierzył, Kolumb zaryzykował życiem swoim i innych, Giordano Bruno dał

się spalić na stosie. Po drugiej stronie stał jednak Hitler, Stalin, a nawet – tak często wspomniany przez Kajtkę – Kaczyński.

Postanowił zmienić temat.

– Dziwne rzeczy dzieją się na świecie. Ty znalazłaś centaury, a po mieście grasuje człowiek z rogami, porywający ludzi.

– No nie, chcesz mi zabrać show – zaśmiała się, patrząc na niego z niedowierzaniem. Po chwili, już poważnie, zapytała: – Czy osoba ta ma coś wspólnego z twoim wypadkiem?

Skinął głową i opowiedział jej o zniknięciach bezdomnych.

– Pomagają mi Federico i Subira – zakończył.

– Odtworzyłaś dawny zespół – stwierdziła z rezygnacją. Teraz już rozumiała zmianę w zachowaniu Terrego. To nie wewnętrzne zwycięstwo nad apatią, a radość z powrotu do czynnego działania go odmieniła. – Znów jesteś na pierwszej linii frontu.

– To nie jest śledztwo. Chcę po prostu dowiedzieć się, co się z nimi stało – zaprotestował.

– Sam w to nie wierzysz.

– Może masz rację. Ale tu chodzi o ludzi, którzy zniknęli.

– Zawsze o kogoś lub o coś chodzi.

Terry zrozumiał, że Ann mówi prawdę. Nie ona pierwsza, przyjaciele też mu to wypominali, tylko że jej słowa zabolowały go o wiele bardziej.

– Nie będę cię powstrzymywać – usłyszał niespodziewanie. – A nawet powiem więcej: skoro to nie jest oficjalne śledztwo, pomogę ci wyjaśnić tę sprawę.

– Ann, dziękuję, ale nie musisz. To naprawdę nie jest...

Przerwała mu:

– Nie pozwolę, aby jakiś rogowiec porywał ludzi. Musimy go złapać. Pamiętaj, że mam doświadczenie w odnajdywaniu potworów.

Ann dokończyła drugi kawałek torciku, po czym poderwała się z miejsca, mówiąc, że musi rozchodzić kalorie. Stała przy ścianie, na której wisały pamiątki z różnych krajów, w których prowadziła wykopaliska i zaczęła ustawiać przy niej nowe bibeloty.

– Jutro muszę je dokładnie odkurzyć.

Terry westchnął. Zaczyna się. W sobotę stał kurz z półek, lecz kobiece oko zawsze coś wypatrzy. Nie był zły, z zaskoczeniem uświadomił sobie nawet, że tego mu brakowało.

Wstał, podszedł do niej i objął z tyłu.

– Dobrze powiedziałaś. Od jutra. A teraz marsz do sypialni, znam lepszy sposób na zrzucenie kilku kalorii.

## Piątek wolności: Olimpiada i modyfikacje ciała

To był pierwszy piątek wolności z Ann od marca. We czwórkę spotykali się od czasu rezygnacji z pracy w sektorze wojskowym, lecz Terry czuł, że Subira i Federico akceptują ją tylko dlatego, że jest jego dziewczyną. Piątki wolności, wcześniej w różnych miejscach świata, a od pięciu lat tutaj, traktowali jako spotkania towarzyszy broni. Ann była w ich gronie jedynym cywilem.

Spotkanie rozpoczęło się od wręczenia prezentów. Subirze Ann podarowała muszlę, a Federico otrzymał figurkę satyra. Co dziwne, obydwójce byli zadowoleni z tych podarków. Pierwsza godzina minęła im na wysłuchaniu relacji Ann. Terry miał wrażenie, że jej nie uwierzyli. Albo nie pojęli doniosłości odkrycia szkieletu centaury.

Dzisiaj nie pili swoich ulubionych trunków. Postanowili spróbować nowej wódki, w kolorze mocno fioletowym. Terremu udało się przekonać Ivę, aby zezwoliła na ten eksperyment. Wybuchnęła długą litanią protestów, lecz w końcu zgodziła się, a nawet kazała sobie nalać kieliszek na spróbowanie. Absys był reklamowany jako trunk, po którym nie ma się kaca. Uderzał do głowy mocniej, za to produkty uboczne szybciej rozkładały się w organizmie.

– Pyszna. Mocna, a przełyka się jak wodę – cmoknęła z uznaniem Ann. – Tylko ten kolor. Przypomina denaturat.

– Dlaczego wcześniej nie wyprodukowano podobnej wódki? – rozmarzył się Federico.



– Bo dopiero postęp w genetyce pozwolił na stworzenie nowego rodzaju drożdży – wyjaśniła Subira.

– Myślałem, że jakość wódki zależy od destylacji, a nie gatunku drożdży? – zdziwił się Federico.

– Nie zwiększysz stężenia wody w wodzie. Alkohol to produkt uboczny procesu trawiennego drożdży – zaśmiała się Subira.

– No to zdrowie drożdży – Federico uniósł kolejny kieliszek. Stuknęli się i wypili.

– A żebyś wiedział. Gdyby nie drożdże, nie miałbyś również pieczywa, piwa, wina czy kefiru.

– W Polsce popularny jest wzór na proporcje dobrego bimbrowy – wtrąciła Ann. – Łatwo go zapamiętać, bo jest związany z datą ważnej bitwy. Jednej z nielicznych, którą Polacy wygrali.

– Pewnie z Niemcami... – jęknął Federico. – Wy chyba zawsze z nimi walczyliście.

– Nie zapomnij o Rosjanach – dorzucił Terry.

– Nie do końca – odparła urażona Ann. – To była wojna z zakonem krzyżackim, zwanym również niemieckim, który został założony w czasie III krucjaty. Ale to był chrześcijański zakon rycerski i mogli do niego wstąpić boje z każdego kraju. A w bitwie najwięcej było rycerzy z Czech.

– Coś na kształt dzisiejszego ISIS – zauważył Federico, ale Ann zignorowała jego komentarz.

– Jaki to wzór? – zapytała Subira.

– To właściwie liczba: 1410. 1 kilogram cukru, 4 litry wody i 10 dkg drożdży.

– Po wypiciu takiego bimbrowy będzie cię strasznie bolała głowa – zaśmiała się Subira. – Za dużo drożdży.

– Zmieńmy temat, Subira nie jest dzisiaj w nastroju i wszystko będzie krytykować – zaproponowała Ann.

– Ale to prawda – zachnęła się Subira.

– Za tydzień w Tokio zaczynają się Igrzyska Olimpijskie – zgłosił nowy temat Federico.

– Chcesz dyskutować o sporcie? – Subira ponownie się skrzywiła.

– Nie, chciałem powiedzieć o czymś innym. Słyszeliście, że z Olimpiady w Tokio wykluczono skoczka Gonzalesa z San Escobar?

– Tego, co jak Pistorius stracił nogi i używa protez? – zapytała Ann. Federico skinął głową. – Ale dlaczego nie pozwolą mu skakać?

– Wyszło na jaw, że nie stracił nóg w wyniku choroby, a zaplanowanej amputacji. Miał zdrowe kończyny, na nic nie chorował. Jednak rodzice uznali, że kariera sportowa będzie najlepszym sposobem zdobycia pieniędzy. Kazali więc obciąć mu nogi i zainstalować protezy, a historię choroby sfalszowano. Chłopak nie dostał jednak protez typu „gepard”, a „kangur”. Wszystkie te opowieści o tym, że w wieku dziewięciu lat musiano mu obciąć lewą, a w dwa lata później również prawą nogę; o tym, jak przez kilka lat skakał w kucki od jednej do drugiej ściany pokoju, marząc o wyjściu na ulicę i zagranie z dziećmi w berka; o łasce Boga wymodlonej przez rodziców przed obrazkiem Matki Boskiej, pozwalającej zgromadzić fundusze i opłacić kupno protez – to wszystko wymyślono, tak jak tworzy się legendę dla szpiega... Podobno stworzył ją pisarz, czy może powinienem powiedzieć „rzemieślnik”, żyjący z pisania romansów dla lesbijek i gejów.

– O nie! – jęknęła Ann, zamykając oczy. Niestety nie pomogło. Wciąż widziała chłopca chcącego kopać piłkę na zielonej trawie, z bramkami oznaczonymi porzuconymi tornistrami, którego płaczącego i wyrywającego się zaciągnięto na salę operacyjną, ułożono na zimnym stole i uspio, by amputować mu marzenia.

– Ale jak zdołali ukryć te fakty? – zapytał z niedowierzaniem Terry.

– Jak widać, nie udało się. A wiedz jeszcze, że rodzice po opracowaniu planu przeprowadzili się na prowincję, do pewnej zapadłej dziury, gdzie diabeł mówi dobranoc, i tam przez dziesięć lat indoktrynowali chłopaka tak, że idąc pod nóż był przekonany, że z protezami osiągnie w życiu więcej, niż jako przeciętny, sprawny nastolatek. Że dzięki temu przestanie być obywatelem drugiego sortu.

– Co za okrutni rodzice – zamyśliła się Subira. – Biedny chłopak.

– Nie taki biedny... Nie wiem, co ja sam bym wybrał. Wiesz, ile zarabiają sportowcy?

– Nie bądź głupi! – warknęła ze złością Subira.

–Czego chcesz? Nadal może chodzić, a nawet tańczyć. W sensie sprawności jego nogi w niczym nie różnią się od twoich –nie ustępował Federico.

–Hm, z tym bym się nie zgodził... –wtrącił cicho Terry. Na szczęście chyba go nie usłyszeli.

–Dureń! To może obetnę ci nogi? I tak nie potrafisz tańczyć ani grać w koszykówkę.

–A dasz mi odpowiednie protezy? I wyjdiesz za mnie?

–Spadaj głupku...

Terry spojrzał z politowaniem na Federica, ale ten tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „No co, muszę próbować”.

–Właściwie się temu nie dziwię. To było do przewidzenia –mruknął Terry.

–Dlaczego tak uważasz? –z pretensją w głosie zapytała wciąż zła Ann.

–Już wiele lat temu Olimpiady, a nawet inne zawody sportowe, straciły sens. Lepiej od razu powiedzieć sportowcom: „Bierzcie, co chcecie, to wasz problem. My chcemy igrzysk”, niż kilka lat później odbierać medale i przyznawać, że daliśmy nabić się w butelkę.

–Racja. Strażnicy moralności nie wygrają wyścigu z żądzą sukcesu –uzupełnił Federico.

–Zgadzam się z Terryem. Pisarza czy poety nikt nie pyta, czy pracował na haju, czy też naprany. Ważne jest to, co napisał, skomponował, namalował –wtrąciła Subira.

–Chcesz powiedzieć, że sportowcy mogą się szprycować? –zdziwiła się Ann.

–Cenimy ich za osiągnięte wyniki, nie za moralność. Na starcie zawodnicy i tak nie są sobie równi. Sprinterzy z Afryki swoje sukcesy w dużym stopniu zawdzięczają genom. W ich mięśniach jest więcej szybkokurczliwych włókien powodujących, że do osiągnięcia tej samej prędkości, co biali, potrzebują o wiele mniej energii. Mają też odmienny metabolizm komórkowy, sprawiający, że w mięśniach powstaje mniej toksycznego kwasu mlekowego. Tak więc Biali już na starcie są przegrani. Ale czy to oznacza, że Czarnych mamy zdyskwalifikować? Albo zmodyfikować ich genom?

– No tak, niektóre sportswomenki wyglądają jak młode byczki, a nie jałówki  
– zgodziła się Ann.

Wypili następną kolejkę.

– Słyszałem o projekcie, aby sportowców złapanych na dopingu wsadzać do więzienia – oznajmił Federico.

– Jak chcą to zrobić? – zapytała rzeczowo Subira.

– To proste. Startują tylko zawodnicy z krajów, które podpiszą umowę o stosowaniu się do prawa Komitetu Olimpijskiego. Zawodnik składa przysięgę, że będzie przestrzegał tego prawa. Zostaniesz przyłapany – idziesz do więzienia.

– Wymyśliłeś to? – zapytał cicho Terry, pochylając się w kierunku Federica.

– Tak. Ale czy nie byłby to dobry sposób?

Terry musiał przyznać mu rację.

– No, może jest to jakieś rozwiązanie. Boję się jedynie, że liczba zawodników zdecydowanie by spadła – zaśmiała się Subira.

– Ale sport byłby czysty – zauważyła Ann. – A chyba to jest najważniejsze?

Spojrzała po twarzach pozostałych, oczekując potwierdzenia, lecz nikt jej nie przytaknął.

– Wiesz Ann, teoretycznie masz rację. Musielibyśmy jedynie odpowiedzieć sobie na pytanie, czego się spodziewamy: nudnych zawodów czy ekscytującego widowiska?

– Ja jestem zwolenniczką tradycyjnych, greckich ideałów Olimpiad.

– Ale Olimpiada już dawno nie ma z nimi wiele wspólnego. Pamiętam zawody łucznicze w Rio. Większość łuczników trafiała raz za razem w dziesiątkę z 25 metrów. Ale ta ilość osprzętu łuku może przerazić – zmienił temat Terry.

– A strzelanie z karabinka pneumatycznego? Strzela się w tarczę, na której dziesiątka ma kilka milimetrów średnicy. Lunety, boczne naciągi, układy kompensujące odrzut, naklejki pod okiem, strój, jak u strażaka wchodzącego w ogień. To już jest nudne. Technika zabija rywalizację – dokończyła Subira.

– Zabierzmy im ten osprzęt – zaproponował Terry.

– I ściągnijmy kostiumy z pływaczek – dołączył się Federico.

– Hola panowie! – zaprotestowała Subira.

– Czego chcesz? Stroje imitujące skórę rekina to też oszustwo – bronił się Federico.

– Nawet czepki, one również zmniejszają opór wody – dorzucił Terry.

– Czyli jednak powrót do idei olimpiad greckich: walka nago – podsumowała z zadowoleniem Ann.

– To wznieśmy toast za greckie ideały! – Federico rozlał następną kolejkę i podniósł kieliszek.

Przez chwilę delektowali się Absysem w milczeniu.

– Takie są skutki uboczne rozwoju medycyny. Jednym ratują zdrowie i życie, drugim pomagają zdobywać pieniądze – przerwała chwilę ciszy Subira. – Jestem pewna, że w magazynach już czekają leki, które poznamy dopiero za 20 lat.

– To dlaczego ludzie nie są leczeni tymi metodami? – zapytała Ann.

– Koncerny farmaceutyczne mają zapasy niesprzedanych leków na dwadzieścia lat. Kto im zwróci pieniądze za badania? To biliony dolarów. Dlatego do czasu zwrotu poniesionych kosztów ludzie będą leczeni starymi metodami – wyjaśniła Subira.

– Zwrot kosztów to za mało. Akcjonariusze muszą jeszcze zarobić – wtrącił Federico.

– Ilu z nich umrze...

Terry postanowił wrócić do odkrycia Ann.

– Wiesz Ann, zastanawiam się, czy twój centaur to nie wynik zabiegu chirurgicznego. Może w Grecji też panowała moda na modyfikacje wyglądu? No wiesz, mam na myśli takie podrasowanie zawodników na Olimpiadę, aby groźnym wyglądem wystraszyli przeciwników.

Ann wzruszyła ramionami.

– Nie ma żadnych dowodów na fizyczne oszpecanie się. A w niektórych regionach, choćby w Sparcie, pozbywano się kalekich dzieci, wrzucając je po porodzie do wąwozu.

– Pierścionki w pępku, języku, na sromie już nie wystarczają. Ludzie pragną rogów, kopyt, skóry węża... Dlaczego? – zapytała Subira.

– A dlaczego zrobiłaś sobie tatuaże? – wtrącił się Federico.

– To co innego... – odparła urażona.

– Nie zgadzam się – drążył temat Federico. – One krzyczą: „Popatrzcie, nikt nie ma takich tatuaży, jak moje!”. Widzisz różnicę? – Subira nie odpowiedziała. – Deformacje ciała to manifestacja osobowości. Rodzaj bardziej radykalnej mody, coś jak noszenie džinsów lub fryzura na irokeza.

– Ludzie często nie mają wyboru – zauważyła Ann. – Rodzą się zdeformowani i nawet współczesna medycyna nie potrafi im pomóc. Nikt nie chce ich oglądać.

– Masz rację, Ann... – niespodziewanie poparł ją Federico. – Jednak musisz wiedzieć, że wielu z nich zrobiło karierę w kinie. Już 90 lat temu powstał film, w którym zagrali zdeformowani ludzie. Mam na myśli *Dziwolągi*.

– Ty to masz gust. Dlaczego nie pójdziesz na *Ant-Man and the Wasp*, tylko oglądasz takie dziwne filmy? – skrzywiła się Subira.

– Inne też oglądam... – wzruszył ramionami Federico. – A dlaczego ty wciąż słuchasz staroci, zamiast ostatniej płyty Tutti Frutti Girls?

– Ich też słucham. Chcę czy nie chcę, zmuszają mnie do tego przechodnie ze słuchawkami na uszach – zaśmiała się Subira. – Ale zawsze wracam do tego, co najlepsze.

– A ten film? – dopytywała Ann.

– Film powstał w 1932 roku, ale jestem pewien, że w każdym z was i dzisiaj wywołałby sprzeczne uczucia. Głównie dlatego, że przez godzinę będziecie obserwować dziwolągi, jakich nikt nie chciałby ujrzeć nawet w pełni dnia. A jednocześnie uświadomicie sobie, że to są ludzie tacy jak my. Potrafią marzyć, złościć się i kochać. I pamiętajcie: w filmie występują nie komputerowe modele, nie ucharakteryzowani aktorzy, ale prawdziwi ludzie z różnorodnymi modyfikacjami ciała. Możemy zobaczyć bliźniaczki syjamskie, pół-kobietę i pół-mężczyznę, dziewczynę bez rąk, ludzki szkielet, człowieka-gąsienicę. Fabuła tego filmu, to taki kryminał z morałem. Akcja rozgrywa się w cyrku. Karzeł zakochuje się w niezdeformowanej, pięknej akrobatce. Miłość bez szans, na dodatek cyniczna akrobatka kpi z zakochanego karła, ośmieszając go. Jej podejście zmienia się, gdy

wychodzi na jaw, że mężczyzna jest dziedzicem sporej fortuny. Przebiegła kobieta obiecuje, że wyjdzie za niego, a jednocześnie planuje morderstwo i przejęcie majątku. Jednak towarzysze cyrkowi karła poznają jej plany i postanawiają ją ukarać. Finału nie zdradzę, musicie ten film obejrzeć sami. Obraz wyreżyserował Tod Browning, który rok wcześniej nakręcił *Drakulę*. Ale *Dziwolągi* nie są horrorem, chociaż niektóre sceny nakręcono właśnie w tej konwencji. Film Browninga okazał się jednak tak inny, że wyświetlanie go zostało zakazane w wielu krajach, także u nas.

– Czy koniecznie musimy mówić o samych strasznych sprawach? – zaprotestowała Ann, sięgając po butelkę. Była pusta. Wszystko, co dobre, kończy się wcześniej niż byśmy chcieli. Westchnęła z rezygnacją. – Na szczęście dzisiaj już nie ma podobnych atrakcji. Kobietę z brodą wyprowadzono z cyrków i wesołych miasteczek wcześniej niż lwy i słonie.

– Mylisz się – zaproponował Terry.

– Wiem, że w parkach wodnych orki wciąż są traktowane jako źródło dochodów – Ann zlekceważyła jego uwagę, ale Terry pokręcił przecząco głową.

– Nie o tym mówię. Dziwolągi znów stają się modne.

– Żartujesz?

– Słyszałem, że w pobliżu Luna Park powstała dyskoteka dla wariatów z modyfikacjami ciała. Może przyjrzymy się temu bliżej?

– To nie będą kobiety z brodą, a raczej transwestyci, jak Conchita Wurst – zaśmiała się Ann.

– Tym bardziej. Może od nich dowiemy się, która z klinik zajmuje się podobnymi modyfikacjami – rzekł Terry. Wszyscy zrozumieli, że poruszył temat deformacji, aby wywołać ich ciekawość i skłonić do podjęcia tropu ważnego dla śledztwa.

– Przecież i tak nie pokażą nam kartotek – zauważyła sceptycznie Ann.

– To przejrzymy je bez ich wiedzy – Terry wzruszył ramionami. – Federico, poszukasz w sieci lekarzy wykonujących podobne operacje?

– Będą ich tysiące, a ten właściwy i tak nie pochwali się podobnymi zabiegami publicznie – Federico smętnie wpatrzył się w pustą butelkę Absysu.

–Kodowane strony? – domyślił się Terry.

–To możliwe. Spróbuję – obiecał Federico, wciąż obserwując butelkę. – Czy po takim trunku można wrócić bezpiecznie do innego alkoholu?

–Zróbmy przerwę, z chęcią się przewietrzę – odparła Subira, wiedząc, że trudno będzie przekonać Terrego do zmiany decyzji. On już postanowił, a oni mogli puścić go samego lub mu towarzyszyć.

–Tęskniłam za Nowym Jorkiem, nawet za metrem. Jedźmy! – zgodziła się Ann.

## Wizyta w Luna Park

Linia F przejechali kilkanaście przystanków. Było już po północy i park okazał się zamknięty. Diabelskie młyny, karuzele i zjeżdżalnie przypominały białe kości dinozaurów, które –poustawiane w muzeach, jakby zawieszono w czasie –nie wywoływały emocji towarzyszących spotkaniu żywego potwora. Jednak na promenadzie panował duży ruch. To małe, nocne ssaki wyszły tłumnie z klatek mieszkań, w nadziei na nocny żer i kopulację.

–Łazimy już w tę i we w tę od pół godziny, a ty nic nie mówisz – zezłościła się Ann, dostrzegając jednocześnie, że Terry coraz bardziej utyka na nogę.

–Szukam kogoś – wyjaśnił lakonicznie Terry.

–Powiedz jak wygląda, a wtedy ci pomożemy – zaproponowała Subira.

–A może zrobimy przerwę i skoczmy na drinka, bo już mi wyszło w gardle – wtrącił się Federico.

–Już nie zdążymy. Właśnie jego szukałem –rozczarował go Terry, wskazując drobnego, starszego mężczyznę w czerwonym kubraku, ze złotymi guzikami w dwóch rzędach. Miał długą, czarną brodę i zawinięte w klucz wiolinowy wąsy. Przypominał portiera ze spalonego hotelu. I tak po części było.

–A co to za krasnal!? – zaśmiał się głośno Federico.

–Radzę ci, nie powtarzaj tego przy nim, bo skreśli ci kark – ostrzegł



go Terry. Staruszek nie był wysoki, miał może 175 centymetrów wzrostu, a ważył góra 70 kilogramów, lecz Terry wiedział, że w tym kruchym ciele skrywa się moc zdolna giąć śrubokręty lub klucze francuskie. Tak w każdym razie było jeszcze kilka lat temu, gdy go poznał i na własne oczy oglądał przygotowany przez niego pokaz.

Gdy staruszek zobaczył Terrego, rozłożył szeroko ręce.

– Witam pana serdecznie. Jakże miło mi spotkać tak zacnego człowieka – przywitał się wylewnie, potrząsając energicznie dłonią Terrego. Na szczęście nie potraktował jej jak kawałka podkowy.

– Co słuchać u Luka? – zapytał Terry. Timur nie należał do podopiecznych Terrego. Miał już blisko 90 lat, od zawsze mieszkał w pobliżu, przy Neptune Avenue, całe dni spędzając w Luna Park. Był potomkiem siłacza, którego na początku ubiegłego wieku ściągnięto do cyrku. Zurab Czcheidze, występujący pod pseudonimem Żelazny Mocarz, wyginał podkowy, owijał wokół ciała żelazne pręty, a nawet podnosił konia. „I to z podkowami” – jak mawiał. Syn poszedł w ślady ojca, lecz nie zdobył takiej sławy, gdyż era cyrkowych atletów skończyła się, zanim miał szansę odnieść sukces. Od tamtego czasu imał się różnych zajęć, a od dziesięciu stał się nieoficjalnym kronikarzem świata dawnych cyrków i za drobne kwoty opowiadał ich historię. Terry poznał Timura przez jego syna Lukę. Luka walczył w Syrii z ISIS, brał udział w odbiciu Ar-Rakka i widział to niegdyś dwustutysięczne miasto po pięciu latach bombardowań, i równie niszczycielskiego panowania dżihadystów. Po przejściu do cywila Luka uznał, że nie ma sensu dbać o przyszłość ludzkości, gdyż zawsze znajdą się ludzie chcący zniszczyć świat w imię lepszego boga. Wylądował na ulicy, sypiając przy śmietnikach na narkotykowym haju. Lecz nawet wtedy marzył o świecie bez religii, w którym człowiek mógłby być jedynie człowiekiem, a nie zabawką w rękach Stwórcy. Luka nie był naiwny, wiedział, że człowiek i bez religii jest podły, chciwy i nikczemny, ale czyż wiara nie miała uczynić go lepszym? Luka przekonał się, że tak nie jest. Wierzący potrafili być jeszcze bardziej podli, okrutni, zawistni i małostkowi. To po cóż religia? Jeden powód więcej do konfliktów, jakby tych zwykłych było mało. Któregoś dnia Terremu udało się doprowadzić Lukę do domu. Ten jeden raz

nie wystarczył, aby ojciec wybił synowi narkotyki z głowy i musiał jeszcze wielokrotnie przyprowadzać Lukę do Timura. Jednak przez ostatni rok już nie spotykał go na ulicy, nie miał więc okazji sprawdzić, co u niego. A może po prostu bał się, że Luka nie wrócił z ostatniego odlotu i na wieczność pozostał w świecie swoich marzeń?

– Odesłałem Lukę do rodziny w Gruzji – odpowiedział sucho Timur. – Niech pozna historię ojczyzny dziadka, posmakuje jej klimatu, zrozumie, co to rodzina. Mam nadzieję, że pozna tam jakąś piękną, czarnowłosą Gruzinkę, swoją przyszłą żonę – podkreślił z rozmarzeniem wąsa. Jednak szybko otrząsnął się i dodał: – A przede wszystkim, niech zapomni o tej cholernej wojnie. Wtedy może wracać do Nowego Jorku, pójść do pracy, zarabiać na utrzymanie rodziny.

Dopiero teraz Terry przedstawił Timura pozostałym.

– Podnosił pan ciężary? – zapytał sceptycznie Federico, oceniając jego mikrą posturę.

– Podnosić potrafi wielu – zachnął się Timur. – Ale ludzie nie płacili mi za to, abym z grymasem wysiłku podnosił ciężary. Płacili, aby zobaczyć, jak to robię z uśmiechem na twarzy – odpowiedział dumnie. Terry znał tę opowieść, a jak zdradził mu Luka, ojciec powtarzał słowa innego siłacza – Hammer Mana. Lecz jego towarzysze o tym nie wiedzieli, a Terry nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu.

– Timur, znasz dokładnie historię tego miejsca – rozpoczął ostrożnie.

– Wychowałem się tutaj. Teraz mamy jedno wesołe miasteczko, lecz niegdyś były aż trzy.

– Które było pierwsze? – zapytała Ann, nie dając Terremu szansy na zadanie najważniejszego pytania.

– Najstarsze było Steeplechase Park. Działo do 1964 roku. Ale w końcu wykupił je Fred Trump, ojciec obecnego – pfuj – prezydenta.

– A które było najlepsze? – ciekawość Ann zaskoczyła Timura. Uśmiechnął się szeroko.

– Najlepsze było Dreamland. Można w nim było popływać gondolami po Wenecji, przejechać koleją przez szwajcarskie góry, odwiedzić wioskę liliputów z trzystoma mieszkańcami. Odbywały się też spektakle. I to takie,

których i dziś by się nie powstydzono. Odgrywano *Koniec świata* czy *Święto Baltazara i zniszczenie Babilonu*. Ale Dreamland spłonął jeszcze przed moim narodzeniem. Znam go jedynie z opowieści ojca.

– Konkurencja go spaliła? – zapytał Federico.

– Nie, akurat tym razem to był wypadek, chociaż konkurencja faktycznie często używała niedźwentelmeńskich metod. W przeddzień otwarcia nowego sezonu, podczas uszczelniania przecieku, jeden z pracowników „Bram Piekła” przewrócił wiadro z gorącą smołą. Musicie wiedzieć, że parki rozrywki wyglądały olśniewająco jedynie nocą. W dzień można było zauważyć, że olbrzymie budynki i inne konstrukcje są zbudowane z listewek, połączonych cienkimi ściankami z gipsu i oleju konopnego. Pożar rozprzestrzenił się w kilka minut, trawiąc wszystko.

– No a Luna Park? – zapytała Subira.

– Ten pierwotny też spłonął. W 1944 roku. Można było w nim odbyć podróż na Księżyc, odwiedzić Egipt, popłynąć przez wzburzone morze, zwiedzić kopalnię. Ale największą popularnością cieszył się Helter Skelter, czyli zjazd po spirali. I wiele innych zjeżdżalni. Dzisiejszy park otworzono dziesięć lat temu na części byłych terenów starego. Ale to już nie to, co kiedyś...

– I dziwolągi też tu były? – zapytał Federico.

Timur spojrzał na niego z wrogością, lustrując od stóp do głów. Wystraszony Federico cofnął się o krok.

– A ty co, telewizji i Internetu nie masz? Tam oglądaj dziwolągi.

– Nie złość się Timur – zaśmiał się Terry. – Mój przyjaciel pyta o to, gdyż szukamy pewnej osoby z rogami na głowie. To dla nas ważne.

Timur złagodniał nieco. Zamyślił się i podkręcił wąsa.

– Z rogami, mówisz... Najprościej byłoby zapytać o te rogi żonę – Timur też nie oparł się chęci zażartowania.

– W ostatnich dniach zaginęło wielu weteranów wojennych. Ten rogacz jest w to zamieszany – wyjaśnił Terry poważnie, z nadzieją, że to powstrzyma dalsze żarty.

– A, to przepraszam – Timur przyłożył rękę do piersi i skłonił się lekko. – Na Coney Island nie było gabinetów osobliwości. Ale do Nowego Jorku

co roku przyjeżdżało kilkadziesiąt wędrownych trup, no i było kilka – tak zwanych – teatrów, w których odbywały się pokazy.

– Nie rozumiem tej fascynacji oglądania zdeformowanych ludzi – skrzywiła się Subira. Jeżeli Timur miał zamiar i ją obsztorcować, na widok jej zatroskanej twarzy zrezygnował z tego pomysłu.

– Dzisiaj macie ekrany na ścianie, w telefonach, w okularach. Migoczą wam przed oczami od rana do wieczora, tak, że nie wiecie co oglądać. Za czasów mojej młodości można było jedynie obejrzeć zdjęcie w gazecie, no i były jeszcze ruchome obrazy w kinie. Ale, by poczuć prawdziwy dreszcz emocji, trzeba było pójść do cyrku lub gabinetu osobliwości. Nie dziw się więc, piękna dziewczyno, że tłumy stały w kolejkach.

– I widział pan kobiety z brodą? – dopytywała ośmielona Subira.

Timur uśmiechnął się z nostalgią.

– Młoda dziewczyno, kogo ja nie widziałem. Kobieta z brodą to żadna osobliwość. Kiedyś nie było depilatorów na baterie, a do pracy była potrzebna siła, to i kobiety miały słuszne krągłości oraz bicepsy, tak jak mężczyźni. Więc wąsik u wielu z nich nie dziwił. W dzisiejszych czasach niedojadacie, jesteście chude jak szczapy, przez co macie problemy z rodzeniem dzieci. Nie wspominając już o karmieniu piersią. Z cycuszków jak łupiny orzecha, nie wydoisz mleka dla dzieciaka. To muszą być cyce jak arbuzy, wtedy mleko płynie takim strumieniem, że i czwórka dzieci się posili. Ja sam ssalem cyca matki do piątego roku życia i popatrzcie – w przyszłym roku wezmę na plecy dziewiąty krzyżyk, a z łatwością położę na rękę niejednego dwudziestolatka.

– A teraz też istnieją takie „osobliwości” jak kiedyś? – zapytała Ann.

– Może i są, ale pewnie pochowane po szpitalach. Albo też wiozą je za młodu na stół, ciach – i po trzeciej piersi; ciach – i po sześciu palcach. Przecież nawet bliźniaków syjamskich, i to zrośniętych głowami, potrafią dziś rozdzielić, tak, że każdy swój rozum i ciało ma. Znałem bliźniaczki Hilton. Panny Daisy oraz Violet były zrośnięte biodrami i pośladkami.

– Występowały w filmie *Dziwolągi* – wtrącił Federico, z dumą rozglądając się po twarzach przyjaciół, jakby chciał powiedzieć: „I nadal uważacie, że filmy, które oglądam, są nic nie warte?”.

– A tak, ma pan rację. Ale ta historia rozpoczęła się o wiele wcześniej. Już w wieku trzech lat pokazywano je publiczności jako „The United Twin”, występowały nawet w widowiskach organizowanych przez naszego sławnego Boba Hope’a. Gdy miały osiem lat, matka sprzedała je właścicielowi baru. Przez wiele lat siostry walczyły o niezależność. Udało się, gdy miały 23 lata. Ale czy zrezygnowały z występów? Nie. Bo jak inaczej mogłyby zarabiać. Ściągały tłumy widzów jeszcze jako „The Hilton Sisters’ Revue”, w tym wielu tracących dla nich głowę mężczyzn, gdyż musicie wiedzieć, że kilkakrotnie wychodziły za mąż. Jednak gdy się zestarzały, nikt już nie chciał ich oglądać. Umarły pracując jako ekspedientki w sklepie spożywczym. Nie jestem reliktem przeszłości, doceniam postęp medycyny. Życie Daisy i Violet z pewnością byłoby szczęśliwsze, gdyby mogły żyć oddzielnie. Jednak w tamtych czasach nie miały wyboru. Oglądano je ze śmiechem lub wstrętem, ale mogły przetrwać. Gabinety osobliwości i cyrk były ówczesnym Facebookiem. Do cyrków zwożono zwierzęta z najodleglejszych stron świata.

– Ależ to okrutne – Ann zdawała się poruszona.

– Czasami tak – wzruszył ramionami Timur. – Lecz powiedz mi, czy lepsze warunki mają pracownicy fabryk w Afryce lub Azji? I to naszych fabryk. Poza tym nie mieliśmy innych możliwości ujrzenia podobnych osobliwości czy zwierząt.

– Powiedziano mi, że gdzieś w pobliżu można zobaczyć osoby z modyfikacjami ciała – Terry ponownie musiał skierować rozmowę na właściwy temat.

– A tak, rzeczywiście, słyszałem o jednym miejscu. Tam będziecie mogli spotkać nie tylko rogaczy. Mam na myśli takich z prawdziwymi rogami – dodał szybko, by jego słów nie wzięto za kolejny żart. – Dajcie mi pięć minut...

Przeprosił i odszedł. Niedaleko, na dwadzieścia metrów. Wyciągnął telefon komórkowy, wybrał jakiś numer i zaczął rozmawiać. Odległość była na tyle duża, że nie słyszeli, co mówi.

– Czy ja dobrze widzę? On ma komórkę? – zapytał ze zdziwieniem Federico.

– Przecież mówił, że nie jest reliktem – zaśmiała się Ann.

Po kilku minutach Timur wrócił z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

– Mam adres i hasło – oznajmił. – Podacie je bramkarzowi, został uprzedzony.

– Hasło? – zapytał Terry.

– Zwyczajna dyskoteka, którą dzisiaj nazywa się galerią rozrywkową, jest dostępna dla wszystkich, choć wstęp sporo kosztuje. Ale jest tam też zamknięta impreza w dobudowanej części budynku, wyłącznie dla wtajemniczonych. To niedaleko, w gmachu dawnego teatru „Sideshow by the Seashore”. Kilka lat temu wyburzono parterowe baraki obok i teraz cały obiekt zajmuje pół kwartału. Kto w tym teatrze nie występował... Można było zobaczyć kobietę z czterema nogami, był też człowiek z głową lwa...

Przerwał mu śmiech Federica.

– To przecież niemożliwe!

Urażony Timur spojrzał na niego z nieukrywaną pogardą.

– Człowiek lew zmarł, gdy miałem rok, lecz ojciec często mi o nim mówił. Pochodził z Polski. Bardzo inteligentny człowiek, władał pięcioma językami, chciał zostać dentystą. Oczywiście nie miał lwiej głowy, ale był bardzo owłosiony. Teraz wiem, że to wynik choroby genetycznej, nazwanej „chorobą wilkołaka”, jednak wtedy nie byliśmy aż tak mądrzy, a jego włosy rzeczywiście przypominały grzywę dużego kota...

– I kto jeszcze? – dopytywał się skruszony Federico, lecz Timur naraz stracił ochotę na wspomnianie.

– Sami będziecie mogli ujrzeć dzisiejsze dziwolągi – zakończył spotkanie z urazą w głosie.

## Rozdział 4.

# Rach-ciach siekierką

### Dyskoteka przebierańców

Pod wskazanym przez Timura adresem znajdował się piętrowy budynek z pomalowanymi na niebiesko, wystającymi drewnianymi belkami stropowymi i framugami okien. Historyczna część gmachu została połączona z nowym, który był zwykłym sześcianem betonu, bez okien, za to z ogromnym szyldem „New York Creatures and Monsters”. Od razu poznali, że to budynek galerii rozrywkowej, gdyż ściany pulsowały głuchym dudnieniem.

– O nie... Ja tam nie wchodzę – jęknęła Subira.

– Nie będzie tak źle – Federico nie podzielał jej obaw. Spojrzała na niego takim wzrokiem, że od razu pożałował próby uspokojenia jej.

– Żartujesz?! Skoro tutaj tak to słycać, to jak głośno będzie w środku. Uszy mi oklapną i będę wyglądała jak kobieta z plemienia Karen.

– To te, co noszą na szyjach obręcze? – zapytał ostrożnie Federico.

– Tak, to one – wycedziła przez zęby Subira.

– O czym oni mówią? – Terry po cichu zwrócił się do Ann.

– W Birmie i północnej Tajlandii kobiety z plemienia Karen noszą obręcze, które, według jednych, mają je uchronić przed atakiem tygrysa, przeważnie wbijającego zęby w szyję ofiary, a – według innych – stanowią

sposób represjonowania ich przez mężczyzn, którzy dbają o to, by nie wyglądały zbyt atrakcyjnie, a przez to nie prowokowały do gwałtów.

– Czyli ochrona totalna. I od drapieżników, i od zalotników – podsumował Terry, spoglądając na Ann. Nie zareagowała, zmarszczyła tylko brwi, mocno nad czymś rozmyślając.

– Czy nie uważasz, że coś między nimi zaczyna iskrzyć? – rzekła po chwili.

– Bo się kłóca? Odkąd ich znam wciąż się sprzecząją. Nie wiązałem z tym faktem większych nadziei.

– Kto się czubi, ten się lubi – Ann nie dawała się przekonać.

Po otwarciu drzwi uwolnione dźwięki instrumentów o mało nie zwały ich z nóg. Subira zatkała uszy dłońmi. Od bramkarzy dowiedzieli się, że wejście do zastrzeżonej części budynku znajduje się na końcu pierwszej sali. Ciasno zbity tłum wyginał się na parkiecie, rzęsście oświetlanym kolorowymi światłami. Niemal wszyscy mieli tatuaże oraz – w mniejszej lub większej liczbie – pierścienie czy obręcze, wystające z różnych części ciała. To była zwykła dyskoteka.

– Musimy przejść do zamkniętej części – krzyknął Terry. – Tu nie znajdziemy tego, czego szukamy.

Przebiecie się przez tłum, pulsujący w rytmach techno-dance, zajęło im dziesięć minut. Przed drzwiami obitymi blachą stał wysoki bramkarz, o tak napakowanej klatce piersiowej, że można by ją pomylić z kobiecym biustem. Pomyłka byłaby tym bardziej uzasadniona, że jego twarz miała delikatne rysy, i zdradzała brak jakiegokolwiek śladu zarostu.

– Ma ciało lwa, ale twarz kobiety. To pewnie sfinks – odpowiedziała Ann.

Terry podał hasło, sfinks skinął głową, lecz nie ustąpił im miejsca. Terry spojrzał na niego pytająco.

– Musicie jeszcze rozwiązać zagadkę – wyjaśnił ze złośliwym uśmiechem.

– Zagadkę? Nie było mowy o zagadkach – zaprotestował Terry. Sfinks tylko wzruszył ramionami.

– Pytaj sfinksie – Ann podjęła wyzwanie.



– Czego człowiek pragnie na starcie, a żałuje na mecie?

Ann stwierdziła, że pytanie jest godne egipskiego Sfinksa, a nie bramkarza w podrzędnej dyskotecie. Krótkie, a otwarte. Tylko jak je interpretować: dosłownie czy jako przenośnię?

– Bycia dorosłym za młodu i powrotu do dzieciństwa na starość – odpowiedziała po chwili wahania.

Sfinks skinął z uznaniem głową i odsunął się na bok, otwierając grube na kilka centymetrów wrota. Przeszli krótkim korytarzem, otworzyli drugie drzwi o podobnej grubości i weszli do niewielkiego pomieszczenia. Gdy bramka zamknęła się za nimi, dudniąca muzyka ucichła.

– Uff, wreszcie cisza – westchnęła z ulgą Subira.

– Ta część budynku ma bardzo grube ściany, dzięki czemu skutecznie tłumi wszelkie dźwięki dyskoteki dla prostaczków – wyjaśnił Federico, rozglądając się po wnętrzu.

Płaska jak smartfon szatniarka we fioletowym fraku, z fryzurą afro, z której wystawały dwa złote różki, żując gumę zlustrowała ich od stóp do głów i lekceważącym tonem oznajmiła:

– Bezpłatny wstęp jedynie dla osób posiadających atrybuty. Wy nie macie żadnych naturalnych atrybutów.

– Ty też nie – wypalił bez chwili zastanowienia Federico, patrząc na jej nikły biust. Zignorowała jego słowa.

– Na planszach po mojej lewej i prawej stronie znajdują się wizerunki postaci wirtualnych, których oprogramowanie możecie kupić wraz z goglami GDV. – Diablica uniosła dłonie, wskazując tablice za sobą, niczym stewardesa pouczająca pasażerów samolotu lecącego do piekła. Były tam zdjęcia wszelkich stworów opisanych przez Homera oraz takich, o których mu się nawet nie śniło. – Możecie też pozostać tacy, jacy jesteście, ale wtedy będziecie mogli jedynie przyglądać się bawiącym się gościom z galerii – umilkła na chwilę, jeszcze raz ich lustrując. Widocznie ocena nie wypadła najlepiej, gdyż dodała: – Bilety do galerii są dużo tańsze.

– Słyszałem, że niektórzy mają indywidualne oprogramowanie? – zapytał Federico, a Terry zastanowił się, skąd jego kolega o tym wie.

– Tak, ale pan przecież nie ma atrybutów – odpowiedziała znudzona. –

Bez nich indywidualny program na nic się nie przyda. On pozwala jedynie uwypuklić modyfikacje ciała.

– Aha, czyli nikt nie rozpozna, czy mam wirtualne, czy prawdziwe rogi?

– Dokładnie.

– To jak zidentyfikujemy naszego rogacza? – Ann zapytała szeptem Subirę.

– Zdejmiesz gogle i magia pryśnie – odparła Subira.

– Kupimy atrybuty kręgu wewnętrznego – zdecydował Terry. Diablica z zadowoleniem skinęła głową.

– Nasza dyskoteka ma dwie sale. W niebie usłyszycie nastrojową muzykę, będziecie mogli pić boski nektar i rozmawiać, w piekle przy ciężkiej muzyce tańczy się i pije do upadłego. Po mojej prawej stronie odnajdziecie postacie z Olimpu, natomiast po lewej z Hadesu. Ale nie jest to podział sztywny, anioł może pójść bawić się do piekła, a diabeł zasiąść w niebie. Co wybieracie?

– Noga zaczyna mnie boleć, chodźmy do nieba – powiedział cicho Terry do Ann.

– Ty nawet ze zdrową nogą nie lubiłeś tańczyć – nie potrafiła powstrzymać się przed wkłuciem mu szpilki. Jednak po chwili oznajmiła zdecydowanym głosem: – Ja i Terry odwiedzimy Olimp.

– A ja z Subirą z chęcią zejść do piekła – powiedział Federico, patrząc wyczekująco na Subirę. Nie zaprotestowała.

– Chociaż raz będę niczym aniołek – oświadczył Terry, sięgając po gogle archanioła.

– To ja też wybiorę istotę ze skrzydłami. Ale dodatkowo ze szponami, ostrymi kłami i włosami z węży. Ukąszę i rozszarpię każdego, kto stanie mi na drodze – zasyczała Ann, wskazując na postać gorgony.

– Ann, które boginie greckie były dziewicami? – zapytała Subira.

– Artemida, Atena i Hestia.

– To ja będę Artemidą, a ty satyrem – zdecydowała za Federica Subira.

\*\*\*

W niebie nie było tłoku. Można by nawet powiedzieć, że wiało pustką. No cóż, coraz mniej osób wierzyło w sens istnienia nieba. Chyba jedynie terroryści, skuszeni obecnością dziewczyc, jeszcze do niego lgnęli. Zwyczajni ludzie pracowali od rana do zmroku, by zasłużyć na niebo tu i teraz.

Na Olimpie śpiewał – co oczywiste – Jon Anderson, z ulubionego przez Subirę zespołu Yes. Wokaliście akompaniował – co również wydawało się oczywiste – Vangelis. Terry pamiętał, że Vangelis urodził się jako Ewangelos Odiseas Papatanasiu pod Wolos, w linii prostej jakieś sto kilometrów od góry Olimp i kilkanaście od grobu Eurytiona. Nic więc dziwnego, że w jego muzyce brzmiały niebiańskie nuty.

Przed ścianą naprzeciwko wejścia ustawiono tron Zeusa. Złoty, bogato inkrustowany, i z pewnością niewygodny. Zeus okazał się radosnym, łąsiejącym grubaskiem, popijającym nektar z metalowego kufła w otoczeniu siedzących na poręczach roześmianych nimf. Bardziej przypominał Dionizosa niż boga władającego piorunami. Na środku sali znajdowała się scena, wypełniona grupką osób płasających w rytm własnych modlitw. Owe pragnienia i w piekle, i na ziemi, i w niebie, były takie same – chodziło o zaciągnięcie do łóżka partnera lub partnerki. Po bokach znajdowały się łóża z wygodnymi kanapami. Tak jak powiedziała recepcjonistka, z góry nie było ich widać, można więc było zachować daleko idącą prywatność. Jednak nie działo się tam nic specjalnie zbereźnego. Para wampirów na diecie wegetariańskiej chrupała marchewki, aż im się uszy trzęsły, a uskrzydłony Eros, odłożywszy łuk i strzały, obżerał się pieczonym prosiakiem. Terry uniósł gogle, chcąc sprawdzić, w co zamieni się wirtualny prosiak – ale to był prawdziwy prosiak, jedynie szczupły bóg miłości okazał się dobrze zbudowanym, wysokim czterdziestolatkiem o ponurej twarzy komornika sądowego.

– Muszę przyznać, że scenograf nie uległ wizji znanej z dzisiejszych czasów i przedstawił czasy greckie takimi, jakimi były w istocie – podsumowała swoje oględziny z zadowoleniem Ann.

– Jesteś pewna? – zwał Terry, któremu wirtualny wystrój wnętrza przypominał cyrk – z nadmiarem detali i kolorów, groteskowy i fałszywy. Nie rozumiał podziwu Ann.

– Tak – zaczęła wyjaśniać. – Nasz ogląd starożytnego świata jest tak samo prawdziwy, jak białe szkielety dinozaurów rozstawione w muzeach. Farby na kolumnach, ścianach, rzeźbach wyblakły, odsłaniając piękno faktury materiału. Możemy podziwiać ich czysty kształt, jednak gdy były nowe, były kiczowate.

– I to ci się podoba? Nie wolisz białych rzeźb i zniszczonych kolumn?

– Jestem archeologiem, nie krytykiem sztuki. Kopię w ziemi, by odtworzyć ukryty świat żyjących wtedy ludzi, a nie nasze o nim wyobrażenia.

W łóżach nie było wolnych miejsc, natomiast po obydwu stronach ściany, zaraz za wejściem, znajdowały się identyczne bary. Okrągłe, ze świecącymi blatami, przypominały aureole. Przeszli do jednego z nich i Terry zamówił drinki. Barman oznajmił, że mają jedynie boski nektar. Poproszony o wymienienie składników trunku, zdradził, że to Abssys zmieszany z rumem. Terry uznał, że musi zapamiętać, z czym mieszać Abssys, by nie przypominał potem denaturatu. Bez namysłu zamówił podwójną porcję.

\*\*\*

Piekło było zatłoczone. Pewnie dlatego, że chociaż nikt go nigdy nie odwiedził, wszyscy wiedzieli, że musi tam być o wiele ciekawiej niż w niebie. Było również głośno, ale tym razem muzyka nie przeszkadzała Subirze. Rozpoznała zespół The Residents, grający rock awangardowy. Subira pomyślała, że ciężkie brzmienie King Crimson byłoby bardziej odpowiednie, a utwór *21st Century Schizoid Man* wprost idealny, jeśli idzie o to miejsce. The Residents okazywali się męczący w dłuższych odsłonach, chociaż Subira nie mogła odmówić im pomysłów muzycznych, kilkunastu sekundowych perełek, stanowiących chwile oddechu w przytłaczającym, postapokaliptycznym, monotonnym brzmieniu.

Do piekła trafiło wielu wilkołaków oraz zombie, można też było wypatrzeć kilku bogów czy herosów. Jednak najliczniejszą grupę stanowili strasznie okaleczeni na ciele zwykli śmiertelnicy. Nie dosyć, że już za życia

cierpieli katusze, po śmierci skazano ich na bolesne tortury –pomyślała ironicznie Subira.

W pierścieniu ogni piekielnych kotłowało się kilkudziesięciu wydanych na męki nieszczęśników. Tak przynajmniej uczą religie, ponieważ ci znajdowali się w alkoholowo-seksualnym transie i wyglądali na całkiem zadowolonych. Wpadali na siebie nawzajem, obściskiwali w parach lub większych grupach, nieliczni tylko oddawali cześć złu w samotności –mimo tego, że wrzucono ich do piekielnego ognia jak chrust. Subira ostrożnie zanurzyła dłoń w płomieniach. Czerwone jęczory opłoty ją, zatańczyły wokół palców, lecz nie oparzyły.

–O kurczę, jakie to realne –skomentowała swoje odczucia. –Jak to możliwe?

–To w sumie proste –Federico wzruszył lekceważąco ramionami. Ale jego mina wskazywała, że pomimo wiedzy technicznej, jaką posiadał, otaczająca ich sceneria także na nim zrobiła duże wrażenie. –W goglach masz lokalizator, a te wszystkie promienie ze skrzynek na ścianach w każdej chwili ustalają twoją pozycję. Komputery analizują, na co patrzysz i generują odpowiedni obraz, uwzględniający nie tylko twoje położenie, ale też wirtualne atrybuty konkretnych osób. Na zapleczu muszą znajdować się potężne serwery. Ale i tak nie mogą przeliczyć tylu danych natychmiast. Zauważyłaś, jak często dochodzi tu do zderzeń?

–Tak. Tańczący co rusz na siebie wpadają. Myślałam, że to skutek wypitego alkoholu.

–Z pewnością również. Lecz główną przyczyną jest opóźnienie powstające w wyniku przetwarzania masy danych. Niedługo obejdziemy się bez gogli, soczewki kontaktowe GDV każdego przeniosą w wirtualne światy na stałe.

Subira zdjęła gogle, aby przyjrzeć się piekłu w stanie naturalnym. Dopiero teraz dostrzegła galerię widokową zawieszoną ponad salą. Z balkonów piekielnych bezceństw wypatrywała liczna grupa śmiertelników. Wielu z nich pewnie żałowało, że nie wyłożyło więcej kasy, by zstąpić do tak atrakcyjnego piekła.

\*\*\*

Terry przesunął gogle na czoło i przyjrzał się dokładniej niektórym osobom bez komputerowego wspomaganie. Postacie najbardziej wierne wyobrażeniom bogów, herosów oraz stworzeń starożytnej Grecji okazały się zwykłymi ludźmi. Ci z atrybutami pozostali natomiast niemal tacy sami. Najczęściej tracili jedynie szaty, a ich przymioty okazywały się nie tak wielkie lub objawiały się w pomniejszonej liczbie.

Najwięcej osób miało kolczyki. Wpinane we wszystkie widoczne, a pewnie i niewidoczne, części ciała. Niektórzy przekuwali sobie na wylot górne i dolne kończyny. Stalowe gwoździe wchodziły z jednej strony przedramienia albo dłoni, a ich łepki wystawał z drugiej. Kilka osób w ten sposób przebiło sobie policzki. Terry odniósł wrażenie, że zamknięcie ust w ich przypadku jest niemożliwe, gdyż gwóźdź musiał przechodzić przez szczękę. Ale w takim zabiegu mógł też uczestniczyć dentysta, który w odpowiedni sposób modyfikował uzębienie. Odwrotnością kolców umieszczonych w policzkach było zasznurowanie warg. Dosłowne. Ciekawe jak ci ludzie pili lub całowali się?

Co druga osoba ograniczyła modyfikacje ciała do założenia licznych obrączek, ewentualnie tatuaży w oku. Dostyc atrakcyjnie wyglądały dziewczyny z dwoma rzędami kolczyków na plecach, połączonych kolorowymi tasiemkami. Oby nikomu nie przyszło do głowy pociągnąć za koniec kokardy, bo zamiast zrzucenia ubrania groziło to wyrwaniem skóry. Równie często dostrzegał kolce na głowie. Metalowe stożki o długości najwyżej dwóch centymetrów, które łatwo było ukryć pod czapką czy w gęstszej fryzurze. Nie przypominały rogów.

Wiele osób posiadało tatuaże będące czymś w rodzaju płaskorzeźby. Ten rodzaj wzorów okazywał się bardzo efektowny, nie raził też sinym kolorem. Jednak gdy Terry przyjrzał się dokładniej plecom dziewczyny z rysunkiem smoka zjadającego własny ogon, zrozumiał, że zabieg taki wymagał o wiele większej determinacji niż zwykły tatuaż. Prawdopodobnie były to zabliznione rany powstałe po zdarciu całych fragmentów skóry.

Równie licznie występowały guzy na czole. Nie były to jednak guzy nabite po zderzeniu z jakąś przeszkodą, a napompowane roztworem solnym poduszki w różnym kształcie, przede wszystkim obwarzanków, trójkątów czy pentagramów. Popularnością cieszyło się też wszyście implantów pod skórę. Od podkowy na wierzchu dłoni poczynając, a na głowie wyrrywającej się na wolność z klatki piersiowej kończąc.

Jeden z bawiących się chyba również słyszał o kobietach z plemienia Karen. W górnych częściach małżowin usznych miał wmontowane mniejsze pierścienie, a w dolnych duże – wielkości dna butelki. Z obydwu stron nosa wyrastały mu złote monety, natomiast na głowie zamiast włosów – kapsle od piwa. Największe były jednak dekle umieszczone w policzkach. Po chwili Terry dostrzegł inny wariant kobiet Karen. A mianowicie uszy z deklami; mnóstwo obrączek na wargach, brwiach i nosie; i – co najważniejsze – kilkucentymetrowe rogi. Wypustki te były pokryte skórą oraz czterema, długimi na kilkanaście centymetrów kolcami ułożonymi w kształt rozchodzących się promieni, które przywodziły na myśl nakrycie głowy Statuy Wolności. Gdy Terry podszedł do mężczyzny bliżej, dostrzegł, że to jedynie atrapy – kolce zostały wpięte we włosy.

Kilka osób musiało przeżyć spotkanie z morskimi stworami, gdyż na ich ciele widniały ślady pozostawione przez przyssawki ośmiornic. Była też jedna para z rozdwojonym językiem. Ale rogaczy nigdzie nie zauważył. Goście okazali się zwykłymi amatorami alkoholu i seksu. Z pewnością od poniedziałku do piątku chodzili pokornie do pracy lub na uczelnię, może nawet zdejmowali lub zasłaniali swe ekscentryczne ozdoby, żeby nie wyróżniać się niczym z tłumu. Oni Terrego nie interesowali.

– Aby dostać się do Hadesu, trzeba było zapłacić obola przewoźnikowi. Katolicy uważają, że ceną za dostanie się do nieba jest godne życie. A tu okazuje się, że, aby przekroczyć próg bramy Piotrowej, też potrzebna jest mamona – usłyszał komentarz Ann. Niebo przestało ją interesować, siedziała pochylona nad szklanką nektaru, wpatrzona tępo w blat stołu. Musiał ją jakoś rozruszać. Na szczęście dostrzegł dwa centaury. Popijali wino z dzbanów i żywo gestykulowali.

– Zobacz, tam są twoje centaury! – krzyknął Ann do ucha.

Odwróciła się do Terrego z laserowym błyskiem w oczach. Jej świdrujący wzrok mógłby przewiercić płytę pancerza czołgu Abrams o grubości ponad 50 milimetrów.

–Uważasz, że moje znalezisko to falsyfikat? Że marnuję życie na nierealne marzenia?

–Ależ skąd. Spójrz tam, zaraz zaczną się bić! –wskazał ręką dwie skaczące sobie do oczu postacie.

Ann z ociąganiem odwróciła się we wskazanym kierunku. Terry mówił prawdę. Dwa centaury najwyraźniej dały się ponieść emocjom, a ich porywczy charakter sprawił, że kłótnia zamieniła się w bójkę. Walka, jaką obserwowali, przypominała trochę opis Homera, a trochę przepychanki Flipa i Flapa.

–Zdejmij gogle –usłyszała Terrego. –Te centaury to jedynie projekcja holograficzna.

Ann zdjęła gogle. Rzeczywiście, nie było żadnej walki centaurów. Wypiła następny łyk wódki. Postanowiła przyjrzeć się sali bez gogli. Siedziba bogów w jednej chwili zamieniła się w hangar w trakcie remontu. Wnętrze budynku całkowicie przebudowano. Nie było podłogi pierwszego piętra, a zamiast niej widniał balkon oraz krzyżujące się kładki zawieszane nad salą w dole, odgródzone siatką aż po sufit. Punkt widokowy dla tych, którzy nie mieli pieniędzy, by wziąć czynny udział w uczcie bogów. Być może odizolowany w obawie, by ludzie spacerujący z drinkami nie spadli, albo by chronić bawiących się przed rzucaniem w nich szklankami. Poza tronem, już tylko w wirtualnej rzeczywistości, widać było schody oraz wierzchołek Olimpu.

Znajdowali się na tarasie poniżej szczytu, zanurzeni w chmurach, przez które czasami przebijał się zielony krajobraz poniżej. Rzeźbione w głębokiej czerwieni i złocie kolumny okazały się betonowymi filarami. Odległy widok grzbietu Olimpu, z białymi obłokami płynącymi po niebieskim niebie, był w istocie betonową ścianą. Znikła również większość niebiańskich istot i piekielnych stworów, chociaż część osób zachowała widoczne przez gogle atrybuty. Teraz nie wyglądali fantastycznie, raczej śmiesznie. Można było jedynie pokiwać ze współczuciem głową nad ich determinacją, która kazała im koniecznie wyróżniać się spośród innych. Ci ludzie nie mieli nic



wspólnego z nieszczęśnikami, o których opowiadał im Timur.

Zaczęła bawić się nakładaniem i zdejmowaniem gogli. To były dwa różne światy. Smukły Pan, z ogonem i kozimi rogami, zalecający się do nimfy, okazał się nachalnym grubaskiem obłapiającym jakąś anorektyczkę, której z pewnością daleko było do wyobrażeń kobiety uosabiającej płodność. Dwa, warczące na siebie wszystkimi głowami cerbery – które powinny przebywać w Hadesie – przemieniły się w kłócących się biznesmenów w garniturach i krawatach.

– Ale to śmieszne – zachichotała, machając dłonią za plecami Terrego. – Masz skrzydła – nie masz skrzydeł – znów masz skrzydła – a teraz nie masz.

Terry odetchnął z ulgą. W końcu Ann poczuła się jakby nie była w piekle, a w niebie.

\*\*\*

– Chodźmy się napić – zaproponował Federico. Podeszli do kotła, w którym na małym ogniu przypiekany był jakiś nieszczęśnik. Wyglądał jak makler giełdowy albo pośrednik nieruchomości. Nieszczęśnik nie stracił werwy i w bulgoczącej smole sprawnie przygotowywał płonące drinki.

– Same śmieci – skrzywił się Federico. – I żeby było jasne, nie mówię o swoim wrazeniu, lecz o tym, jak ci ludzie postrzegają samych siebie.

– Co cię ugryzło? – zdziwiła się Subira.

– Skoro sądzą, że muszą oszpecić ciało, by ich dostrzeżono, to naprawdę muszą mieć śmieciowe poczucie wartości. Mówiąc krótko: nieźle namieszane w głowie. Kiedyś farmerzy znakowali bydło. Dzisiaj bydło, jak widać, znakuje się samo.

– Niektórzy mają bródki przystrzyżone na kozie – zauważyła Subira, przyglądając się Federico z podniesionymi goglami.

– W każdej chwili mogę ją zgolić – zachnął się.

– Ale tego nie robisz. Odkąd cię znam, nosisz te wąsy i bródkę.

– Bo mi to odpowiada – mruknął i, aby uciec od jej dociekliwości, sam zaatakował: – Ty też się oznakowałeś.

Subira spojrzała na niego wzrokiem pełnym pogardy. Po chwili walki wewnętrznej, nabrała powietrza w płuca, zbliżyła twarz do Federica i, patrząc mu prosto w oczy, zaczęła mówić:

– Moje tatuaże po lewej stronie są niczym kostium. Tak jak kostium i makijaż Ziggy Stardusta, Davida Bowie, czy czarno-białe makijaże zespołu Kiss. To jedynie wizerunek sceniczny, chociaż bardzo mi bliski. Natomiast tatuaż na prawym ramieniu to oznaka przynależności do grupy. Mówi o tym, że walczyłam w Afganistanie. Nie wstydę się tego, a nawet jestem dumna, że mogłam pomóc swojemu krajowi. Ty nigdy nie należałeś do grupy. Nawet gdy pracowaliśmy na tajnym froncie, byłeś obok nas. Rozumiem, tak wygląda specyfika twojej pracy. Ale to także twoja osobowość. Chroniąca indywidualność, broniąca się przed standaryzacją. A żołnierz musi zaufać innym żołnierzom, bo inaczej, zanim się obejrzy, zginie. Nie może niczego ukrywać przed towarzyszami broni, bo muszą znać siebie wzajemnie na wylot, spasować jak tryby w skomplikowanej maszynerii. Tatuaż stanowi podpis krwią pod cyrografem, że oddałeś w ich ręce duszę, że bezgranicznie im ufasz. Czy to rozumiesz?

– Chyba tak... – odparł zasepiony.

– Nie, wciąż nie rozumiesz – Subira pokręciła głową, odsuwając się od niego. Nagle nieoczekiwanie roześmiała się.

– Co cię rozśmieszyło? – zapytał, zdziwiony nagłą zmianą jej nastroju.

Machnęła lekceważąco dłonią, jakby chciała powiedzieć, że to nieistotne – i chichotała nadal.

– No powiedz! – nalegał.

Spoważniała. Na sekundę, bo zaraz ponownie wybuchnęła śmiechem.

– Sam chciałeś. Wyobraziłam sobie ciebie z płytami cd w uszach, i z myszką uwieszoną za ogon do twojego nosa.

– Bardzo śmieszne...

W końcu Subira spoważniała.

– Jednym wystarczają tatuaże, innym piercing, a jeszcze inni muszą swoje ciało okaleczyć. To zależy od wrażliwości twojej psychiki albo siły przywiązania do grupy.

– Lub jest dowodem ukorzenia się. Niektórzy lubią czuć nad sobą pasek

ojca, miecz wodza czy palec boga –Federico lubił mieć ostatnie słowo w dyskusji.

–Zgoda. Tak też bywa –powiedziała po chwili milczenia. Zatoczyła ręką krąg, wskazując na bywalców piekła. –Oni jeszcze nie sprzedali swojej duszy. Ale bardzo by chcieli. Mogliby ją oddać komukolwiek, by tylko nie płynąć samotnie w szambie. Modyfikacje ciał są w ich przypadku wołaniem o pomoc. Żal mi ich, gdyż wiem, że nie tędy droga –ale skoro czują się z tym lepiej, to dlaczego mam ich potępiać? Niech robią, co chcą, to ich szambo.

\*\*\*

Ann rozglądała się po sali, lustrując wzrokiem maskary. Barman postawił przed nią kolejny puchar ciemnobursztynowego nektaru. Dziewczyna chwyciła szklankę i od razu wypila połowę. Alkohol szybko uderzył jej do głowy.

–W jakim świecie żyjemy? –zapytała zdeglustowana. –Czy ty masz podobne, ukryte pragnienia?

–Nie wiem. Ale para skrzydeł by mi się przydała. Wreszcie mógłbym latać –zażartował. A może nie? Przed laty często miewał sny o fruwaniu. W tych snach tak właściwie nie fruwał, a raczej szybował w powietrzu. Nie miał skrzydeł, nie musiał męczyć się machając nimi, po prostu unosił się w powietrzu, jakby siedział w fotelu –choć nie było go widać. Nogi zwisały luźno, ręce miał wolne i mógł nawet przenosić jakieś przedmioty. Jego latanie nie było jednak chwilą odpoczynku, kaprysem, chęcią spojrzenia na świat z góry. Pamiętał, że wzbijał się w powietrze, zmuszony nakazem przemieszczenia się do jakiegoś punktu. Nie potrafił go zdefiniować, ale wiedział, że musi tam dolecieć. Przemieszczał się w linii prostej, na swej drodze często natrafiał na wysokie budynki lub drzewa i bał się, że nie będzie mógł wzbić się wyżej, że zderzy się z przeszkodą i spadnie. Na szczęście zawsze odnajdował w sobie dość sił, by nie przerwać lotu. Jednak, co najdziwniejsze, w tych snach nigdy nie dośnił chwili, gdy osiągał celu. Leciał i leciał, męcząc się by ominąć przeszkody, a później sen wygasał i gdy

budził się, pamiętał jedynie, że znów latał, ale nie wiedział dokąd i czy szczęśliwie wylądował. Sny, tak jak bez widocznej przyczyny przyszły, tak i odeszły, i od kilku lat nie wzbijał się już ponad ziemię. – Moglibyśmy kochać się w locie...

– To wcale nie jest śmieszne – zachnęła się Ann.

– Mówię poważnie. A ty nie marzyłaś o skrzydłach? – zapytał.

Ann uznała, że rzekł to ze złośliwym uśmiechem.

– Daj spokój – skrzywiła się. Nie pragnęła żadnych zmian. No może poza większymi piersiami i dłuższymi nogami, ale to chyba normalne. Niepotrzebnie poruszyła ten temat. Dlaczego chce ludziom odebrać prawo do ich własnych wyborów? Niech będą kimkolwiek chcą.

– Z pewnością marzyłaś o jakiejś metamorfozie. A poszukiwania centaury? To się nie liczy?

– To badania naukowe, nie marzenia – zaprotestowała przygnębiona, zastanawiając się nad słowami Terrego. A może to nie była prawda i ona także miała marzenia na temat dziwnych stworów?

Wybrała postać gorgony. Przecież nie widziała siebie z węzami na głowie, chociaż zdolność zabijania, albo chociaż paraliżowania na kilka chwil wzrokiem, czasami by się przydała. W menu wirtualnych postaci znajdowało się wiele takich, które występowały w znanych baśniach i legendach, lecz na sali pozostawały one w mniejszości. Terry okazał się jedynym archaniołem. Większość wybrała demoniczne lub – co najmniej – negatywne wizerunki. Ukryta agresja, stanowiąca protest wobec zła codziennego życia, okazała się dominującym marzeniem. Osobami dobrymi, ugłaskanymi i stroniącymi od emocji byliśmy w tygodniu – w pracy, szkole, domu. A dziś był piątek, dzień służący odreagowaniu, czy – jak określała to grupka Terrego – wolności. Każdy chciał się jakoś wyróżnić w szarym tłumie. I trudno było dostrzec w tym coś dziwnego, ostatecznie skupienie na sobie uwagi innych gwarantowało sukces. Nie tylko pieniądze, ale też uznanie, szacunek, i w końcu miłość – nawet jeśli się za nią płaciło. Najłatwiej osiągnąć sukces zakładając awangardowy ubiór, przybierając niestandardowy wygląd lub prezentując nieszablonowe zachowanie. Znacznie trudniej poprzez osiągnięcia. Te wymagały większych nakładów pracy, a i tak nie

gwarantowało to sukcesu. Dzisiaj *Makbet* czy *Hey Jude* nie przebiłyby się bez dobrze zorganizowanej promocji. Już łatwiej było stać się seryjnym gwałcicielem lub mordercą.

\*\*\*

Subira wypatrzyła dziewczynę z rozdwojonym językiem. Jej sięgające po łokcie rękawiczki oraz kostium, rajstopy i buty były wykonane ze skóry tego samego gatunku węża. Jasnożółtej w czarne romby. Jeśli jej charakter jest zgodny z wyglądem, będzie odpowiednią osobą – pomyślała Subira. Gdy podeszła bliżej zauważyła, że dziewczyna ma również manicure w wężowym wzorze.

– Piękny wzór, nie widziałam jeszcze takiego. Z jakiego węża?

– Dziękuję. To wąż mandaryński. Pochodzi z Wietnamu – odpowiedziała rozpromieniona.

– Szukam kogoś, kto dorobi rogi mojemu mężowi – Subira, tak jak Terry, nie lubiła tracić czasu.

– Do niedawna podobno najlepszy był Mick Jagger, ale już wycofał się z interesu – wysyczała dziewczyna-wąż i dodała ze śmiechem: – Przynajmniej moja mama tak uważała.

– Chodzi mi o prawdziwe rogi – skrzywiła się z niesmakiem Subira.

– A! Lubisz fantazjować.

– A kto nie lubi? – odparła skwaszona. – Mój orgazm to tylko fantazja.

Dziewczyna-wąż ze współczuciem pokiwała głową.

– Słyszałam, że specjalizuje się w tym jeden lekarz w Hackensack. Podobno nie używa plastyku czy włókna szklanego, a prawdziwych rogów byków Toro bravo, hodowanych od setek lat do corridy. Pewnie je widziałś w czasie biegów w Pampelunie.

– Dasz mi adres?

– Tylko tyle słyszałam – rozłożyła bezradnie ręce. – Mnie rogi nie kręcą, mój mąż ma za to ogon. Chwytny! Potrafi pieścić mi nim piersi.

– A kto może znać adres?

Dziewczyna-wąż rozejrzała się i po chwili wskazała Subirze chłopaka z kolcami na głowie, siedzącego po przeciwnej stronie baru. Był sam, a miejsca po jego obu stronach pozostawały wolne. Albo czekał na kogoś, albo nikt nie pragnął się do niego zbliżyć.

– Zapytaj tego dupka. To on, przez dwie godziny, marudził mi o tym, kim się stanie, gdy będzie już miał rogi. Jak widzisz, nie starczyło mu odwagi na taki zabieg i poprzestał na zwykłych kolcach.

– Dzięki. Zapamiętam, aby nie wpaść mu w oko.

\*\*\*

Wśród gości baru Terry natknął się na jakąś kreaturę o czerwonej twarzy. Miał wrażenie, że już widział podobną osobę. Ale gdzie? Nie mógł sobie przypomnieć. Najpierw oglądał jedynie plecy oraz tył głowy. To, że obok siedział dwudziestokilkuletni mężczyzna o nagim torsie oraz z łysiną w kolorze czerwonym, początkowo nie wywołało na Terry'ego wrażenia. Gdy jednak osobnik ten odwrócił się, dostrzegł jego czerwony czerep. Musiał przejść wiele operacji, aby tak wyglądać. Spod skóry wypatroszono wszystkie mięśnie i teraz przylegała bezpośrednio do kości czaszki. Linia jego ust nie była prosta, wznosiła się w górę łukiem, zwiastując fizjonomiczną złość. Natomiast lekko uniesiona górna warga, odsłaniając rząd srebrnych zębów, wywoływała jeszcze bardziej złowieszcze wrażenie. Lecz najgorszy był nos. Obdarty z tkanki tłuszczowej i mięśni, bez charakterystycznego zgrubienia na końcu, wydawał się wprost odpychający. Jak on kichał? Naprawdę trudno było znaleźć w sobie ciepłe uczucia dla tej kreatury. Co mu zrobił świat, że aż tak mścił się na nim? Najważniejsze jednak było to, że miał również rogi. O dużej średnicy u podstawy, jednak mocno spiłowane. Gdyby nie to, byłyby tak wysokie i poskręcane jak u porywacza.

Ciekawe, jak wygląda naprawdę? – pomyślał Terry zdejmując gogle. Nadal widział tę samą twarz z wszystkimi modyfikacjami. Jedynie nagi tors okazał się wirtualnym dodatkiem – czerwona gęba przyszyła do nieba

w koszuli z krótkimi rękawami i z napisem „White Power”. Dlaczego nie bawi się w piekle? – przemknęło przez głowę Terremu.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki patrzysz na mnie – wycedził czerwony stwór.

– To twój problem – wzruszył ramionami Terry.

– Uważaj, by nie stał się twoim – warknęła kreatura.

Terry wstał i powiedział na głos do Ann:

– Opuść cię na chwilę, muszę pójść do toalety.

Ann skinęła głową. Wciąż bawiła się goglami, przykładając je i zdejmując na zmianę. Powinien ją zabrać do domu i położyć do łóżka, ale musiała jeszcze trochę poczekać. Był pewien, że czerwona kreatura korzystała z pomocy tego samego chirurga, co porywacz, a on musiał poznać adres lekarza.

\*\*\*

Subira zrelacjonowała Federico rozmowę z dziewczyną-wężem.

– Teraz czas na ciebie – zakończyła. – Ten facecik-kolczatka zna adres.

– Co? Mam poprosić go o adres lekarza, który dorobi mi rogi? – zaprotestował.

Nie odpowiedziała. Już bez dalszych protestów potulnie wstał, nie zapominając o szklaneczce z drinkiem, i przeszedł we wskazanym kierunku.

– Widzisz tę boginię? – rozpoczął rozmowę, wskazując Subirę. – To zdejmij gogle i zobacz jej prawdziwe oblicze. Widzisz, jaka jest nadąsana?

– No... – Subira pomachała w ich kierunku ręką. – Ładna jest. Ale wolałbym jej nie podpaść.

– Właśnie w tym rzecz. Ja jej podpadłem. Powiedziała, że jak nie zrobię sobie rogów, to mi je dorobi z pierwszym lepszym.

– Naprawdę? – zapytał podekscytowany chłopak. Nie miał litości dla towarzysza w niedoli – zapalił się na myśl, że mógłby wykorzystać okazję.

– Zapomnij. Zgniecie cię jak pomidora.

– No..., ma czym przydusić faceta – entuzjazm kolczatki z każdą chwilą

rósł.

– Masz świetne kolce. Słyszałem, że lekarz, który ci je zrobił, potrafi też dorobić rogi.

– Zrobi ci rogi wielkości chuja.

– Tylko takie? – Federico za późno zdał sobie sprawę z dwuznaczności swojej wypowiedzi. – Myślałem o takich, jakie mają prawdziwe byki.

– Są drogie, nie wiem czy miałbyś na nie dość pieniędzy – odparł lekceważąco kolczatka.

– Podasz mi adres tego lekarza?

Chłopak zmieszał się. Uniósł dłoń i zaczął gładzić kolec, jakby to była końcówka wąsa, udając, że interesują go tylko płasy na parkiecie.

– Spójrz jeszcze raz na tę dziewczynę. Przyjrzyj się dokładnie jej tatuażom.

– No..., ładne są – odpowiedział z uznaniem.

– Nie te kolorowe, po lewej, a ten siny na prawym ramieniu – Federico zrozumiał, że kolczatka przygląda się ładniejszej stronie Subiry. – Spójrz!

– No tak. Widzę – odrzekł już normalnym tonem.

– Widzisz, w jakiej formacji służyła?

Kolczatka pokornie odwrócił głowę.

– No, widzę... – odpowiedział obojętnie. Federico musiał podkreślić jego strach.

– Czy muszę ci przypominać, co robią członkowie tej formacji, gdy ktoś zwleka z odpowiedzią?

– Czy to... – zaczął niepewnie, lecz Federico mu przerwał.

– Dokładnie! Czy chcesz, aby to ona zadawała ci pytania?

Chłopak-kolczatka pękł.

– Ale ja nie wiem. Wszystko zmyśliłem. Gdy mówię o rogach, dziewczynom zaczynają błyszczyć oczy i mnie słuchają. A im więcej szczegółów podaję, tym bardziej stają się wilgotne. Ale to jedynie gadka-szmatka, nawijka. Nie znam żadnego lekarza, który potrafiłby zrobić ci poroże byka. Mój lekarz umie jedynie robić gwinty na kolce. Takie jak moje. One nie są zamontowane na stałe, a wkręcane. Montuję je tylko na podryw.



Federico mu uwierzył. Już nawet nie pytał, czy ta metoda zdaje egzamin. Był pewien, że zna odpowiedź.

\*\*\*

Terry czekał na kreaturę za drzwiami z Berettą M9 w dłoni. Po nauczce braku zabezpieczenia w czasie spotkania z Cristianem postanowił, że już zawsze będzie przygotowany na najgorsze. Może to nie było fair, lecz na wojnie nauczył się, że skoro problem można rozwiązać pewniejszym i szybszym sposobem, nie ma sensu bawić się w *savoir-vivre*.

Nie mylił się. Drzwi uchyliły się i do środka wszedł mężczyzna, którego oczekiwał. Terry nie chciał zrujnować czerwonej kreaturze resztek konstrukcji nosa, więc przyłożył mu ręką ręką pistoletu w skroń. Intruz padł jak skoszony, przekręcając się w czasie upadku i uderzając twarzą w umywalkę. Bezbarwna, gęsta ciecz wypłynęła z dziury po nosie. Zapewne krew, chociaż trudno było odróżnić jej kolor od koloru skóry. Terry przykucnął przy nim, sprawdzając czy oddycha.

Z jednej z kabin wyszedł jakiś dwudziestolatek, tańczącym wzrokiem spoznał na Terrego pochylonego nad czerwoną kreaturą i uniósł pytająco brwi.

– Wypił za dużo Absysu – wyjaśnił terapeutycznym tonem Terry.

– Aha – mruknął uspokojony chłopak i wyszedł.

Kreatura ocknęła się po kilku szturchnięciach butem.

– Człowieku, co ja ci zrobiłem? – zapytał z pretensją, wpatrując się w niego oczami z głębi zanurzonych w czaszce oczodołów.

– Poza tym, że nie spodobało ci się moje spojrzenie i postanowiłeś mi nabić guza – nic.

Do czerwonej kreatury najprawdopodobniej nie dotarł pełny sens wypowiedzi Terrego, a jedynie ostatnie jego słowo.

– To czego chcesz?

– Informacji. Poszukuję człowieka z podobnymi do twoich rogami, tylko że niespiłowanymi. Podaj mi adres kliniki, w której cię operowano.

– Nie mogłeś po prostu zapytać?

– Odpowiedziałbyś?

– Nie – odburknął. Nie potrafił kłamać albo był głupi.

– Sam widzisz, że nie miałem wyboru. Adres! Ten człowiek jest ścigany za terroryzm i jak zaraz nie odpowiesz na moje pytanie, wezwę służby, które zapuszczają cię na resztę życia.

– Człowieku, nie jestem terrorystą. Jestem patriotą. Nie atakuję armii. To był Butcherstein z Newark. Nie pamiętam adresu, ale to jest naprzeciwko University Hospital Newark.

Ze szczytkowego nosa wciąż sączyła się krew. Terremu zrobiło się żal czerwonej kreatury. Podszedł do automatu i oderwał kilka metrów papierowego ręcznika. Rzucił mężczyźnie, który natychmiast przyłożył opatrunek do czaszki.

– Skąd pomysł takich modyfikacji? – zapytał.

– A ty dlaczego wciąż jesteś taki sam? – odburknęła kreatura.

– Dlaczego miałbym cokolwiek zmieniać?

– Widzisz, a ja postanowiłem rozpocząć zmianę tego świata od siebie. Jak każdy poświęci tyle co ja, może świat stanie się lepszy.

– Z pewnością wiele poświęciłeś. W tym przypadku muszę się z tobą zgodzić. Poświęciłeś jednak to, co dla świata najmniej istotne. Jest to przykład absolutnie daremnego poświęcenia.

– Moja zmiana ma charakter symboliczny, poświęciłem własne ciało, aby innym wskazać cel.

– I cóż chciałeś wykrzyczeć?

– Że nasz kraj nie jest dla obcych.

– Czyli wystawiłeś się na ciosy, aby bijąc ciebie, nauczyli się satysfakcji z poniżania innych?

– A dlaczego mieliby mnie bić?

– Przecież jesteś czerwoną kreaturą. Nie wmówisz mi, że tak wygląda typowy Amerykanin.

– Jesteś za stary aby zrozumieć symbolikę przemiany. Zapomniałeś, że mieszkasz w kraju dla młodych, a nie starych ludzi. Jesteście śmieciami, które trzeba jak najszybciej posprzątać.

Terry zaczął żałować, że nie zmiażdżył kreaturze resztek nosa. Może zrobić to teraz? Zaniechał jednak tego pomysłu i bez słowa wyszedł z toalety.

Wyjął z kieszeni telefon i wybrał połączenie z Subirą.

– Subira, mam adres. Możemy się zwijać, chyba że dobrze się bawicie.

– Mieliśmy jeden trop, ale okazał się fałszywy. Też wychodzimy.

– To spotkajmy się za pięć minut przed wyjściem. Pewnie będę musiał przerzucić przez plecy zwłoki Ann. Wezwij Kajtka.

\*\*\*

W piekle zaczęły się przygotowania do jakiegoś spektaklu. Zgasły płomień kręgu piekielnego, umilkła muzyka, a tańczący zgromadzili się wokół baru. Do kręgu wniesiono stojaki na misy z ogniem. Z poziomu podłogi powoli wysunął się ołtarz. W rzeczywistym świecie ze sklejki, w wirtualnym kamienny, ze śladami wżartej krwi.

– Sądziłem, że tylko w niebie się modlą – zauważył Federico. – Przecież w piekle należy się bawić.

– W niebie wszyscy są pewni istnienia Boga, więc msze są tam niepotrzebne. Natomiast w piekle trzeba przypominać grzesznikom o sile Szatana. A poza tym to czarna msza – wyjaśniła Subira. – A jak tam z twoją wiarą?

– Bez zmian. Wciąż wierzę jedynie w nieskończoną głupotę ludzi.

– Wychodzimy – Subira zaczęła ciągnąć Federica do wyjścia.

– Zaczekaj, chcę zobaczyć finał – zaprotestował.

Nie była pewna, czy Federico wie, czym kończą się czarne msze, czy też żartuje, lecz nie zamierzała dłużej tu przebywać.

– Idziesz czy zostajesz sam? – zapytała ostro.

– Idę, idę. A czym kończy się taka msza? – chciał wiedzieć.

Odpowiedziała, gdy już byli na zewnątrz.

– Orgią.

\*\*\*

Terry nie odnalazł Ann przy barze. Pewnie włączył się jej „wałęsacz” – stwierdził. Nieśmiała na co dzień, po wypiciu większej porcji alkoholu stawała się naraz otwarta, przejawiając nieodpartą chęć rozmawiania z nieznajomymi. Gdzie mogła pójść?

Na szczęście nie wyszła z sali. Odnalazł ją na poręczy tronu Zeusa. Jak udało się jej zdetronizować boga? Siedziała z założonymi nogami, trzymając w dłoni szklaneczkę nektaru i z zamkniętymi oczami kiwała się w rytm muzyki. Wciąż Vangelisa, ale tym razem z przebijającym się przez instrumenty dominującym wokalem Irene Papas. Porywającym i grzmiącym, niekiedy subtelnym i łagodnym, jednak potrafiącym się szybko zmienić w głos rozgniewanej bogini.

Terry podszedł do Ann i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. W pierwszej chwili ucieszyła się na jego widok, jednak już w następnej sekundzie ta radość zniknęła. Chyba znów zmienił się jej nastrój...

–O, Terry, mój aniele. Pogubiłam się – spojrzała na niego. Tym razem wzrok dziewczyny był jak muśnięcie skrzydeł motyla.

–Tak, ale tylko troszeczkę – zgodził się, próbując wyjąć szklankę z jej dłoni.

–Nie mówię o alkoholu – zaprotestowała i szybko przytknęła szklaneczkę do ust. Jednak zakrztusiła się i oddała ją Terremu. Postawił szkło przy nodze tronu. –W tym temacie masz rację. Chodzi mi o gogle. Już nie wiem, który świat wolę. Ten wirtualny, mimo że wiem, że jest fałszywy, jest bardzo piękny. Natomiast ten rzeczywisty –prostacki i szary. Masz rację, gdy mówisz, że to szambo. Wolę ten wirtualny, lecz bez świadomości istnienia rzeczywistego. Niestety, pomimo alkoholu, nie potrafię o nim zapomnieć. Chyba muszę się jeszcze napić.

Przypomniała sobie o drinku i zaczęła szukać szklanki.

–Ann, zaprowadzę cię do łóżka, w którym będziesz mogła śnić, o czym tylko zamarzysz.

–Naprawdę zrobisz to dla mnie? –zapytała pełna szczęścia i... jej głowa opadła na pierś Terrego. Zasnęła. Wziął ją w ramiona. Słodki ciężar. Kim byłby bez niej?

## Chcę być syreną

Przez całą sobotę, którą Ann niemal w całości przespała, Terry obmyślał plan akcji. W Internecie odnalazł adres gabinetu lekarskiego oraz sprawdził godziny jego otwarcia. Na zdjęciach gabinet prezentował się okazale, a lista badań specjalistycznych zajmowała kilkadziesiąt pozycji. Wyglądało na to, że Eugeniusz Butcherstein potrafił przyprawić nie tylko rogi.

Zaczął od najważniejszego wyzwania – nakłonienia Subiry do udawania pacjentki.

– Udawaj, że chcesz dokonać zmiany wyglądu – przekonywał ją.

– Dlaczego ja? – zaprotestowała.

– Bo ja nie zamierzam się zmieniać – zbyt późno ugryzł się w język.

– A ja niby chcę?!

– Kochasz wodę, może będziesz udawała, że chcesz zostać syreną? – zasugerował Terry.

– A ty chciałeś zostać kosmonautą. Może poprosisz o skrzydła? – fuknęła z irytacją.

– Tego nikt nie jest w stanie zrobić, a łuski na nogach już widziałem.

– No nie wiem, czy to dobry pomysł – nie była przekonana, ale zgodziła się.

Wszedł ponownie na strony internetowe Butchersteina i umówił wizytę na wtorek po popołudniu, tuż przed zamknięciem gabinetu. O tej porze większość personelu już myśli o końcu pracy i jest znacznie mniej czujna. A oni nie będą musieli długo czekać na koniec pracy.

Później wykonał telefon do Federica. Jego rola miała polegać na włamaniu się do komputerów.

– Możesz mi jeszcze raz opisać tego rogakza, bo nie pamiętam wszystkiego, co mówiłeś w taksówce – rozpoczął rozmowę Federico. Gdy Terry opowiedział mu o czerwonej kreaturze, Federico mruknął: – Znam go, jestem tego pewien.

Przypomniał sobie pod koniec rozmowy, gdy Terry wyłuszczył mu szczegóły planu.

– Już wiem! Zmyliły mnie te rogi, oryginał ich nie miał. Twoja czerwona czaszka upozowała się na Red Skulla, hitlerowca z filmu *Kapitan Ameryka: Pierwsze starcie*. Grał go Hugo Weaving.

Terry zamyślił się. Teraz słowa czerwonej kreatury o białej rasie stały się zrozumiałe.

– Możesz go też pamiętać jako agenta Smitha z *Matrixa* – Federico był uparty. Tak, jakby potwierdzenie, że Terry przypomina sobie tego aktora miało w czymkolwiek pomóc.

– Być może, trudno mi sobie przypomnieć – mruknął, nie chcąc rozmawiać o filmach. – To co, znajdziesz czas na akcję we wtorek?

– Terry, nie interesują mnie losy świata. Niech sobie zdycha, nie mogąc w tłoku złapać oddechu. Niech katolicy wyrzynają się z muzułmanami. Religia to przeżytek i dopóki nie umrze ostatni wierzący w istoty wyższe, nie będziemy wolni. A ja już wiem, że to nie nastąpi. Zawsze znajdzie się jakiś wątpący, szukający pomocy w ramionach tyrana. I będzie czołgał się na klęczkach, krzycząc: Tato! Królu! Boże!

– Ale co to ma wspólnego z porwaniami? – przemowa Federica zdumiała Terrego. Chyba piątkowego kaca postanowił zabić klinem i trochę przeholował.

– Ty wciąż chcesz uratować świat, wciąż wierzysz, że warto. A prawda jest taka, że już jesteśmy śmieciami. Mrówkami kilku korporacyjnych dupków, zapierdalającymi przez całe życie, aby oni mogli wystawiać głowę ponad kopiec mrowiska. Rodzimy się, by nabrać kredytów, które będziemy spłacać do końca swoich dni, w złudnym poczuciu dobrobytu. Różnica pomiędzy bezdomnymi śmieciami, a nami jest taka, że im już nic nie można odebrać.

– Nie porwano ich bez powodu... – zauważył Terry.

– I co z tego? – dla Federica to nie było wystarczające uzasadnienie.

– Pomożesz? – trudno było z nim dyskutować, lecz musiał. Potrzebował jego umiejętności włamywania się do komputerów, tak jak umiejętności Subiry do szybkiego otwierania zamków.

– Stracić przyjaciela w następnej strzelaninie? – zapytał szyderczo Federico. Terry milczał. – No dobrze, możesz milczeć. I tak wiem, co chcesz

powiedzieć. Że go stracę, jak nie pomogę.

– Ja tego nie powiedziałem.

– A niech cię. Dobrze, brnijmy dalej w to śledztwo.

To nie były wszystkie problemy Terrego. W poniedziałek Ann otrzymała wiadomość, że w środę odbędzie się konferencja prasowa, na której zostaną przedstawione wyniki badań DNA szkieletu centaura.

– Może chcesz zostać? – zapytał.

– Nie – skrzywiła się. – Siedziałabym sama i denerwowała się nie tylko konferencją, ale i przebiegiem akcji.

Terry musiał przyznać jej rację.

– Przecież akcja nie będzie trwała długo? – spojrzała na Terrego. Skinął głową. – Zdążę wziąć kąpiel i wyspać się.

– Z pewnością. Wieczorem będziemy w domu – potwierdził Terry.

\*\*\*

Po godzinie jazdy vanem Subiry, pokonali odległość trzydziestu kilometrów i w końcu znaleźli się w Newark. Wybór auta autonomicznego odpadał nie tylko ze względu na śledzenie trasy przez GPS, ale także z powodu braku możliwości łamania przepisów drogowych. A Terry, pamiętając o niewinnej wizycie u Cristiana, wolał mieć możliwość wyboru. Auto autonomiczne nie pozwoliłoby im przejechać na czerwonym świetle, przekroczyć dozwolonej prędkości, poruszać się pod prąd po chodniku lub trawniku. Zbyt wiele ograniczeń.

Zaparkowali na parkingu restauracji IHOP, naprzeciwko kompleksu szpitalnego University Hospital Newark.

– Niezłe sąsiedztwo – zauważył Federico, zakładając okulary GDV. Na co dzień ich nie używał, lecz w tej chwili były najmniej podejrzanym narzędziem z tych, jakie miał wykorzystać do włamania.

– Pewnie część klientów zamiast do szpitala, trafia do doktora – zgadywała Subira.

– Albo w recepcji mają przekupioną pracownicę, która kieruje

zawiedzionych pacjentów do nich – dodał Federico.

– Ty to wszędzie wiesz spisak – machnęła ręką Subira.

Subira i Federico poszli na umówioną wizytę, a Ann i Terry mieli wolną godzinę. Nie chcieli czekać w samochodzie, dlatego postanowili iść na kawę do pobliskiej restauracji.

\*\*\*

Gabinet Eugeniusza Butchersteina znajdował się nieopodal, w parterowym budynku z czerwonej cegły, pomiędzy Dunkin' Donuts a Pizza Hut. Tylko że od strony ulicy Berger nie było żadnych okien, jedynie metalowe, brązowe drzwi. I nie były to drzwi wejściowe.

– Wejście musi być z innej strony. Te drzwi prowadzą chyba na zaplecze.

– Przyjrzę się zamkowi – stwierdziła Subira.

– Po co? Przecież nie będziemy się włamywać – powstrzymał ją Federico.

Rzeczywiście, wejście do kliniki doktora Butchersteina znajdowało się z boku budynku, obok apteki Path Mark.

Poczekalnia była prostokątem bez okien i klimatyzacji, za to z dwoma wentylatorami na suficie, leniwie mielącymi zaduch marzeń o zmianie wizerunku. Na ścianie wisiał plakat ukazujący skrzywioną twarz pięściarza w chwilę po zainkasowaniu prawego sierpowego, z unieruchomionymi w stop klatce kroplami krwi oraz wykrzywionym nosem, z hasłem: „Prostujemy nawet nosy na kwintę”. Za kontuarem recepcji dostrzegli leciwą staruszkę o starannie wymodelowanych, srebrnych włosach. Na blacie stały dwa monitory, ale gdy Subira podała nazwisko, kobieta nie sprawdziła terminu wizyty w komputerze, a na papierowym wydruku. Kazała im poczekać. Subira musiała pociągnąć za rękaw Federica, który ze zdumieniem przyglądał się ścianie szaf za recepcjonistką.

– Po co im papierowe kartoteki? – zapytał szeptem.

– Może wierzą w tradycyjny backup? Podłączyłeś się do ich systemu?

– Tak, za pięć minut poznam ich najbardziej skryte marzenia.

Usiedli w niewygodnych fotelikach. Na wizytę oczekiwała już duża



kobieta z równie dużym synem w wieku około dwunastu lat, dziewczyna wciąż pocierająca nos, z błędzącym po suficie wzrokiem pełnym marzeń, oraz chłopak wpatrzony w długie czubki butów.

Po kilkunastu minutach z gabinetu wyszedł sześćdziesięcioletni mężczyzna w białym kitlu, odprowadzający dystygowaną pacjentkę w szalu zakrywającym twarz po oczy.

– Zamówiła operację nosa! – stwierdzili jednogłośnie Subira i Federico.

Lekarz podszedł do pielęgniarki. Z siedzenia poderwała się duża kobieta, porywając za sobą dwunastolatka.

– Panie doktorze, Nicolas ma za dużą głowę. I za krótką, szeroką szyję. Wygląda jak osiłek, a przecież jest bardzo inteligentnym dzieckiem. Z takim wyglądem nie przyjmą go na studia. A nawet jak go przyjmą i ukończy je z pierwszą lokatą, to zostanie odrzucony podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

– O jakich zmianach pani myślała? – zapytał z zakłopotaniem lekarz.

– Głowy nie zmienimy. Nie jestem tak głupia, by nie wiedzieć, że wtedy trzeba by wyciąć część mózgu. – Lekarz odetchnął z ulgą. – Ale mógłby pan wydłużyć mu szyję, tak o 5-6 centymetrów. A za to trochę ją ścisnąć. Oczywiście w przerośni.

– Hm, czy to wszystko?

– Myślałam też o tym, aby mu trochę zepsuć wzrok. Okulary na wysoko osadzonej głowie najlepiej podkreślą zalety jego umysłu.

– Z tym proszę iść do okulisty – odpowiedział zdecydowanie lekarz.

– A długa, smukła szyja?

– No cóż, proszę poczekać w kolejce. Przebadam chłopca, a potem skieruję go na odpowiednie badania. Myślę, że to jest możliwe.

Uspokoił matkę, zaprosił młodą dziewczynę i czmychnął z ulgą za drzwi gabinetu.

– Wkurza mnie ten kult dzieci – mruknął Federico. – Już nawet nie można dać im klapsa, a dopóki nie osiągną pełnoletności, nie napijesz się piwa, bo, jak nabiją sobie guza, pójdziesz siedzieć. Tak jakby świat należał tylko do nich.

– Bo należy – szepnęła Subira.

– To może od razu poddamy eutanazji wszystkich, którzy ukończyli czterdziestkę? Będzie więcej miejsca dla dzieci. Albo może kasujemy wszystkich po osiągnięciu pełnoletności. Niech dzieci rodzą dzieci.

– Oj, ty nadąsany dzieciaku – zaśmiała się Subira. – Podłączyłeś się do ich archiwum?

– Nie. Sieci używają jedynie do prowadzenia rejestracji. Może w gabinecie lekarza będzie komputer z dostępem do archiwum.

\*\*\*

Ann i Terry czekali w restauracji IHOP. Ann zamówiła belgijskie gofry z jagodami i truskawkami, a Terry szwedzkie naleśniki z borówkami.

– To gdzie teraz wbijesz łopatę? – zapytał Terry, zabierając się do pierwszego naleśnika. Mogło się wydawać, że to pytanie bez kontekstu, lecz Ann od razu wyczuła w nim nutę zwątpienia w to, że dłużej zostanie w kraju.

– Na podjęcie takich decyzji jest jeszcze o wiele za wcześnie. Czeka mnie dużo pracy związanej z ostatnimi wykopaliskami. Opisanie artefaktów, nie mówiąc już o samym szkielecie centaury. A grant przewidywał też napisanie książki. Tak więc rok, a może nawet dwa lata, mamy tylko dla siebie.

Terry nie wykazał takiego zadowolenia, jakiego oczekiwała. Całą uwagę skupił na borówce uciekającej z naleśnika. Nie poturlała się daleko, Terry szybko nadział ją na widelec i przełknął ze słodkim uśmiechem.

– A później będę musiała poszukać sponsora, który sfinansuje kolejną ekspedycję, co również może zająć kilka lat. Mamy więc naprawdę dużo czasu dla siebie.

Nadal żadnej reakcji Terrego. Już nic jej nie pozostało, by jaśniej wyjaśnić to, do czego zmierzała.

– Oczywiście, gdy już złapiesz rogalca, bo do tego czasu nie będę ci zawracała głowy jakimiś głupotami... – ugryzła się w język nie chcąc wyjawiać, jaką „głupotę” miała na myśli.

Dopiero teraz spojrzał na nią z uwagą.

–To świetnie. Ale nie martw się, tego rogacza wkrótce złapiemy... – Terry zawiesił głos, a potem pochylił się nad stołem. –...i wtedy będziemy mogli zająć się tylko sobą. Popracujemy nad tym, o czym nie chcesz mówić.

Z wrażenia Ann zapomniała o trzymanym gofrze, który klapnął – oczywiście stroną wypełnioną owocami – na blat stołu.

\*\*\*

W gabinecie lekarskim nie było komputera. Właściwie mogli od razu wyjść.

–Witam państwa. Nazywam się Eugeniusz Butcherstein, w czym mogę pomóc? –zapytał doktor wpatrując się w Subirę, która –po długiej liście argumentów przekazanych jej przez Terrego –na tę wizytę założyła tylko szorty i podkoszulek.

–Moja żona chciałaby zafundować sobie zamiast skóry rybie łuski – odpowiedział za nią Federico.

–Jest pan wędkarzem? A może akwarystą? –zapytał ironicznie mężczyzna w białym fartuchu.

–Proszę zmienić ton –warknął Federico, wkładając całą energię w udawaną złość.

–Ależ o co mnie pan posądza –Butcherstein pięknie zagrał oburzenie. – Chciałem się tylko dowiedzieć, z jakiego powodu pojawiło się u pana życzenie zmiany, wydawałoby się, idealnych proporcji nóg żony.

–Lubię film *Plusk* z Daryl Hannah –wyjaśnił krótko Federico. –Może pan widział, bo leciał w kinach, gdy osiągał pan pełnoletność.

–A nie wolałby pan widzieć w żonie Pris z *Łowcy androidów*? –zapytał, spoglądając z szyderczym uśmiechem na Federica. –Wtedy wystarczyłaby zmiana fryzury i drobna modyfikacja makijażu.

Federico zamarł, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Musiał przyznać, że miał do czynienia z żartobliwym i znającym się na filmie staruszkim. W końcu trafił na odpowiednią ripostę.

–Nie, film okazał się fikcją. Akcja rozgrywała się w Los Angeles w ubiegłym roku –a przecież nie mamy żadnych androidów, nie mówiąc już

o statkach kosmicznych latających do innych gwiazd. A fabuła *Plusku* wciąż może być prawdziwa.

Butcherstein skinął głową i odwrócił się w stronę Subiry.

–To mówi pani, że chciałaby na nogach mieć rybnie łuski. Hmm –po twarzy lekarza przebiegły nerwowe skurcze. To chciwość walczyła ze zdrowym rozsądkiem –pomyślał Federico. Wygrały pieniądze. –Na całych nogach, aż po biodra? Z takim wcięciem, jak w kostiumie kąpielowym?

–Nie, jedynie na łydkach. Tak jakbym miała kozaczki.

–Hm, no tak, nie dziwię się. Szkoda takich pięknych ud na te łuski.

–Niech pan sobie nie pozwala za dużo! –ponownie upomniał lekarza Federico.

–Przepraszam... Jest już późna godzina, od rana jestem na nogach...

Następny kwadrans spędzili na przeglądaniu katalogu ryb oraz szablonów krawieckich.

–Myślę, że w przyszłym tygodniu będzie można dokonać pani przemiany. Recepcjonistka przekaze telefonicznie informację o terminie zabiegu.

–Co powinnam spakować? Czy przyjść tutaj?

–Nie, tu jedynie przeprowadzam rozmowy z pacjentami. Zabiegu dokonamy w klinice, recepcjonistka poda adres.

\*\*\*

Ann i Terry pili już trzecią kawę, gdy zjawili się Subira i Federico.

–I jak wizyta? –zapytała nie kryjąc ciekawości Ann.

–Plan był taki, że Subira zajmie lekarza, a ja włamię się do sieci –rozpoczął markotnie Federico.

–No tak –skinął głową Terry.

–Tylko że oni nie przechowują danych w komputerze, a w papierowych teczkach –z pretensją zakończył Federico.

–To niemożliwe! Jak można tak dzisiaj pracować? Nawet wydział archeologii korzysta od wielu lat z komputerów –zaśmiała się Ann.

– Mają komputery w recepcji, ale tylko do rejestracji pacjentów – wyjaśnił Federico.

– Włamiemy się. Poradzę sobie z zamkami – wzruszyła ramionami Subira.

– Ale co dalej? – zapytał Terry.

– To oczywiste, przejrzymy kartoteki – odpowiedziała Ann. – Mam w tym doświadczenie, jeszcze z czasów studiów.

– Ty nie idziesz – zgasił jej zapalniczki Terry.

– Jak to nie idę? A do dyskoteki mogłam pójść? – zaprotestowała urażona.

– Weźmy Ann, jej doświadczenie w grzebaniu w papierach przyda się – Subira poparła koleżankę. Ann spojrzała wyzywająco na Terrego. Milczał.

– To zwykłe włamanie. Nie ma strażników z psami, nie ma ogrodzenia pod napięciem, pomieszczenia nie są uzbrojone w czujki laserowe – dodał Federico. Terry jedynie przewrócił oczami.

– No dobrze, idziemy w czwórkę.

– Ale musimy poczekać do nocy – zauważyła Subira. – Co robimy?

– Może pójdziemy do kina? Na ten film, o którym w piątek wspominała Subira – zaproponował Federico.

Ann sprawdziła repertuar w pobliskich kinach. *Ant-Man and the Wasp* był wyświetlany w CityPlex12.

– Cztery przecznice stąd jest seans o 19.35.

– No to chodźmy – zdecydował Terry.

Godzina policyjna dla niepełnoletnich obowiązywała dopiero od dwudziestej drugiej, a seans trwał niecałe dwie godziny i na film o człowieku o rozmiarach mrówki przyszła wyłącznie młodzież do lat czternastu. Pośród nich wyglądali jak kolby kukurydzy na polu zboża.

– A nie wezmą nas za pedofilów? – zapytał wylękniony Federico.

– W razie czego powiemy, że jesteśmy komitetem rodzicielskim oceniającym, czy na film mogą przyjść dzieci z naszego przedszkola – zaproponował Terry.

Wyszli z kina oszołomieni wartką akcją i zbyt głośną muzyką. Wraz z listą płac na końcu filmu, skończył się sens dyskusji na temat fabuły. Nawet Federico przyznał, że jest już chyba za stary na ekranizacje komiksów. Zapadał zmrok, warunki pozwalały rozpocząć akcję. Postanowili jednak

napić się jeszcze kawy.

\*\*\*

Kompleks handlowy był zamknięty, na ulicy panował niewielki ruch. Subirze wystarczyło dziesięć sekund, by otworzyć drzwi. Wąskimi korytarzami przeszli do poczekalni i gabinetu doktora Butchersteina. Terry stanął na czatach, pozostali zaczęli przeglądać szafy z dokumentacją medyczną.

– Kolce, nos, piersi, lipoliza laserowa, nos, kolce – wymieniała rodzaj operacji Ann.

– Uszy..., nos... – informatykowi przeglądanie teczek szło znacznie oporniej.

– Operacje bariatryczne, piersi, penis, kolce – czytała Subira.

– Zaraz! – przerwał jej Federico. – Przecież w penisie nie ma kości. Jak chcą go powiększyć?

– To prosty zabieg. Wystarczy poluzować więzadła procowate oraz wieszadłowe. W tym celu robi się nacięcie w okolicy włosów łonowych, nacina więzadła i penis jest dłuższy. Ale nie licz na wiele, w stanie spoczynku dodasz sobie do trzech centymetrów, a w wzwodzie góra jeden – wyjaśniła szczegółowo, po czym z satysfakcją dodała: – Można powiedzieć, że skórka nie jest warta wyprawki.

– Ale to być może centymetr brakujący do szczęścia – zauważył Federico.

– Jak chcesz mierzyć satysfakcję na centymetry, to wypchaj sobie penis silikonem.

Federico zastygł w bezruchu, patrząc na ścianę.

– Nie zastanawiaj się nad powiększeniem penisa, przeglądaj kartoteki! – pogoniła go Subira.

– Nie myślę o tym... – zaprotestował.

– Akurat.

– Zastanawiam się, czy nasz Butcherstein potrafiłby przeprowadzić operację wstawienia rogów. To chyba nie jest gość, którego szukamy.

– Nic ciekawego tu nie ma – potwierdziła jego wątpliwości Ann.

–Recepcjonistka powiedziała, że zabieg przeprowadzają w klinice przy County Road –przypomniała sobie Subira.

–To przy dworcu kolejowym i terminalu promowym Hoboken. Po drodze do Nowego Jorku –sprawdziła w telefonie Ann. –Może tam będzie tajna dokumentacja?

–Wychodzimy. Jedziemy do Hoboken –zdecydował Terry.

–Hoboken... To straszne miejsce –wyznał drżącym głosem Federico.

Ann i Subira spojrzały na niego z niepokojem.

–Masz na myśli katastrofę na dworcu? –zapytał Terry.

–Nie... W Hoboken jest zoo, którego boją się wszystkie zwierzęta z zoo w Central Parku. Nawet pingwiny z Madagaskaru.

\*\*\*

Po wyjściu z gabinetu Butchersteina wpadli w strugi deszczu. Było ciemno, a błyskawice co rusz rozświetlały niebo. Nim dobiegli do auta, całkowicie przemokli.

Było już po pierwszej w nocy, gdy dotarli do kliniki doktora Butchersteina. Główne wejście znajdowało się w prawym skrzydle budynku. Zaparkowali przy Willow Avenue. Pod numerem 13 znajdowała się wnęka, z rampą dla samochodów dostarczających towar. Drzwi odszukali w podwórzu. Obok stał budynek z wysokim kominem.

–Mówiłem wam, że w Hoboken jest strasznie –stwierdził Federico. –To komin krematorium. Odpadów pooperacyjnych: zwałów tłuszczu, resztek nozdrzy i małżowin usznych.

Wciąż padało i grzmiało. I to całkiem blisko, jakby znaleźli się w samym centrum burzy. Na szczęście Subira szybko otworzyła drzwi. Weszli do korytarza, z metalowymi poręczami i ścianami z łuszczącą się farbą. Kolejna błyskawica rzuciła na ścianę drapieżne cienie.

–Idziemy na drugie piętro.

Na pierwszym piętrze pachniało drewnem, a gdy Subira z ciekawości włamała się do środka, zobaczyła piły tarczowe, heblarki, frezarki i tokarki

do drewna. To była stolarnia, produkująca ciekawe, stylizowane na antyki, meble. Po otwarciu drzwi na drugim piętrze znaleźli się w korytarzu z trojgiem dwuskrzydłowych drzwi, zaopatrzonych w okrągłe szybki. To piętro aż lśniło luksusem. Co prawda medycznym – z kafelkami na podłodze oraz ścianach, ale nie tymi z marketów, a wykonanymi na zamówienie. Jeżeli windą przywożono i zwożono pacjentów, to wewnątrz musiało budzić przekonanie, że lekarz dobrze zarabia – co było równoznaczne z wysokimi umiejętnościami.

Subira otworzyła drzwi i sprawdziła pomieszczenie po prawej stronie.

– Tu jest wejście do windy towarowej i poczekalnia.

Terry pchnął drzwi po lewej i zajrzał do środka. To była sala operacyjna z kilkoma stanowiskami. Z sufitu zwisały olbrzymie lampy, pod ścianami stało wiele urządzeń, których nazwy i przeznaczenie mogłaby wyjaśnić Subira. Jednak Terry wołał jej nie wołać, gdyż na sali wykonywano kilka zabiegów jednocześnie. Trzech lekarzy, w asyście pielęgniarek, uwijało się, tnąc i świdrując kończyny. Krew bryzgała obficie na jasnofioletowe ściany. Federico mógł mieć rację, po operacjach najprawdopodobniej zostawało dużo zbędnych części ciała.

– To sala operacyjna? Co oni robią? – dopytywała się Ann.

– Operują. Z pewnością będą zajęci przez kilka godzin.

– A co operują? Nos? – Ann podeszła do okienka i próbowała wspiąć się na palce, aby zajrzeć do środka. Terry delikatnie ją odsunął.

– Ann, masz piękny nosek. Nie pozwolę ci na żadną operację. Idziemy dalej.

– Ale ja chcę tylko zobaczyć – Ann nie ustępowała.

– Nie ma na to czasu – zdecydowanym ruchem postąpił krok do przodu, zasłaniając dostęp do okienka.

Ostatnie drzwi prowadziły do pokoju lekarskiego. Na jego remont już nie wystarczyło pieniędzy. Niestety i tu nie było szaf z dokumentacją. Jedynie łóżko polowe, kanapa ze stolikiem, na którym dostrzegł resztki kolacji oraz biurko. W pobliżu stało kilka fotelików, takich jak w poczekalni, tylko zdezelowanych. Oprócz tego Terry dostrzegł automat do wody i mały kącik kuchenny. Podeszedł do biurka. Na blacie leżało kilka otwartych teczek,



pewnie dokumentacja dzisiejszych operacji.

–I co teraz? –zapytała rozczarowana Ann. Była już śpiąca. Terry wiedział, co jej odpowiedzieć, ale nie był przekonany, czy powinien o tym wspomnieć.

–Pozostało nam jedynie przesłuchanie lekarza – wyręczyła go Subira.

–Poczekamy, aż skończy operację? –zapytała naiwnie Ann.

Nie musieli czekać. Do pokoju weszła pielęgniarka.

–Dobry wieczór – przywitała ją Ann.

Pielęgniarka nie odpowiedziała, tylko od razu zaczęła krzyczeć. Siła jej głosu mogłaby wybudzić z narkozy każdego pacjenta. Kilka sekund później nadbiegł Butcherstein. W białym kitlu obficie spryskanym strugami krwi, z uniesioną siekierą, po której ostrzu spływała posoka.

–Elsa, schowaj się za mną, obronię cię! – rozkazał kobiecie.

Za oknem rozbłysła błyskawica, a po ułamku sekundy zagrzmiało wyładowanie pioruna.

–Proszę odłożyć siekierę. Nie mamy złych zamiarów – powiedział uspokajająco Terry, unosząc ręce.

–Uważaj z tą siekierką, Eugeniuszu! – dodała zaniepokojona Elsa.

Niespodziewanie rozległ się śmiech Subiry, lecz gdy wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem, machnęła tylko przeprasząco dłonią.

–I włamujecie się po nocy?! –zapytał groźnie Butcherstein, dla wzmocnienia słów potrząsając siekierką, co ponownie wzbudziło śmiech Subiry.

Ann wystąpiła przed Terrego.

–Przepraszamy pana, doktorze, nasze zachowanie było nierozważne. Powinniśmy przyjść do pana w dzień i otwarcie powiedzieć, o co chodzi – zaczęła tłumaczyć.

–No myślę – odparł hardo, jednak po chwili dodał: – A co wtedy byście powiedzieli?

–Że szukamy lekarza, który wykonuje zabiegi dorabiania rogów. Ścigamy człowieka, który porwał weterana wojennego. Miał rogi – wyjaśnił Terry.

–To nasz jedyny trop – uzupełniła Ann.

Lekarz opuścił siekierę i oddał ją pielęgniarce. Rozejrzał się po przybyłej

grupie, widać było, że rozpoznaje Subirę i Federica.

– Elsa, poproś Ernesta, by mnie zastąpił.

Elsa, podejrzliwie patrząc na włamywaczy, wycofała się z gabinetu. Butcherstein usiadł za biurkiem, sięgnął do drzwiczek i wyjął butelkę whisky.

– Zapraszam, usiądźcie. Może pan podać kilka kubków? – zwrócił się do Federica, stojącego przy automacie z wodą. – Napijcie się, bo jeszcze mi się rozchorujecie i będę was miał na sumieniu.

Usiedli po drugiej stronie biurka.

– Rozumiem, że pani termin się zwolnił? – zapytał Subirę.

– No cóż..., dobrze się czuję we własnej skórze – uśmiechnęła się przepraszająco.

– No myślę... – uniósł brwi i spojrzał na nią przenikliwie. – Dlaczego zaśmiała się pani, widząc mnie z siekierą w ręku?

– Przepraszam, nie chodziło o pana. *Uważaj z tą siekierką, Eugeniuszu* to tytuł utworu Pink Floyd.

– A tak, pamiętam ich. Ale z płyty *Ciemna strona księżyca*.

Zaśmiał się, lecz po chwili spowaźniał i spoglądając na Terrego zapytał z niedowierzaniem w głosie:

– Myśleliście, że dorabiam rogi?

– Tak, szukamy osoby, która mogłaby dorobić rogi ściganemu przez nas mężczyźnie.

– Nie wykonuję takich zabiegów. Są obarczone wysokim stopniem ryzyka.

– No tak, operacje na otwartej czaszce to nie klepanie błotnika – zaśmiał się Federico.

Butcherstein spojrzał na niego z politowaniem. Rozlał kolejkę i uniósł wysoko kubek. Wypili.

– Chodzi o ryzyko kontuzji. Taki rogacz zapomina o rogach wchodząc do mieszkania i łup – odpada mu róg z kawałkiem *os frontale*. Kłóci się z żoną, ta chwyta go za róg i łup – wrywa z fragmentem *ossis parietalis*. Lub *ossis sphenoidalis*, zależy gdzie przymocuje się rogi.

– A zna pan takie kliniki, gdzie dokonuje się podobnych operacji? –

zapytała Subira.

Lekarz potarł mocno brodę.

–Hm, właściwie każdy by to potrafił. Ale nigdy nie spotkałem zainteresowanego pacjenta. To ma złe konotacje, wiecie, o co mi chodzi... Macie zdjęcie poszukiwanego? Chciałbym przyjrzeć się jego rogom.

Terry wyszukał zdjęcie w komórce i podał telefon lekarzowi.

–Hm, bardzo dobra robota – oddał telefon, kręcąc przecząco głową. – Ale nie mogę wam pomóc.

–Dlaczego?!

–Nie ma popytu na tak duże rogi. Mój znajomy miewa czasami zainteresowanych klientów. Ale nawet oni zamawiają najwyżej kilkucentymetrowe. Jak już mówiłem, większe są niepraktyczne. No i wymagałyby bardzo rozległego obszaru zaczepienia. Rogi ze zdjęcia to prawdziwe arcydzieło, nie mam pojęcia, kto mógłby podjąć się podobnego zadania.

–Natura – odpowiedziała Subira.

–Z pewnością – zgodził się lekarz. – Ale na głowie byka, a nie człowieka.

–Ale przecież to pan dokonał operacji stylizowanej na Red Skulla? – zapytał Terry. Widząc, że lekarz nie wie, o kim mówi, uzupełnił: – Czerwona, obdarta ze skóry twarz.

–A tak, to prawda – potwierdził.

–Jego rogi u podstawy są takie same, jak te na zdjęciu.

–To nie rogi, to wypustki – lekarz machnął lekceważąco ręką. – Takie wypustki potrafię sam zrobić. One od początku były tak krótkie, nie zostały spiłowane po zabiegu. Ale rogacz z waszego zdjęcia to całkiem inna sprawa.

Butcherstein westchnął z żalem.

–Pracujemy przy pomocy narzędzi znanych od starożytności. Piła i młotek. Oczywiście dzisiaj są one wspomagane elektrycznością i elektroniką, ale zabiegi, jakie przeprowadzamy, to wciąż cięcie i klepanie.

–A modyfikacje genetyczne? – zapytała Subira.

–To nie moja liga.

–Ale przed operacjami kieruje pan pacjentów na badania genetyczne – nie ustępowała. Terry pomyślał, że może Subira ma rację. Może to nie zabieg,

a genetyczna mutacja spowodowała, że na głowie porywacza wyrosły rogi?

– To jedynie sztafaż. Łatwiej sprzedać usługi w opakowaniu nowoczesności.

Butcherstein rozlał następną kolejkę. Na pożegnanie.

Terry wiedział, że już niczego więcej się nie dowiedzą. Zawiedziony musiał przyznać się do porażki, poszukiwanie rogacza w tym gabinecie okazało się stratą czasu. Może to były jednak sztuczne rogi? A może operacji rogacza nie dokonano w kraju? Od jutra trzeba będzie przyjrzeć się bliżej innym tropom.

Wypili w milczeniu i zaczęli zbierać się do wyjścia.

– Przepraszam, czy mogę zadać jedno pytanie? – zapytał Federico, stojąc już w drzwiach.

– Pytaj – burknął staruszek, nalewając sobie kolejną porcję whisky.

– A jak pan zamierza zwęzić szyję chłopaka, którego poznaliśmy w poczekalni?

Butcherstein uśmiechnął się. Federico był pewien, że go zignoruje, jednak ten odpowiedział:

– Nie mam zamiaru niczego robić – zachichotał z satysfakcją.

– Zrezygnował pan?

– Skądże, nie stać mnie na podobne gesty. To będzie bardzo, ale to bardzo skomplikowana i trudna operacja, a rachunek zostanie rozpisany na trzy strony.

– Nie rozumiem? – zapytał skołowany Federico.

– Gdy po tygodniu oczekiwania na zdjęcie bandaży matka zobaczy szyję syna, będzie szczęśliwa. Proszę mi wierzyć, sposób postrzegania przez nas rzeczywistości tkwi w naszej psychice. Nasz mózg to najlepszy lekarz, piła i siekiera jest dla tych, którzy nie mają w sobie wiary. Nawet niekoniecznie w Boga, możesz wierzyć w dietę wegetariańską, zioła, kosmitów. Całe tabuny wrózek, znachorów oraz proroków żyją lepiej ode mnie, nie musząc wysilać mięśni. Matka oczekiwała cudu, zapłaciła za niego duże pieniądze – więc ujrzy cud, nawet bez mojej interwencji. Zwłaszcza, że potrzynam chłopaka na ścisłej diecie.

## Rozdział 5.

# Dwa światy

### To nie ten trop

Terry nie lubił wizyt w Harbor Healthcare System, chociaż powinien być wdzięczny lekarzom za przywrócenie mu sprawności w nodze. Przez rok, raz w tygodniu, przychodził tutaj na rehabilitację, a później obiecał Ann, że będzie sumiennie stawiał się na kwartalne kontrole. Dopiero po powrocie z akcji w Hoboken przypomniał sobie o zaplanowanej wizycie. Niechętnie, ale wstał o siódmej rano i pojechał na umówioną kontrolę. Szpital przywoływał nie tylko złe wspomnienia z wojska, otwierał również inne, zamknięte szufladki pamięci.

Poszedł na wojnę z powodu 11 września, bo wydawało mu się, że kraj potrzebuje takich jak on. Później dowiedział się, że potrzebował tego prezydent oraz służby specjalne, wystraszone tym, że odpowiedzialność za zamachy spadnie na nie. Niestety, dotarło to do niego już po kolejnych wojnach, zbyt późno, by wrócić do dawnych marzeń. Ciąg fotonowy statków kosmicznych zastąpiło paliwo stałe rakiet bojowych. Próbował odskoczyć, nawet na Marsa, zgłaszając się do programu sterowania łazikiem marsjańskim Curiosity, ale w Jet Propulsion Laboratory uznano, że ze sterowaniem łazika lepiej poradzi sobie ktoś młodszy. Po rezygnacji z czynnej służby pozostała mu jedynie praca w firmach prywatnych,

żerujących na konfliktach. Praca lepiej płatna, chociaż równie brudna. Najpierw trafił do firmy ochroniarskiej, w której sterował dronami. Wyszedł z tego jeszcze bardziej pokiereszowany niż po wojsku. Zrezygnował z dronów i ponownie wyruszył na front – wciąż pod prywatnymi skrzydłami. Wtedy poznał Subirę, a trochę później zaczęli współpracować z Federico. Był jeszcze Adam, Rejendra i Ralf, ale oni zginęli w zamachu, który jego samego oszczędził, skupiając swą furję tylko na nodze. Wtedy cała trójka postanowiła zrezygnować z zarabiania na wojnach i przeszła do cywila. Przyjmując pracę w „Lost in Life”, zdawał sobie sprawę, że nie uwolni się od wojennych koszmarów, a nawet gorzej – będzie babrał się w szambie powojennych ran. Jednak, przynajmniej w założeniu, miało to mu pomóc. Podsumowując te lata mógł stwierdzić, że to się nie udało. Pomagał innym – i to było dobre, wiele warte. Ale czy rekompensowało rezygnację z własnego życia? Z pewnością nie, bo przecież nie miał zapasowego, nie urodzi się po raz drugi, bez bagażu błędów, za to ze świadomością, jak ich nie popełniać. Postanowił, że po rozwiązaniu sprawy porwań weteranów zrezygnuje z pracy. Co będzie robił później – nie miał pojęcia. Zastanowi się nad tym w odpowiednim czasie. Jednak z pewnością koniec z ratowaniem świata, czas zająć się własnym życiem. Ale jeszcze nie dzisiaj, dzisiaj musiał iść do pracy.

\*\*\*

–Heeyyy... Terrrry –powitała go Eliza Visser, z jeszcze bardziej złowieszczym uśmiechem niż zwykle. W tym tygodniu z włosami w kolorze bordo, choć wciąż rozczapierzonymi jak po uderzeniu pioruna. Miał już dość mizdrzenia się tej kobiety. Zaryzykował i nie uległ sile jej perswazji, a jedynie skinął głową. Czuł, że odprowadza go wzrokiem wbijając tuziny igieł w jego plecy. A niech tam, zmiany najlepiej zacząć od drobiazgów, choćby były kłujące.

Na biurku czekał na niego zalakowany raport od pułkownika MacCormacka. Terry rozerwał kopertę. Nie był gruby, jedynie siedem kartek. Na pierwszej znajdowała się informacja, że pomoc społeczną programu

„Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie” finansuje organizacja charytatywna o nazwie „Good Day for Victory”. Bardzo ciekawe były jednak dalsze strony. Analitykom pracującym dla Franka udało się odtworzyć rozgałęzioną sieć firm-kogucików, różnych spółek córek, matek – ciekawe, że nie było spółek ojców czy wujków – i dotrzeć do samego szczytu. Nazwisko tej osoby odnalazł na siódmej stronie. To był Damiano Haddad. Terry aż zagwizdał ze zdumienia.

Zamyślił się. Sieć powiązań była tak poplątana, że ktoś bez odpowiednich doświadczeń nigdy nie odnalazłby faktycznego właściciela. Już sama próba zatarcia śladów prowadzących do dobroczyńcy wydawała się podejrzana. Dlaczego miliarder nie chciał, aby o tym wiedziano? Sponsorował wykopaliska, a poza tym wykladał o wiele większe pieniądze na leczenie ludzi wyrzuconych poza system opieki zdrowotnej – ten chłopak posiadał stanowczo za dużo pieniędzy i rozdawał je na lewo i prawo. Miał w tym jakiś ukryty cel, czy też przekazywał pieniądze każdemu, kto o nie poprosił?

– Mamy dziś piękny, słoneczny dzień – przywitał go Diego. Gdzie się podział ten nieśmiały, pryszczaty praktykant? – zaśmiał się w duchu Terry. Diego był niesamowicie pogodny, jego radość emanowała na kilometr. Widocznie tak podziałało na niego oddelegowanie na kilka dni do komendy policji. Mógł sprawdzić zbiorcze dane nie ruszając się z miejsca, lecz Terry chciał, aby chłopak porozmawiał ze śledczymi, a nawet z krawężnikami. Pewnych wydarzeń, jak relacji o rogaczu napotkanym w pobliżu miejsca zdarzenia, mogli nie zamieścić w raportach.

– Miło mi widzieć najpracowitszego praktykanta w kraju – odparł Terry w podobnym tonie. Lecz zaraz zapytał, chcąc dowiedzieć się, kto tak odmienił Diego: – Kim ona jest? Archiwistka, a może policjantka?

– Ależ Terry, o czym ty mówisz... – młodzieniec speszył się, chociaż nie potrafił ukryć lekkiego uśmiechu.

– Nie mów, że to świeże powietrze tak cię odmieniło.

– Katherine jest policjantką, jeździ w zmotoryzowanym patrolu na Harleyu-Davidsonie – chłopak nie potrafił długo utrzymać nowiny w tajemnicy.

– Wow! Musisz mi powiedzieć o niej więcej, lecz nie w tej chwili. Teraz

mów, co tam wygrzebałeś lub usłyszałeś.

–Przeanalizowałem dane policyjne z ostatniego kwartału. Nie jest najlepiej. W mieście przebywa co najmniej 60 tysięcy bezdomnych – a przynajmniej tylu korzysta ze schronisk. Wielu wybiera ulice, parki, czy nawet wagony metra. Muszę przyznać, że o tym nie wiedziałem, ale to nie są tylko starcy, narkomani czy alkoholicy. Z noclegowni korzysta blisko 15 tysięcy rodzin! Okropność. Okazuje się, że blisko połowa zarejestrowanych bezdomnych to dzieci.

–Wiem Diego, wiem o tym –Terry poczuł emocje Diego, ale nie miał czasu, by się teraz nimi zajmować. –Skup się na porwaniach –dorzucił.

Diego skinął głową. Przełknął ślinę i bezbarwnym głosem mówił dalej:

–Policja w Nowym Jorku otrzymuje codziennie kilkadziesiąt zgłoszeń porwań. W większości ofiarami są dzieci. Ale, zwłaszcza w wakacje, dziewięć na dziesięć małych wraca do domu w ciągu doby. Bardzo dużo jest też tak zwanych wirtualnych porwań. Chodzi o to, że porywacze dzwonią do krewnych, rodziców lub dziadków, twierdząc, że uprowadzili ich wnuka czy dziecko. Dla uwiarygodnienia prezentują jakiś przerażający krzyk wzięty z filmu lub proszą współnika o symulowanie płaczu.

–Diego, nie szkoda ci czasu? Katherine na ciebie nie czeka?

Diego zaczerwienił się. Ale zaraz potem na twarz wypłynął mu błogi uśmiech.

–Masz rację. Już przechodzę do rzeczy. Chociaż, tak właściwie, w naszej sprawie nie mam za dużo do powiedzenia. Trudno zauważyć jakieś zmiany w statystykach w ostatnich tygodniach. Nie znalazłem również informacji mówiących o porywaczu z rogami. Katherine mi pomogła i wypytała wszystkich znajomych, ale nikt nie trafił na wątek rogów w opisie porywacza.

To rzeczywiście nie było to, czego spodziewał się Terry. Czyżby porwanie kaprała Williama Trottera miało okazać się przypadkiem odosobnionym? Może to jednak były jakieś porachunki? Trotter przespał się z żoną rogowca?

–Ale porównałem zgłoszenia zaginięć z bazy policyjnej, z danymi szpitali badających zgłaszających się do programu „Pokaż nam swój kod, a damy



ci zdrowie” i odnalazłem kilkanaście przypadków pasujących do schematu. To nie tylko bezdomni czy bezrobotni. Wśród potencjalnych porwanych znajduje się modelka, która przytyła i straciła pracę; dobrze zapowiadający się wynalazca, który zgromadził milion dolarów na aukcji finansowania społecznościowego, a później wycofał się, uznając, że pomylił się w obliczeniach i nie będzie w stanie zrealizować projektu. Przy okazji: pieniądze zwrócił. Dzięki Katherine odnalazłem takich przypadków kilkanaście. To osoby o ciekawych życiorysach, ale z pewną skazą. Jakby skazani na porażkę.

– Śmieciowi ludzie – mruknął Terry.

– Śmieciowi? – Diego spojrział na Terrego zdziwiony. Po chwili namysłu dodał: – Hmm, ja bym tak nie powiedział, ale trochę racji w tym stwierdzeniu jest.

## Wyniki badań szkieletu centaura

Budzik zaczął piszczeć, przerywając Ann zasłużony wypoczynek. Już, zaraz, za pięć minut – mruknęła, przewracając się na drugą stronę. Budzik nie przestawał atakować wysokim tonem, wwiercając się w najpiękniejsze sny. Żeby go wyłączyć, musiałyby wstać – ale gdy to zrobi, rozbudzi się i już nie wróci do łóżka. Przykryła głowę poduszką. Nie pomogło, piszczenie bez przeszkód przedzierało się przez gęsi puch, nie pozwalając jej powtórnie zasnąć.

Wciąż była podekscytowana wczorajszą eskapadą. Chyba już rozumiała weteranów, którzy potrafili setki razy rozpamiętywać kilkanaście sekund jakiejś akcji, w której brali udział przed laty. Lęk i przerażenie, towarzyszące temu napięcie nerwowe, zostają wypalone w mózgu w o wiele trwalszy sposób, niż słowa na papierze czy dane na dysku. Jej samej przed zaśnięciem wciąż przewijały się pewne obrazy: twarz Terrego oświetlona błyskawicą na klatce schodowej w Hoboken; kropla krwi ściekająca ze wzniesionej przez Butchersteina siekiery; a nawet – nie wiedziała dlaczego – borówka tocząca

się po talerzu Terrego, tuż przed nadzianiem jej na widelec. Szkoda, że nie odnaleźli tropu człowieka z rogami. Gdy wracali z Hoboken Terry był bardzo zamyślony; już wiedziała, że w tym stanie pozostanie dopóty, dopóki nie zwietrzy nowego śladu. Tylko gdzie go szukać?

Budzik nie przestawał piszczeć w coraz wyższych tonach. Przegrała. Wstała, podeszła do zegara i wdusiła przycisk alarmu. Idąc do kuchni zastanawiała się, czy nie odwołać spotkania. Informacja o tym, czy udało się, czy też nie, odtworzyć kod genetyczny centaura nie interesowała jej. Przecież i tak nie wyhodują pół-człowieka pół-konia. Jednak nie mogła tego zrobić. Miała być główną bohaterką briefingu, a Damiano obiecał przysłać po nią długą jak autobus limuzynę.

Po powrocie do Nowego Jorku niemal zapomniała o centaurze. Może udział w śledztwie stanowił ucieczkę przed pytaniem, co tak naprawdę odnalazła? Nie chciała zastanawiać się nad możliwymi konsekwencjami faktu, że genetykom udało się odtworzyć DNA centaura. Odkopanie ruin miasta opisanego przez Homera, to był autentyczny sukces. Tylko że do dzisiaj odkopano wiele innych miast, opisanych w starszych jeszcze księgach, takich jak *Biblia*. Jednak potwierdzenie, że hybrydy, które od zawsze uważano za fantazję, istnieją, to dużo grubsza sprawa. Czy teraz zacznie się polowanie na groby krasnali, wróżek i elfów? A co, jeśli ktoś odnajdzie grób Adama i Ewy i okaże się, że mężczyźni brak jednego zebra? Ann uświadomiła sobie, że poprzez swoje działania mimo woli mogła rozpętać burzę. Gdy czytała Homera marzyła o chwili sukcesu, lecz nigdy nie zastanawiała się, co będzie działo się dalej. Jej jedynym celem było zaspokojenie ciekawości. Po prostu chciała wiedzieć, czy autor zmyślał, czy opisywał prawdziwe zdarzenia.

Nim zdążyła wypić połowę kawy, odezwał się telefon. Kierowca oznajmił, że już na nią czeka. Z kubkiem w ręku podeszła do okna. Rzeczywiście, długa, czarna limuzyna stała na ulicy. Pojedzie na konferencję, niczym gwiazda na galę. Miała nadzieję, że nie będzie czerwonego dywanu, bo włożyła prostą biało-czerwoną tunikę, uciętą u dołu po skosie, oraz czarne spodnie.

\*\*\*

Gdy kwadrans przed rozpoczęciem konferencji limuzyna zjechała z autostrady, kierowca powiadomił Ann przez interkom:

– Za cztery minuty będziemy w klinice profesora Garilicy Centre New Human Future. Może pani spojrzeć w lewo, właśnie widać helikopter pana Haddada nad zabudowaniami kliniki.

Ann dostrzegła jakiś futurystyczny śmigłowiec, kołujący nad zagajnikiem. Żadnych budynków nie zauważyła, musiały być niższe od drzew.

– Z San Francisco?

– Nie, o ile wiem. Był na spotkaniu w Pentagonie.

Gdy wjechali na parking gęsto zastawiony samochodami dziennikarzy, zobaczyła, że pojazd Haddada stanowi jakąś dziwną hybrydę śmigłowca z samolotem. Na podjeździe do kliniki już czekał na nią Damiano. W smokingu. Za nim stał wujek, podobny do putto, oraz kilka nieznanych jej osób. Miliarder otworzył drzwi limuzyny i podał Ann dłoń, pomagając wysiąść. Później chwycił kobietę pod rękę i poprowadził ją do rozsuwanych drzwi budynku. Nie było czerwonego dywanu, ale Ann i tak poczuła się onieśmielona jego ado-

racją. Miała nadzieję, że nie wygląda jak matka z synem. Damiano chyba wyczuł jej zakłopotanie, bo uśmiechnął się i szepnął do ucha:

– Proszę się nie martwić, to nie to, o czym myślisz. Nie podrywam cię. Nie przypominasz mi też matki czy nauczycielki historii. Po prostu lubię ludzi, którzy uparcie dążą do celu.

– Jesteś pewien, że właśnie taka jestem?

– Nigdy się nie mylę – odparł niemal słodko, akcentując słowo nigdy.

– Musisz poznać mojego Terrego. On także jest uparty – zaśmiała się, obserwując uważnie twarz Damiano. Nie wydawał się rozczarowany tym, że wspomina o innym mężczyźnie, chyba więc rzeczywiście jego uprzejmość nie wynikała ze skrywanych uczuć.

– Z chęcią go poznam.

Weszli do przestronnego holu. W tej klinice wszystko było wykonane

z rozmachem. Posadzka z marmuru karraryjskiego, którego używał Michał Anioł; blat lady, przy której stały trzy dziewczyny, mogłyby obsłużyć 50 osób; wyrastające z kamiennych płyt palmy wyglądały jak na promenadzie w Cannes; przeszklona, przyczepiona do ściany winda, w dwupiętrowym budynku zdawała się nie na miejscu. No cóż, przesada, mająca klucz w oczy. Ann dostrzegła też dyskretnie rozstawionych strażników, z dłońmi ułożonymi na kaburach z bronią. Wychodzi na to, że geny są równie cenne jak złoto – pomyślała.

Tuż za drzwiami czekał na nich jakiś czterdziestolatek w ulizanych włosach, z lękiem wypatrujący śladów łupieżu na ramionach. Spojrzał na Damiano, a później na Ann. Mogłaby przysiąc, że patrzył na nią tak, jakby była naga. Ulizany facecik podbiegł do nich i z uśmiechem, który niemal rozrywał mu usta, przedstawił się jako asystent profesora Garilicy, Gavin Warren.

– Panie Haddad, pani Laskowski, profesor bardzo przeprasza, ale został wezwany do nagłego przypadku. Prosił, abym zaprowadził państwa do jego gabinetu, on dołączy za kilka minut.

Ruszyli w kierunku windy. Gavin nie wywarł na Ann dobrego wrażenia, ale profesora polubiła jeszcze zanim go ujrzała. Rzadko który opłacany przez Haddada dyrektor miałby śmiałość przedłożyć sprawy zawodowe nad bicie pokłonów przed miliarderm.

– A gdzie dziennikarze? – zapytał Haddad.

– Objadają się ośmiorniczkami, zapijając je Absyssem w sali obok – zaśmiał się asystent.

– Ten szum nie za wcześnie? – westchnęła Ann.

– Ann, gdy profesor Garilica powiedział mi, że udało mu się zsekwencjonować pełen kod, wysłałem kilka próbek kości do dwóch innych ośrodków badawczych. Powiedziałem im, że pochodzą od mojego ulubionego ogiera. Otrzymałem wyniki potwierdzające. Dopiero wtedy zdecydowałem się upublicznić tę informację.

– Jak na młodego człowieka, jesteś bardzo rozważny.

– To wada czy zaleta?

– O, nie miałam nic specjalnego na myśli.

–Ale chyba rzeczywiście jestem ostrożny. Soczewki kontaktowe GDV mogłem wypuścić na rynek już pół roku temu. Wolałem jednak poczekać i przeprowadzić pełne testy medyczne. I dobrze zrobiłem. Okazało się, że u niektórych osób wywoływały zapalenie spojówek. To zawiła kwestia, uczulenie genetyczne podobne do alergii na orzechy, a w wypadku soczewek na jeden ze składników. Ale teraz jestem już pewien, że każdy może je założyć bez ryzyka.

Wyjaśnienie to, jak dla Ann, było zbyt drobiazgowo. Nabrała pewności, że ten temat go pasjonuje.

–Czy wybrałaś już tytuł dla swojej książki? –zapytał Damiano, gdy przy kawie i ciasteczkach siedzieli w gabinecie. Wuj Damiano, Firas, poprosił asystenta o oprowadzenie po klinice. Po grymasie rozczarowania na twarzy było widać, że Gavin wolałby zostać w towarzystwie miliardera, jednak gdy Damiano zapytał, czy byłby uprzejmy spełnić prośbę wuja, nie miał innego wyjścia. Ann zastanawiała się, czy nie było to celowe zagranie, mające sprawić, by zostali sami.

Dekorator urządzający gabinet profesora załamałby ręce, widząc, że na półkach z abstrakcyjnymi rzeźbami leżą porozkładane książki, a biurko – w wizji przestronne, z kilkoma ekscentrycznymi gadżetami –zostało zawalone stertami czasopism. Profesor zbierał u Ann kolejne punkty.

–Może: *Archeologiczne potwierdzenie mitów homeryckich w świetle badań stanowiska ze szczątkami centaura Eurytiona w Pilion.*

Damiano skrzywił się.

–Ann, nie chodzi o rozprawę doktorską, a o książkę, której już sam tytuł przyciągnie czytelników.

–Przemyślę to. A jak ci się podoba: *Homer – bajkopisarz czy kronikarz?*

–Lepszy, zdecydowanie lepszy. A co sądzisz o takim: *Na tropie centaura?*

–Ale tego jeszcze nie wiemy... –zaprotestowała.

–Już wiemy, Ann –odpowiedział z uśmiechem.

–No tak, ty już z pewnością znasz odpowiedź.

Wzruszył ramionami, przyjmując niewinny wyraz twarzy.

Naraz do gabinetu zajrzał jakiś mężczyzna. Profil psychologiczny okazał

się zgodny z wizerunkiem, jaki sobą przedstawiał. Był to sześćdziesięcioletni, siwiutki, żwawy staruszek o ostrych rysach twarzy, a jednocześnie z łagodnym uśmiechem. Wnuczkowie mogli się go bać, ale też lgnęli do niego. Wszedł zadumany, z pewnością wciąż rozplątując helisę z kodem genetycznym, i dopiero na ich widok otrząsnął się z myśli. Wyciągając obydwie ręce, przywitał się z nimi szczerze. Miał mocne i suche donie.

– Przepraszam, ale prosiaczek 5-Miller, który miał być dawcą wątroby dla klientki, zdechł pomimo reanimacji. To już kolejny przypadek, niestety nie udaje nam się utrzymać ich przy życiu dłużej niż miesiąc.

W tym momencie cała sympatia, jaką Ann darzyła profesora, prysła.

\*\*\*

Hal zmienił się w salę konferencyjną. Dla czterech osób ustawiono stół prezydialny, natomiast dla grupy ponad trzydziestu dziennikarzy, przegnanych od stołu z ośmiorniczkami, zwykłe plastikowe krzeselka. Ann zauważyła jedynie dwie kamery na statywie; większość żurnalistów do rejestracji obrazu i dźwięku wykorzystywała telefony komórkowe lub okulary GDV. Ulizany asystent przedstawił Ann, Damiano oraz profesora, którego też jako pierwszego poprosił o wypowiedź.

– Trzy tygodnie temu pan Haddad zwrócił się do mnie z pytaniem, czy podjąłbym się badań szkieletu odnalezionego przez profesor Ann Laskowski na stanowisku w Grecji w pobliżu Pelion. Na badania dostałem miesiąc. Jak na zakres prac i doniosłość artefaktu, to krótki termin, lecz w mojej klinice pracują najwybitniejsi specjaliści, więc bez zastanowienia podjąłem się tego wyzwania. Dwa zespoły prowadziły prace równolegle. Pierwszy przeprowadzał badania antropologiczne oraz medyczne, dotyczące przyczyny śmierci odnalezionego osobnika. Drugi miał za zadanie odtworzenie kodu genetycznego szkieletu. Z dumą mogę państwu obwieścić, że jestem gotowy do ogłoszenia wyników w obydwu kwestiach.

Wilhelm Garilica, jak na profesora, mówił zrozumiałym językiem, ale nie mógł ustrzec się drobiazgowego wyjaśniania założeń badań.

A także odrobiny autopromocji. Ann zachowałaby się tak samo.

–Metodologia pobierania próbek, nazwijmy je ludzkich i zwierzęcych, pozwoliła nam jednoznacznie potwierdzić, że szkielet odnaleziony przez profesor Laskowski nie jest połączonym szkieletem tułowia człowieka i konia. Odtworzenie kodu próbek pobranych z części tylnej, należącej do czworonoga, wykazało największe podobieństwo do konia domowego *Equus caballus*. Dużą niespodzianką jest natomiast DNA, pochodzące z przedniej części, w tym z kości czaszki. W części ludzkiej centaur wykazuje więcej zgodności nie z genomem *Homo sapiens*, a *Homo sapiens fossilis*, nazywanym kromaniończykiem lub człowiekiem z Cro-Magnon, żyjącym 40 tysięcy lat temu na terenie Europy. Był on, jak na tamte czasy, niezwykle wysoki –jego przeciętny wzrost to 180 cm, przy przeciętnym wzroście *Homo sapiens* 165 cm. Natomiast pojemność jego mózgowiczaszki wynosiła aż 1600 cm<sup>3</sup>, w czasie gdy *Homo ergaster* dysponował góra 900 cm<sup>3</sup>, *Homo erectus* około 1000 cm<sup>3</sup>, a *Homo sapiens sapiens* –czyli my – 1700 cm<sup>3</sup>. W części nam znanej genom centaurów jest bardzo bliski genomowi człowieka. Różnice są mniejsze niż te występujące między nami a szympansem karłowatym *Pan paniscus*, do tej pory uważanym za naszego najbliższego kuzyna. Lecz pojawia się również wiele różnic –genom centaura ma co najmniej kilkaset więcej genów niż człowiek czy małpy człekokształtne. Oczywiście za wcześnie jeszcze, by odpowiedzieć na pytanie, za co one są odpowiedzialne. Wiele z nich to geny znane nam z genomu konia –co naturalne, skoro centaur posiada kopyta i ogon –lecz dużej ich części nie znajdziemy ani w genomie człowieka, ani u konia.

Po wygłoszonym wstępie asystent ogłosił część przeznaczoną na zadawanie pytań. Jako pierwszy odezwał się rówieśnik Haddada, młodzik w okularach GDV o pstrokatych kolorach.

–Kiedy wprowadzi pan na rynek soczewki kontaktowe GDV? Termin już raz został przesunięty.

Centaur był tematem okazjonalnym, może i ciekawym, lecz interesującym niewielu dziennikarzy, a na soczewki miliardy ludzi oczekiwało od roku – pomyślała Ann.

–Sądzę, że sanie Mikołaja przywożącego prezenty będzie już można

ogłądać na żywo – oczywiście mając w oku soczewkę GDV.

– A w zaprzęgu będą renifery, czy może centaury? – zaśmiał się siedzący z tyłu łysiejący pięćdziesięciolatek z piwnym brzuszkiem.

– Nie jestem w stanie zmienić wielowiekowej tradycji. Sam z niecierpliwością wypatruję w zaprzęgu czerwonego nosa Rudolfa. Zapewniam państwa, że to będą renifery.

– Panie Haddad, wprowadza pan świat w wirtualną przyszłość, a jednocześnie wykląda pieniądze na badania archeologiczne. Jak można pogodzić tak różne zainteresowania? – zapytała leciwa kobieta w jasnoszarym kostiumie.

– Świat sprzed mojego urodzenia jest dla mnie tak samo wirtualny, jak świat przyszłości, możliwy do wykreowania w komputerze. Znam go jedynie z wyobrażeń innych. Zawsze fascynowało mnie, gdzie istnieje granica między tym, w co wierzymy, bo tak mówią nam rodzice, dziadkowie lub zapisano to w starych księgach – a zmyśleniem? Czyli wirtualnymi lub fałszywymi obrazami przeszłości. *Biblia*, *Iliada* i *Odyseja* to dzieła sztandarowe dla naszego postrzegania historii. W prawdziwość wydarzeń biblijnych wierzy od wieków wiele osób, Homera – pomimo odkrycia Troi oraz grobu Agamemnona – traktujemy z przymrużeniem oka, jako bajkopisarza. Miałem nadzieję, że pani Ann Laskowski udowodni, że popełniamy w ten sposób błąd.

– Jakie książki czytała pani w dzieciństwie? – ośmielona przykładem starszej dziennikarki, zadała pytanie dużo młodsza przedstawicielka mediów.

– Nocami pochłaniałam Homera, jak też opowieści o hobbitach Tolkiena, czy o stworach światła i ciemności Żelaznego. Te ostatnie zawsze traktowałam jako fikcję, natomiast Homer był dla mnie kronikarzem, potrafiącym w atrakcyjny sposób opowiadać dzieje historyczne.

– A kogo będzie pani teraz szukać? Może Śnieżkę braci Grimm? Albo Babę Jagę? – piwny jegomość najwyraźniej wciąż dobrze się bawił. Dziennikarze wybuchnęli śmiechem.

– Nie wiem czy już teraz mogę na to pytanie odpowiedzieć... To jedynie poszlaki... – Ann zawiesiła głos. Wszyscy na sali ucichli. Na jej twarzy widać było głębokie wahanie. Wśród zgromadzonych podniosły się nieśmiało



głosy, aby ujawniła tajemnicę. –No dobrze, zdradzę coś państwu. Wiem, gdzie ukrywa się Elvis Presley!

Pomruk niezadowolenia przetoczył się po pomieszczeniu, jedynie Damiano zaśmiał się głośno. Po chwili ciszy, dłoń podniósł mężczyzna z tylnego rzędu.

–Mam pytanie do profesora Garilicy –to było pierwsze pytanie skierowane bezpośrednio do uczonego. –Czy sądzi pan, że niektóre geny będzie można wykorzystać do –powiem potocznie –podrasowania biegaczy?

–Teoretycznie to możliwe. Ale do tego nie trzeba wcale DNA centaury. Wystarczą geny mieszkańców Afryki.

–Czy centaury rodziły kobiety czy klacze? –zapytał ironicznie jegomość z brzuchem piwosza.

–To szowinizm –mruknęła zde gustowana Ann. Profesor położył uspokajająco dłoń na jej dłoni i odpowiedział ostro:

–Nie ma pan podstaw do podobnych osądów. Młode równie dobrze mogły rodzić się w wyniku zapłodnienia klaczy przez człowieka.

–Związki kobiet z ogierami stanowiły częsty sposób zaspokajania chuci, poczynając od starożytności, a kończąc na czasach nowożytnych. Natomiast o stosunkach mężczyzn z klaczami jak dotąd nie słyszałem. Nie miały satysfakcji, nie ten rozmiar –zaśmiał się piwny jegomość, lecz tym razem był to odosobniony objaw wesołości. Ann nie wytrzymała:

–Jeżeli ma pan na myśli carycę Katarzynę II, to powinien pan wiedzieć, że to jedynie plotki rozsiewane przez nie lubiących ją Polaków –wyrzuciła z gniewem.

\*\*\*

Po konferencji, Damiano Haddad odprowadzając Ann do limuzyny, przeprosił ją za zachowanie dziennikarza oraz za to, że nie może zaprosić jej na obiad, gdyż musi wrócić do Pentagonu, gdzie negocjuje kontrakt na wykorzystanie soczewek GDV przez żołnierzy. Odpowiedziała, że i tak musiałyby odmówić, bo już wcześniej umówiła się z przyjaciółmi z uczelni

na hamburgery w Bryant Park. Aż oblizwał się ze smakiem.

Stojąc przed limuzyną jeszcze chwilę rozmawiali.

– Czy tego się spodziewałeś? – zapytała rozczarowana przebiegiem konferencji.

– Znalezienie szkieletu to sukces, ale od początku prac liczyłem na coś więcej.

– I co dalej?

– Kilka lat temu, do genomu współczesnego słonia wszczepiono kilkanaście genów mamuta żyjącego sześć tysięcy lat wcześniej.

– A komu wszczepisz geny centaury? – zapytała uszczypliwie, wiedząc, że jest niesprawiedliwa. Damiano był przypadkową ofiarą jej złości, która pojawiła się jako reakcja na głupie pytania dziennikarzy.

– Może asystentowi profesora? – zaproponował.

Zaśmiała się. Ten pomysł bardzo jej się spodobał. Damiano kontynuował:

– A mówiąc poważnie – pewnych spraw nie można powstrzymać, choćbyśmy zastosowali najbardziej represyjne prawo. Nawet religia poddaje się trendom, zmieniając dogmaty. Chociaż robi to zawsze za późno...

– Więc uważasz, że wcześniej czy później ktoś pokusi się o wyhodowanie centaury?

– Raczej wcześniej.

– Ale w jakim celu? – mogła zgodzić się z jego diagnozą, lecz nie dostrzegła powodu.

– Bo to stało się możliwe. Tak, jak góry są po to, aby się na nie wspinać.

Słyszała już to porównanie. Była w nim spora dawka zadufania we własne siły, ale też jakaś odwieczna prawda.

– Przepraszam, to mnie chyba przerasta. Zawsze uważałam, że Homer opisywał istoty żyjące współcześnie, inaczej przecież bym ich nie szukała. Ale sama nie wierzyłam w sukces. Paradoksalnie, spełnienie marzeń okazało się równie trudne do zaakceptowania, jak wcześniejsze przytyki sceptyków.

## Odnalezienie tropu

Federico stał przed lustrem i przykładając palce do wąsów oraz brody, zastanawiał się, jakby wyglądał po zgoleniu wyśmiewanych przez Subirę atrybutów. Nie był zadowolony z rezultatów; uznał, że szybciej stworzy nowy wizerunek, wymazując je ze zdjęcia w komputerze.

Informatyka była wspaniałą zabawą, mogłeś rozwiązywać najtrudniejsze łamigłówki, używając ograniczonej liczby działań. W tym tkwiła jej siła – tak kusząca Federica, jak i niosąca niedosyt słabość. Choćbyś nie wiadomo jak sprytnie ułożył proste rozkazy w cały zestaw skomplikowanych działań, to nie stworzysz nowej wartości. Podobnie było z kodem genetycznym. To jedynie nić koralików nanizanych i utrwalonych w tym porządku prawami fizyki, które bardzo łatwo opisać kodem binarnym, gdyż alfabet genów składa się zaledwie z czterech liter. Federico niegdyś rozważał możliwość odszukania w łańcuchu DNA podpisu Boga. Informatycy lubią ukryć w programie informację ze swoim nazwiskiem, dlaczego więc Bóg miałby być wolny od takiej pokusy? Mógłby to być przekaz w rodzaju: „Stworzyłem cię z nudów. Mam nadzieję, że nie będziesz potrafił odczytać tego wyznania, dopóki sam nie zrozumiesz, że gdy wiesz i potrafisz wszystko, nie masz ochoty ruszyć nawet palcem. Dając ci dociekliwość i wolną wolę, miałem nadzieję, że dostarczysz mi kilku chwil rozrywki, niczym aktorzy z komedii slapstickowych, dokonując równie złych wyborów jak ja”. Federico był niemal pewny, gdzie należy szukać podobnego odcisku – w śmieciowym DNA. Te fragmenty były ignorowane przez genetyków, którzy uznawali je za śmietnik ewolucji. Gdyby on był Bogiem, właśnie to miejsce wybrałby do ukrycia swojej sygnatury.

Dlaczego twórcy ekspresjonizmu z takim upodobaniem postrzegali świat dziwnie wykoślawiony? Dzisiaj, mądrzejsi o wydarzenia następnych lat, z łatwością możemy stwierdzić, że było to przeczucie nadchodzącej katastrofy. Wojen, holocaustu. Gdyby Federico chciał umieścić podobne zastrzeżenia w kodzie programu komputerowego, musiałyby one przybrać postać animowanego facecika, wyciągającego w górę środkowy palec.

Jedynie sztuka była wyzwaniem, potrafiącym przekazać więcej, niż wynikało to z użytych słów, uchwyconych obrazów czy ułożonych na pięciolinii nut. Zasób słów był niemal nieograniczony, a gdy jeszcze

uwzględni się kolejność ich zapisu, liczbę wariantów zdań, ułożenia akapitów –otrzymamy liczbę, której nawet w nieskończonym czasie, nieskończona liczba małych nie byłaby w stanie wystukać na maszynie do pisania. Czy więc siła sztuki polega na obfитоści języka? Nie, tego Federico był pewny. Komendy programu komputerowego też można zapisać w różny sposób. I chociaż kolejnością linijek kodu nie da się dowolnie żonglować, i tak nie wyjdzie z tego nic więcej, niż zostało wcześniej zaplanowane. Linia melodyczna także jest ograniczona do kilkunastu wartości, a mimo to potrafi rozbrzmiewać w nas lękiem, smutkiem lub uczuciem miłości. Siła sztuki tkwiła w pewnym niedopowiedzeniu, zezwoleniu odbiorcy na indywidualną interpretację, uzależnioną od odmiennych przeżyć, a nawet nastroju chwili. Tego nie przewiduje ani program komputerowy, ani kod genetyczny.

Wychodząc z łazienki nieoczekiwanie zaśmiał się przypominając sobie facecika z wyciągniętym palcem. To byłby naprawdę niezły podpis. Po odpaleniu komputera zapomniał szybko o rozważaniach, jakim poddawał się przed lustrem.

Był zły na siebie, że wciąż nie udawało mu się odnaleźć Cristiana. Gdzie ten chłopak się zaszył? O ile nie sześć stóp pod ziemią, to powinien go namierzyć. Przecież spektrum wchodzących w grę możliwości było ograniczone. Federico musiał jedynie odnaleźć ukryty w głowie nastolatka klucz. Po porażce poszukiwań rogowca, był to jedyny trop mogący pomóc Terremu w prowadzonym śledztwie.

\*\*\*

Z zero-jedynkowego świata rozmyślań wyrwał go telefon od Terrego, który wpraszał się z wizytą. Federico poczuł, że jest głodny. Nie zauważył, kiedy minęło sześć godzin, podczas których wypił przy komputerze trzy piwa. Przed przyjazdem przyjaciela zdążył jeszcze zjeść zamówioną pizzę.

Terry przysiadł na parapecie i od razu przeszedł do sprawy.

–Po fiasku poszukiwań rogowca pozostał nam jedynie Cristian i –ale to tylko moje przypuszczenie –udział porwanych w badaniach „Pokaż nam

swój kod, a damy ci zdrowie”. Chociaż wciąż nie widzę powodu, dlaczego mieliby porywać ludzi –oznajmił z nutą goryczy.

–Mógłbym odpowiedzieć, że do jakichś testów –zauważył bez przekonania Federico. –Tych osób nikt nie będzie szukał, to idealne króliki doświadczalne.

–To za mało... –pokręcił głową Terry. –Na śmietniku dobrobytu co roku znajdziesz miliony osób. Łatwiej i taniej przeprowadzić to w innych krajach.

–Śmieciowi ludzie w Nowym Jorku są równie tani. I mają jeszcze jedną zaletę: znajdują się pod ręką –zawyrokował Federico i po krótkim zastanowieniu dodał: –A może nie chodzi o mięso dla zabiegów, lecz o ich DNA?

–Ale co takiego może być w kodzie genetycznym nic nieznaczących ludzi? Oni nie ozdrowieli w wyniku boskiej interwencji –skrzywił się Terry. –Rozmawiałem o tym z Subirą, miała wypytać swoją szefową, ale ta jest na urlopie.

Umilkli na chwilę.

–A mógłbyś mi podesłać kilka próbek DNA osób, które wzięły udział w tej akcji medycznej? –zapytał niespodziewanie Federico.

–Umiesz czytać kod genetyczny?

–Nie –zaśmiał się. Terry już chciał powiedzieć mu kilka ostrych słów, gdy ten dodał: –Ale kiedyś napisałem program, który może szybko je porównać, wyłapując genetyczne anomalie.

–Dobrze, że Subira tego nie słyszy. Przecież DNA to chemia i fizyka, a nie informatyka.

–Dla biologa. Dla mnie to jedynie kod binarny. Mamy cztery nukleotydy, które można zastąpić czterema wartościami kodu: 00, 11, 01 oraz 10. A gdy to zrobimy, nieczytelny kod ACGT zacznie układać się w ciąg zer i jedynek zrozumiałych dla informatyków. A stąd już nieduży krok do tego, aby z owego ciągu wyłować powtarzające się sekwencje. Wiele z nich to instrukcje budowy białek, lecz są i takie, które można nazwać rozkazami. Co najciekawsze –są takie cztery. Dodaj, odejmij, pomnóż, podziel. Od tego wszystko się zaczyna.

–Ciekawe. Zawsze uważałem, że jeżeli kiedyś odkryjemy, czym w istocie

jest wszechświat, będzie to zrozumiałe dla każdego – zainteresował się Terry.

– ... Ciekawe, ale nie moje – westchnął z żalem Federico. – Pomysł zaczerpnąłem z mało znanej książki polskiego autora, zatytułowanej *Klucz do DNA*. Wnioski posłużyły mi do napisania programu, zamieniającego ułożenie nukleotydów w strukturę informatyczną. Bramki logiczne, pętle. Próbowałem to sprzedać klinikom, ale nie były zainteresowane. W końcu kupiła go jakaś firma za śmieciowe pieniądze. Genetykom białka przesłaniają oczy – a używając mojego programu mogliby dokonać skoku jak z ery parowej w elektryczną.

– Jakich rozkazów zamierzasz szukać?

– To nie tak. Na początek będę chciał porównać kod porwanych osób z kodem jakichś zwykłych ludzi. Jeżeli program wyłapie, że znajdują się w nim sekwencje, których inni nie posiadają – przyjdzie czas na rozgryzanie, za co one odpowiadają.

– Nieznane geny?

– Mało prawdopodobne. To, że jakiś fragment DNA jest genem, biolodzy ustalają po sekwencjach startowych oraz liście aminokwasów budujących białka. Nić DNA została dokładnie przeszukana pod tym kątem i niczego nowego już raczej nie znajdziemy. Ale może nie wiesz, że gdy porównamy geny, okaże się, że tylko w niewielkim stopniu różniły się od małp czy banana. Istota człowieczeństwa to warunki budowania białek. Na im wyższym szczeblu ewolucji znajduje się organizm, tym tych warunków jest więcej.

– Myślę, że da się to załatwić, podeślę ci kod ich DNA. A teraz wróćmy do tego, gdzie jesteśmy w tej chwili. Musimy odnaleźć Cristiana. Nadal nic nie znalazłeś?

Federico niechętnie przyznał się do porażki.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest, ale na pewno nie ma dostępu do sieci. Nie używa okularów GDV, telefonu, skrzynki pocztowej. Nie daje mi żadnej szansy, abym mógł go wytropić. Okazuje się, że miliardy dolarów wykładane na sprzęt komputerowy, satelity i etaty tysięcy ludzi mających śledzić każdy nasz krok – bardzo łatwo obejść. Wystarczy jedynie zrezygnować z wymuszonego przez rozwój cywilizacyjny stylu życia.

–Rodzice? –przerwał mu Terry, bojąc się, że Federico wskoczy na ulubiony temat spisku korporacyjnego i już nic go nie zatrzyma.

–Mają wspaniałą posesję, naszpikowaną kamerami niczym Biały Dom. Podpiąłem się do ich systemu i podglądam... –Terry spojrzał na niego z niesmakiem. –Nie osobiście, robi to program szpiegujący, ustawiony na jego twarz. Monitoruje wszystkie pomieszczenia przez całą dobę i –jak na razie –niczego nie złapał. Synalka nie było w domu rodziców od niedzieli, kiedy to wysadziłeś go z *Trzmiela*.

–Wspominał o śledzeniu statków wielorybicznych –Terry podsunął przyjacielowi kolejny trop. –Bardzo zależało mu na tym rejsie, podrasował w tym celu drona.

–Już o tym mówiłeś. Sprawdziłem manifest statku, nie zgłosił się na pokładzie.

–Nawet pod fałszywym nazwiskiem?

–Terry, za kogo mnie uważasz? Sprawdziłem dokładnie. Nawet w portach są monitory. Przejrzałem zapisy przed wypłynięciem w morze i zapewniam cię, że nikt podobny do niego nie wszedł na pokład. Może podpowiesz mi coś, czego nie wiem?

–Gdy pytałem go czy ma się gdzie ukryć, uśmiechnął się tak, jakby myślał o dziewczynie.

–Zaczekaj... –Federico zaczął przeglądać dokumenty w Internecie. –Na wyprawę nie zgłosiły się dwie osoby. On i niejaka Andrea Ubels. Też działa w Greenpeace.

–Gdzie mieszka? –zapytał Terry.

–Sprawdzam. Nie pochodzi z Nowego Jorku, mieszka w akademiku.

–Są wakacje. Skąd przyjechała?

–Hm, ona jest z Kanady. Jakaś miejscina sto kilometrów od Toronto.

–Cristian mógł uznać, że w Kanadzie będzie bezpieczny... –zastanowił się Terry, błędząc wzrokiem po ścianie z plakatami. Te krzywizny go jednak rozpraszały.

–O kurczę –usłyszał zdziwiony głos Federica.

–Coś nie tak? –spojrzał na ekran. Federico przeglądał stronę Wikipedii.

–Tam jest osada mennonitów. To odłam religii podobny do amiszów –

odpowiedział.

– To by tłumaczyło odcięcie od telefonów i sieci. Muszę to sprawdzić.

Terry zerwał się i ruszył do wyjścia.

– Czy myślisz, że gdybym zgolił wąsy i brodę, Subira spojrzałaby na mnie łaskawszym okiem? – pytanie Federica złapało go już w drzwiach. Zatrzymał się i zazgrzytał zębami. Najchętniej odpowiedziałby, że skąd on ma o tym wiedzieć. Uznał jednak, że przyjaciel potrzebuje pomocy. Przyjrzał mu się uważnie, przechylając głowę w prawo i w lewo.

– Myślę, że nie – rzucił po chwili. Nie mógł sobie wyobrazić ogolonej twarzy Federica.

## Wyprawa do innego świata

Po powrocie od Federica, Terry zastał Ann siedzącą z podwiniętymi nogami na kanapie. Zatopiona w myślach przeglądała jakąś książkę, a kilka innych leżało rozłożonych. Terry zauważył, że były to nowe tomy, bo sterta książek do przeczytania, czekająca od miesięcy w rogu pokoju, nie została naruszona. Jak jej powiedzieć, że musi wyskoczyć do Kanady? – zastanawiał się. Chyba że... – przyszedł mu do głowy szalony pomysł.

– Pojedziemy na krótkie wakacje? – zapytał, przysiadając na ławie. – Zapraszam cię na wyprawę do innego świata.

– Terry, mów prawdę – zażądała, nie odrywając wzroku od lektury.

– Odnaleźliśmy z Federico trop tego chłopaka, który przyczepił pluskwę do samochodu porywaczy.

– Czyli to wyjazd służbowy. Co to za wakacje... – skrzywiła się.

– Połączymy wyjazd służbowy z mini wakacjami. Pojedź ze mną do enklawy, gdzie nie rozmawia się przez telefon komórkowy, a jedynie patrząc sobie w oczy – przyklęknął przed kanapą.

– To możliwe? – lekki uśmiech z trudem przebił się przez minorową minę.

– Wyobraź sobie, że są jeszcze takie miejsca.

– A niech tam, jedźmy! – odrzuciła książkę.



Terry ze zdziwieniem skonstatował ten niespodziewany objaw radości.

– Ucieknę przed mediami – wyjaśniła. Konferencja całkowicie ją rozbiła, a ciągle telefony od dziennikarzy nie pomagały się pozbierać. Gdyby to byli redaktorzy z „Scientific American” lub „Nature”. Ale nie, wydzwaniali tylko ci z „Faktów i Mitów” czy „Kobiety wyzwolonej”. Będzie mogła uwolnić się od ich głupich pytań.

Szybko sprawdzili w Internecie połączenia.

– Polecimy do Region of Waterloo International Airport, a stamtąd pozostanie tylko kilkadziesiąt kilometrów do St. Jacobs – podsumował swoje poszukiwania Terry.

Ann jeszcze przez chwilę przeglądała mapę.

– Zanocujemy w Breslau – wskazała na mały punkcik na mapie.

– Dlaczego?

– Bo Breslau to po polsku Wrocław. Jestem ciekawa jak wygląda kanadyjski Wrocław.

– Ale tam nie ma żadnych hoteli, musimy znaleźć inne miejsce do noclegu – zmartwił się Terry.

– To weźmiemy auto z wypożyczalni i zanocujemy tam, gdzie nam się spodoba.

\*\*\*

Skończyło się na tym, że przenocowali w wynajętym aucie na łące, w pobliżu mostu na rzece Conestogo. Wcześniej minęli jeden motelik, ale nie chcieli zatrzymać się tak wcześnie na nocleg. Most miał stalową konstrukcję, lecz nawierzchnię z desek i był wąski na szerokość jednego samochodu. Zablokowali przejazd, obserwując płynącą wodę, na szczęście nikt nie przyjeżdżał. W nagłym porywie Ann zaproponowała, aby wrzucili telefony do rzeki. Terry, nie namyślał się długo, już wziął zamach, lecz w ostatnim momencie rozsądek Ann kazał im ograniczyć zerwanie więzów z cywilizacją do wyjęcia z komórek baterii. Później zjechali z mostu, gdyż nie chcieli, aby ktoś im przeszkadzał trąbieniem... A jeszcze później obserwowali zachód

słońca i już nie mieli ochoty wracać. W końcu pojawił się księżyc. Jego tarcza znajdowała się w pierwszej kwadrze. Obserwowali jego ślamazarną wędrówkę po bezkresie zimnego nieba.

– Czy zauważyłeś, że im bliżej horyzontu, tym staje się większy i nabiera kolorów? – zapytała Ann, jakby widziała go po raz pierwszy. – Gdy jest wysoko na niebie, jest małą, zimną plamką. Gdy dotyka ziemi pąsowieje i puchnie, jakby ze wstydu.

Terry mógłby jej wytłumaczyć, że wielkość tarczy satelity w czasie jednej nocy jest zawsze taka sama i jedynie złudzenie ludzkiego wzroku ją powiększa. Na pustym niebie nie mamy punktu odniesienia dla określenia wielkości, wydaje się więc pyłkiem rzuconym w nieznane, gdy jednak znajdzie się w pobliżu koron drzew czy dachów domów, zauważamy, że jest olbrzymi, z pewnością wielokrotnie większy od nas. Powinien tak odpowiedzieć, ale uznał, że w tę noc magia jest ważniejsza od nauki i dodał ugodowo:

– Czerwienieje nie ze wstydu, a z lęku, że ludzie zechcą mu zrobić krzywdę. Dlatego też nadyma się, abyśmy myśleli, że jest większy, groźniejszy. Może chciałby obserwować naszą miłość z bliska, lecz się boi?

Przed świtem zrobiło się zimno, lecz gdy wyjrzało słońce, w kilkanaście minut ogrzało wnętrze, rozbudzając śpiochów. Na śniadanie pojechali do The Black Forest Inn, naprzeciwko remizy strażackiej, która była zwykłym garażem na dwa samochody. Restaurację otwierali dopiero o 10.30, więc ruszyli dalej. Jednak trudno było znaleźć w okolicy czynny bar, wszystko otwierano dopiero po 10. Udało im się odnaleźć piekarnię z domowymi wypiekami Sittler's Home Baking, czynną godzinę wcześniej, w której wyprosili kilka gorących i chrupiących bułek. Piekarz dał im nawet butelkę mleka z prywatnej lodówki. Wrócili na łąkę przy Conestogo i siedząc na trawie, z widokiem na niebo, zjedli śniadanie. Było płasko i nic nie przesłaniało kopuły nieboskłonu. Stada białych baranków płynęły wolno, powoli robiło się ciepło i nie mieli ochoty na nic innego, jak tylko ułożyć się wygodnie w trawie i gapić na chmury.

– W Grecji też jest tak pięknie – westchnęła Ann. – A na tarasowo położonych sadach, rosną niesamowicie duże, zielonożółte, słodkie jabłka.

Nazywają się Golden Delicious. W pewną niedzielę zaprosił mnie do domu na obiad Alexis. Później spacerowaliśmy po rozrzuconych na zboczach sadach, a ja weszłam na jedno drzewo, aby zerwać najwyżej rosnące jabłko. Było takie piękne, tak kuszące. Ale rosło na cienkiej gałęzi, i bałam się, że spadnę. Wyobraź sobie, że wychylając się, widziałam w dole morze. Fale rozbijające się o brzeg, kamyki na plaży. W końcu udało mi się je zerwać i z rozkoszą wtopiłam zęby w soczysty miąższ, który był jak nektar bogów... Ale nie ten z dyskoteki, po którym rzygałam... –dodała po chwili. – Zerwałam to jabłko, a później żałowałam, że nie pozostawiłam go na tej cienkiej gałęzi. Odkryłam też grób centaury, a teraz zastanawiam się, czy to dobrze, że tak się stało...

– Tutaj też jest pięknie – zauważył Terry.

– No właśnie. A co ważniejsze – jesteś przy mnie.

– Może masz rację? – Terry przypomniał sobie, że w Grecji gwiazdy są na wyciągnięcie ręki. Oczywiście w nocy, bo w dzień ich nie widać. Ciekawe, czy na planecie, na której nie ma nocy, gdyż słońce – lub kilka słońc – nieustannie oświetla jej powierzchnię, tak że ludzie nigdy nie widzą gwiazd, zadawano by sobie pytania o sens bytu, Boga, stworzono by niebo i piekło? Teleskop Jamesa Webba poszerzył ponad dwukrotnie granice Wszechświata. A nowo budowany teleskop będzie miał stokrotnie większą rozdzielczość. Czy wtedy okaże się, że nasz Wszechświat jest tylko jednym z milionów wszechświatów? I że nie ma około piętnastu, a pięćdziesiąt, sto miliardów lat?

– W czym mam rację? Że zerwałam to jabłko? – zapytała Ann, lecz on już zapomniał, co miał na myśli, gdyż napłynęły następne, tak samo ważne.

– Jakże niewiele trzeba, by być szczęśliwym. Czyż nie można zastygnąć w tym stanie na zawsze? – zapytał Terry, wzdychając głęboko. – Dzisiaj świat tak szybko się zmienia, że nikt nie myśli o sukcesie za kilka lat, po dziesięcioleciach. Zwycięstwo trzeba odnieść teraz, bo nie wiadomo, jak będzie wyglądało jutro. Wybierzesz karierę konstruktora samolotów, a tu za pięć lat okaże się, że uruchomione zostaną kwantowe transportery, przenoszące ludzi na drugą stronę globu w ułamku czasu potrzebnego do mrugnięcia okiem. Gdzie wszyscy tak się spieszą? Dlaczego nie

zatrzymają się w jakiejś chwili i nie spróbują rozciągnąć jej na wieczność?

– Mamy marzenia – zauważyła Ann.

– Gdy obserwuję obłoki na niebie, mam całe stada marzeń.

Pojawiły się kolejne chmury. Wśród baranków zaplątała się jakaś czarna owca. Rosła z każdą chwilą, rozganiając wystraszone, mniejsze obłoki.

– O tym mówię. A jak chcesz je zrealizować? – naciskała Ann. Terry spojrzał na dziewczynę wzrokiem dziecka, któremu odebrano zabawkę. Z pewnym zrozumieniem, lecz i nienawiścią. Lękiem przed karą oraz z gorączkowym poszukiwaniem sposobu odzyskania utraconej zabawki.

Ann podniosła się, usiadła i przekonywała go dalej:

– Obserwacja to narodziny marzeń, lecz później trzeba się nimi zaopiekować. Chuchać przez wiele dni, karmić i walczyć o nie.

Teraz czarny baran zakrył słońce. Natychmiast zrobiło się chłodno. Biała tarcza nadal była widoczna na obrzeżach czarnego barana, lecz nie miała już siły ogrzać łąki z leżącym Terryem, odliczającym sekundy, aż słońcu uda się wyzwolić z władzy czarnego barana. A gdy w końcu się uwolniło, Terry od razu poczuł jego promienie delikatnie tańczące na swoim ramieniu i dłoni.

– Zrujnowałaś moje marzenie... – skrzywił się.

– Jedynie o pozostaniu tu na zawsze. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy przyjeżdżali tu częściej.

– To niemożliwe – pokręcił głową. – Po powrocie wpadniemy w maszynę cywilizacji i jedynie w snach będziemy wracać do tych chwil.

Następne czarne owce wypływały spod horyzontu, zajmując coraz większą część nieba. Aż nie było już białych baranków. Już nawet nie było widać tarczy słońca. Ziemię zasnuła czarna kurtyna.

– To możliwe! – Ann nie zgadzała się z Terryem. – Wszystko zależy od nas. A ty podobno jesteś uparty.

– Nie tak jak ty – mruknął zniechęcony. – Brakuje mi wiary, że mam dość siły, by zrealizować marzenia. Musisz mi pomóc.

– Nie ma sprawy – odparła stanowczo. Wstała i otrzepała się ze źdźbeł trawy. Terry nadal leżał, więc Ann podała mu dłoń.

\*\*\*

St. Jacobs okazało się niewielkim miasteczkiem o dwóch obliczach. Po jednej stronie drogi znajdowały się precyzyjnie wytyczone poletka z domami mieszkalnymi, po drugiej centrum dystrybucyjne materiałów i narzędzi domowych. Mieścina nie wyróżniała się niczym szczególnym. Niska, parterowa zabudowa. Nie było znaków ostrzegających przed furmankami, a po ulicach poruszały się tylko samochody. Czyżby porównanie do wiosek amiszów było jedynie chwytem reklamowym? – pomyślał Terry. Jeżeli tak, to założenie, że Cristian nie ma dostępu do sieci internetowej lub telefonu komórkowego było błędne i chłopak nie ukrył się tutaj. Wtedy ich wakacyjno-służbowy wyjazd zamieni się wyłącznie w wakacyjny.

GPS w samochodzie skierował ich w polną drogę Old Scout, a później w prawo, w Printery Road. Za drzewami ujrzeli zabudowania gospodarskie oraz spichlerz. Na podwórzu jakiś mężczyzna we flanelowej koszuli klęczał przed kosiarką elektryczną, rozkręcając jej bebecchy. Miał długą brodę, ale chyba nie był ortodoksyjnym mennonitą, bo przecież oni koszą trawę kosą.

– Zastąłem panią lub pana Ubels? – zapytał Terry wychylając się przez okienko.

Mężczyzna obejrzał się, ocierając pot z czoła i, trzymając uniesiony klucz, tylko pomachał dłonią, wskazując, by jechali dalej.

– Dziękuję.

Wąska droga pośród pól kukurydzy poprowadziła ich do długiego budynku, z kilkoma elewatorami na jednym końcu oraz gnojówką na drugim. Strasznie śmierdziało. Takiego smrodu szamba Terry nigdy jeszcze nie czuł. Praca tutaj była chyba najbliższą prawdą o życiu. Z dala od perfum cywilizacji. Z budynku wyszedł czerstwy brodacz, także we flanelowej koszuli, gumiakach i w czarnym kapeluszu na głowie. W ustach mełł słomkę. Spojrzał na nich obojętnym wzrokiem i, nie wyjmując słomki z ust, wymruczał:

– Musicie zawrócić. Tu nie ma sklepów.

– Szukamy Andrei Ubels – wyjaśnił Terry.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko podrapał się po brodzie.

– Przyjechaliśmy do Cristiana – dodała Ann. Terry spojrział na nią z wyrzutem. Przecież nie mają pewności, że chłopak tutaj jest. Mężczyźni to imię może nic nie mówić, najpierw muszą porozmawiać z Andream.

– A, do miastowego – okazało się, że wiedział, o kim mowa. A nawet zdobył się na pełniejszą odpowiedź: – Oboje są teraz w pracy.

Uznał, że to powinno im wystarczyć, i postanowił wrócić do pracy.

– A gdzie pracują? – siląc się na spokój zapytał Terry.

– W muzeum kolejnictwa – wyjaśnił zdziwiony, że tego nie wiedzą. Spojrzął w górę, na słońce i oznajmił: – Za pół godziny skończą kurs. Będą mieli kilka minut przerwy, możecie z nim porozmawiać.

\*\*\*

Pociągi odjeżdżały co dwie godziny. Na stacyjce przy Waterloo Central Railway Museum pojawili się kwadrans przed odjazdem, skład już czekał na pasażerów. Na końcu były dwa niebieskie wagony pasażerskie z barem przekąskowym, a dalej fioletowy wagon Canadian Pacific. Przed nim czerwony, krótki wagonik na drewno, a na początku największa atrakcja – lokomotywa. Czarna, w osnowie białej pary, buchająca szarym dymem. Prawdziwa moc budząca szacunek, zaklęta w kołach zębatych i tłokach, a nie ukryta pod plastikowymi osłonami współczesnych silników hybrydowych. Szybko wbiegli na peron, przechodząc przez dziurę w płocie oddzielającym ich od torów. Długa kolejka dzieci z rodzicami lub dziadkami, być może pamiętającymi podobne składy z młodości, oczekiwała na możliwość podróży w przeszłość.

Terry rozejrzał się po peronie. Przy ostatnim wagonie stał kolejarz w czarnym mundurze, trzymając przy nodze opuszczony lizak. W jego ustach tkwił gwizdek. Gdy odwrócił się, Terry dostrzegł, że to Cristian.

– Jest tutaj. Przejedziemy się? – zapytał Ann z błyskiem w oku. Mogli spróbować porozmawiać z nim na stacji, ale uznał, że więcej czasu będą

mieli w trakcie przejazdu.

– Jeszcze pytasz? Nawet gdyby go nie było, zmusiłabym cię do podróży.

Na peronie odnalazła się również dziewczyna Cristiana. Andrea pomagała wsiąść pasażerom do fioletowego wagonu, którego dolny stopień tkwił kilkadziesiąt centymetrów nad peronem. Terry nie chciał jej wystraszyć, więc nie pytał o chłopaka. Kupili bilety i wsiedli do wagonu z drewnianymi ławkami. Po chwili do środka weszła też Andrea.

Cristian machnął lizakiem, lokomotywa zagwizdała donośnie i skład zatrzęsł się od nagłego szarpnięcia. Koła z trudem zaczęły toczyć się po torach. Gdy Cristian już sprawdził, czy nikt nie próbuje dostać się do pociągu w ostatniej chwili, wskoczył na stopień wagonu zamykającego skład.

Żelaznym mostem przejechali rzekę Conestogo, przemknęli przez drogę Hawkesville, Arthur i kolejne, gwizdząc przed każdym przejazdem. Ann, z nosem przy szybie, zatopiła się w obserwacji sielankowego krajobrazu, przesłanianego od czasu do czasu białą parą z komina lokomotywy. Terry zastanawiał się, czy chłopak przekaże mu dostęp do danych. W końcu zjawił się w ich wagonie. Widok Terrego nie wystraszył go, można było nawet odnieść wrażenie, że się ucieszył.

– O, witam. Myślałem o spotkaniu z tobą – powiedział, kasując bilety.

– Nie spieszyłeś się... – Terry nie mógł odmówić sobie drobnej uszczypliwości.

– Wybacz – usłyszał szczere przeprosiny, potwierdzone szerokim uśmiechem.

– Możemy porozmawiać?

– Niebawem dojedziemy do stacji Elmira. Będę miał kilka minut wolnego, przyjdę po ciebie.

Nie zwodził. Rzeczywiście zjawił się tak, jak zapowiedział. Zaprosił ich na przekąskę do przedziału konduktorskiego. Z kiełbasą mennonicką w menu – jak zapewnił. Tym specjałem okazało się niezwykle aromatyczne pęto kiełbasy, wędzonej w dymie z drzewa klonu i orzecha. Do przegryzienia otrzymali chleb z żytniej mąki, upieczony przez mamę Andrei, a do popicia kompot wiśniowy. Z zewnątrz kiełbasa nie zachęcała do spróbowania. Była

brązowa i pomarszczona. Nie dawało się jej porównać do lśniących ciemną czerwienią kiełbas i wędlin z marketów. Za to wnętrze... Tak pysznej wędliny Terry nigdy jeszcze nie próbował. Ann posiłek również smakował, palce od zdejmowania skórki miała całe w tłuszczu. Czas biegł, lecz nie wypadało przerywać jedzenia i Terry niecierpliwie czekał, aż będzie mógł zadać pytania. Delektowali się więc pyszną kiełbasą ograniczając rozmowę do zdawkowych słów. Ann była zachwycona, wprost rozplątywała się w zachwytach: „Mniam, mniam. Ale pycha”. Dzięki temu szybko nawiązała kontakt z młodymi uciekinierami.

– Można ją jeść ze skórką. To nie sztuczne tworzywo, a zwierzęcy flak – wyjaśniła Andrea. Ann uniosła ze zdziwieniem brwi, a po chwili bez wahania zatopiła zęby w kiełbasie, odgryzając kawałek i połykając bez zwracania uwagi na skórkę.

Szybko zjedli posiłek, popili go kompotem i wytarli ręce lnianymi chusteczkami, które podała im Andrea.

– Czekalem na wiadomość od ciebie – Terry żałował, że musi przerwać młodym ich spokój, ale miał nadzieję, że szybko mu to wybaczą.

– Przepraszam, porzuciłem dawne życie i zapomniałem, że mam do spłacenia dług.

– Już nie mówisz mi dziadku? – zaśmiał się Terry.

– W porównaniu do osób żyjących tutaj, jesteś takim samym młokosem jak ja. Nawet nie mamy prawa nosić brody, gdyż nie mamy żon. Naprawdę wystraszyłem się tym pościgiem rogacza. Andrea była jedyną osobą, której mogłem zaufać. Zmieniliśmy całkowicie nasz styl życia. Ale nie żałuję tego – dodał, przytulając swoją dziewczynę. Andrea przez cały czas obserwowała Cristiana, jakby chciała mu pomóc. Albo sprawdzała, czy przemiana chłopaka jest prawdziwa – podszeptął Terremu jego wewnętrzny sceptyk. Optymista w nim jednak zazdrościł Cristianowi, chociaż zachowanie Andrei przypominało mu „testowanie”, jakiemu poddawała go Ann.

– I co, zostaniesz teraz maszynistą? – zapytał.

Cristian zaśmiał się.

– Nieprędko... Jest nim dziadek Andrei. Wcześniej zabraknie nam części zamiennych do napraw, niż on zrezygnuje z pracy.



– Czyli będziesz konduktorem?

– To praca na wakacje. Po ślubie zamierzamy kupić kawałek ziemi. Odrestaurujemy dom, postawimy stodołę...

– Porzuciłeś budowę bazy na Marsie na rzecz budowy stodoły?

– Baza na innej planecie zaspokoi jedynie ludzkie ambicje. Stodoła pomoże przetrwać rodzinie. Co jest ważniejsze? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi. Jednak Terry musiał mu uświadomić skutki podobnej decyzji.

– Wiesz, że idąc tą drogą, podążasz wprost na śmietnik cywilizacji?

– Nie boję się tego. Mam Andreę.

– Dlaczego nie zgłosiliście się na statek? – do rozmowy wtrąciła się Ann, wyręczając go w zadaniu niezręcznego pytania.

– Wziąłem poważnie ostrzeżenie Terrego – odpowiedział zdawkowo chłopak.

– Nie chcieliśmy narażać załogi – Andrea uzupełniła jego wyjaśnienia. I Terry jej uwierzył. Musiał przyznać, że ta dwójka dzieciaków do siebie pasowała. Byli jak on i Ann, tylko mieli więcej wiary w siebie. Z pewnością będą żyć szczęśliwie. Bo czy długo, to nie zależało tylko od nich.

– Nie złapałeś rogacza? – zapytał Cristian.

– Jeszcze nie. Brakuje mi tropu, twojego tropu – mruknął Terry.

– Zapiszę ci namiar na konto oraz hasło. Wśród danych odnajdziesz trasy rogacza.

– Nie boisz się, że wykradnę twoje tajemnice?

– Nie mam już żadnych tajemnic.

– Chcemy tu spędzić kilka godzin. Podpowiecie nam coś do zwiedzenia? – zapytała Ann.

– Nie planujcie niczego, idźcie na żywiol – zaproponowała Andrea. – Tu najpiękniej jest jesienią. Takiej palety barw na drzewach nie zobaczysz nigdzie.

\*\*\*

Ann i Terry pomachali rękoma odjeżdżającym pasażerom następnego kursu

kolejki, a zwłaszcza jej obsłudze – Andrei i Cristianowi. Pociąg już odjechał, mogli przejść na parking, lecz nie ruszyli się z miejsca. W końcu Ann obejrzała się na Terrego, patrząc na niego z łobuzerskim uśmiechem. Uniósł pytająco brwi. Roześmiała się.

– Wracamy. Możesz włożyć baterię do telefonu – nie mogła już dłużej powstrzymać śmiechu.

– Przecież mieliśmy zostać na trzy dni, a nie minął jeszcze jeden? – zapytał z udawanym zdziwieniem.

– Zdałeś egzamin – odpowiedziała, chwytając go pod ramię.

– To był jakiś egzamin?

– Mhm, z możliwości poświęcenia się. Ale sama jestem pracoholiczką, więc nie będę ciebie dalej katować. Wiem, że chciałbyś jak najszybciej podjąć nowy trop. Nie chcę stawać ci na drodze. Jak i tobie nie radzę na mojej. Mimo że jestem mniejsza, staranuję cię.

– Jesteś niższa, nie mniejsza – zauważył Terry.

– To napoleońskie kompleksy. Jestem nie tylko niższa, ale i drobniejsza. W sumie – mniejsza. Co nie znaczy, że słabsza.

Terry doskonale o tym wiedział, dlatego bez skrupułów pozwolił sobie przerwać jej słowotok buziakiem, który zamienił się w długi, namiętny pocałunek. Dopiero po kilku minutach ruszyli w kierunku parkingu.

Terry zastanawiał się, czy nie wezwać śmigłowca lub przekazać namiarów chmury Federico telefonicznie. Po dłuższej chwili wahania uznał, że nie są to dobre pomysły. Jeżeli wezwie śmigłowiec, będzie musiał uzasadnić taką decyzję ważną przyczyną, czyli ujawnić wywiadowi dane z pluskwy. To było w pewnym sensie rozsądne, lecz Terry czuł dziwną niechęć do takiego rozwiązania. Może powodował to fakt, że musiałby ujawnić udział w całej sprawie Cristiana i narazić go oraz Andreeę na przesłuchania?

Wybrał powrót rejsowym samolotem. Dodatkową korzyścią okazało się to, że mieli przed sobą jeszcze jeden nocleg – z dala od codziennego kieratu.

## Rozdział 6.

# Klonowanie na zamówienie

### Zaciskanie węzła

Z wakacji w Tel Awiwie wróciła szefowa Subiry Milena Pachelevich. Nie odwiedziła domu od kilku lat i przez godzinę opowiadała, jak zmieniło się to miasto. Już od dziesięcioleci było zmilitaryzowane, niemal na każdej ulicy napotykało się patrole, jednak dzisiaj nie dawało się w nim żyć. Wielu mieszkańców wyjechało, ale dużo więcej przybyło z zewnątrz. Żydzi uciekali z terenów wiejskich oraz z mniejszych miasteczek i Milena mówiła, że jak tak dalej pójdzie, to poza kilkoma oazami, na terenach pustynnych pozostanie jedynie piasek, skorpiony i Arabowie. Subira słuchała Mileny z ciekawością, cały czas zastanawiając się, jak przejść do pytań, które pomogłyby wyjaśnić porwania. Udział w prywatnym śledztwie Terrego nie był dla Subiry łatwy. Z jednej strony dawał poczucie przynależności do grupy, o którym mówiła Federico, lecz z drugiej stanowił bolesne wspomnienie przeszłości. A wspomnień nie można ograniczyć do określonej daty lub wydarzenia. Jeden fakt przywoływał kolejne, równie nieciekawe, upchnięte w zakamarkach umysłu, które z chęcią wyrzuciłaby z pamięci.

Jej ojciec grał w kapeli wykonującej rocka progresywnego, matka była pływaczką. Subira odziedziczyła obydwie pasje, tylko nie potrafiła zdecydować, która z nich będzie jej własną. Tym bardziej, że osiągnięcia

rodziców nie mogły posłużyć za wzór. Matka co prawda startowała na Olimpiadzie w Montrealu w 1976 roku, lecz nie zdobyła medalu. Natomiast największym sukcesem ojca był występ z Frankiem Zappą na koncercie w Nowym Jorku w 1977, po którym jej rodzice poznali się. W sumie duży przypadek: jeden z członków zespołu Zappy zachlał, a ojciec akurat nie był na haju. Tak przynajmniej wyznał, gdy w wieku 12 lat przeżywała załamanie z powodu wykluczenia z reprezentacji szkolnej w pływaniu: „Czasami coś, co wydaje się nam największym osiągnięciem życia, nie jest tego warte; a po latach okazuje się nim coś, na co nigdy nie zwracaliśmy większej uwagi. Dla mnie to jesteś ty, moja mała syrenko, tylko dzięki tobie mam jeszcze siłę wstać rano, by zmierzyć się z kolejnym dniem”. Przeżywając w samotności klęskę, zaczęła słuchać winylowych płyt z kolekcji ojca, chociaż wszyscy odtwarzali utwory na kompaktach. Ta muzyka była już wtedy historią, niemającą nic wspólnego z grunge, house czy techno. Rówieśnicy śmiali się z niej, mówiąc, że grzebie w śmieciach, lecz dla niej rock symfoniczny czy progresywny był niczym rejs po tajemniczym, magicznym świecie. Drażniło ją płaskie brzmienie utworów słuchanych przez rówieśników.

Początkowo nie wybrała muzyki jako sposobu na życie. Zdecydowała się na studia medyczne. Na drugim roku trafiła na zespół grający muzykę, jaka ją pociągała. Potrzebowali żeńskiego wokalu i w ten sposób została członkiem „Metal Siren”. Zderzenie rzeczywistości z oczekiwaniami okazało się koszmarem. Świat show-biznesu nie czekał na nich, nie udzielono im kredytu zaufania i nie dano szansy wykazania się. Najgorsze, że nawet nie wiedziałeś, czy powodem odrzucenia była muzyka, stroje, wygląd czy posiadanie lub nieposiadanie nałogów. Pływanie charakteryzowało się dużo bardziej jasnymi zasadami. Albo pokonywałeś dystans szybciej od innych, albo wolniej i – tak jak jej się to przydarzyło – odpadałeś. Pretensje mogłeś mieć tylko do siebie. To działo się jeszcze przed erą YouTube czy iTunes i jedyną szansą zdobycia popularności były koncerty. Zespół Subiry też wyruszył w trasę, odwiedzając każdy zakątek kraju. Grali w coraz obskurniejszych lokalach i skreślali kolejne, własne kompozycje, włączając do repertuaru wciąż więcej i więcej evergreenów.

Skończyli jako kapela do kotleta, a Subira przypłaciła to roczną kuracją odwykową. Studia zaważyła już wcześniej. Wtedy ojciec poradził jej, aby zaciągnęła się do wojska. On sam walczył w Wietnamie i przeklinał ten czas, mimo to uznał, że to jej pomoże. „W wojsku zapomnisz ostatecznie o marzeniach, a docenisz to, że wieczorem możesz napić się piwa i zabawić z chłopakiem” – stwierdził. To było dziwne. Zwykle droga wiodła od wojska do narkotyków lub choroby psychicznej, ale zaufała ojcu. Ukończyła Special Operations Combat Medic Course i wyjechała na kilka misji zagranicznych. Później trafiła do firm prywatnych. Wtedy poznała Terrego, a później Federica. I chociaż wojsko nie było tym, o czym marzyła, to rzeczywiście pozwoliło jej skutecznie wyleczyć się zarówno z nałogu, jak i dziecinnych marzeń. Już wiedziała, czego nie chce, chociaż nadal nie wiedziała, czego pragnie.

W końcu Milenie skończyły się tematy i zapytała Subirę, co u niej słychać. Wtedy Subira bez skrępowań zaczęła ją wypytywać o możliwe przyczyny zainteresowania kodem genetycznym.

\*\*\*

Z mini wakacji Ann i Terry wrócili wczesnym popołudniem. Ann pojechała do ich mieszkania odświeżyć się, a Terry udał się do Federica. Nie chciał tracić piątkowego wieczoru na analizę danych od Cristiana, a jedynie przekonać się, czy w chmurze są jakiegokolwiek dane i ewentualnie ściągnąć je na dysk do późniejszego przejrzania.

Gdy po kilku godzinach do Federica zajrzała Ann, zastała ich zmęczonych kilkugodzinnym siedzeniem przed monitorami. Nie mogli powstrzymać się od pobieżnego przejrzaniem danych... i tak się zaczęło.

–Może zrezygnujemy z piątkowego wieczoru? – zaproponowała, lecz obydwaj żywo zaprotestowali.

–Żartujesz, chcesz mi odebrać nagrodę za tyle godzin siedzenia tu o suchym pysku? – zdenerwował się Federico.

–Muszę przepłukać mózg. W tej chwili w głowie mam taki harmider, że

jedynie alkohol jest w stanie wypłukać nieistotne myśli, zostawiając te z najcenniejszego kruszcu.

– I kaca – uzupełniła Ann.

– Wszystko ma swoją cenę – wzruszył ramionami Terry.

– A co odkryliście?

Federico wcisnął klawisz, wyświetlając na ekranie zdjęcie budynku.

– Tadam! Tam ukrywano porwanych – oznajmił z dumą.

– Przynajmniej tych pierwszych, bo później mogli zmienić miejsce – uściślił jego wypowiedź Terry.

– Znam ten budynek – rzekła Ann, wzruszając ramionami. – To Centre New Human Future profesora Garilicy.

– Skąd go znasz? – Terry był zaskoczony.

– Gdybyś bardziej interesował się moją pracą, też byś go znał – odparła urażona.

– Ann, proszę cię... Skąd go znasz? – dopytywał natarczywie Terry.

– Teraz interesujesz się moją pracą, a wcześniej to cię nie obchodziło – odpowiedziała z pretensją.

– Ann, to nie tak. Interesuję się, przecież zawsze cię pytam, co u ciebie nowego.

– I nie słuchasz odpowiedzi. A twoje pytania są jak pytanie o pogodę. To tylko próba nawiązania rozmowy.

Terry nie odpowiedział. Nie mógł z nią polemizować, Ann miała rację.

– To oni przeprowadzili badania genetyczne szkieletu centaura – wyjaśniła. Federico i Terry spojrzeli po sobie.

– O kurczę. Węzeł zaczyna się zaciskać – stwierdził złowieszczo Federico.

– O czym mówisz? – zapytała Ann.

– Podejrzewamy, że właśnie tam rogacz przewoził porwanych – odparł Terry.

– A niech to! Spełniają się moje najczarniejsze przeczucia... – uśmiech Ann zgasł bezpowrotnie.

– No właśnie. Zbyt wiele tu przypadków – uzupełnił Federico.

– O jakich przeczuciach mówisz? – Terry spojrział z niepokojem na Ann.

– Powiem ci później. Chodźmy już, ja też poczułam nagłą ochotę

na dużego drinka – zbagatelizowała sprawę Ann, maskując zdenerwowanie.

## Piątek wolności: genetyka na co dzień

W oczekiwaniu na spóźniającą się Subirę, zatrzymali się przy barze, aby wysłuchać nowej opowieści Lidki o wizycie u krawca:

– Dopiero co wróciłam z baru, ledwo zdążyłam zdjąć szpilki, a tu córka pyta: „Pójdiesz ze mną do krawca?”. Jakże mogłabym jej odmówić, ostatnio tak rzadko prosi mnie o cokolwiek. „Oczywiście, że z tobą pójdę” – odpowiadam, a ona na to, żebym ponownie wkładała buty. Już chciałam zrezygnować, ale pomyślałam, że to może ostatni raz, kiedy córka mnie potrzebuje, więc wciskam szpilki na zbolące stopy i wychodzimy. Dom krawca na szczęście nie znajdował się daleko. To był taki stary budynek, z windą pośrodku klatki schodowej. Ale, oczywiście, okazała się zepsuta. Człapię więc po schodach, mając nadzieję, że to nie Empire State Building. W końcu córka zatrzymuje się przed drzwiami krawca. Ja opadam na ścianę, mając nadzieję, że graffiti ma tyle lat co ja i nie pobrudzi mi bluzki. Ledwo stoję, dyskretnie ocierając pot z czoła, aby córka nie pomyślała, że jestem stara, i że nie warto mnie nigdzie zabierać, bo jeszcze dostanę zawału. W końcu drzwi się otwierają, córka pyta staruszkę stojącą w progu: „Już jest?”, ta kiwa potwierdzająco głową i zamyka nam przed nosem drzwi. A niech ją! „Co jest?” – pytam córkę. „Co za grubiańska baba” – rozkręcam się, bo nie lubię, gdy ktoś mnie ignoruje. Mam ochotę przywalić obcasem w drzwi, zbeczczyć je szpetnym słowem, ale córka tylko się śmieje i biorąc mnie pod rękę, mówi: „Mamo, wszystko w porządku. To żona krawca, potwierdziła, że mąż jest na górze”. Zbiła mnie tym z tropu, pracownię na strychu urządził? „To co on, peleryny dla Batmanów szyje?” – pytam. „Nie” – córka znów się śmieje, a ja mam już dosyć schodów i wizyty u krawca chcącego sprawdzać czy klienci w jego pelerynach bezpiecznie sfruną na ulicę. Zaczynam się zastanawiać, czy to może nie jakieś pijackie delirium, może uszczypnąć się i sprawdzić czy nie śnię? Ale córka

odpowiada: „Mamo, on jest krawcem, ale i astronomem. To taki krawiec-astronom. Idziemy na poddasze do jego obserwatorium, tam będziemy mogli spojrzeć na księżyc Jowisza”. Zamurowało mnie. A córka dodaje: „Wiedziałam, że na wizytę w obserwatorium nie dasz się wyciągnąć”. Już chciałam ją ochrzanić, że brzydko tak kłamać, że przecież nie tego ją uczyłam, ale córka chyba wyczuła, co chcę powiedzieć, bo od razu zaczęła wyjaśniać: „Ale ja nie skłamałam. On jest przecież krawcem”. I tak – mogłabym powiedzieć, gdybym nie miała tylu lat – ponownie straciłam dziewictwo. Jednak było warto. Czy wiedzieliście, że nad Nowym Jorkiem też świecą gwiazdy? I to ile. Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że tak wiele gwiazd jest na niebie.

Lidka zakończyła swą relację wprowadzając ich w dobry nastrój.

Później przeszli do stolika i zamówili butelkę Absysu, który Iva wprowadziła do baru na stałe. Nim zdecydowali, na jaki temat teraz porozmawiać, zjawiała się Subira.

–Przepraszam za spóźnienie. Terry, mam dobre wiadomości. W końcu rozmawiałam z Mileną i wiem wszystko na temat komercyjnego wykorzystania DNA. Szybko pytajcie, dopóki moja wiedza nie zostanie odcięta od mózgu z powodu alkoholu. Jednak najpierw polejcie kolejkę, bo o niektórych sprawach muszę szybko zapomnieć.

Wypili dwie kolejki.

– A jak tam wypad na łono poza cywilizacją? – zapytała Subira.

– Skąd wiesz? – Terry spojrział na nią zdziwiony.

– Federico powiedział, że jedziecie pogadać z mennonitami.

– Było wspaniale – podsumowała Ann. – Wyobraź sobie, że Terry zgodził się wyłączyć telefon...

– No nie mów! Czym go przekonałaś? – zaśmiała się Subira.

Terry powstrzymał gestem Federica, który zamierzał zamówić następną butelkę Absysu.

– Wiem, że to piątek wolności, ale może najpierw posłuchamy Subiry – stwierdził. Federico, rozczarowany, opadł z powrotem na krzesło.

– Od czasów owieczki Dolly pytania bogaczy o możliwość klonowania ulubionych zwierzątek doprowadziły do powstania wyspecjalizowanych



firm. Ceny spadły, dzisiaj już za kilkadziesiąt tysięcy można wyhodować kopię mniejszego domownika. Południowokoreańska fundacja Soam sklonowała blisko tysiąc psów. Nim założyciel firmy, Hwabg Woo-Suk, zaczął klonować psy, przymierzał się do klonowania ludzi. Zarzucono mu oszustwo, ale kto wie, czy tego nie dokonał? Nie myślcie jednak, że tak się dzieje jedynie gdzieś daleko. My – z wdzięczności, a może myśląc o przyszłości – sklonowaliśmy psa Trakr. Tego, który odnalazł ostatnią żywą osobę pod gruzami WTC. Nie rozwijając nadmiernie tematu, trzeba wiedzieć, że klonowanie nie stanowi dzisiaj problemu medycznego. Fakt, w wielu krajach jest zabronione, ale to bardziej sprawa dylematów moralnych. Moim zdaniem pozostaje jedynie kwestią czasu to, że prawo będzie musiało pogodzić się z zapotrzebowaniem. Psy, koty żyją kilkakrotnie krócej niż człowiek. Doskonale rozumiem rodziców zmuszonych ukrywać przed dziećmi, że ich pupilek zdechł, a nie został oddany na farmę; rozumiem też samotników w kwiecie wieku, którzy nie potrafią zbliżyć się do drugiego człowieka, ale za to są w stanie przygarnąć zwierzaka; rozumiem również starszków, którzy chcieliby mieć tego samego pieska czy kociaka do końca swoich dni. Oczywiście to niemożliwe tak do końca – aby tak się stało informatycy muszą popracować nad znalezieniem sposobu przeniesienia zawartości mózgu do komputera. Wówczas sklonowany zwierzak byłby nie tylko kopią fizyczną oryginału, lecz prezentowałby również podobne zachowania. Bo miałyby te same geny oraz – co ważniejsze – układ znaczników metylowych ich ekspresji. Mówiąc zrozumiale: podobne wzorce produkcji hormonów – dodała ze śmiechem Subira, widząc ich niewyraźne miny.

– Ale to jedynie klonowanie. Ono nie ingeruje w DNA – zauważył Federico.

– No to rozpatrzmy jako przykład dziecko trojga rodziców. Wymienia się wadliwe DNA mitochondrialne matki. Tam jest zaledwie 37 genów, lecz bardzo istotnych dla prawidłowego funkcjonowania organizmu. Nawet niewielki błąd w kodzie tego DNA powoduje, że organizm szybko umiera. Dzisiaj to wielokrotnie sprawdzona metoda, zanim jednak doszło do tak udanej próby naprawy dzieła boga, przeprowadzono wiele eksperymentów

nieudanych. W Saint Barnabas Medical Center przygotowano 19 zarodków. Dwa usunięto w trakcie ciąży, gdyż miały wady genetyczne prowadzące do deformacji ciała. A z pozostałych 17, u dwóch kolejnych wykryto, że mają DNA mitochondrialne od obu kobiet, co prowadziłyby do różnych schorzeń, w tym opóźnienia umysłowego. Dlatego Agencja Żywności i Leków zabroniła podobnych eksperymentów na terenie naszego kraju. Siedziba kliniki New Hope Fertility Center, która zaproponowała i nadzorowała ten zabieg, znajduje się na Manhattanie. Obeszli nasze prawo, dokonując zapłodnienia *in vitro* w Meksyku.

– A czy Milena mówiła ci o odtwarzaniu wymarłych gatunków? – zapytała Ann.

– Sporo, masz coś konkretnego na myśli?

– Właściciel GDV uważa, że ktoś na pewno będzie chciał odtworzyć centaury.

– Chcesz powiedzieć, że ten młokos wykładał grube miliony, gdyż chciał zrealizować swoje marzenia z dzieciństwa – zrekonstruować centaury, jak jakiegoś dinozaura z Parku Jurajskiego? – zdziwił się Federico.

Ann skinęła głową.

– Co prawda nie mówił w tym kontekście o sobie, ale był pewien, że tak się stanie. Więc w sumie może okazać się, że przez tyle lat ślęczałam w wykopach tylko po to, aby zrealizować czyjeś fantazje.

– Ann, robiłaś to, bo chciałaś zrealizować własne marzenia. A on ci w tym pomógł wykładając kasę. Czy to ważne, jaki był motyw jego szczodrości? – Terry próbował zbagatelizować sprawę.

– A który ośrodek wykonywał badania DNA centaury? – zapytała Subira.

– To była klinika profesora Wilhelma Garilicy. Z Centre New Human Future w Livingston – Ann chciała jeszcze coś dodać, lecz Terry powstrzymał ją, szepcząc do ucha: „Nie teraz”.

– Słyszałam to nazwisko – powiedziała marszcząc brwi Subira. Po chwili jej twarz rozpuodziła się. – Mam! On wcześniej pracował w zespole Saint Barnabas Medical Center, tych od trojga rodziców.

– Jeżeli rogiacz pracuje dla Garilicy, to porwani mogą być dla niego obiektami testów genetycznych. Czego szuka w ich DNA? – zastanowił się

Terry.

– A teraz profesorek dostał genom centaury. I będzie chciał go stworzyć – przeraziła się Ann. – Co ja najlepszego zrobiłam?

– To możliwe – nie zaprotestowała Subira. – Naukowiec polskiego pochodzenia Jeremi Malicki chyba często oglądał film *Człowiek-mucha*, bo eksperymentował z genami myszy, wszczepiając je do muszki owocówki. Aby rezultaty badań były zauważalne od razu, postawił na geny homeotyczne, czyli odpowiedzialne za budowę poszczególnych części ciała. Jego hybrydy miały na przykład nogi w miejscu, gdzie powinny być czułki, a oczy na skrzydłach lub kończynach. Już nie pamiętam czy to on, czy ktoś inny, lecz stworzono również byczka o dwóch nosach, czterech parach uszu i trzech oczach. Nie wiem dlaczego nie czterech, może chciano nawiązać do wyglądu mitycznych cyklopów? Powiem wam jedno: możemy obrażać się na grzebanie w genach, ale tak dzieje się od milionów lat. I to codziennie. O niektórych dziwacznych stworzeniach możemy dowiedzieć się także z Internetu. Tak jak o prosiaku z ludzką twarzą.

– Ale ten szkielet ma kilka tysięcy lat! – wtrąciła Ann.

– To też nie problem. Mamuty wyginęły około 10 tysięcy lat temu, a ich DNA udało się odtworzyć.

– Niestety, możesz mieć rację. Haddad również wspominał o mamutach... Tylko po co?

– W przypadku mamutów nie chodziło o zabawę. Chodziło o sprawdzenie możliwości dodania pewnych ważnych cech zagubionych podczas ewolucji. Czternaście genów mamuta, odnalezionego w wiecznej zmarzlinie na Arktyce, wprowadzono do genomu słonia indyjskiego. Dzięki temu zyskały one większą odporność na zimno, grubszą warstwę tłuszczu podskórnego, większe uszy oraz bardziej bujną sierść. Wiem, że w czasach globalnego ocieplenia te cechy mogą wydawać się nieprzydatne, lecz kto naprawdę wie, w jakim kierunku pójdą zmiany klimatu w najbliższych latach. Niektórzy ostrzegają, że nasza planeta znów stanie się Ziemią-śnieżką.

– No dobrze, a więc wiemy już, że można klonować ludzi, dodawać geny, lecz wciąż nie znaleźliśmy odpowiedzi na pytanie, co to ma wspólnego z porwaniami? – podsumował dyskusję rozczarowany Terry. – Kto chciałby

klonować śmieciarzy, alkoholików, narkomanów?

–No, może masz rację, w tym wypadku klonowanie jako pamiątka odpada. Czasem klonuje się organizm w celu uzyskania części zamiennej. Może chodzić o wątrobę...

–Wątroba odpada. Ich wątroby były zawieszane na jednej agrafce – skrzywił się Terry.

–No to serce, trzustkę, nerki. Albo o kończyny o określonej karnacji skóry.

–Wśród porwanych są rzeczywiście posiadacze niemal wszystkich odcieni skóry. To możliwe –zastanowił się Terry. –Ale, o ile wiem, do znalezienia odpowiedniego dawcy dla kończyny potrzebna jest zgodność grupy krwi czy szpiku kostnego – a nie DNA?

–No tak, masz rację –zgodziła się Subira.

–To okropne, jak możecie o tym tak spokojnie rozmawiać? – zaprotestowała Ann.

–Jedynie spekulujemy –zaznaczył Terry. –Wróćmy do powodów porwań związanych z DNA. Mówiliśmy o jednej stronie wykorzystania porwanych. Ale może być też inny powód. Nie chciano ich sklonować, a na przykład wykorzystać jako testerów?

–Rozumiem do czego zmierzasz –zgodziła się Subira. –To rzeczywiście prawdopodobne. Chcemy przykładowo sprawdzić nowy rodzaj mleka. Szukamy osób bez czynnego genu odpowiedzialnego za trawienie laktozy i sprawdzamy, czy nowe mleko wywoła szok alergiczny, czy też zostanie przez organizm zaakceptowane.

Terry uznał, że już nic interesującego nie wniosą do sprawy. Wypłukali się z pomysłów, więc nadszedł czas na kolejną butelkę. Gdy postawił nową flaszkę Absysu i rozlał wódkę do kieliszków, powrócił jednak do tematu genetyki:

–Dla mnie jest oczywiste, że to, co dzieje się w genetyce, to jedynie raczkowanie, prawdziwe wykorzystanie umiejętności i znajomości kodu genetycznego jest dopiero przed nami. Gdzie się zatrzymamy w modyfikacjach genetycznych, trudno przewidzieć, ale skłonny jestem uznać, że tej granicy nie ma. Z czasem albo wymrzemy, albo stworzymy

nowy gatunek.

– Masz coś konkretnego na myśli? – zapytała Ann.

– Wszystko. Potrzebni będą ludzie do eksploracji złóż na planetoidach – to się ich stworzy. Doda im się geny mamutów lub niedźwiedzi polarnych, aby zwiększyć odporność na chłód; zminimalizuje się działanie genów odpowiedzialnych za utrzymanie postawy pionowej, aby zmniejszyć odporność na wirowanie w przestrzeni. Z pewnością wiele osób, nazywanych przez nas śmieciami, uzna, że lepiej, by ich dziecko miało pracę wymagającą modyfikacji genetycznych, niż żeby było skazane na życie, jakie wiodą oni.

– Temperatura na planecie podskoczy o pięć stopni –dlaczego nie ulżyć ludziom, dając im duże uszy do wachlowania mózgow – zaproponowała Subira.

– Dokładnie. Praca przy biurku – po co człowiekowi nogi. Przydałyby się raczej większe zwały tłuszczu na dupie, abyśmy nie czuli zmęczenia – zaśmiał się Federico.

– Za sto lat już nie będzie *Homo sapiens*, a *Homo adaequatus*, czyli człowiek dostosowany – stwierdziła Subira.

– Powtarzacie opinię Haddada. Góry są po to, aby się wspinać – dodała Ann.

– A człowiek ma mózg, by kombinować, jak mniejszym nakładem pracy osiągnąć większe zyski. Taka jest droga ewolucji – zauważył Terry.

– Nie mówiąc już o tym, że zawsze znajdzie się jakiś polityk, który będzie przekonany o tym, że wie lepiej jak powinniśmy żyć i wyglądać i zaaplikuje nam terapię genową – rozwinęła myśl Ann. To były rzadkie chwile, gdy tak dużo mówiła. – Na początek postawiłabym na wylęgarnię dzieci. Kobietom nie chce się tracić życia czy kariery na rodzenie potomstwa. Rolę rodziny przejmie więc państwo. Będzie można w końcu planować takich obywateli, jakich uzna się za potrzebnych.

– Czyli miernych, ale wiernych – skwitował Terry.

– Wizja Ann jest bliska prawdy – zgodziła się Subira. – Wśród klientów Mili najwięcej kobiet decydujących się na dzieci jest po pięćdziesiątce, a nawet starszych. A dzieje się tak nie z wewnętrznej potrzeby, a z powodu nacisków środowiska.

Subira rozejrzała się po twarzach przyjaciół, zauważając, że Federico jest dzisiaj wyjątkowo milczący. Spojrzała na niego pytająco.

– Co, zawiesiłeś się?

– Nie rozumiem... – odparł zdeorientowany.

– Och ty, komputerowy człowieku. Wyglądasz, jakby zawiesił ci się system.

Ann i Terry roześmiali się.

– Można tak powiedzieć – Federico również się zaśmiał, a po chwili dodał poważnie: – Wciąż myślę o powodach porwań. Uważacie, że porywano śmieciowych ludzi, ale możecie się mylić. Pod pewnym względem byli oni bardzo wyjątkowi.

– Co!?! – wykrzyknęli wszyscy, spoglądając na Federica ze zdziwieniem.

Nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia i kontynuował:

– Wszyscy porwani mieli nietypowe znaczniki. To bardzo rzadkie przypadki. Nie tak unikatowe, jak genetyczna choroba AHC, która w wyniku nieodpowiedniego transportu jonów sodu i potasu do mózgu wywołuje w nim zwarcie, ale też nie tak częste, jak przypadki alkoholizmu. Wśród całej populacji trafiają się raz na kilkaset osób – natomiast u porwanych: sto na sto.

– Chcesz powiedzieć, że to nie przypadek? – zapytał Terry.

– Tak właśnie sędzę. A co ciekawe, te znaczniki znajdują się w śmieciowym DNA. Subira lepiej wam wyjaśni, o czym mówię.

– Do niedawna genetycy nie zwracali uwagi na większość kodu DNA. Uznawali go za nieistotny, gdyż nie kodował żadnego białka. U nicieni stanowi on 71 procent całego DNA, ale u człowieka aż 98,5 procent! Na szczęście zmieniono zdanie; rozumiano, że w śmieciowym DNA znajduje się kod regulujący aktywność genów, który decyduje, w jakich warunkach jakie białko ma zostać wytworzone – wyjaśniła, spoglądając pytająco na Federica.

– No właśnie... – Federico podjął temat. – Co by nie mówić o porwanych, są to osoby przegrane, śmieci. A tu okazuje się, że w śmieciowym DNA znajdują się skarby.

– Genetyczne?

– Ludzkie?

Subira i Terry odezwali się jednocześnie. Federico wzruszył ramionami.

– Obydwa rodzaje śmieci. Nazwałem je *Trash Tags*. Wygląda na to, że ktoś uważa, że w tym genetycznym śmietniku ukryta jest ważna informacja.

– I co one wywołują? – zapytała Subira.

– Tego nie wiem, chociaż mam pewne podejrzenia – mruknął. – Wiesz, że patrzę na kod od strony informatycznej... – spojrzał na Subirę z wyraźnie wyczuwalnym lękiem.

– Tak, wiem. Zdradź nam, jaką masz teorię, później zastanowimy się, ile jest ona warta – Subira skinęła głową. Ośmielony Federico zaczął mówić:

– *Trash Tags* przypominają mi sekwencje startowe programu, są podobne do sekwencji promotorowych genów. Tylko że zostały strasznie przetrzebione, nie wytrzymały wpływu czasu i ciągłych mutacji. W żadnej z próbek nie odnalazłem kompletnej sekwencji. Po fragmentach logicznych, trafiałem na ciąg przypadkowych znaków, jak na przykład długie powtórzenia jednego nukleotydu. I to są rzeczywiście śmieci. Chociaż można odnieść wrażenie, jakby te dane celowo poszatkowano, aby nikt nie mógł odczytać informacji. Jednak, składając *Trash Tags* z kilku próbek DNA – można uzupełnić dane. Miałem zbyt mało próbek, aby tego dokonać, lecz osoba dysponująca większą liczbą – będzie mogła odczytać ten ukryty program. Jestem tego pewien.

– Hmm... To stawia w nowym świetle zainteresowanie ludzkimi śmieciami – zauważył zaskoczony Terry.

– O ile się nie mylę – uzupełnił szybko, i jakby potulnie Federico. Terry spojrzał na niego ze zdziwieniem. Federico nigdy nie zdradzał sceptycyzmu, gdy przedstawiał własne teorie. Paradoksalnie mógł to być sygnał, że naprawdę odkrył coś ważnego. Wyglądało na to, że ma coś jeszcze do powiedzenia. Terry szybko uniósł podbródek, jakby chciał go spytać: „Chcesz coś dodać?”. Pomogło, Federico spojrzał na nich zbolalym wzrokiem.

– Tak przy okazji... Każdy z nas ma podobne znaczniki.

Zaskoczył ich tą informacją. Terry w pierwszym odruchu chciał zapytać, jak zdobył ich DNA, lecz uznał, że będzie jeszcze ku temu okazja, a teraz trzeba skupić się na najważniejszym.

## Ja mam czyste ręce

Firas Haddad od lat czekał na podobną okazję. Miał już szczerze dość tego nadętego dzieciaka. Zmuszono go, aby przez wiele lat skakał wokół niego. Podcierał mu dupę, łagodził skandale w szkole, negocjował niemożliwe do wynegocjowania umowy. W końcu nadszedł jego czas – Firasa. Dzisiaj stawił się w gabinecie profesora Garilicy, chcąc uzyskać kopię kodu centaury. Dobrze wiedział, że za te śmieci jest w stanie uzyskać niezależność finansową i żyć szczęśliwie z dala od bratanka.

– Damiano wysłał mnie po kopię kodu centaury. Proszę mi ją przekazać – zażądał zdecydowanym tonem.

Profesor spojrział na gościa jak na natrętną muszkę owocową.

– Niestety, to niemożliwe – mruknął.

– Przecież jest moim bratankiem! – zachnął się Firas, a dla uświadomienia profesorkowi, z kim rozmawia, uzupełnił: – To ja zarządzam jego funduszem powierniczym.

Na profesorze jego słowa nie zrobiły żadnego wrażenia. Czego ten prosiak chce. Nie dość, że obzera się bez opamiętania, maczając ryj w korycie Haddada, to teraz postanowił jeszcze zagarnąć to koryto jedynie dla siebie – profesor skrzywił się z niesmakiem. Nie lubił ludzi żyjących cudzym kosztem, on sam osiągnął sukces pracą własnych rąk. Wiązało się to z tym, iż nierzadko musiał walczyć z niesłusznymi oskarżeniami, wysuwanymi przez takie świnię, jak Firas.

– Niestety pana nazwiska nie ma na liście dostępu do tych danych – oznajmił z udawanym zawodem w głosie. – I od razu powiem, że nie muszę sprawdzać, bo ta lista jest bardzo krótka. Poza Haddadem zawiera tylko jedno nazwisko: Michaiła Plutina.

– Ale ja mam atuty, które mogą pomóc ją rozszerzyć. Pieniądze – zaakcentował ostatnie słowo. Dyrektor zastygł. Firas, czekając aż profesor przetrawi jego propozycję, zastanawiał się, jaką część łupu mógłby mu zaoferować? A może jednak pozwolić Brygadam Szakala przeprowadzić włamanie, wtedy nie będzie musiał się dzielić? Podjął decyzję: spróbuje



jednak dać szansę dyrektorowi. – Okrągły milion w szeleszczących papierkach może trafić do pana sejfu jeszcze dzisiaj.

Nieoczekiwanie profesor Garilica zaśmiał się. Nie był to śmiech wynikający z zadowolenia.

– Pan żartuje? – dyrektor wyprostował się, kiwając zachęcająco do Firasa. Ten przywarł brzuchem do krawędzi biurka. – Moi konkurenci są gotowi zapłacić sto razy więcej, a i tak nie przekażę im kodu. Proszę zapamiętać, że ważniejsza jest dla mnie umowa z pana bratankiem i możliwość pracy nad tym fenomenem, niż jakiegokolwiek pieniądze. Ani panu, ani nikomu innemu nie przekażę kodu.

Profesor odchylił się, założył okulary i w milczeniu zaczął przeglądać dane na monitorze.

– Może pan odejść, rozmowa skończona.

Firas zastygł w bezruchu. Musiał ratować skórę.

– Uspokoił mnie pan. Doszły do mnie słuchy, że może chce pan przekazać komuś kod i postanowiłem pana sprawdzić. Ale teraz widzę, że zdał pan egzamin – wymyślił zręczne wyjaśnienie próby przekupstwa.

Garilica tylko na chwilę oderwał wzrok od ekranu.

– Jeszcze pan tu jest?

Dopiero po opuszczeniu gabinetu i przejściu przez sekretariat Firas odetchnął z ulgą. Wyciągnął chusteczkę i wytarł pot z czoła. Była zupełnie mokra. Natychmiast użył drugiej i osuszył również szyję. O mało nie wpadł. Reakcja dyrektora przeraziła go.

Gdy już ochłonął, zdobył się na uśmiech. Może i dobrze się stało, po co dzielić się pieniędzmi, skoro mógł zagarnąć cały kopiec banknotów. Dyrektor sam był sobie winien. Jeżeli w czasie włamania coś się stanie, on będzie miał czyste sumienie. W końcu próbował załatwić sprawę w cywilizowany sposób.

## Gabinet doktora Garilicy

Czwórka przyjaciół pędziła vanem Subiry drogą NY-100. Ostatnie dni spędzili na planowaniu nowej akcji. To był ostatni trop i Terry doskonale zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie odnajdzie porywacza z rogami lub samych porwanych, będzie musiał zrezygnować z dalszego śledztwa, uznając, że kapral Trotter i inni po prostu zawieruszyli się w stercie śmieci, zgniatanych codziennie przez nastawione konsumpcyjnie społeczeństwo. Ale wciąż wierzył, że uda mu się odkryć związki łączące profesora Garilicę z porwaniami. Zadzwoił nawet do pułkownika MacCormacka i poinformował go, że jest bliski rozwiązania sprawy.

Już od soboty Federico monitorował obraz z wszystkich kamer kliniki Garilicy. Oczekali do środy, by dokładnie poznać godziny i trasy obchodów strażników w zwykły dzień tygodnia. W tym czasie Subira przeanalizowała plany oraz systemy zabezpieczeń, typując miejsca odpowiednie do włamania. Byli więc gotowi do akcji, tylko jeszcze nie wiedzieli, jak ją przeprowadzić. Ale przynajmniej byli pewni jednego, że proste włamanie nie wchodzi w rachubę. Strażników doliczyli się sześciu, czterech w holu kliniki oraz dwóch w salce z monitoringiem. Ci wychodzili na zmianę, co pół godziny, na obchód wokół budynku. Byli uzbrojeni i wyglądali na takich, którzy wiedzieli, do czego służy broń. Po krótkiej burzy mózgów wybrali najbardziej optymalny scenariusz.

– Włamiemy się w nocy? – zapytała podekscytowana Ann, gdy oznajmili jej, że mają już gotowy plan.

– Raczej nie... – odpowiedział Terry. Ann spojrzała na niego zdziwiona.

– W nocy obiekt jest dobrze strzeżony. Czujniki ruchu, temperatury, ciężaru, siatki laserowe – wyjaśnił Federico. – Wykryliby nas w ciągu kilku sekund. A policję mielibyśmy na karku w ciągu dziesięciu minut.

– Włamiemy się podczas normalnego dnia pracy. Wmieszamy się w pracowników, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania – dokończył Terry.

– A jak tego dokonamy? – chciała wiedzieć Ann.

– To proste – zaśmiała się Subira. – Ty nas wprowadzisz.

Ann nie odpowiedziała, jedynie jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Wiadomość ta tak ją zaszokowała, że przeszła do ławy z fotelami i ciężko

usiadła. Naraz zainteresowała ją, co przykrywa rozłożony na blacie ręcznik. Uniosła go i... znieruchomiała.

– Terry... A po co wam broń? – zapytała drżącym głosem.

Terry szybko podszedł do ławy i ponownie przykrył broń ręcznikiem.

– Czy wasza wcześniejsza praca polegała na włamaniach? – dopytywała się, kolejny raz unosząc róg ręcznika, tak jakby nie mogła powstrzymać się przed zerknięciem na zwłoki bliskiej osoby.

– Nie tylko. Równie często musieliśmy walczyć – rzuciła Subira, zanim Terry zdążył ją powstrzymać.

– To kim w końcu byliście? Komandosami? – zapytała łamiącym się głosem.

– Nie byliśmy komandosami. Ale wiesz, Ann, na froncie różnie bywa – próbował zbagatelizować sprawę Terry.

– Myślałam, że zajmowaliście się wykradaniem planów tajnych broni, list szpiegów, a nie... strzelaniem. Kogo zabiliście, gdy poznaliśmy się w Al Janabiya?

– Subira wydobywała plany z zatopionego kutra – wyjaśnił jej Terry, pomijając fakt, że wcześniej ten kuter zatopili. – Akcje nie zawsze są tak bezpieczne, jak włamanie do kliniki chirurgii plastycznej.

– A twoja noga? To nie była mina w trakcie zwykłego patrolu? – zapytała podejrzliwie.

– To był wypad na terytorium wroga. Ale to była mina – tym razem pominął informację, że wypad miał na celu odbicie zakładników, a mina znalazła się na drodze ich ucieczki.

– I w klinice Garilicy też zabijecie strażników?

– Ochrona nie ma słabych punktów, więc będziemy musieli ją przerwać używając siły – próbował być szczery. – Ale nie zabijemy strażników, a jedynie... czasowo zneutralizujemy.

– Przez tyle lat nie powiedziałeś mi prawdy. A twoje marzenia... Je też zmyśliłeś?

– Są prawdziwe – odparł urażony.

– Łazik marsjański? Sterowanie dronami?

– Ciekawiło mnie to. Po wyjściu z wojska naprawdę próbowałem znaleźć

inną pracę. Pracę, o której marzyłem wcześniej. Ale nikt mnie nie chciał, byłem śmieciem.

Ann nie odpowiedziała, zagryzając wargi intensywnie nad czymś myślała. Terry przewidywał kłopoty. I nie mylił się, dyskusja, jaką rozpoczęli, nie zakończyła się wraz z tą wymianą zdań. Po powrocie do domu Ann przystąpiła do frontalnego ataku. Nie miał żadnej szansy, by się obronić.

\*\*\*

Po godzinnej jeździe zjechali z NY-100 w kierunku Hawthorne i po kilkuset metrach dotarli do Peripheral Road. Siedziba kliniki Centre New Human Future profesora Garilicy była ukryta za szpalerem drzew po prawej stronie. To był piętrowy budynek z czerwonej cegły, z ciemnymi oknami, w stylistyce przywodzącej na myśl główny gmach szpitala Westchester Medical Center. Stylizacja ta z pewnością miała charakter świadomy, co natychmiast wzbudziło nieufność Terrego.

– Jadąc dalej, dotarlibyśmy do Sleepy Hollow – zauważył Federico.

– A co tam jest? – zapytała zaciekawiona Subira.

– Rozgrywała się tam akcja filmu oraz serialu *Jeździec bez głowy*.

– A gdzie umieściłbyś akcję filmu o facecie, który gada głupoty?

Federico nie odpowiedział. Na szczęście cisza nie trwała długo, gdyż po kilkuset metrach Subira zatrzymała vana. Federico i Terry wyskoczyli z auta i szybko ukryli się pośród drzew.

– Teraz czas na nasz występ – zauważyła Subira, spoglądając z uśmiechem na Ann, która przygryzała nerwowo paznokcie.

Wolno ruszyły w stronę budynku kliniki.

\*\*\*

W holu panował zwykły ruch, kilkanaście osób siedząc przy stolikach czekało na badania, kilka innych umawiało termin przy blacie recepcji. Wzmocniona ochrona czujnie oceniała zagrożenie, lecz fala zainteresowania,

jaka pojawiła się po konferencji, na której ogłoszono sukces odczytania kodu centaury, już chyba opadła. Naloty dziennikarzy odbywały się teraz sporadycznie i asystent profesora, Gavin Warren, nie musiał już zajmować się mediami.

Naraz do holu zwycięskim krokiem weszły dwie kobiety. Jedna biała, druga czarna, obydwie w sukniach przylegających do kształtnych ciał, pewne swej kobiecości. Z pewnością miały prawo tak się czuć – ocenił Warren, zjeżdżając przeszkloną windą. Profesor Garilica wydał mu polecenie, by wyszedł do Ann Laskowski i poprosił ją, aby poczekała kwadrans, dopóki nie skończy rozmowy z dziennikarzami „Timesa”. W jednej z kobiet Gavin rozpoznał panią profesor, jej towarzyszkę nie znał, ale już wiedział, że chciałby bardzo ją poznać. Z niecierpliwością czekał, aż winda zatrzyma się na parterze. Po otwarciu drzwi szybko podbiegł do kobiet.

– Witam panią, witam też pani koleżankę – mężczyzna skłonił się, ściskając delikatnie dłonie przybyłych.

– Przedstawiam panu moją przyjaciółkę z uczelni, doktor Subirę Bustamante z wydziału chemii – odezwała się Ann Laskowski. – Jestem umówiona z profesorem, zaprowadzi nas pan do jego gabinetu?

– Tak, wiem – odparł, nie odrywając wzroku od Subiry, która speszona nieco jego adoracją uśmiechnęła się nieśmiało. – Ale profesor jest w tej chwili bardzo zajęty i wysłał mnie, bym przeprosił panie za tę chwilę zwłoki.

– Ojej, a moja koleżanka tak liczyła na oprowadzenie jej po klinice – zmartwiła się Ann. – Pewnie profesor nie znajdzie na to czasu...

– Może ja będę mógł go zastąpić? – zaproponował z nadzieją.

– Naprawdę, zrobi pan to dla mnie? – zapytała Subira aksamitnym głosem.

– Jak najbardziej. Jestem asystentem profesora od trzech lat – stwierdził z dumą. – Wiem wszystko..., no, prawie wszystko, co wie on.

– No to nie ma co tego odkładać. Poczekam w sekretariacie, a pan zajmie się Subirą – klasnęła w dłonie zadowolona profesor Laskowski.

– Z przyjemnością...

Oczy ulizanego asystenta zdradziły, że połknął haczyk razem z wędką – tego Ann była pewna. Dobrze, że to nie ona musiała udawać słodką idiotkę, bo już dawno straciłaby cierpliwość i zdzieliła faceta po śliniacej się gębie.

Ann wjechała windą na piętro i, rozsiadając się w sekretariacie, spojrzała w dół. Terry miał rację, strażnicy posiadali broń i głupotą byłoby rezygnować z obrony. Z ciekawością przyjrzała się też klientom kliniki. Przeglądając kartoteki doktora Butchersteina wyobrażała sobie, kim oni są. Patrząc teraz na pacjentów profesora Garilicy, miała wrażenie, że właśnie tak ich sobie wyobraziła. Zmieniła się zasobność ich portfeli, bo użycie piły i świdra przez Butchersteina nie było tanie. Ale nie zmieniły się pragnienia tych ludzi. Nadal uważali, że dzięki pieniądзом staną się lepsi. To raczej smutne, że jędrniejsze piersi czy prostszy nos mogą radykalnie zmienić samoocenę. Jeśli ich na to stać, niech dokonują korekt zewnętrznych. Jednak Ann była pewna, że te zabiegi niewiele zmienią. Skoro skaza znajdowała się w ich umysłach, to tam pozostanie.

Długowłosa, dwudziestokilkuletnia dziewczyna w ciemnym makijażu, w czarnej, krótkiej spódnicy i kozakach do połowy uda, miała piękną twarz o klasycznych rysach. Niestety wyśmiewano się z jej garbatego nosa. Powinna odpowiadać, że to nos królowych, a nie pospólstwa. Przecież właśnie takie twarze zostały uwiecznione na freskach, obrazach i monetach. Jednak obecnie w modzie były inne twarze. Zdradzające pustkę w głowie, pożyteczne dla promowania niepotrzebnych przedmiotów, pasujące do każdego formatu mediów społecznościowych. Z jaką twarzą wyjdzie dziewczyna z gabinetu po udanej korekcji genetycznej? Czy z garbem na nosie straci też siłę woli, nieustępliwość w dążeniu do celu? Z pewnością tak. Wcześniejszą determinację zastąpi samozadowolenie.

A może jestem niesprawiedliwa? – zastanowiła się Ann. Ostatecznie nie wszyscy myśleli o retuszu wyglądu. Część tych ludzi chciała, aby ich dzieci urodziły się zdrowe. A jeżeli medycyna mogła im w tym pomóc jeszcze przed zapłodnieniem, byli gotowi poświęcić wszystko, by to się udało. I religia nie miała tu nic do powiedzenia. Jeżeli bóg jeszcze nie umarł, to i tak powinien milczeć. Nie miał prawa decydować o tym, czy dziecko urodzi się zdrowe po dokonaniu drobnych korekt kodu genetycznego, czy takie, jakie wybrała dla niego natura tasując znaczone karty. Ann była tego pewna. Była nawet gotowa stanąć przed bogiem na sądzie ostatecznym, by bronić swojego zdania.

Spojrzała na parę siedzącą przy oknie. Ona, w wieku Ann, w jasnobieżowym kombinezonie i ciemnobrązowych butach, on już po sześćdziesiątce, w jasnoszarym garniturze. Trzymali się za ręce i patrzyli na świat za szybą. Może byli ze sobą od dwudziestu lat, wypróbując w tym czasie wszystkie znane metody, by mieć dziecko? Czego wypatrywali za szybą? Błędów przeszłości, które w końcu doprowadziły ich do kliniki ostatniej szansy?

Była też inna grupa klientów. Przeważały w niej kobiety po menopauzie. Do profesora Garilicy przywiodła je chęć sklonowania ulubionego zwierzęcia. Najłatwiej było to rozpoznać po tym, że osoby te przeglądały tradycyjne lub elektroniczne albumy ze zdjęciami. Czy można im było odmówić prawa do przebywania w towarzystwie pupilów, przy których czuły się potrzebne przez tyle lat swojego życia? Z pewnością nie. Chociaż można by im powiedzieć, że wiele zwierząt, równie wiernych, czeka na nich w przytułkach.

Może powinna podejść do tej staruszki z siwiuteńkami, spiętymi w kok włosami? Przeglądała album z odbitkami fotograficznymi, a od kilku minut wpatrywała się w jedno zdjęcie, gładząc je delikatnie dłonią. Ann była jednak pewna jednego: gdy zacznie mówić starszej pani, że w schroniskach czekają na nią Reksy i Mruczki, może nie rasowe, może nawet parchate lub ze sztywną nogą, ona podniesie wzrok, uśmiechnie się dobrotliwie i powie: „Ale ja kocham swojego Azorka. Tylko on mnie rozumiał”.

\*\*\*

Federico i Terry oczekiwali na sygnał od Subiry, ukryci za drzewami z tyłu kliniki. Znajdowała się tam rampa dla samochodów ciężarowych – ciągników siodłowych z naczepami. Wiedzieli, że w środku mieści się magazyn, z dużą liczbą butli i beczek oraz winda towarowa zjeżdżająca na dolne piętra, mogąca udźwignąć bardzo ciężkie przedmioty, z pewnością większe niż zwykłe palety. Rampa była monitorowana przez dwie kamery, z czym Federico, zagłuszając ich sygnał, bez problemu sobie poradził. Jednak oprócz

kamer, po obydwu stronach rampy umieszczono coś w rodzaju wież strażniczych. Nie wystawały wysoko ponad budynek, stanowiły jedynie półokrągłe stanowiska dla strażników, z których można było obserwować otoczenie budynku w promieniu 270 stopni. Niestety miały przyciemnione szyby i trudno było ustalić, czy akurat przebywa w nich strażnik. To był największy problem grupy Terrego i poświęcili dużo czasu łamiąc sobie głowy nad sposobem jego obejścia.

\*\*\*

Dziewczyna kleiła się do niego –Gavin był tego pewien. Mijali pomieszczenia, gdzie za szybami widzieli dziesiątki laborantów w seledynowych fartuchach i rękawiczkach, z białymi maskami na twarzy, wydobywających i wkładających do urządzeń tysiące próbek. Na stołach obok, w zlewkach, plastikowych pojemnikach lub w workach foliowych oczekiwały setki próbek do pobrania. Żmudna, czysta robota. Ale jej nie interesowało wyposażenie laboratoriów, a jego ciało. Wciąż kręciła tyłkiem, posyłała mu ukradkowe całusy i wyglądało na to, że wypatruje miejsca, gdzie mogliby rozpocząć akcję *tête-à-tête*.

–Nie wiesz gdzie moglibyśmy być zupełnie sami? –zapytała, niby przypadkowo ocierając się nagim udem o jego spodnie. Nie mógł jej zawieść.

Zaprowadził ją do składziku preparatów chemicznych.

–Będę czuć się jak w formalinie. Wymyśl coś lepszego –narzekała, marszcząc nos w grymasie niezadowolenia.

Gorączkowo przejrzał w myślach plany budynku. Nie było odosobnionych miejsc, w których pracowałyby tylko jedna osoba. Poza tym większość pomieszczeń posiadała przeszklone ściany. Na tym polegała polityka medialna profesora Garilicy, pragnącego wywołać wrażenie na klientach. Była też rampa dostawcza, ale tam znów Subira krzywiłyby się na smród olejów samochodowych i paliwa. Naraz sobie przypomniał.

–Chodź ze mną –powiedział tajemniczym tonem, pociągając dziewczynę w kierunku wież strażniczych. Dzisiaj nie planowano żadnej dostawy



i pomieszczenie powinno być puste. Po wejściu do ciasnej stróżówki Subira rozejrzała się uważnie, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Gavin odetchnął z ulgą – teraz będzie jego.

– To miejsce mi odpowiada – oznajmiła, lecz zanim Gavin zdążył wepchnąć język do jej ust, świat zawirował mu przed oczami i stracił przytomność.

Subira posadziła ciało nieprzytomnego napaleńca na krześle, jego głowę układając na skrzyżowanych ramionach. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna spał. Taki też był jej zamiar, nie zrobiła tego z litości.

Wyszła ze stróżówki i przeszła do drzwi z boku. Identyfikatorem zerwanym z szyi asystenta przeciągnęła nad czytnikiem. Zapaliło się zielone światło i drzwi z cmoknięciem uchyliły się na kilka centymetrów. Rozwarła je szerzej, wpuszczając Federica i Terrego do środka. Obydwaj byli w ubraniach personelu kliniki: Federico pracownika obsługi technicznej, Terry strażnika. Ona szybko zarzuciła na czarną suknię fartuch laboranta. Trochę prześwitywał i nieco dziwnie wyglądała w wieczorowej sukni pod spodem, ale nie zamierzali afiszować się przed innymi ludźmi. Zamieniła jedynie szpilki na obuwie sportowe. Federico przekazał Subirze broń, trzymając ją w dwóch palcach, jakby to był zdechły szczur.

– Nie ugryzie cię – zaśmiała się. Federico nie wydawał się przekonany.

– Nie lubię wystrzałów. Moją bronią jest moja głowa.

Mówiąc to odebrał od Subiry identyfikator asystenta i skopiował go przy pomocy urządzenia przypominającego skrzyżowanie czytnika kart płatniczych z drukarką etykiet. Powielone identyfikatory podał Subirze i Terremu, a jeden przypiął do własnego uniformu.

Przeszli do drzwi prowadzących do schodów. W tej części budynek był jednopiętrowy, lecz miał dwa poziomy ukryte w ziemi.

Google Maps w tym przypadku nie mógł im pomóc, ale na szczęście istniały inne możliwości, a Federico znał je wszystkie. Podgląd z kamer dolnych poziomów ujawniał obecność korytarzy z kilkoma parami drzwi po bokach i jednym, dwuskrzydłowym wejściem na samym końcu. Najciekawsze było to, że tych pomieszczeń nikt nie kontrolował, obchód strażników ograniczał się jedynie do korytarza i sprawdzenia czytników przy drzwiach.

Co znajdowało się za nimi – trudno było zgadnąć. Cała czwórka zdecydowanie stwierdziła, że właśnie tam muszą się dostać. Podgląd promieniowania podczerwonego ujawnił wiele źródeł ciepła. Dwa duże z pewnością oznaczały kotłownię oraz serwerownię, z wieloma komputerami. Ale widzieli też kilkanaście mniejszych źródeł ciepła i kilkaset niewielkich w pozostałych pomieszczeniach.

– To ludzie – stwierdził Terry.

– Niekoniecznie – Subira nie była przekonana. – Równie dobrze mogą to być świny lub cielaki. A te najmniejsze to na przykład świnki morskie.

Za chwilę przekonają się, kto miał rację. Już wcześniej zdecydowali, że Subira pomoże Federico dostać się do serwerowni i zajrzy za tajemnicze drzwi na tym poziomie, a Terry sprawdzi pomieszczenia na najniższej kondygnacji. Jednak dopiero stojąc w szerokim na trzy metry korytarzu zauważyli, że pod sufitem zamontowano wiele rur wentylacyjnych, których podgląd z kamer nie ujawnił.

Terry spojrział na zegarek.

– Mamy 40 minut – oznajmił, schodząc niżej. Federico i Subira ruszyli w głąb korytarza, otwierając pierwsze drzwi. W pomieszczeniu dostrzegli wiele klatek z króliczymi głowami. Niektóre miały zdziwione, inne smutne, a jeszcze inne jakby rozzłoszczone pyszczki. Ich długie uszy sterczały złożone lub rozłożone, a kilka oklapło, owijając się wokół szyi zwierząt niczym szale lub pętle. Na dole klatki znajdowały się zatrzaski, które Subira miała ochotę otworzyć. Powstrzymała się jednak, zagryzając w złości usta.

– Federico, nie zagląдай mi przez ramię, tylko idź do serwerowni – powiedziała, czując za sobą jego przyśpieszony oddech.

– Idę tam, gdzie ty – odparł łamiącym się głosem. Dziwolągi z dawnych lunaparków mogły budzić odrazę lub współczucie. Mogły też mieć pretensje do świata, że urodziły się z fizycznymi wadami. Wiedziały jednak, że nie stanie się cud i jeśli chcą cokolwiek mieć z życia, muszą się w nim odnaleźć razem ze swoimi ułomnościami. Króliki w klatkach nie rozumiały, dlaczego je zamknięto. Czuły strach, niektóre pewnie złość, którą z chęcią przemieniłyby w agresję, kopiąc i gryząc. Ale generalnie wszystkie czekały na szansę ucieczki. Chwilę, gdy będą mogły wyrwać się z pułapki i żyć jak

wcześniej. Ichabod Cranie za sprowadzenie zła do sennej doliny mógł obarczać jeźdźca bez głowy, odmienicy – geny rodziców i religie zakazujące badań prenatalnych, lecz te futrzaki były bez winy. – Myślałem, że eksperymenty na zwierzętach zostały zabronione – powiedział Federico.

– A jak sprawdzisz, czy człowiek może się napić Absysu z nowego gatunku drożdży, bez ryzyka oślepienia, zjeść popcorn z genetycznie modyfikowanej kukurydzy, albo zrobić jajecznicę z udoskonalonych kur? – w głosie Subiry wyczuł wściekłość.

– Wcześniej mówiłaś, że nasz departament leków przygląda się badaniom genetycznym – odparował. Wzruszyła ramionami, odpowiadając z rezygnacją:

– To są działania na pokaz. Rząd zakazał przyznawania grantów na badania z udziałem zwierząt, ale i tutaj znajdziesz luki prawne. Gdy pracujesz nad szczepionkami ratującymi życie, jak w przypadku zapalenia wątroby typu C, możesz znęcać się nad szympanсами do woli.

– A jak to się ma do przypadku otrzymania przez szympanсы statusu osób prawnych? – Federico nadal nie dawał się przekonać.

Subira zamknęła drzwi.

– Ile było tych szympansów? – zapytała, patrząc na niego z politowaniem.

– Dwa... – mruknął zniechęcony, przeczuwając do czego zmierza.

– No to masz odpowiedź – westchnęła, biorąc go pod rękę i prowadząc do pomieszczenia na końcu. Jedyne na tym poziomie, którego przeznaczenie poznali z podglądu kamer.

– Dlaczego nie zaglądamy do innych pomieszczeń? – zaprotestował.

Otworzyła drzwi i wepchnęła go do środka.

– To nie twoje zadanie, tylko moje. Ty włamuj się do komputerów kliniki i nie wychodź z serwerowni, nim nie znajdziesz czegoś ciekawego. Zostało nam pół godziny, nie ma czasu na współczucie.

Zamknęła drzwi. Jeszcze niedawno była pewna, że Federico kpi z wszystkiego. Jakby przykładał do rzeczywistości wykoślawioną scenografię ze starych niemieckich filmów i złościł się, że świat do niej nie pasuje. Teraz pomyślała, że może jest jednak odwrotnie. Może ekspresjonizm niemiecki był dla niego wzorcem wypaczenia? A widząc, że świat wciąż jest

koślawy i pasuje do wzorca, odreagowywał to kpina?

\*\*\*

Po dwudziestu minutach oczekiwania profesor w końcu wyszedł do Ann i tonąc w przeprosinach zaprosił ją do gabinetu.

– Muszę pani powiedzieć, że od czasu konferencji wprost nie mogę opędzić się od dziennikarzy i zaproszeń do programów telewizyjnych.

– Ja musiałam zmienić numer telefonu, ale i tak próbują łapać mnie na ulicy. Najgorsze, że to przedstawiciele pism i mediów, których w ogóle nie znam – mruknęła Ann.

Profesor uśmiechnął się dobrodusznie.

– Jako osoba starsza, doświadczona w kontaktach z mediami, muszę pani dać jedną radę. Proszę ich nie odrzucać. Najważniejsze jest, by przebić się z sukcesem, nieważne w jakim kontekście, nieistotne w jakich mediach.

– To ciekawe, co pan mówi i z pewnością wezmę to pod rozwagę. – Profesor z zadowoleniem skinął głową. – Ale przyszłam po poradę w innej kwestii.

– W czym mogę pani pomóc? Potrzebuje pani dodatkowych informacji na temat DNA centaury do książki?

Ann nie lubiła kłamać i czuła się w takiej sytuacji niezręcznie. Opowiadając o kłopotach z urodzeniem dziecka i wypytyując profesora o genetyczne wsparcie zajścia w ciążę, łatwo mogła się wysypać. Dlatego postanowiła zająć go rozmową na temat, który naprawdę ją interesował. Troszeczkę koloryzując. Lecz spekulacje naukowe nie są przecież kłamstwem, była więc pewna, że będzie czuć się swobodnie.

– Panie profesorze, wyniki pana badań, potwierdzające, że szkielet z moich wykopalisk faktycznie należał do centaury, całkowicie zmieniły moje osądy. Postanowiłam poszperać w różnych źródłach, i to nie tylko tych uznanych, ale również niepewnych, by szerzej spojrzeć na hybrydy w historii. Natrafiłam na jedną wzmiankę – jej źródła na razie pozwolę sobie nie ujawnić – której nie rozumiem. Ale która nie pozostawia wątpliwości, że

ma coś wspólnego z opisem łańcucha DNA.

–I znalazła pani tę wzmiankę w starożytnych pismach? –profesor przerwał jej podekscytowany.

–Tyle chyba mogę zdradzić... Tak –Ann udała, że się waha.

–To ciekawe... –profesor odchylił się w fotelu, złożył dłonie jak do modlitwy i zaczął nimi pocierać brodę.

–No właśnie... Wiem, że o istnieniu kodu DNA wiemy od pół wieku.

–A o czym mówiły te zapiski? Może pani tak je interpretuje, zasugerowana dzisiejszą wiedzą?

–Nie rozumiem dokładnie tego tekstu. Jest w nim mowa o tym, że pośród nici ze zwykłymi koralami, zostało ukrytych kilka pereł, pozwalających stać się człowiekowi równym bogom

Profesor zastygł z wrażenia.

\*\*\*

Federico nie miał czasu na przeglądanie danych, lecz już same nazwy katalogów wszystko zdradzały. Okazało się, że genetycy nie posiadali poetyckiego podejścia wojskowych do nazw akcji. Operację „Pustynna burza” nazwaliby najpewniej: „Program opanowania terytorium pustynnego wroga przy pomocy desantu powietrznego”. To pomogło mu podjąć decyzję, które projekty podejrzane o łamanie prawa skopiować jako pierwsze. W oczekiwaniu na zrzućenie danych zajął się zainstalowaniem programu śledzącego, pozwalającego na zdalny dostęp do nich w przyszłości. Zamierzał zakopać go w śmietniku plików systemowych, aby wyglądał jak zbędne komentarze programisty.

\*\*\*

Następne pomieszczenie, do którego zajrzała Subira, okazało się chlewnią. W rzędach kolumn chrząkały, pierdziały lub spały w promieniach lamp podczerwonych smaczne świnki. Różowiutki, czyściutki i nawet nie

za bardzo spalone. Wyglądałyby jak zwykłe tuczniki szykowane do zabicia przed Bożym Narodzeniem, gdyby nie tabliczki informacyjne, które dostrzegła. „Pacjent KG-23648-AZ: nerki”, „Pacjent KG-23686-JD: śledziona, wątroba”. Może właśnie z tego powodu nie były przerośnięte tłuszczem? – zastanowiła się. Kto chciałby dostać otłuszczone serce. Dobrze, że Federico tego nie zobaczy. W pozostałych salach nie znalazła niczego niespodziewanego. Klinikę profesora Garilicy śmiało można by nazwać fermą części zamiennych dla ludzi. Jednak Subira nie natrafiła na ślady klonowania ulubionych pupilów, nie wspominając już o ludziach. Z jednej strony była z tego powodu zadowolona, ostatecznie hodowlane okazy nie były niczym szczególnym – i tak poszłyby pod nóż. Z drugiej czuła rozczarowanie, gdyż oznaczało to, że Garilica nie miał powodów, by porywać ludzi. Czy i ten trop miał okazać się zły?

\*\*\*

Czytnik spreparowany przez Federica zadziałał. Na szczęście asystent profesora miał prawo dostępu do pomieszczeń znajdujących się na najniższym poziomie, co wcale nie było takie pewne, kiedy planowali akcję.

Zawartość pierwszego pomieszczenia, do którego Terry wszedł, zdumiała go. Stało w nim kilka olbrzymich akwariów. Płyn w szklanych pojemnikach fosforyzował lekko zielonkawą poświatą. Wyglądał też na gęsty, gdyż bąbelki powietrza, odrywające się od dna, bardzo wolno przedzierały się ku powierzchni. Akwaria były długie na pięć metrów, szerokie na metr-półtora, tak że zmieściłyby się w nich żarłacz biały. Z tym, że w tych akwariach nie pływały rekiny czy ryby, a płody ssaków. Pływały swobodnie, jak śliwki w kompocie, jednak każde ze stworzeń było połączone pępowiną ze zbiornikami przymocowanymi do ścianek akwarium. Tam wirnik miksował środki odżywcze pochodzące z kilkunastu pojemników ustawionych pod ścianą. Indywidualna dieta dla każdego płodu – stwierdził Terry, zastanawiając się, czy nie wezwać Subiry, aby pomogła mu ustalić

przeznaczenie szklanych pojemników.

Na razie zrezygnował z tego pomysłu i zbliżył się do szyby. I bez Subiry domyślił się, że akwaria stanowią coś w rodzaju zastępczych łożysk. Jeżeli Garilica hodował organy do przeszczepów, to te pojemniki zastępowały macice. Jednak przy dokładniejszych oględzinach Terry zauważył, że płody, jakie ogląda, już dawno osiągnęły etap, w którym mogły rozpocząć samodzielne życie poza macicą. Widział już prosięta zaraz po urodzeniu i wiedział, że prosiaki podobne do tych w akwarium, o metrowej długości, były gotowe do podania na suto zastawionym stole z jabłkiem w pysku, a nie do hodowli w łożysku.

Wiele płodów miało zniekształcone ciała. Czy były to wybryki natury, czy może jakieś próby stworzenia hybryd? Dostrzegł prosiaki o ludzkich cechach. Jeden z nich miał nawet ludzkie rysy twarzy. Usta Angeliny Jolie, uszy Julii Roberts i nosek Sandry Bullock. Dobrze, że oczy płodu przesłaniały powieki, bo Terry obawiał się, że napotkałby świdrujące, cyniczne spojrzenie Alice Coppoli.

Jak profesor zamierza dokonać przeszczepu? Może tylko ściągnie z płodu skórę i przekaże chirurgowi plastycznemu, który już wcześniej wymodelował twarz supermodelki? Inny z okazów, już nie płód a kilkumiesięczny prosiak, zamiast przednich nóg z racicami miał rączki dziecka.

Jednak dopiero zawartość następnego akwarium wywołała u Terrego prawdziwy szok. Tu już z pewnością nie miał do czynienia z płodami, a organizmami zdolnymi do życia poza łożyskiem. I nie były to hybrydy zwierzęce z częściami ciała ludzi, a po prostu ludzkie dzieci. Niektóre miały może dwa-trzy lata, ale inne osiągnęły wiek szkolny. Nie było widać żadnych deformacji ciała; wydawały się idealne. Czy hodowano je na części zamienne? A może natrafił na klony, mające kiedyś zastąpić dorosłe oryginały?

Ludzi podpisujących teraz wielomiliardowe kontrakty, przemawiających z ław senatu, występujących w filmach lub ścigających się na torach wyścigowych?

\*\*\*

Spotkanie z profesorem trwało już dziesięć minut. O wiele dłużej niż Ann zakładała. Zwykle trudno było przyciągnąć czymś jego uwagę. Miała nadzieję, że Terry już za chwilę przekaze jej informację, że znaleźli porwanych i będzie mogła zakończyć tę farsę. Tymczasem coraz śmieiej ciągnęła opowieść zainspirowaną relacjami Federica. Sama była zdziwiona, że wywołało to takie zainteresowanie Garilicy. Tylko raz wyszedł na kilka minut z pokoju, informując ją, że musi wykonać pilny telefon. Gdy wrócił, jeszcze zachłanniej zaczął dopytywać się o szczegóły odczytanych przez Ann tekstów.

– Co ciekawe, wciąż mówi się o tym, że owe perły zostały dobrze ukryte i odnajdzie je tylko osoba potrafiąca docenić wartościowe rzeczy pośród śmieci.

– Niesamowite.

– Prawda? Ale czy może pan potwierdzić, że w kodzie DNA centaury znajduje się coś, co pozwalałoby założyć, że nie jest to tylko poetycka opowieść, a relacja ujawniająca sedno sprawy?

Profesor nie odpowiedział wprost na jej pytanie.

– Zanudziłbym panią szczegółami, które nic nie powiedzą osobie niebędącej specjalistą. Trudno podejrzewać, aby starożytni kapłani – czy to babilońscy, czy egipscy – cokolwiek na ten temat wiedzieli. Można natomiast zastanowić się, komu w ogóle mógł przyjść do głowy pomysł ukrywania informacji w kodzie niedostrzegalnym gołym okiem. Nie chcę pani martwić, ale moim zdaniem to raczej nadinterpretacja dokonana przez współczesnych – w odniesieniu do tekstu, mówiącego o zupełnie innych sprawach.

Ann też by tak sądziła. Ale wymyśliła ten tekst, więc mogła zabawić się w spekulacje.

– Jest jedna rzecz pozwalająca wytłumaczyć podobny fenomen – stwierdziła tajemniczo.

– Tak? Co pani ma na myśli? – zapytał lekkim tonem.



– Cywilizację, która pozyskała tę wiedzę od kosmitów.

– No tak, to rzeczywiście prawdopodobne wyjaśnienie – zaśmiał się profesor. – Ale czy w swoich badaniach natrafiła pani kiedykolwiek na wiarygodne ślady podobnych wizyt?

– Jest kilka tekstów mogących o tym świadczyć. Z pewnością również pan je zna, stały się podstawą naszej wiary w bogów – rzuciła ogólnikowo, mając nadzieję, że profesor nie zechce ciągnąć tego tematu.

– Ale one nigdy nie mówiły o DNA. W jakim celu kosmici mieliby przekazywać ludziom informacje o rzeczach, których istnienia ich nauka jeszcze długo by nie podejrzewała?

– Aby wskazać, że dzięki manipulacjom w tym ukrytym miejscu, można wywołać bardzo widoczne zmiany? Aby ich przestrzec, by w przyszłości się tym nie zajmowali? – Ann bez problemu wymieniła kilka powodów. – Być może centaury to wynik modyfikacji genetycznych. Dlatego pytam, czy znalazł pan coś nietypowego w kodzie centaura.

– Na nic takiego nie natrafiłem – po raz pierwszy jego odpowiedź zabrzmiała zdecydowanie. Przez cały czas rozmowy wydawał się raczej lawirować. Nie dotykał istoty sprawy, nie starał się odpowiedzieć na jej pytanie. Bardziej interesowało go to, ile ona wie. Dlatego akurat teraz uznał, że nie warto przedłużać tej rozmowy?

\*\*\*

Terremu pozostało tylko jedno pomieszczenie do sprawdzenia. Ostatnia szansa na odkrycie dowodów, że Garilica jest zamieszany w porwania weteranów. Terry miał co do tego coraz więcej wątpliwości. Z pewnością znalazł dowody na nielegalne eksperymenty genetyczne, ale nie na porywanie ludzi. Musiał przyznać przed sobą, że od dawna dokonywał nadinterpretacji faktów, zaślepiony chęcią odnalezienia uprowadzonych.

Gdy podszedł do drzwi, ze zdziwieniem zauważył, że nie mają zamontowanego czytnika.

– Federico, jak otworzyć drzwi pomieszczenia na wprost?

– Chwilkę... Terry, tych drzwi nie ma w systemie. Ale, o ile pamiętam, w tym pomieszczeniu nie zanotowaliśmy sygnatur ciepłych większych ciał – zgasił resztki nadziei Terrego.

– Hmm... A jak tam zgrywanie danych?

– Już kończę, daj mi jeszcze pięć minut.

– Ok.

Terry ponownie spojrzął na drzwi. Było na nich zamontowane jakieś pudełko. Zamek cyfrowy? Otworzył kłapkę. Nie, pokrętko jak w sejfach. Zwykły, staroświecki zamek szyfrowy. Może to w dzisiejszych czasach najlepszy sposób ochrony przed włamaniami?

– Subira, możesz do mnie zejść?

– Znalazłeś kogoś?

– Jeszcze nie. Stoję przed drzwiami, które tylko ty możesz otworzyć.

– Już schodzę.

Zjawiła się po minucie. Podeszła do niego i sceptycznie przyjrzała się pokrętkle z numerami, po czym zlustrowała zamocowania.

– Terry, to ściema. To nie drzwi do szafy pancерnej, są takie same, jak inne. Może dodatkowa ochrona przed dostaniem się do środka niepowołanych osób? Ale z pewnością nie przed włamywaczami z zewnątrz.

– Możesz je otworzyć? – przerwał jej.

– Szybciej byłoby założyć ładunek wybuchowy. Tutaj i tu – wskazała miejsca zamontowania ładunków. – Wybuch nie będzie silny. Ani go nie usłyszą, ani nie poczują wstrząsu. Dzielią nas dwa piętra.

– Wiesz lepiej, ale może jednak posłuchasz tego zamka? – zaproponował Terry, podając jej wyjęty z torby stetoskop. Subira wzruszyła ramionami. Wzięła od Terrego stetoskop i zabrała się do pracy. Dwie minuty później drzwi zostały otwarte.

W tym pomieszczeniu nie było zielonkawych akwariów, ale nie było też porwanych. Stało za to sześć naszpikowanych elektroniką sarkofagów. Sześciiany były długie na dwa metry, szerokie na metr i wysokie na półtora. Terry nie potrafił ukryć rozczarowania. Rąbnął zaciśniętą pięścią w ścianę. Subira położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu.

– Znajdziemy ich. Nie odpuścimy porywaczom.

– Ale nie tutaj – uciął i odwrócił się w stronę drzwi. – Możemy już iść.

– Terry, jak już tu jesteśmy, dowiedzmy się przynajmniej, do czego Garilica potrzebuje tych sarkofagów – zaprotestowała.

Nie odpowiedział, a jedynie westchnął. Nawet gdyby pojemniki miały okazać się puste, Subira postanowiła, że nie ustąpi, musiała czymś zająć Terrego. Wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć, by sprawdziła to sama, a on wyjdzie i odreaguje złość na korytarzu.

– Masz rację – zgodził się w końcu.

Podeszli do skrzyń. Półokrągłe wieka nie były przezroczyste, więc nie mogli dostrzec, co znajduje się w ich wnętrzach. Z pewnością zmieściłby się tam człowiek, ale równie dobrze mogły zawierać tysiąc próbek lub pięćdziesiąt termosów z lodami.

– Nie wyłamiemy wieka, wychodzimy – rzucił zrezygnowany.

– Jeszcze nie! – wysyczała ze złością.

Podeszła do pulpitu sterowniczego zamocowanego u wezłowania jednego z sarkofagów. Oprócz kilku rzędów przycisków, po części z ikonografią zrozumiałą dla każdego, a po części ze skrótami trudnymi do rozszyfrowania bez instrukcji, znajdował się tam też ekran z elektroniczną tabliczką znamionową. Napis ją zaskoczył i musiała przeczytać go jeszcze raz, litera po literze: „Obiekt testowy AT8340567-A82983: gorgona”. Serce zabiło jej żywiej.

– Jaki jest napis przy twoim sarkofagu? – wykrzyknęła podekscytowana, nakazując gestem dłoni, aby podszedł do wezłowania. Niespiesznie wykonał pięć kroków i pochylił się nad tabliczką.

– „Obiekt testowy AT8340567-A82991: cyklop” – odczytał niepewnie, a później spojrzał na Subirę zdumiony. – Co, do cholery, jest w tych sarkofagach?

Nie odpowiedziała, przeglądając ikony i napisy na przyciskach. Bez wątplenia pasowało tu tylko jedno, czteroliterowe słowo. Wduśła przycisk. Od góry zaczęła odsuwać się przesłona i po kilku sekundach Subira mogła zobaczyć, co skrywa jej sarkofag.

– Wduś przycisk „Show” – poprosiła cicho, jakby bała się, że osoba znajdująca się w sarkofagu się przebudzi. Terry, widząc jej ściągniętą lękem

twarz, o nic nie pytał. Po kilku sekundach również on zamarł z przerażenia. Mężczyzna w pojemniku cały był zanurzony w płynie. Ten płyn przypominał mleczną zawiesinę – im głębiej ciało w nim tonęło, tym mniej było widać. Twarz tego człowieka przykrywała maska, a do jego skroni przypięto wiele różnych czujników.

– Ja go znam... – powiedział Terry, gdy ochłonął. Kilka dni temu Diego pokazał mu jego policyjną kartotekę. To był konstruktor, który zamiast przez kilka lat udawać, że pracuje nad swoim wynalazkiem, oddał pieniądze, przyznając, że się pomylił.

Po sprawdzeniu następnych przycisków, Subira była już pewna.

– To nie są sarkofagi, to hibernatory – oznajmiła. – Wciąż utrzymują funkcje życiowe organizmu, choć na spowolnionych obrotach.

Terry sprawdził pozostałe sarkofagi. W każdym znajdowała się jakaś osoba. Czterech nie znał, ale dwie z nich – wynalazca i modelka, która się roztyła – z pewnością zostały porwane. Mógł wreszcie odetchnąć z ulgą.

\*\*\*

W porze lunchu w holu panował zwiększony ruch. Dopiero gdy pracownicy zmierzali na posiłek, można było zobaczyć, jak wiele osób pracuje w klinice. Dziesiątki laborantów, analityków obojga płci, zrzucając seledynowe kitle i żywo rozmawiając, wędrowało z i do stołówki. Oczekującym na wizytę u lekarza lub pobranie próbek DNA, stewardzi podawali deser i świeżo zaparzoną kawę, aby nie przyglądali się tej paradzie z burczącymi jelitami.

W towarzystwie wuja Damiano, Haddada Firasa, do holu wszedł wysoki mężczyzna z długą, czarną brodą, w szarej koszuli i w turbanie na głowie. Przez ramię miał przewieszoną torbę na laptop, a przy uchu telefon komórkowy. Obydwaj przystanęli, nieznajomy zakończył rozmowę i spojrzał na Firasa z pretensją, jakby chciał powiedzieć: „Co tu jeszcze robisz?”. Potem podszedł do kanapy i usiadł, zakładając nogę na nogę. Firas westchnął i z ociąganiem ruszył w stronę recepcjonisty. Mężczyzna, starając się nie ujawniać zainteresowania, uważnie go obserwował. Po kilkunastu sekundach

rozmowy wujek Damiano odwrócił się w jego stronę, kręcąc przecząco głową. Brodacz, z lekkim grymasem irytacji, wyciągnął telefon i wybrał połączenie.

– Przechodzimy do realizacji planu B – rzucił.

Po dwóch minutach do holu weszła kilkunastoletnia dziewczynka, w narzuconym na ramiona eleganckim, czarnym płaszczku. Na nogach miała biało-czarne półbuty, a jej głowa była okryta czadorem. Wyglądała na uczennicę, która pomyliła klasę. Po chwili wahania, rozglądając się po bogatym wnętrzu, ruszyła onieśmielona w kierunku recepcji. Jednak w połowie drogi zatrzymała się. Rozpięła płaszcz i zrzuciła go na posadzkę. Ludzie wychodzący ze stołówki, wydłubując z zębów resztki surówki, mogli zobaczyć zamontowany w talii dziewczynki pas szahida. Pomarańczowe ładunki wybuchowe były wyraźnie widoczne na schludnej, biało-czarnej bluzce. Jednak uwaga wszystkich była skierowana na dłoń uczennicy. Trzymała w niej detonator, z kciukiem opartym na czerwonym przycisku.

– Wszyscy na podłogę, bo się wysadzę! – krzyknęła łamiącym się głosem. Pomimo niezbyt donośnego głosu, usłyszał ją każdy, kto znajdował się w holu. Ludzie zastygli w bezruchu. Z pewnością pomyśleli o ucieczce, lecz może jeszcze sądzili, że to żart albo happening? Naraz zaczęła krzyżeć kobieta w jasnobieżowym kombinezonie. Część osób przeniosła spojrzenie z dziewczynki z detonatorem na nią, szukając powodu przerażenia. Ujrzeni przyklejonego twarzą do szyby jednego ze strażników. Z jego gardła buchały strumienie krwi, ściekając szeroką smugą. Osuwał się na dół, rozczapierzonymi palcami usiłując powstrzymać upadek. Po kilku sekundach skulnął się na bok, a wtedy zobaczyli stojącego za nim mężczyznę, chowającego zakrwawiony nóż.

Brodacz w turbanie zerwał się z kanapy, wskoczył na siedzenie i wyjętym z torby karabinkiem uzi oddał serię strzałów w sufit.

– Słuchajcie, co dziecko mówi! Już, na podłogę! – ryknął.

Dopiero teraz rzucili się na posadzkę. W tej samej chwili do środka wtargnęło ośmiu mężczyzn z bronią automatyczną. Rozbiegli się w lewo i prawo, dwóch dopadło pokoju strażników, a dwóch strażników

za kontuarem. Jeden z terrorystów uniósł broń i ochroniarze posłusznie podnieśli ręce. Drugi napastnik obiegł kontuar i stanął za plecami pierwszego strażnika. Mężczyzna bał się spojrzeć za siebie, podniósł jedynie wyżej ręce, aby zasygnalizować, że nie w głowie mu stawianie oporu. Ten gest nie zmienił zamiarów terrorysty. Wyciągnął długi nóż i przeciągnął ostrzem po jego szyi. Krew trysnęła na kilka metrów, opryskując włosy siwiutkiej staruszki i plamiąc strony otwartego albumu fotograficznego. Starsza pani, wyglądająca teraz jak anioł zagłady, obrzuciła wzrokiem pełnym nienawiści terrorystę. Drugi ochroniarz zbyt późno postanowił się bronić. Nim wyciągnął z kabury pistolet, seria z pistoletu maszynowego odrzuciła go do tyłu. Jeden z terrorystów odłożył broń i usiadł przed monitorem komputera strażników.

\*\*\*

Strażnik wydawał się zrozpaczony – gałka lodów czekoladowych spływała wolno po jego mundurze. W swej irytacji pogubił się, nie wiedząc czy bardziej jest zły z powodu utraty części deseru, czy z zabrudzonego munduru? Drugi strażnik nic nie wiedział o problemie kolegi, gdyż poprawiał fryzurę przed lustrem, szykując się do wyjścia na obchód. Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł mężczyzna w bronią automatyczną. Zanim ochroniarze zdążyli zareagować, powietrze przecięła długa seria.

Dowódca omiół pogardliwym spojrzeniem hol. Wyglądało na to, że sytuacja jest opanowana. Dwaj ostatni strażnicy zostali rozbrojeni i leżeli na posadzce pośród personelu i klientów.

– Głupcy, jak chcecie rządzić światem, skoro wciąż dajecie się nabrać na dziewczynkę z zapalkami – skrzywił się z niesmakiem i zaczął wydawać nowe dyspozycje. – Spędźcie z góry i laboratoriów pozostałe baranki nieudolnego boga. I profesora, muszę z nim porozmawiać. Odbierzcie też każdemu telefony i okulary GDV, bo blokada elektroniczna za chwilę przestanie działać.

Przywołany wuj Haddada podbiegł zalękniony do dowódcy.

–Do czego jestem ci jeszcze potrzebny, Ahmedzie? Wprowadziłem was do środka, możecie zabrać próbki genetyczne.

–Jak chcesz, możesz odejść... –wzruszył ramionami dowódca. Firas odetchnął z ulgą. –Ale bez pieniędzy. Te otrzymasz dopiero, gdy przekonam się, że mówiłeś prawdę. To co, wychodzisz?

Na twarzy Firasa walczyły ze sobą uczucia paniki i chciwości. Jego oblicze stało się czerwone, a do oczu napłynęły łzy.

–Zostaję –wydusił z rezygnacją.

Brodacz, nazywany Ahmedem, wzruszył ramionami. Podszedł do dziewczynki, podniósł płaszcz i zarzucił jej na ramiona.

–Możesz odpocząć, Sara. Usiądź teraz przy stoliku, ze stołówki zaraz przyniosą ci wielki puchar lodów.

Dziewczynka dygnęła wdzięcznie i z uśmiechem na twarzy podeszła do najbliższego stolika.

\*\*\*

Subira i Terry dokładnie obejrzeni hibernatory. Mogli teraz wyjść stąd i zawiadomić policję, aby aresztowała profesora Garilicę. Terremu nie udało się odnaleźć kaprała Trottera, ale znalazł innych porwanych, a dalsze śledztwo –prowadzone zwykłymi, policyjnymi metodami –pozwoili z pewnością odszukać i jego.

–Czy oni chcą ich wystrzelić w kosmos? –zastanawiał się Terry, zamykając drzwi do pomieszczenia z hibernatorami.

–Terry, hibernacja to dobry sposób na przetrzymywanie porwanych. Nie trzeba ich karmić, nie trzeba pilnować.

–To nie mogli ich naszprycować i trzymać otumanionych?

–Chyba lepiej, że im nie szkodzą... –westchnęła Subira.

–Wiem Subira, wybacz. Dla nich lepiej, ale po co wydali tyle kasy, skoro cel można było osiągnąć tańszą metodą?

–Może mieli wolne hibernatory? Przygotowane dla klientów czekających

na opracowanie terapii genowej.

– Pewnie masz rację. Najważniejsze, że ich odnaleźliśmy – zgodził się Terry.

Nagle usłyszeli odgłosy serii z pistoletu maszynowego. Były przytłumione, ale pomyłka nie wchodziła w rachubę, nie raz przebywali w bunkrze lub skarbcu pod ziemią, słysząc walki na ulicach.

– Uzi! – rozpoznał typ broni Terry.

– Strażnicy nie mają broni automatycznej – zauważyła Subira, wyciągając pistolet.

– Federico, jesteś jeszcze w serwerowni? – Terry wywołał kolegę.

– Już wychodzę... – usłyszeli przeprasający głos.

– Wstrzymaj się. Możesz podejrzeć obraz z monitoringu? Słyszeliśmy odgłosy wystrzałów.

Przez kilkanaście sekund informatyk nie odzywał się. W tym czasie Subira i Terry, ubezpieczając się nawzajem, zaczęli ostrożnie wchodzić po schodach. Gdy znaleźli się na poziomie serwerowni, Subira ponagliła Federica:

– Mów co widzisz! – Poczwała dreszcz emocji, którego już dawno nie odczuwała. Znow była w akcji, musiała podejmować decyzje w ułamku sekundy.

– Nie jest dobrze... – odpowiedział dopiero po długiej pauzie. – Klinikę Garilicy opanowała grupa terrorystów. Na razie zabili jedynie strażników, jednak teraz zganiają wszystkich pacjentów i pracowników do holu.

Terry słysząc relację Federica, wyciągnął telefon, aby wybrać połączenie z pułkownikiem.

Zobaczył komunikat „Brak sygnału”.

– Federico, nie mam sygnału. Chyba udało się im zablokować łącza. Znajdziesz sposób, by przekazać pułkownikowi wiadomość o ataku?

– Daj mi chwilę, pomyślę.

\*\*\*



Ann z profesorem Garilicą oraz kilkoma osobami z sekretariatu i księgowości, pod eskortą dwóch terrorystów, zjeżdżała windą w dół.

Ann wystarczył moment, by zrozumieć, że sprawa jest poważna. To nie był zwykły napad rabunkowy, jak myślała jeszcze chwilę wcześniej, a zamach terrorystyczny. Kilka leżących ciał strażników, cały personel i klienci kliniki w jednym miejscu pod karabinami zamaskowanych ludzi, nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Gdzie oni są? – martwiła się o Terrego, Subirę i Federica, teraz żałując, że nie zgodziła się na słuchawkę w ucho, pozwalającą utrzymać stały kontakt z grupą.

– Wy na podłogę. A ty tutaj – Ahmed przywołał palcem profesora. Spojrzał również z ciekawością na Ann i po chwili namysłu zapytał: – Kim pani jest?

– To Ann Laskowski. To ona odkopała centaura – pośpieszył z wyjaśnieniami Firas.

– O, to proszę dołączyć do profesora. Może zainteresuje panią, czym naprawdę zajmuje się ta klinika.

– To jest niedopuszczalne – zaprotestował profesor. – Jakim prawem wdarliście się tutaj?

Ahmed przechylił głowę, przyglądając się Garilicy z irytacją.

– Czy jest pan tak genialny, że o takich przypadkach mówi się: „Zagubiony jak dzieciak we mgle”, czy też po prostu głupi? – wycodził przez zęby. – To jest zamach terrorystyczny, idioto! Wbij to sobie do głowy, bo inaczej będę musiał zrobić to ja, tylko że przy pomocy kilku pocisków, które znajdują się w twoich zwojach mózgowych – dopowiedział, przystawiając do czoła profesora uzi.

– Czego chcecie?

– Oprócz zemsty na niewiernych? Pomyślmy... – Ahmed uniósł lufę broni. – Czego mogą oczekiwać terroryści w klinice mogącej wyhodować centaura?

– Nie hodujemy centaura... – zaprotestował profesor.

– Ty naprawdę jesteś głupi – stwierdził przywódca terrorystów. Profesor schował głowę w ramionach, jednak Ahmed nie przystąpił do wbijania do jego czaszki wiedzy za pomocą uzi. Nie tym razem... – Idziemy do tajnej

części pana kliniki. Przekonajmy się, kogo pan tam hoduje.

\*\*\*

Gdy Subira i Terry ostrożnie wychylili głowy, sprawdzając sytuację na parterze, zobaczyli, że na rampie trwa wzmożony ruch. Czterech terrorystów zajętych było parkowaniem dwóch ciągników siodłowych. W jednym otwierano już drzwi, drugi cofał się, aby dojechać jak najbliżej rampy. Gdyby nie przewieszona przez plecy broń i zamaskowane twarze, można by pomyśleć, że to pracujący na akord robotnicy, a nie terroryści.

Już wcześniej zwrócili uwagę, że klinika Garilicy miała wyjątkowo dużą rampę. Pytanie, do czego służyła, znalazło wyjaśnienie –akwariom i sarkofagom z dolnych poziomów. W tej chwili bardziej interesowało ich inne zagadnienie: dlaczego terroryści zaparkowali tam swoje samochody? Czyżby celem ataku nie było schwytanie zakładników, a wywiezienie czegoś z kliniki?

–Subira, Terry! –usłyszeli głos Federica w słuchawkach. –W waszą stronę idzie dwóch terrorystów, profesor Garilica, jakiś grubasek i... Ann.

Ta informacja zmieniła ich plany. Musieli szybko się ukryć. Nie mogli ryzykować ataku, mając przeciwko sobie aż tylu porywaczy. W dodatku trzymających jako zakładnika Ann.

–Federico, musisz ukryć się w serwerowni. Mogą chcieć do niej zajrzeć.

–Już to zrobiłem. Wcisnąłem się między dwie kolumny na końcu pomieszczenia. Ale w okularach GDV mam dobry podgląd.

Terry spojrzał na Subirę, pytając wzrokiem, gdzie się schować. Dziewczyna wskazała na magazynek z butlami i beczkami, on na półokrągłą stróżówkę z zamkniętym, napalonym asystentem Garilicy. Pokręciła przecząco głową. Uznał, że ma rację. Byliby zamknięci w środku, z dobrym polem obserwacji na zewnątrz, lecz pozbawieni możliwości ucieczki. Z drugiej strony butle nie stanowiły najbezpieczniejszej ochrony w przypadku strzelaniny. Jedyne nadzieje w tym, że były to puste butle do wymiany i beczki z odpadami. W ostatniej chwili przebiegli

do magazynku i ukryli się. Po kilku sekundach usłyszeli rozmowę dwóch mężczyzn.

– Minęliśmy moje laboratorium. W jakim celu prowadzi mnie pan na zaplecze? – dopytywał się profesor.

– Tak pan zaprojektował budynek, że najważniejsza część schowana jest z tyłu.

– Tam są jedynie magazyny – bez przekonania stwierdził profesor.

– Naprawdę? Nie trzeba było oprowadzać po tej części chciwego wujka Haddada.

– Panie Ahmed. Nie jestem chciwy, wierzę w pańskie idee – zaprotestował Firas.

Przywódca terrorystów tylko zaśmiał się i machnął z lekceważeniem ręką. Po chwili cała piątka znalazła się na rampie. Z przodu szedł przywódca i profesor Garilica, za nimi niski grubasek i Ann, pilnowani przez terrorystę.

– Panie Garilica, co prawda tego nie widać po brodzie, ale mam problemy z łysieniem. Czy znalazł pan już sposób na to, aby zmodyfikować kilka moich genów i przywrócić porost włosów?

– To nie takie proste. Za prawidłowy porost włosów odpowiada wiele genów. Dużo więcej mógłbym powiedzieć dopiero po zbadaniu pańskiego genomu. Ale, prawda jest taka, że wciąż nie znamy pewnego sposobu na przywrócenie owłosienia.

– Zasmuca mnie pan. Chyba zniknął ostatni powód, który powstrzymywał mnie przed zabiciem pana.

– To jakiś żart? – profesor uśmiechnął się nerwowo. Terrorysta nie odpowiedział.

Terry przyjrzał się dokładniej dowódcy. Ahmed nie wyglądał na ogarniętego furją religijną fanatyka. Był nonszalancki, przesadnie uprzejmy i gadatliwy. Terry znał podobne typy, w ten sposób odreagowywano stres związany z akcją. Podobni jemu podchodzili do zadania poważnie i z reguły realizowali je sprawnie. Terry wolałby mieć przed sobą zwykłego terrorystę. Czasami nazbyt przesadnie reagującego, ale też łatwo wpadającego w panikę – i popełniającego błędy. Tego typka trudno będzie zaskoczyć, z pewnością dokładnie zaplanował całą akcję, na zimno

analizując różne warianty rozwoju sytuacji.

Spojrzał na Ann. Szła jak sparaliżowana, niewiele rozumiejąc z tego, co się wokół niej dzieje. Tak się bała, że zapomniała nawet podnieść dłoni do ust, by przygryzać palce, co zawsze robiła w chwilach zdenerwowania. Jedynie jej oczy nieustannie przeszukiwały pomieszczenie, poszukując jakiejś pomocy. Terry miał nadzieję, że Ahmed tego nie zauważy, gdyż to mogłoby wzmocnić jego czujność.

Przywódca rozejrzał się po wnętrzu pomieszczenia i odwrócił w stronę profesora.

– Poproszę pana o kartę dostępu do laboratoriów ze zbiornikami – zakomunikował, wyciągając dłoń.

– Chcecie je przetransportować? Tego nie da się zrobić w kilka minut.

– Ich zawartość mniej mnie interesuje. Ciekawi mnie system sztucznego łożyska, który pan opracował. Mając puste zbiorniki i dane z pana komputerów, bez problemu je wypełnię. Choćby centaurami... – zaśmiał się, kiwając ponagląjąco wyciągniętą dłonią.

Garilica z ociąganiem sięgnął do piersi i odpiął kartę przymocowaną do wewnętrznej strony klapy marynarki. Podał ją Ahmedowi, który natychmiast przekazał kartonik jednemu z terrorystów. Ten skinął głową i z trzema innymi stanął na platformie windy.

– Zachowa pan życie, jeśli opowie pani Ann o projektach badawczych, na które natraficie na dole – oznajmił Ahmed, patrząc z drwiną na naukowca.

– Ale to są specjalistyczne projekty. Profesor Laskowski jest archeologiem, nie zna się na genetyce czy biologii.

– Niech pan spróbuje przedstawić je w zrozumiały sposób. Czytałem wywiady z panem i jestem pewien, że pan sobie poradzi. A przy okazji i moi ludzie czegoś się dowiedzą.

– Nie wiem, czy potrafię...

Ahmed niedbałym ruchem przesunął uzi, kierując lufę w brzuch profesora.

– Zjeżdża pan, aby pomóc odpiąć akwaria, czy woli zostać ze mną?

Profesor nic nie odpowiedział, od razu podbiegł kilka metrów, stając na platformie. Ahmed skinął z zadowoleniem głową i odwrócił się w stronę

Ann.

– Droga pani, przed panią okazja poznania szczegółów prac profesora. Zapraszam na platformę.

– Obawiam się, że nie będą to przyjemne widoki dla osoby rozmiłowanej w sztuce klasycznej. Wolałabym nie psuć swojego smaku – odparła z przeproszającym uśmiechem na twarzy. Ahmed skinął głową.

– Ma pani całkowitą rację. Z opowieści wiem, że profesor stworzył sztuczne łożysko, aby móc w nim hodować krzyżówki różnych zwierząt.

– Zmyśla pan! – zaprotestował uczony. – Nie prowadzę takich eksperymentów. Owszem, czasem wykorzystuję geny człowieka, aby w płodach zwierząt wyhodować organy ratujące ludziom życie. Nie robię tego dla zabawy.

– To jak, pani Ann? To ostatnia okazja, żeby poznać tak znaczące postępy medycyny w służbie człowieka.

– Jeżeli mogę, to zostanę na tym poziomie – odpowiedziała Ann.

Terry odetchnął z ulgą. Na rampie będzie jedynie dwóch terrorystów. Dzięki temu odbicie Ann stanie się o wiele prostsze.

– Ja też mam zjechać? – zapytał Firas, postępując krok do przodu. Ahmed powstrzymał go, kładąc mu dłoń na piersiach.

– A ty tam po co? Zostajesz ze mną.

Wujek Haddada wycofał się z westchnieniem.

– Zjedźcie na najniższy poziom, tam znajdują się interesujące nas obiekty. Załadujcie na platformę jedno z akwariów. Jeśli uda się bez przerywania okablowania, to dobrze. Jeżeli nie, trudno. Nie wiem, ile mamy czasu, ale chcę, aby przynajmniej jedno akwarium znalazło się w kontenerze. Potem wróćcie po następne.

Wdusił przycisk i pół minuty później winda zniknęła poniżej poziomu podłogi.

Ahmed przywołał spojrzeniem jednego ze swoich ludzi.

– Zaprowadź ją do pozostałych. Czekaście na mój sygnał.

– Sygnał do zakończenia akcji i zabicia nas wszystkich? – zapytała cicho

Ann. – Musi nas pan zabijać?

Ahmed spojrzał na nią bez emocji. Ładna, sympatyczna twarz sugerowała,

że kobieta ta będzie wierną towarzyszką dla mężczyzny, zdolnego przykuć jej uwagę. W tej chwili wyrażała zaskoczenie, może nawet przerażenie i strach, ale było widać, że się nie poddała. Jakby nie wierzyła, że za chwilę umrze. Ann zaimponowała Ahmedowi, szkoda, że znalazła się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie. Trudno, przypadek mieszający statystyki prawdopodobieństwa. Ahmed wielokrotnie był w sytuacjach dla innych nieodpowiednich. Jednak dla niego były one odpowiednie. Jakże często zresztą sam je prokurował. Jednym z powodów przyjmowania tego rodzaju zleceń były chwile, gdy mógł obserwować zachowania ludzi, których los zależał od jego kaprysu. Najczęściej spotykał osobniki pokroju Firasa. Świnie, które są w stanie sprzedać wszystko, dziwiące się, że także ich ktoś sprzedał. Typ profesora, uważającego, że czyni coś tak ważnego i niepowtarzalnego, że wszyscy powinni klękać przed nim na kolana, również dobrze znał. Osób takich jak Ann, a zwłaszcza kobiet, prawie nie spotykał. I może dlatego tak go intrygowały.

– Przykro mi, że pani fascynacja centaurami znajdzie tak tragiczny finał, ale nie mogę pozwolić, aby ktoś przeżył.

Terry spojrział na Subirę. To była ich ostatnia szansa. Terrorysta będzie przechodził obok magazynu, w którym się ukryli. Szybko ustalili, że Subira zajmie się likwidacją dowódcy, a on spróbuje wyeliminować po cichu terrorystę prowadzącego Ann. Ruszył do akcji od razu, nie czekając aż zakończą rozmowę.

\*\*\*

Ann przeszła obok schowanego za framugą Terrego, nie zauważając go. Posuwała się wolno, stawiając stopy tak ostrożnie, jakby bała się, że zapadną się w grzęzawisko. Dwa metry za nią szedł terrorysta. Nie poganiał jej, woląc spoglądać na jej tyłek. Uzi miał przewieszony przez prawe ramię, lufą w dół.

Terry podbiegł do niego, na wysokości krtani objął go lewym przedramieniem, jednocześnie przyciągając do siebie broń mężczyzny. Był wyższy o kilkanaście centymetrów i bez trudu uniósł przeciwnika, dzięki

czemu tamten stracił oparcie dla nóg. Terrorysta próbował się bronić, lecz nie był zawodowym żołnierzem. Chwycił jedynie Terrego za przedramię, usiłując uwolnić się ze śmiertelnego uścisku.

Ann, niczego nie podejrzewając, szła dalej. Po długich sekundach ciało terrorysty w końcu zwiotczało. Terry ułożył mężczyznę na posadzce, na wszelki wypadek uderzając go w skroń zdobytym uzi.

Ann była już kilkanaście metrów z przodu. Terry dopadł do niej w kilku susach. Wyczuła zbliżającą się osobę i odwróciła się naprężona jak struna, przyjmując mało skuteczną pozycję obronną jujitsu. Gdy zobaczyła, że to on, w jednej chwili pękło napięcie ostatnich minut. Jej ręce opadły, nogi ugięły się w kolanach i o mało nie zemdląła.

– Gdzie byłeś tak długo? – zapytała z pretensją. Na szczęście niezbyt głośno, ale Terry i tak przyłożył jej dłoń do ust.

– Ćśśś.

Nagle usłyszeli strzały. Najpierw z rampy, później także od frontu budynku.

\*\*\*

Ahmed był zadowolony. Informatyk, który włamał się do danych profesora w komputerze w holu, powiedział mu, że zdołał zgrać już wszystkie potrzebne pliki. Natomiast dowódca grupy transportowej oświadczył, że odnaleźli odpowiedni zbiornik i przygotowują go do transportu. Wszystko przebiegało więc zgodnie z planem. Jeszcze kilka minut, a będzie mógł oznaczyć kolejną akcję jako sukces. I zapomnieć o pracy na długie miesiące.

– Już przekonałeś się, że mówiłem prawdę. Daj mi pieniądze – usłyszał głos Firasa Haddada.

No tak, został jeszcze ten drobiazg – westchnął Ahmed, chowając telefon do kieszeni.

– Teraz już nie mam żadnego powodu, aby ci cokolwiek dawać – odpowiedział spokojnie, patrząc z cynicznym uśmiechem na ocierającego pot grubaska.

– Jak to? – dłoń Firasa zastygła. Ahmed wzruszył ramionami.

– Dostałem to, czego chciałem. Znacznie taniej będzie cię zabić.

Ledwo dokończył, wujek Haddada rzucił się do ucieczki. Po raz pierwszy go zaskoczył.

– A może puszcze cię wolno? – krzyknął, niemal się śmiejąc. – Jeżeli obiecasz, że przez rok będziesz chodził po Brooklynie z tabliczką „Jestem świnią”. Słyszałem o podobnych wyrokach sądowych, podobno są skuteczniejsze od więzienia. Może więc i ty zrozumiesz, że rodziny się nie sprzedaje.

Firas pobiegł w prawą stronę, gdzie znajdowała się rampa, z otwartymi drzwiami dwóch kontenerów. Ahmed zaczął iść w jego kierunku.

– Jednak chyba nie... Mam wrażenie, że gdybyś nosił taką tablicę nawet przez dziesięć lat, i tak niczego byś nie pojął. Lwa nie oduczysz zabijania, a świni taplania się w błocie.

Firas wbiegł do kontenera. Gdy dotarł do jego końca i zrozumiał, że nie ma tam żadnych drzwiczek, przez które mógłby uciec, przysiadł w rogu, chowając głowę w dłoniach.

– Nawet uciekać nie potrafisz – mruknął Ahmed, patrząc na skulonego mężczyznę.

– Chciałem tylko uwolnić się od dzieciaka-miliardera – zapłakał, jeszcze bardziej kuląc się w sobie. Ahmed uniósł broń.

– Wybrałeś zły sposób. Trzeba go było udusić podczas snu. Lub poderznąć gardło. Albo, w ostateczności, wynająć kogoś, kto zrobiłby to za ciebie. Ale ty pragnąłeś pieniędzy, a nie uwolnienia się od Haddada.

– A mogę wynająć ciebie? – Firas uniósł głowę i zsunął dłonie z oczu. Najwyraźniej obudziła się w nim nadzieja, że może znajdzie jednak jakąś drogę ucieczki.

Co za śmieć – skrzywił się z niesmakiem Ahmed i nacisnął spust.

\*\*\*

Subira czekała na okazję. Dopóki Ahmed rozmawiał przez telefon, nie mogła



do niego podejść niezauważona. Gdy jednak niski grubasek zaczął uciekać, a dowódca wolnym krokiem ruszył za nim, zrozumiała, że to jej szansa. Zdjęła obuwie i zaczęła skradać się w jego kierunku. W dłoni trzymała broń, ale jej użycie było ostatecznością. Znajdowała się pięć metrów za terrorystą stojącym przed kontenerem, gdy ten nagle posłał serię z karabinu.

Była wściekła. Nie to, żeby żałowała zabitego, z tego, co mówili, wynikało, że obydwaj byli sobie wari. Wkurzyła się, bo się spóźniła. Miała nadzieję obezwładnić terrorystę, po czym wykorzystać go jako kartę przetargową do ewentualnych negocjacji. Teraz musiała go zabić, gdyż za chwilę odwróci się i ją zobaczy. To wszystko przez tę suknię wieczorową, powinna była oberwać jej dół, aby mieć większą swobodę ruchu. Wyciągnęła dłoń i, celując w głowę Ahmeda, pociągnęła za cyngiel trzy razy. Terrorysta, okręcając się wokół własnej osi, upadł na podłogę. Podeszła bliżej, i wciąż trzymając jego głowę na muszce, sprawdziła, czy żyje. Oczy miał otwarte, ale białka już pokrywały się mleczną zasłoną. Zerknęła w głąb kontenera. Grubasek leżał skulony, w kałuży krwi, wciąż obejmując ramionami kolana.

\*\*\*

Ahmed tracąc powoli świadomość spojrzął na zabójczynię. Co za piękność – pomyślał. I jaka determinacja. Jej oczy zdradzały wściekłość zranionego zwierzęcia. Przecież jej nie skrzywdził? To musiała być jakaś zadra z przeszłości – stwierdził. Że też trafił na nią w ostatniej chwili życia. Była w niej siła, lecz i kobieca potrzeba opieki. Całe życie szukał takiej partnerki. Za późno ją spotkał. I w najmniej odpowiednim miejscu... Tym razem nie trafił ani z miejscem, ani z czasem.

\*\*\*

Bosa kobieta w długiej sukni, z pistoletem wojskowym trzymany w opuszczonej dłoni, stała nad leżącym ciałem mężczyzny w turbanie, z czarną brodą.

– To nasz człowiek – powiedział dowódca grupy beta, oglądając na ekranie gogli jej dossier. W tym momencie Subira rzuciła broń na podłogę i uniosła rękę. Komandos zdjął ją z celownika i zaczął rozglądać się za pozostałymi terrorystami.

– Są na dole. Jest ich czterech, mają jednego zakładnika – zameldowała. – Poprowadzę was.

– Niech zostanie – usłyszał polecenie w uchu.

– Zostajesz! – rzucił dowódca w jej kierunku.

\*\*\*

Marta obserwowała staruszkę z zakrwawionymi, sklejonymi w strąki włosami. Od dziesięciu minut tarła poślinionym palcem zdjęcie psa w albumie. Marta miała wrażenie, że w ten sposób bardziej próbuje usunąć pamięć o tym, że zdjęcie zostało schlapane krwią, niż pozbyć się mikroskopijnych czerwonych kropli, których na odbitce już z pewnością nie było. Oderwała spojrzenie od staruszki, szybko przebiegła wzrokiem po terrorystach i zatrzymała go na samobójczynie z pasem szahida pod płaszczkiem. Dziewczynka kończyła wyjadać olbrzymią porcję lodów z dużego, szklanego pucharu. Miała ładną twarz, bez garbatego nocha jak jej. Dlaczego więc zdecydowała się na aż tak radykalny krok? Rysy twarzy małej zdradzały, że jej rodzice pochodzili z krajów bliskowschodnich, ale ona sama wyglądała na żyjącą tu od urodzenia. W jej oczach nie czaił się żaden religijny fanatyzm, usta nie zaciskały się w grymasie pogardy wobec niewiernych.

Nagle Marta usłyszała serię wystrzałów na tyłach budynku. Tak, jak wszyscy znajdujący się w holu, odwróciła się w tym kierunku. W chwilę później dobiegły do nich kolejne, tym razem pojedyncze wystrzały. A po sekundzie eksplodowała ściana szyb i w całym holu rozpętało się piekło. Dobrze, że stała odwrócona do niej tyłem, dzięki temu odłamki szkła wbiły się jej we włosy, a nie w twarz.

Mimo woli odwróciła się, spoglądając w stronę okien. W holu w jednej

chwili pojawiło się kilkunastu komandosów. Terrorysty leżeli zabici na podłodze, lecz komandosi wciąż omiatali laserowymi smugami osoby siedzące przy stolikach. Zahaczały one każdego wielokrotnie, czasem krzyżując się na jednej postaci. Dziewczyńce objadającej się lodami nie poświęcili uwagi. Samobójczyni siedziała sztywno, jedną dłonią dziobiąc łyżeczką dno pucharu, a drugą sięgając po detonator. Marta nie potrafiła znaleźć powodu, dla którego dziewczynka miałaby wdusić czerwony przycisk, ale przeczuwała, że ma właśnie taki zamiar. Jak mogła ją powstrzymać? Czy powinna wstać, wskazać na samobójczynię palcem, i krzyknąć: „Ona ma pas szahida, wysadzi się!”? Najprawdopodobniej, zanim komandosi daliby wiarę jej słowom, ich szczątki już fruwałyby w powietrzu. Marta podjęła więc szybką decyzję: musiała powstrzymać samobójczynię. Podciągnęła nogi przygotowując się do odbicia, aby w jednym skoku doskoczyć do małej. Spróbuje chwycić ją za palce, wykręcić je, i w ten sposób udaremnić wduszenie przycisku. Zdawała sobie sprawę, że jej gwałtowne zachowanie ściągnie na nią uwagę komandosów, i że mogą zacząć do niej strzelać. Mogła zginąć. Lecz musiała to zrobić.

Skoczyła. Jednak palec dziewczynki okazał się szybszy. Nagły wybuch zmiotł wszystkich i wszystko w całym holu.

\*\*\*

Stłumiony odgłos wybuchu dotarł do najniższego poziomu budynku w chwili, gdy terroryści montowali już akwarium na platformie windy. Okazało się, że profesor Garilica bardziej ceni życie niż tajemnice zawodowe. Dlatego, chcąc udowodnić swoją przydatność, zdradził intruzom, jak przetransportować pojemniki bez odcinania kabli.

Zanim terroryści zdążyli zareagować, zgasło światło. Nie byli przygotowani do pracy w ciemnościach, poza tym natychmiast uświadomili sobie, że brak światła zwiastuje atak komandosów. Odskoczyli od pojemnika, padając na podłogę i jednocześnie sięgając po broń. Ale nic się nie wydarzyło.

Po chwili ich wzrok oswoił się z ciemnością na tyle, że w zielonkawym świetle płynów zaczęli dostrzegać jakieś kontury. Widzieli profesora stojącego przed pojemnikiem i płody w akwarium.

Wtedy usłyszeli odgłos upadających granatów, a po chwili całe pomieszczenie wypełniła mgła, gęsto poprzecinana czerwonymi smugami. Terrorysty otworzyli ogień celując w źródła smug, lecz szybko uciszono ich pojedynczymi strzałami. Wiele kul przeszło ściany pojemnika, jego szyby rozprysły się na drobne kawałki, a płyn rozlał szerokim strumieniem po podłodze. Również profesor został trafiony jakąś zabłąkaną kulą i wił się na podłodze, próbując złapać powietrze. Obok niego leżał płód pięcioletniego dziecka. On także za wszelką cenę próbował przetrwać w obcym mu środowisku.

\*\*\*

Czwórka przyjaciół siedziała na trawie, opierając się plecami o pień drzewa. Obserwowali krzątanie wojskowych, którzy znajdowali się przy rampie budynku kliniki. Było piękne popołudnie i słońce, chowając się za koronami drzew, muskało figlarnie ich zatroskane twarze, pomagając zapomnieć o koszmarze ostatnich godzin.

Subira była przygnębiona. Zdawała sobie sprawę, że to ona wywołała pogrom. Cało z tej akcji wyszli tylko oni, terrorysta obezwładniony przez Terrego oraz ulizany asystent profesora. Reszta została ciężko ranna lub zginęła. Gdyby podcięła Ahmedowi gardło, zanim ten strzelił do grubaska, komandosi mieliby czas przygotować akcję odbicia zakładników. Jednak seria z uzi wzmogła czujność terrorystów i wymusiła na komandosach szybką reakcję. Gdyby nie samobójczyni, wszystko zakończyłoby się *happy endem*. Odnaleźli porwanych, mogli udowodnić profesorowi przeprowadzanie zabronionych – lub co najmniej nieetycznych – eksperymentów. Teraz wszystko to niestety nie miało już znaczenia.

Także Federico zastanawiał się, czy mógł powstrzymać pogrom. Gdy Terry poprosił go o znalezienie sposobu zawiadomienia pułkownika

MacCormacka o ataku terrorystycznym, przez łącze satelitarne kliniki połączył się bezpośrednio z centrum kryzysowym. Udostępnił im również obraz z kamer systemu ochrony. Chyba nic więcej nie mógł zrobić? Nie miał pojęcia, że wśród zakładników jest dziewczynka z pasem szahida. Gdyby jednak odtworzył zapis akcji terrorystycznej, wtedy by o tym wiedział... Miał już dość pustych rozważań, które i tak nie cofną czasu. Jego udział w wydarzeniach jak zwykle ograniczył się do obserwacji, lecz – chyba po raz pierwszy w swoim życiu – tego nie żałował. Marzył o powrocie do miasta, wizycie w najbliższym sklepie z alkoholem i spłukaniu krwawego osadu, który czuł w ustach.

Ann marzyła, by wrócić na wykopaliska do Pilion. Wolałaby szukać grobu centaury i wątpić, czy go kiedykolwiek znajdzie, niż zastanawiać się czy jej odkrycie nie przyczyniło się do śmierci niewinnych osób. Gdy pojawił się pułkownik MacCormack, od razu zapytała, czy Damiano Haddad ma coś wspólnego z terrorystami. Zapewnił ją zdecydowanie, że nie. Ale to uspokoiło ją jedynie na kilka minut. Nawet jeżeli sponsor nie miał nic wspólnego z pogromem, najpewniej terrorystów ściągnął tu szum medialny związany z jej odkryciem.

Terry analizował przebieg akcji po szturmie. Dramat zamachu na klinikę profesora Garilicy rozgrywał się jakby na dwóch planach. Od frontu krew i łzy, koguty wozów służb specjalnych i sanitarnych, tłumy fachowców w sterylnych ubraniach, krzątających się jak muchy w gównie. Od zaplecza z rampą i magazynem – porządek i precyzja mrówek. Jakby te zachowania zostały wielokrotnie przećwiczone wcześniej. W niecałe pięć minut po tragicznym finale akcji komandosów, spod rampy zabrano kontenery napastników, a na ich miejsce podstawiono wojskowe ciężarówki. Nie były to jednak ambulanse, mogące udzielić pomocy ciężko rannym; nie były to również laboratoria kryminalne, mające pobrać próbki DNA, czy obfotografować wnętrza kamerami 3D do późniejszej, wirtualnej analizy wydarzeń. To były standardowe kontenery, tylko że w barwach wojskowych.

W kwadrans później zjawił się pułkownik MacCormack. Może byłby i wcześniej, ale zapewne stracił kilka minut na przebranie się i włożenie świeżego, wykrochmalonego munduru. Terry miał ochotę mu wygarnąć, skąd

wziął tak nieudolnych komandosów, i zapytać dlaczego, podobnie jak napastników, interesują go głównie okazy z genetycznej menażerii profesora. Powstrzymał się jednak. Nie chciał podważać jego kompetencji przy podwładnych. Uznał, że poczeka na odpowiedni moment. Frank, po wyrażeniu żalu z powodu zabitych i rannych oraz radości, że cała czwórka przeżyła, zaczął mówić tak głośno, jakby chciał, aby usłyszano go w promieniu kilometra.

– Niedawno przesiedli się z osłów do mercedesów, a teraz, w czasie postojów na pustyni, w towarzystwie wielbłądów oglądają nasze filmy na plazmowym ekranie. Zwłaszcza te wysokobudżetowe produkcje, kręcone na podstawie komiksów. Hulk, X-Men. Nic dziwnego, że chcieliby mieć takich wojowników. Nie rozumieją komiksów, nie są z nimi oswojeni od kołyski, jak my. My wiemy, że to współczesne bajki. Umiejętności możliwe do wykreowania jedynie na papierze lub w filmie. Oni traktują komiksy śmiertelnie poważnie. Podejrzewają, że w naszej armii służą mutanty. No i chcieliby mieć podobne.

Terry słuchał Franka, zastanawiając się, kogo pułkownik tak właściwie chce przekonać? Chyba jedynym powodem tyrady była chęć zbagatelizowania problemu, przedstawienia ostatnich zajęć jako nieistotnych, szalonych działań prymitywnych fanatyków. To mu się nie spodobało, ponieważ uświadomił sobie, że to jedynie zasłona. A skoro tak, należało zadać pytanie, co chciał ukryć jego kolega, Frank?

– Federico, ostatnio coś często się zawieszasz – Subira trąciła ramieniem zamysłonego przyjaciela, przerywając wielominutowe milczenie. – Jaką niespodziankę szykujesz nam tym razem?

– Odnalazłem kilku terrorystów w bazie danych. To właściwie nie są terroryści. Ahmed od wielu lat wynajmował się do zadań... nietypowych. Jego usługi były bardzo drogie.

– Konkurencja mogła dużo zapłacić za kod centaura – zauważyła Subira.

– Coś mi tu nie pasuje – odezwał się Terry, chcąc podzielić się z nimi swoimi wątpliwościami. – Dlaczego komandosi zabrali na akcję samochody ciężarowe? I dlaczego tak szybko pakują dorobek profesora do wojskowych samochodów?

–Bo to pewnie ważne dla obronności kraju... –Subira wzruszyła ramionami.

–Co? To, że ktoś chce mieć na głowie rogi? Albo, że jest pół-człowiekiem i pół-koniem? Albo, że pragnie posiadać ogon? –również Ann postanowiła wylać z siebie żółć. Była zła, że wszyscy myślą jedynie o tym, jak zamienić idee na pieniądze. Czy zawsze wszystko było na sprzedaż, czy to jeden z genialnych wynalazków XXI wieku?

–Wszystko może posłużyć jako broń. A jeżeli końcówka ogona będzie na przykład zawierać jad? –myślał na głos Federico. –Taki centaur byłby nie tylko doskonałym, samojezdnym środkiem transportu, zdolnym do przewiezienia na pole walki 2-3 żołnierzy albo amunicji do broni ciężkiej. Potrafiłby również się obronić i przeanalizować sytuację bez wspomaganie z zewnątrz. Więc nie pytaj mnie, po co wojsku centaury.

–Nie żartuj... –Ann spojrzała na niego z niesmakiem. Jednak po chwili nie była już tak pewna swego. –Może masz i rację. Nie da się wykluczyć, że profesor pracował dla wojska i jedynie postanowił dorobić sobie na boku.

–To ma sens –zgodziła się Subira. –Ale pewnie nigdy nie dowiemy się, czy masz rację.

–Niekoniecznie –odezwał się cicho Terry.

–Przecież dobrze wiesz, że wojsko nie ujawni prawdy –Subira nie miała wątpliwości.

–Dowiemy się sami! –oznajmił.

–Jak? Zaraz wykopią nas do domu. I tak nie wiem, po co nas tu jeszcze trzymają, przecież złożyliśmy już zeznania.

–Musimy dostać się do transportu razem z wyposażeniem –Terry nie ustępował.

–Nawet, jeżeli nam się to uda... –Subira miała zastrzeżenia, ale Terry jej przerwał.

–Dlaczego miałoby się nie udać?

Spojrzał na nią... Nie uległa jego naciskowi i dokończyła zdanie:

–... to nie wiemy, czy przez cały czas będą go przewozić samochodami. A jeśli załadują go do samolotu? Zamarzniemy w lukach.

–Rozmawiałem, jak technik z technikiem, z jednym z żołnierzy. To są

kontenery z zamkniętym układem do utrzymywania stałej temperatury i ciśnienia – Federico podważył jej argument.

– Słuchajcie, ukryję się w transporcie sam. Wy zostaniecie tutaj – zdecydował Terry. Nie interesowało go, co wojskowi zrobią z zielonymi akwariami. Podejrzewał, a nawet był pewien, że armia prowadzi podobne badania, jak profesor Garilica. Nie rozmawiali o tym w piątek wolności, ale było oczywiste, że skoro genetyką interesują się wielkie korporacje medyczne, kosmetyczne czy spożywcze, to i generałowie sięgnęli po kawałek tego tortu. Terrego interesowały hibernatory i odpowiedź na pytanie, kto stoi za porwaniami. Nie chciał ich spuszczać z oka nawet na chwilę, gdyż stanowiły jego ostatni trop. Gdy porwani zostaną wybudzeni z hibernacji, być może dostarczą nowych poszlak.

– Nie puszcę cię samego – zaprotestowała Ann.

– A jak będziesz musiał otworzyć jakieś zamknięte drzwi? Bez moich umiejętności nie poradysz sobie. Idę z tobą – oznajmiła z rezygnacją Subira.

– Będzie potrzebny dowód. A najlepszym są zawsze dane z komputerów. Tylko ja potrafię je wydobyć, nie zostawię cię bez pomocy – dodał z entuzjazmem Federico. Po chwili coś go jednak zmartwiło. – A jak wywiozą nas daleko? Wtedy nie zdążymy wrócić na nasz piątek wolności.

– Wówczas następnym razem napijemy się za dwa piątki wolności. Zafundujemy sobie weekend wolności! – zaproponował Terry.



## Rozdział 7.

# Hodowla doskonałych żołnierzy

### W fabryce zmutowanych wojowników

Ukrycie się w kontenerach razem z zielonymi akwariami i hibernatorami nie było najlepszym pomysłem – jak uznali zgodnie po pół godzinie. Nie mieli gdzie usiąść, zewsząd osaczała ich cisza, a telefony komórkowe nie działały. Ale przez następnych siedem godzin nie mogli nic zrobić, gdyż – tak jak przewidywała Subira – łupy wojenne z kliniki Garilicy zostały załadowane do samolotu.

Początkowo trochę rozmawiali, później jednak głównie milczeli, czekając na koniec lotu i opuszczenie kontenera – gdziekolwiek by go nie postawiono. Terry był rasowym żołnierzem, zasypiał od razu, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Pozostałym przychodziło to z większym trudem.

– Ale dlaczego wojskowych miałyby interesować kod genetyczny? – wciąż zastanawiała się Ann.

– Choćby w celu stworzenia bomby genetycznej – odparła Subira.

– O czym ty mówisz? Wirus zaatakuje każdy organizm.

Subira pokręciła przecząco głową.

– Wiesz dobrze, że nie. Wystarczy własnym żołnierzom podać szczepionkę. Pozostaną w pełni sił, podczas gdy siły wroga będą kichać i mieć gorączkę, która może doprowadzić do śmierci.

– Położyłbym nacisk na to ostatnie – dodał Federico.

– To niemożliwe... – Ann nie mogła uwierzyć w taki scenariusz.

– Mylisz się. Już 40 lat temu w RPA pracowano nad bombą genetyczną, mającą zabijać wyłącznie Murzynów. Nie dokończyli prac, gdyż apartheid upadł. Ale ich badaniami zainteresował się Izrael. Pomyślano tam, że taki etniczny wirus załatwi skutecznie kwestię Arabów. Pewnie by go stworzyli, jednak okazało się, że genetycznie Izraelici są niemal identyczni ze swymi wrogami – pochodzą z tego samego rdzenia semickiego, który zapoczątkował Abraham. Wirus zabijałby zarówno jednych, jak i drugich. Nigdy jednak nie zapomniano o idei broni genetycznej.

– To bzdury. Teorie spiskowe – zaśmiała się Ann.

– Nie, Ann. To brutalna prawda o naszym świecie. Opowiedziała mi o tym moja szefowa Milena. Przed podjęciem praktyki w Nowym Jorku pracowała w Tel Awiwie. Zdradziła, że bomba genetyczna nie przeszła z innego jeszcze powodu: okazało się, że nie byłaby w stanie rozróżnić wszystkich Żydów. Genomy Żydów mieszkających na terenach Izraela od dawna, różnią się znacznie od genomu Żydów europejskich czy sefardyjskich. Informację, że nie ma jednego wzorca genetycznego Żydów, utajniono. Wychodzi na to, że jedyne, co ich łączy, to wiara w tego samego Boga.

Ann już o nic więcej nie pytała. Wtulila się głębiej w ramiona Terrego i po chwili zasnęła. Subira, wciąż w sukni wieczorowej, nie mogła znaleźć odpowiedniej pozycji. Federico przyglądał się jej z lekkim uśmiechem.

– Muszę obciąć tę głupią kieckę, strasznie w niej niewygodnie – wyjaśniła, zastanawiając się, czy uśmiezek Federica to uśmiech rozbawienia, czy podniecenia seksualnego. Niestety, stawiała na to drugie. – Obiecuj, że nie będziesz się gapił na moje nogi.

– A gdzie mam patrzeć? Na te wodne stwory? – zaprotestował.

– Wolisz pływać z nimi?

– No już dobrze – odparł urażony i odwrócił się w drugą stronę. Usłyszał dźwięk dartego materiału, strasznie go korciło, żeby chociaż zerknąć, lecz powstrzymał się.

Po kilku minutach i oni zasnęli. Gdy poczuli, że kontener zaczyna się kiwać i usłyszeli stłumione odgłosy uderzeń, przebudzili się, rozumiejąc, że

już wylądowali. Byli wyspani, lecz doskwierał im głód. Schowali się w głębi kontenera, za ostatnim rzędem zielonych akwariów, czekając na okazję do ucieczki. Do środka weszło kilku mężczyzn, przez chwilę dyskutowali nad najlepszym sposobem wyciągnięcia hibernatorów, które znajdowały się z przodu. Kilkanaście minut walczyli z pierwszymi dwoma, a później zapadła cisza. Terry uznał, że to jest właśnie ten moment i ostrożnie zaczął skradać się w stronę wyjścia.

Przy kontenerze zostało dwóch żołnierzy, mających przygotować następne akwarium do transportu. Ale w tej chwili nie interesowało ich zadanie, a bar z zimnym piwem i striptizem, który zamierzali odwiedzić po zakończonej wachcie. Subira i Terry poradzili sobie z nimi bez trudu. Nieprzytomnych ukryli we wnętrzu kontenera. Wcześniej zdjęli z nich spodnie i bluzy. Subira z olbrzymią ulgą wskoczyła w mniejszy komplet, Terry założył drugi. Ann musiała pozostać w sukni wieczorowej, gdyż nawet, gdyby nogawki spodni niższego żołnierza podwinąć do kolan, i tak szorowałyby mankietami po podłodze. Terry oddał jej swoją bluzę, którą mogła zarzucić na ramiona jak pelerynę. Zdjął również buty i podkoszulek mężczyzny. To były typowe buty żołnierskie, z grubą podeszwą i wysokimi cholewami, za ciężkie i za duże dla kobiety, jednak Ann wciąż chodziła w szpilkach. Z podkoszulka zrobił onuce i dziewczyna z ulgą założyła buty na płaskim obcasie. Co z tego, że wyglądała jak Charlie Chaplin w *Brzdącu* – jak z przekąsem zauważył Federico, najważniejsze, że była zadowolona.

– Mamy kilkadziesiąt minut. Ruszajmy na zwiad – zadysponował Terry.

– A później co? Damy się złapać? – zapytała zdziwiona Ann.

– Jeżeli wcześniej nie znajdziemy innego wyjścia, to tak – odparła spokojnie Subira.

– Terry, wiedziałeś o tym? – Ann nie mogła uwierzyć w to, by Terry nie miał precyzyjnego planu.

– Nie wiedziałem, gdzie wywiozą kontenery... Ale brałem to pod uwagę. Ważne było poznanie celu. I możliwość odnalezienia kaprała Trottera wraz z pozostałymi. Tym, jak wybrnąć z sytuacji, zajmiemy się w odpowiednim czasie.

Gdy wyszli z kontenera okazało się, że znajduje się on na platformie

windy. Obok dostrzegli drugi pojemnik, już opróżniony. To do niego, jak pamiętał Terry, zapakowano hibernatory z porwanymi. Winda stała w okrągłej hali o średnicy kilkudziesięciu metrów i wysokości zaledwie ośmiu-dziesięciu metrów. Z tyłu znajdował się park maszyn budowlanych i transportowych, magazyn z beczkami i paletami oraz kilka baraków dla pracowników. Przed nimi były trzy korytarze o prostokątnym przekroju, szerokie na sześć metrów i wysokie na najwyżej cztery.

– Telefony komórkowe wciąż nie działają – oznajmił Federico. – No nie, jest dopiero piąta rano.

– Pora najlepszego snu? – zaśmiała się Subira.

– Chyba żartujesz – odparł oburzony. – O tak wczesnej godzinie częściej kładłem się spać, niż wstawałem.

– Gdzie możemy być? – zapytała Ann.

– Biorąc pod uwagę niezbyt wysokie stropy korytarzy – w jakimś tajnym ośrodku we wnętrzu góry lub pod ziemią – odpowiedział Federico.

– Raczej pod ziemią. Gdyby korytarze zostały wykute w skale, nie byłoby konieczności zabezpieczenia ich stalowymi obręczami i wypełnieniem z betonu – zauważył Terry.

– Masz rację, jesteśmy pod ziemią – zgodził się Federico.

– Nie rozdzielajmy się. Nie znamy terenu, nie mamy łączności i jeżeli nie chcemy się pogubić, musimy trzymać się razem – zdecydował Terry.

– A którym korytarzem pójdziemy? – zapytała Ann.

– Ty wybierz – zaproponował z lekkim uśmiechem.

Ann skrzywiła nosek, spojrzała w lewo, spojrzała w prawo, spojrzała na wprost i bez chwili wahania wskazała korytarz po prawej.

– Idziemy tym korytarzem! – oznajmiła, z niezwykłą u niej pewnością siebie w głosie.

– No to idziemy.

– Zaraz, zaraz, a dlaczego akurat tym? – zaprotestował Federico.

– Bo Ann tak zdecydowała – odpowiedział Terry, pociągając przyjaciela za ramię.

Subira spojrzała na Ann z ciekawością.

– No dobrze, powiem ci – szepnęła do niej Ann. – Drzwi kontenerów

otwierają się w kierunku lewego korytarza. Pomyślałam więc, że celowo tak je ustawiono. Gdybyśmy nim poszli, moglibyśmy trafić na żołnierzy, wracających po drugą partię.

– Słusznie... – potwierdziła jej wybór Subira.

– A iść na wprost? Jakoś nie lubię...

Ruszyli w głąb tunelu. Mężczyźni z przodu, kobiety za nimi.

– Myślisz, że wybraliśmy odpowiedni korytarz? – zapytał Federico.

– Jestem pewien, że to nie ma znaczenia. Nie szukamy ukrytego skarbu. Podejrzewam, że wszystkie korytarze prowadzą do jednego celu, którym jest główna centrala bazy, z windą osobową. W każdym z korytarzy po drodze mogą znajdować się ciekawe przedmioty czy okazy, ale wyjaśnienie znajdziemy w centrum.

– Oby była tam też stołówka – westchnął Federico.

\*\*\*

Główny korytarz miał wiele odnóg, prowadzących do sal o powierzchniach nie większych niż boisko do koszykówki. Każda z nich była zaopatrzona w solidne, metalowe drzwi. Terry pomyślał, że może nie chroniły one zawartości pomieszczeń przed obcymi, a raczej obcych – jak i własnych żołnierzy – przed tym, co znajdowało się w środku. Gdy weszli do pierwszej sali, okazało się, że miał rację.

Na początku trafili na kompleks pomieszczeń ze zwierzętami z niskiego szczebla drabiny ewolucji, który nie wymaga mózgu. Owady oraz płazy. Ich wygląd nie sugerował, że mogą być bronią, lecz kto zna scenariusze gier wojennych? Różnokolorowe, wielonożne gąsienice, zanim przeistoczą się w motyle, są po prostu larwami szukającymi pokarmu. Ich apetyt pożarł już niejedną cywilizację. Również dzisiaj, w monokulturze, mogły stać się bronią totalną. Wystarczy rozrzucić kilka beczek podobnych wojowników, a gospodarka niejednego kraju padnie. Liczne terraria z węzami, jaszczurkami oraz żabami służyły bez wątplenia do odnalezienia trucizny doskonałej. Na tym polu natura wciąż była bardziej pomysłowa

od człowieka, i to nawet wspomaganego komputerami. Liczyły one biliony razy szybciej i były zdolne wygenerować tysiące związków – tylko że później każdy trzeba było sprawdzić w działaniu. Natomiast powolna natura od razu testowała ich skuteczność, kierując do dalszej produkcji jedynie te, które sprawdziły się w boju. Następne terrarium świeciło światłem własnym, jak gwiazda, a nie odbitym, jak Księżyc i planety. Jednak to nie gorące reakcje jądrowe wyzwalały jasność, a zimna chemia. A więc nawet tak niewinne chrząszcze świetlikowate można było wykorzystać jako źródła światła. To był jedyny pomysł, jaki przyszedł mu do głowy, ale niewykluczone, że istniały też inne, dużo bardziej złowieszcze...

Terry wiedział o wielu próbach użycia zwierząt do celów militarnych. Wolał jednak nie wspominać o tym pozostałym, zwłaszcza Ann. Gołębie od starożytnych czasów były wykorzystywane do przesyłania informacji. Lecz w czasie II wojny światowej ptaki te próbowano również wyszkolić na pilotów pocisków. A przed zrzućeniem bomb atomowych na Japonię, zastanawiano się nad użyciem nietoperzy do nalotu z bombami zapalającymi. Zakładano, że wypuszczone masowo nietoperze będą szukać schronienia w budynkach, natomiast bomby chciano zaopatrzyć w detonatory czasowe. Później, w czasie zimnej wojny, pojawiła się koncepcja, aby z domowych kotów uczynić szpiegów. W ich ogonach zamontowano anteny, a mikrofony ukryto w futrach. Lecz koty chadzają, jak wiadomo, własnymi drogami. Wszystkie projekty okazały się niewypałem. Było jednak widać jak na dłoni, że wojsko wciąż nie rezygnuje...

Terry z ulgą obserwował odprężoną twarz Ann. Nie lubiła insektów ani płazów i trzymała się od szyb w bezpiecznej odległości. Spokojnie przechodziła obok kolejnych terrariów. Na szczęście nie były to stwory z nocnych koszmarów, czy hybrydy z piekła rodem.

Przeszli do następnego kompleksu pomieszczeń. Tutaj nie natrafili już na zwierzęta za kratami – a na ludzi za szybami, które prawdopodobnie były lustrami weneckimi. Uznali, że nie są to cele więzienne, chociaż wszystkie miały identyczne wymiary – cztery na cztery metry. Posiadały też podobne meble, tv na ścianie i laptop na biurku, łóżku lub podłodze. W każdym znajdował się też mały kącik pamięci. Półka z fotografiami w ramkach,

fragment ściany ze zdjęciami przypiętymi pinezkami lub przytwierdzonymi taśmą klejącą. Twarz matki stojącej przed telewizorem lub lodówką, grillującego ojca oraz dzieci – na wakacjach, w szkole, przebrane z okazji Halloween, na rowerach, deskach, z piłką do koszykówki. No i fotografie lokatorów. Głównie w mundurach. Sztywnych, galowych, albo polowych, pobrudzonych smarem, zakurzonych, podartych. Pochlapanych frontową krwią.

Była też inna wspólna cecha zgromadzonych tu lokatorów. Bardziej widoczna, bolesna. Cierpieli na jakąś niepełnosprawność. Przeważnie chodziło o brak jednej kończyny, ale wielu z nich utraciło obydwie. Wszyscy posiadali za to protezy. Najwyższej jakości, z kompozytów węglowych i tytanu.

Terry rozpoznał w tej grupie weteranów wojennych. W ich spojrzeniach, gestach wyczuwał nieustanne skupienie. Częściowo mogło to wynikać z uczenia się poruszaniem protez, ale nie wyjaśniało wszystkiego. W jego ocenie był to po prostu nawyk, którego nie można się wyzbyć. Nieufność wobec otoczenia, przymus obserwacji i analizy tego, co dzieje się wokoło oraz świadomość, że jedynie podobna czujność może zapewnić bezpieczeństwo. Jeśli by pominąć fakt zamknięcia tych ludzi w tajnej bazie pod ziemią, można by uznać, że uczestniczą w jakimś programie rehabilitacyjnym. Tylko że ich protezy nie służyły poprawie jakości życia, a stanowiły niebezpieczną broń. Zamiast czterech palców i kciuka – dostrzegał dwie lufy różnego kalibru, w przedramieniu umieszczono miotacz ognia, a w miejscu kciuka i palca wskazującego szczypcę do przecinania blach i kabli. Żołnierz, który stracił nogi, nie otrzymał protez kończyn, lecz osiem pajęczych odnóży. Terry musiał przyznać, że człowiek-pająk posługiwał się nimi nadzwyczaj sprawnie. Tylko w jakim celu zamontowano mu aż tyle nóg, zamiast zwykłych – choćby podrasowanych jak u Pistoriusa – dwóch, wystarczających do chodzenia, grania w piłkę, założenia nogi na nogę lub kopnięcia armii w dupę – tego Terry nie wiedział.

Zagłębiali się w tę galerię coraz bardziej przygaszeni. Połyskująca stal protez zgasiła ich dobre samopoczucie.

– Ale Hulka tu nie mają – zauważył z zawodem Federico.

– Federico, jak możesz tak żartować! – zaprotestowała Ann.

Subira już wiedziała, że upierdliwy styl bycia Federica nie jest cyniczną potrzebą wbijania igieł, lecz obroną wrażliwego, nierzadko wystraszonego człowieka.

– On nie żartuje, próbuje jedynie zachować dystans do tego, co widzi – spróbowała go usprawiedliwić. – To mogą być na przykład więźniowie, zgadzający się na testy w zamian za amnestię.

– Co nie zmienia faktu, że trzymają tych ludzi w klatkach jak zwierzęta – nie ustępowała Ann. – To wciąż jest... nieludzkie.

– Przejdźmy do następnych pomieszczeń – zdecydował Terry.

Galerię inwalidów zaopatrzonych w protezy opuścili, jak się okazało, nie w porę. Na korytarzu pojawiły się bowiem wózki transportowe wyładowane opakowaniami z tanią żywnością.

– Czas karmienia – domyślił się Federico, zamykając oczy i wciągając nosem powietrze. – Może mają też hamburgery?

– Schowajmy się i poczekajmy aż zrobią swoje – zaproponowała Subira.

– Gdzie mamy się schować? Tam, gdzie króluje nożycoręki czy może u człowieka-pajaka? – zapytała przerażona Ann.

– Wejdźmy tutaj – podjął decyzję Terry.

Ukryli się w kolejnym kompleksie sal.

Pierwsza stanowiła jakby olbrzymi żłobek. W niezliczonych rzędach inkubatorów widzieli niemowlaka przy niemowlaku. Dziewczyny się rozkleiły, wymieniając uwagi w rodzaju: „Ale ten ma śliczne oczka! A spójrz na te dołeczki w policzkach!”; Federico z coraz większym lękiem słuchał ich paplaniny, z rezerwą spoglądając na dzieci. Natomiast Terry zastanawiał się, w jakim celu wojsko urządziło żłobek pod ziemią? Zwłaszcza, że w inkubatorach nie znajdowały się tylko niemowlaki, lecz nawet kilkuletnie dzieci. Wyglądały na zdrowe, różowiutkie i z wszystkimi kończynami, więc nie był to ośrodek dla chorych. Chyba że coś nie tak było z ich mózgami?

Przeszli do następnej sali.

Ta z kolei przypominała zoo, albo raczej zaplecze cyrku. W zoo zwierzęta trzymane są w ogrodzeniach, stanowiących namiastkę ich naturalnego środowiska – w tej sali wpakowano je do bardzo ciasnych klatek. Przede



wszystkim były to małpy, ale nie goryle, szympansy i orangutany, lecz inne, o wiele bardziej egzotyczne gatunki. Terry rozpoznał jedynie makaki, które widział kiedyś zażywające kąpiele w gorącym stawie pośród ośnieżonego krajobrazu Japonii. Znajdowały się tu też psy różnych ras, koty, a nawet bobry i wydry.

W ostatniej sali również były zwierzęta, lecz trzymano je w całkiem innych warunkach. Nie w klatkach o metalowych kratkach, a za szybami, jak weteranów z protezami. Poślanie nie było wiązką rzuconej słomy, lecz schludnym legowiskiem, z kocykiem mającym wzór w misie lub nutki muzyczne. Nie widział też konarów do skakania czy gumowych kości do obgryzania, tylko klocki i plastikowe puzzle.

Małpka układająca z puzzli mapę świata mogła wywoływać zdziwienie, lecz ostatecznie nie było to niemożliwe. Jednak szczeniak dalmatyńczyka, na widok którego Ann i Subira aż roztopiły się w zachwytach, stał przed klockami z literami, jakby układając je w zdania. To musiało ich zafrapować. Aby zdanie zostało poprawnie zapisane, brakowało jeszcze dwóch liter. Szczeniak, kręcąc głową, przyglądał się pozostałym klockom, przewracając je łapą, jakby w poszukiwaniu brakującej litery.

Czyżby w głowy tych zwierzaków lekarze wpakowali ludzkie mózgi? – pomyślał Terry i aż przystanął z wrażenia. Musiał zamknąć oczy i policzyć do dziesięciu, aby nie oszaleć. Na szczęście nikt z pozostałych nie zdawał sobie sprawy z tego, czym – a właściwie kim – są uwięzione tu zwierzęta. Terry rozejrzał się z niepokojem, dziewczyny i Federico próbowali bawić się z hybrydami, wybierając kandydata na zwierzaka domowego. Dobrze, że Ann nie domyślała się, czyje mózgi wciśnięto w te biedne istoty. Już i tak poznała tyle gówna świata, że jeszcze długo nie poczuje zapachu stokrotek. Musiał ich jak najszybciej stąd wyprowadzić.

Federico chciał coś powiedzieć, ale widząc, że Terry kręci przecząco głową, tylko machnął ręką. Już od dawna wiedział, że wszystko, co mówi się o wojnie, jest nieprawdą, tak różną od rzeczywistości, jak zero od jedynki. Walka o ideały polegała tak naprawdę na mordowaniu. Niekiedy na polowaniu, lecz najczęściej zarzynaniu zwierząt w rzeźni. I to nie takiej zmechanizowanej, ze strzelaniem kółkami pod ciśnieniem lub przykładaniem

elektrod do głowy, a w przydomowej, prymitywnej, z podcinaniem gardła tępymi nożami i czekaniem aż wypłynie cała krew. Jednak to, co teraz zobaczył, całkowicie go zaszokowało. Słyszał o podobnych zapędach naukowców, uznawał je jednak za zbyt szalone. Zdecydowanie niemoralne i bezsensowne. Najwidoczniej wojsko nie podzielało jego zdania. Czym wyjątkowym na polu walki może wykazać się dalmatyńczyk zaopatrzonego w ludzki mózg? Psie łapy i tak nie będą zdolne manipulować narzędziami. A może chodzi tu o węch? Ale przecież i bez mózgu dziecka pies potrafi wskazać zwierzynę myśliwemu. To był szczyt głupoty. Jak powstrzymać ten wyścig okrucieństwa? – zastanawiał się.

– Mamy coraz mniej czasu, wychodzimy stąd! – zadysponował szybko Terry, chcąc otrząsnąć się z koszmaru.

– Chodźmy do stołówki – poparł go Federico, chwycił dziewczyny pod rękę i pociągnął je do wyjścia.

Niestety nie zdołali tam dotrzeć. Gdy wyszli z pomieszczenia, ujrzeli kilkanaście wycelowanych w siebie luf. Dla podbicia efektu żołnierze przeładowali broń.

– Nie ruszać się! Kto jest dowódcą? – usłyszeli.

– Ja – powiedział Terry, występując krok do przodu. – Pracuję dla Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego. Prowadźcie nas do dowódcy bazy.

– Na głębę! Ręce z tyłu, spleść palce!

Nie był to najwyraźniej czas na negocjacje.

## Pochwycenie intruzów

Pułkownik Frank T. MacCormack był znużony wcześniejszym obchodem i nawet koniak w gabinecie dyrektora naukowego bazy nie pomógł mu w pobudzeniu krążenia. W przeciwieństwie do szefa projektu „Żołnierz przyszłości”, Rolanda Morelleta, zaszuszonego pięćdziesięciolatka w dużych, rogowych oprawkach okularów, który oprowadził go po swoim terytorium,

a teraz – odnosząc się do zbyt wielu szczegółów – opowiadał o projektach. Rozpływał się przy tym ze szczęścia, raz po raz dziękując Frankowi za dostarczenie dokumentacji i okazji profesora Garilicy.

To był bardzo długi dzień, który zaczął się niefortunnie kłótnią podczas rodzinnego śniadania, lecz miał szansę zakończyć pełnym sukcesem zawodowym. A wszystko za sprawą telefonu, rozbijającego Frankowi rodzinne plany na weekend. Pułkownik trzymał świat w garści, lecz jego własna rodzina rozłaziła mu się między palcami. Żona miała pretensje, że nie zarabia tyle pieniędzy, aby na każdy bal charytatywny mogła pójść w nowej kreacji; najstarszy syn oznajmił, że nie pójdzie do West Point, gdyż chce przerwać krwawą sukcesję przodków; średnia córka zarzucała mu, że wysługuje się koncertom, przyczyniając się w ten sposób do ocieplenia klimatu; a najmłodsza latorośl, ulubiony synek tatusia, uważał go za dinozaura, niepotrafiącego posługiwać się okularami GDV. Frank obiecał rodzinie, że w piątek wyskoczą na Hawaje, aby w sprzyjającej scenerii przedyskutować rodzinne problemy. Odbierając telefon miał nadzieję, że nie dzwoni matka, by wyżalać się, że od roku nie odwiedził jej z wnukami; ani teść, który wciąż dopytywał się, kiedy jego zięć zrobi wreszcie porządek z muzułmanami. Na szczęście to był tylko Terry.

– Chyba mogę powiązać klinikę badającą DNA z porwaniami weteranów – oznajmił lakonicznie. – Właśnie jadę to sprawdzić.

Frank zamarł. To była ważna wiadomość i pułkownik natychmiast zapomniał o rodzinie. Zamknął się w gabinecie i wykonał kilka telefonów, przygotowując finał operacji rozpoczętej trzy tygodnie wcześniej. A zaczęło się tak niewinnie... Pułkownik najprawdopodobniej nie zwróciłby uwagi na informacje Terrego o zaginięciach weteranów, gdyby nie uwaga, że mogą mieć one związek z programem „Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie”. Kilka dni wcześniej, w czasie narady międzyresortowej poświęconej nowym technologiom w armii, usłyszał o modyfikacjach genetycznych, które mogłyby okazać się przydatne na polu walki. Przy czym dane z tego programu miałyby tu ogromne znaczenie. Pułkownik przypomniał sobie rozmowę, jaką odbył z senatorem w samochodzie. Najgorsze, że Arnold Eagleclow, przewodniczący Komisji Sił Zbrojnych Senatu Stanów

Zjednoczonych, tak dużo palił. Ale była to osoba mogąca zmienić jego życie, więc bez protestu znosił smród cygar.

– Myśli pan, że porwania faktycznie mają coś wspólnego z badaniami DNA weteranów? – zapytał senatora, kiedy ten kazał mu skontaktować się z Terryem i wy badać co ten wie.

– Nie mam pojęcia. Ale dobrze by było, gdyby twój bąk odkrył takie powiązania – odpowiedział niedbale Eagleclow, całą uwagę skupiając na okręcaniu cygara w palcach.

– A nie lepiej skorzystać z naszego wywiadu?

– Wciąż masz nawyki żołnierza, a nie polityka. Musisz się ich pozbyć. Nadanie oficjalnego trybu śledztwu nic mi nie da, może jedynie zaszkodzić. Gdy wyjdzie na jaw, że to bzdura – zetrą nas w pył. Gdy okaże się to prawdą – cały splendor spłynie na wywiad.

– W tej chwili to jedynie poszlaki, nie wiadomo jak wygląda prawda – zauważył ostrożnie Frank. Przed kongresmanem zachwalał Terrego, ale nie ufał mu do końca. Terry nie był żołnierzem z krwi i kości, do wojska dostał się przez przypadek. Wypełniał rozkazy, tego nie mógł mu zarzucić, lecz zbyt często przed wykonaniem polecenia zastanawiał się nad jego słusnością. Teraz jednak mógł okazać się przydatny i Frank zamierzał skorzystać z takiego daru losu. Ryzykował, stawiając na niego i wolał się zabezpieczyć. – Nie wiem, czy Terry odkryje prawdę.

– Nie interesuje mnie prawda. Potrzebny mi choćby strzęp dowodów, pozwalający interweniować i przejąć wyniki badań kliniki. To one są nam potrzebne. Później możemy procesować się w sądach, a Garilica może nawet wygrać proces i otrzymać wysokie odszkodowanie. Zanim jednak tak się stanie, uzyskamy to, czego potrzebujemy.

Frank też miał taką nadzieję. Utknął na pilnowaniu weteranów przed wpadnięciem w łapy terrorystów lub wyciszaniu ich zapędów do mszczenia się za swój los na innych obywatelach. Miał już dosyć wyciągania ręki do tych śmieci, niepotrafiących walczyć o swój byt w zwyczajnym, cywilnym życiu. Ten projekt natomiast wkraczał w przyszłość i Frank głęboko wierzył, że pomoże mu się wyrwać z tego szamba.

A kilka godzin później otrzymał wiadomość od grupy Terrego, że obiekt

zajęli terroryści. Skąd terroryści? Tego nie było w planie. Wydał rozkaz opanowania sytuacji w klinice. Ale to był dopiero początek. Później zadzwonił do senatora Eagleclow. Ustalili, że najlepiej będzie wejść w posiadanie zasobów kliniki Garilicy, po czym przewieść je do tajnego ośrodka DARPA. Decyzję miał podjąć Frank osobiście na miejscu, po rozpoznaniu sytuacji. Zadzwonił więc do dowódcy komandosów i kazał wysłać kolumnę ciężarówek. Później wezwał śmigłowiec dla siebie. Gdy dotarł na miejsce, sytuacja w klinice była już opanowana. Terry i jego znajomi na szczęście przeżyli. Spisali się doskonale, dostarczając dowodów na nielegalne działania profesora Garilicy, włącznie z kilkoma porwanymi. Pełen sukces. Gdy okazało się, że Garilica nie żyje, Frank błyskawicznie podjął decyzję o przewiezieniu zasobów kliniki do wojskowego ośrodka. Niestety, oznajmiono mu, że i on musi się tam udać, aby dopilnować rozładunku łupów. Pozostało jeszcze kilka szczegółów do uzgodnienia, jak wytłumaczenie Damiano Haddadowi – bez zrażenia go do współpracy z wojskiem – konieczności zarekwirowania zasobów Garilicy, ale to już powinien załatwić senator. Trzeba też było znaleźć wytłumaczenie masakry, którym zadowolilyby się media. Zaproponował wersję ataku terrorystycznego, mającego na celu kradzież zabójczych, zmutowanych wirusów. Chodziło oczywiście o to, by rozpylić je nad Nowym Jorkiem. W dalszej części komunikatu padłaby informacja, że patriotyczna postawa pracowników kliniki powstrzymała niebezpieczny atak. Niestety 18 cywilów oraz 7 komandosów poległo na polu walki z międzynarodowym terroryzmem.

W tej chwili był piątkowy poranek, do Nowego Jorku Frank mógłby wrócić po południu i – z małym opóźnieniem – wypełnić obietnicę daną rodzinie. Ale ponownie zmieniono rozkazy, dowiedział się, że z tajnej bazy ma polecieć do Waszyngtonu. Tam czekały go wielogodzinne narady sztabowców, a może nawet wizyta w Białym Domu. Weekendowe plany szlag trafił, lecz brama awansu stanęła przed nim otworem.

Dalsze rozmyślania przerwało Frankowi pukanie do drzwi. Po chwili do gabinetu wszedł porucznik.

– Panie pułkowniku, panie dyrektorze, mamy intruzów w korytarzu

wschodnim – zameldował.

– Intruzów? Wewnątrz? – Frank wprost nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek zdołał przedrzeć się do tajnego ośrodka. Spojrzał z wyrazem zarzutu na dyrektora. Ten jedynie zbladł.

– Tak jest, wewnątrz. Przedostali się wraz z transportem.

Terry! Pułkownik był już pewien, że to grupa Terrego. A niech go szlag trafi! Rzeczywiście był jak bąk. Uparty i niezważający na przeszkody. Zajęty opanowywaniem sytuacji w klinice Garilicy, całkiem zapomniał o Terrym i jego drużynie.

– Zaprowadźcie ich do... – uświadomił sobie, że nie zna pomieszczeń bazy. Senator dał mu pełnomocnictwo do lustracji tego miejsca, ale poza ogólną informacją na temat badań, nie zdążył go jeszcze poznać. – Czy jest tu jakaś sala przesłuchań? – zapytał profesora Morelleta.

– Nie... – odparł zdezorientowany.

– A inna, większa, odizolowana. Może to stołówka dla żołnierzy niższego stopnia i pracowników cywilnych?

Profesor skinął głową.

– Zaprowadźcie więc zatrzymanych do stołówki i postawcie dwóch żołnierzy na warcie. Aha, zabierzcie im też wszystkie środki łączności – wydał polecenie porucznikowi.

Po jego wyjściu Frank sięgnął po kieliszek koniaku i zapytał Morelleta:

– Czego mogli się dowiedzieć?

– To starsza część bazy, projekty sprzed dziesięciu lat. Do kasacji. Głównie laboratoria z owadami, węzami i płazami. Oraz kilka sal z obiektami do testowania protez. Też przeszłość, do likwidacji.

– Głównie? A poza tym? – dopytywał się Frank. Zastanowiła go lakoniczność odpowiedzi u nieprzestającego trajkotać szefa placówki.

– Pozostały tam jeszcze obiekty z prób wszczepiania ludzkiego mózgu zwierzętom – odpowiedział niechętnie naukowiec. – To wczesny projekt tworzenia żołnierza doskonałego. Ślepa droga. Teraz stawiamy już tylko na genetykę. Projekt zamierzaliśmy zamknąć do końca roku, ale obecnie – gdy mamy sprzęt profesora Garilicy – zrobimy to wcześniej.

– A do którego korytarza przewieziono fanty z kliniki?

– Do zachodniego. Tam prowadzimy najbardziej zaawansowane projekty. Na miejscu funkcjonują dwa zespoły: jeden rozgryza akwaria, drugi hibernatory.

– Może pan sprawdzić, czy pracownikom udało się otworzyć hibernatory?  
– zapytał Frank, przeczuwając, że Terrego ściągnęła do bazy chęć poznania losów porwanych. – Osobiście – dodał, widząc, że profesor sięga po telefon.

\*\*\*

W stołówce stało kilka prostych, sześćoosobowych stołów, z krzesłami obitymi skórą. Pod jedną ze ścian dostrzegli też rząd automatów z łakociami i napojami. Niestety nie mieli monet. Po drugiej stronie był pulpit z mikrofalówkami i czajnikami. Ale po szybkim przeszukaniu stwierdzili, że nie ma nic do jedzenia. Także trunków z procentami – co zauważył z żalem Federico. Na każdej ze ścian widniał czarny ekran telewizora, w tej chwili martwy. Zrezygnowani usiedli przy jednym ze stołów i w milczeniu czekali, sami nie wiedząc na co.

Po kwadransie drzwi otworzyły się i do pomieszczenia wszedł pułkownik MacCormack, z kilkoma szarymi teczkami pod pachą. Ogolony i w świeżo wykrochmalonym mundurze.

– O, pan pułkownik. Nie został pan w Nowym Jorku? – zapytała zgryźliwie Subira.

– To raczej ja powinienem być zdziwiony, że postanowiliście spędzić tyle godzin lotu w luku bagażowym, by znaleźć się tutaj – odpowiedział, siadając przy stole.

– Ale nie jest pan zaskoczony... – rzekła Subira.

– Znam Terrego dłużej niż wy – pułkownik uśmiechnął się z grymasem niezadowolenia na twarzy. – Mogłem podejrzewać, że nie odpuści, zanim nie wyjaśni wszystkiego do końca.

Ann spojrzała na Terrego, który do tej pory się nie odezwał. Po jego zgorzkniałej minie poznała, że szykuje się do wygarnięcia prawdy dawnemu przyjacielowi, lecz – trudno powiedzieć z jakiego powodu – na razie się

powstrzymuje. Ona nie zamierzała:

– Jak pan może pozwolić, aby tak męczono tu ludzi? By zakładano im protezy, tworząc jakieś mechaniczne hybrydy? To nieludzkie! – wykrzyczała w twarz pułkownika.

– Ależ pani Laskowski, nie obcinaliśmy tym obiektom..., tym osobom nóg ani rąk – zaprotestował. Jakim prawem cywil będzie mu mówił co jest, a co nie jest dobre dla wojska. Oni nie mają o tym pojęcia. Postanowił jej to wytłumaczyć. – To są weterani wojenni. Wyszli z wojny pokiereszowani i sami zgłosili się do pomocy. Bez nas trawiliby smutki w alkoholu lub narkotykach, a my przywróciliśmy im sens życia. Odzyskali kończyny, przyznaję – nieco specyficzne, ale dzięki temu mogą nam pomóc w tworzeniu robotów wojennych. Informacje o działaniu takich protez przekazywane są nie tylko poprzez liczne czujniki, ale też w rozmowach, które dla naszych techników i informatyków stanowią kopalnię wiedzy. Jesteśmy coraz bliżej chwili, gdy zbudujemy idealnego robota.

– Rozumiem, że tułowia weteranów zostaną zastąpione maszyną? – zapytał Federico.

– Oczywiście – pułkownika zaskoczyło to naiwne pytanie.

– A skąd weźmiecie mózgi? – chciał wiedzieć Federico. – Czy do maszyn, już nie tylko z kończynami, ale i z tułowiem z tytanu, wpakujecie mózgi żołnierzy, których ran nie dało się zastąpić protezami? Czy może pracujecie też nad sztuczną inteligencją?

Frank znał odpowiedź, ale nie zamierzał jej udzielić.

– Czy teraz, mając próbkę DNA centaura, będziecie chcieli wyhodować nowy rodzaj żołnierza? – zapytała Subira.

– Nie ukrywam, że te badania bardzo nam się przydadzą. Ale żołnierzy-koni nie potrzebujemy, tu już pani przesadza. Drony, roboty bojowe nie sprawdzają się. Ocena sytuacji przez operatora siedzącego w bezpiecznym pomieszczeniu, kilometry od miejsca akcji, bez presji huku granatów, świszających kul, potu i krwi, zawsze będzie różnić się od oceny bezpośredniej. Jego decyzje zawsze będą błędne. Przeszarżowane – prowadzące do klęski. Lub zbyt ostrożne – z podobnym finałem. To syndrom gracza komputerowego. Nie ma jak umysł człowieka znajdujący się



bezpośrednio na polu walki. A jeżeli będzie on posiadał przewagę fizyczną, choćby zwierzęcą szybkość i wytrzymałość, to pokona innych. Musimy dać żołnierzom nowe możliwości. Takie, z którymi będą oni tak zżyci, jak z dużym palcem u nogi. Sztuczna inteligencja to pieśń przyszłości – pułkownik spojrział na Federica. – Może nie tak odległej, jak sądzą niektórzy, ale jest to i tak raczej kwestia dekady. *Genzmożoły*, czyli Genetycznie Zmodyfikowani Żołnierze, są wysyłani na front już dzisiaj. Poprawiliśmy im krążenie krwi, podnieśliśmy próg czułości na ból, podrasowaliśmy geny mięśni. Pracujemy nad skórą zdolną do regeneracji w czasie kilku minut; zmysłem słuchu jak u sowy, pozwalającym usłyszeć mysz pod ziemią w odległości stu metrów; widzeniem w nadfiolecie, jak u reniferów. A gdy takiemu *Genzmożołowi* założymy soczewki kontaktowe GDV – pokona każdego wroga. Pracowaliśmy nad podobnymi projektami, co profesor Garilica, ale on nas wyprzedzał. Z jego systemem podtrzymywania życia o wiele szybciej będziemy mogli sprawdzić różne warianty zmian genetycznych. Te zbiorniki pozwalają na zmianę genomu, że tak powiem – *online*. To był nasz słaby punkt, musielibyśmy czekać wiele lat, by uzyskać odpowiedź, czy wprowadzone zmiany są efektywne.

– A jednak zmieniacie ludzi? – nie ustępowała Ann.

– Walka na froncie to nie zabawa. Albo masz przewagę, albo giniesz. W tej bazie wszyscy starają się o to, by nasi żołnierze taką przewagę otrzymali – odpowiedział pułkownik. – Od zawsze faszerowano czymś żołnierzy przed bitwą. Wino, wódka, barbiturany. Później, z frontu wracali alkoholicy, narkomani. Modyfikując ich ciała pozwolimy im osiągnąć to samo, a nawet więcej, bez skutków ubocznych. Ci ludzie wrócą do cywila bez skazy.

– Z umiejętnościami zarezerwowanymi dla zwierząt – zauważyła Ann.

– No i co z tego? Łatwiej znajdą pracę, będą wydajniej pracować. Nie będą chlać, ćpać ani mordować. To chyba lepsze wyjście, niż wyrzucenie kogoś na śmietnik?

Terry miałby mu ochotę odpowiedzieć, że nie ma lepszego wyjścia, wartego przymyknięcia oczu na mniejsze zło, ale już wiedział, że pułkownik i tak tego nie zrozumie. Ann jeszcze o tym nie wiedziała.

– Terry tyle mi o panu opowiadał. Myślałam, że przede wszystkim jest pan człowiekiem, a tylko od czasu do czasu zakłada wykrochmalony mundur. Teraz widzę, że ma pan również wykrochmalony mózg.

Pułkownik zdawał sobie sprawę, że dalsza rozmowa niczego już nie zmieni.

– I co mam z wami zrobić? – zapytał, sięgając po teczki.

Terry wciąż milczał.

– Wyjaśnić, co tutaj wyprawiacie – zaatakowała Subira.

– To tajemnica wojskowa.

– Mamy zapomnieć o tym, co widzieliśmy? – pytanie Ann było zarazem jednoznaczną deklaracją, że tak nie zrobią.

– To byłoby najlepsze wyjście – odparł markotnie. Wiedział, że to niemożliwe. Miny pozostałych jednoznacznie wskazywały, że nie zaakceptują proponowanego rozwiązania. – No tak... Terry, czy możemy porozmawiać na osobności?

Wyszli na zewnątrz. Dwóch żołnierzy wyprężyło się na baczność, zamyślony pułkownik nawet tego nie zauważył. Minęli ich i zaczęli iść wolno wzdłuż długiego korytarza.

– Terry, wiesz, że nie pozostawiasz mi wyboru – westchnął Frank, nie patrząc mu w oczy.

– Od początku wiedziałeś, że wyniki badań trafiają także do wojska – Terrego nie interesowały dylematy pułkownika, a kilka przemilczeń, z którymi z jego strony się spotkał. Możliwość aresztowania, podejrzania o terroryzm lub zdradę brał pod uwagę, podejmując decyzję o śledzeniu losów urządzeń profesora Garilicy. Już wcześniej uznał, że wyjaśnienie, co stanie się z hibernatorami, jest o wiele ważniejsze, niż dbanie o własny los.

– To prawda – po chwili wahania zgodził się z oskarżeniem Frank. – Wojsko miało umowę z kliniką Garilicy, że pobrane próbki DNA będą nam przekazywane.

– Do czego potrzebujecie tych próbek? – przerwał mu Terry.

– Podejrzewam, że do niczego. Przecież wiesz, że rząd lubi gromadzić wszystkie dane. Archiwizuje rozmowy telefoniczne, smsy, maile, listę

zakupów na kartę. Nie wiadomo, kiedy i jakie dane mogą się przydać. Ale nie wiedzieliśmy, że Garilica bez wiedzy Haddada wykorzystuje te dane do przeprowadzania własnych eksperymentów. Gdy zgłosiłeś, że niektórzy z biorących udział w programie zostali porwani, wzbudziło to moje zaniepokojenie i zacząłem bliżej przyglądać się sprawie.

– A dlaczego wcześniej nie powiedziałaś mi o tym układzie?

– Gdybym ci ujawnił te informacje, mógłbym mimowolnie zasugerować fałszywy trop. Wolałem, abyś poprowadził niezależne śledztwo.

To było sensowne wyjaśnienie – uznał Terry. Jednak nie powstrzymało go to przed tym, by zapytać o inne sprawy.

– Czy to wojsko porwało kaprała Trottera?

– Skądże znowu, Terry. O co ty mnie posądzasz? Nie wiemy, kto stoi za porwaniami naszych weteranów.

Terry uznał, że Frank nie udaje, wyglądał na szczerze zdumionego podobnym podejrzeniem.

– To dlaczego, razem z zielonymi akwariami, zabraliście hibernatory z porwanymi?

– To skomplikowana technologia, tylko tutaj są ludzie zdolni wybudzić porwanych z hibernacji. Zaraz po dostarczeniu hibernatorów kazałem rozpracować ich technologię zespołowi naukowemu. Jeżeli mi nie wierzysz, to możemy tam pójść.

– Więc chodźmy!

Po kilku minutach znaleźli się w pomieszczeniu z wieloma monitorami, kilkoma naukowcami w białych kiltach i – co najważniejsze – z czterema hibernatorami. Trzy z nich były zamknięte, lecz jeden otwarty. Frank przedstawił Terremu doktora Moralleta i poprosił go o zdanie relacji.

– To bardzo ciekawy system, wyprzedza to, co znamy, o kilkanaście lat. Łączy w sobie funkcję podtrzymywania życia, ze zmniejszeniem tempa przemiany metabolizmu. Mógłby zostać wykorzystany w lotach międzyplanetarnych, bo już międzygwiazdnych raczej nie. Spowolniłby starzenie się organizmu, lecz nie na tyle, aby załoga u celu podróży nie stała się mumiami.

– Gdzie jest osoba z otwartego hibernatora? – Terry przerwał jego

wyjaśnienia. Doktor spojrzał pytająco na pułkownika, a gdy ten skinął głową, wyjaśnił:

– Mimo zaawansowania projektu, udało nam się rozgryźć ten system. Na razie wybudziliśmy ze śpiączki jednego porwanego. Jest zdrowy, lecz bardzo osłabiony. Dochodzi do siebie w sali obok. Niedługo powtórzymy procedurę z następnymi uśpionymi.

– Mogę z nim porozmawiać? – zapytał Terry.

– Ale tylko kilka minut.

Chłopak wydawał się wystraszony. Leżał na szpitalnym łóżku z wysoko podniesionym wezgłowiem, przyglądając się z niepokojem licznym czujnikom podpiętym do jego ciała. W dłoni trzymał pusty kubek po jogurcie. Gdy weszli, naprężył mięśnie.

– Jesteś już bezpieczny, jutro wracasz do domu – uspokoił go Terry, wyjmując kubek z jego dłoni. Otworzył wieko kosza stojącego w rogu sali i wrzucił go do środka. – Chcieliśmy zadać ci jedynie kilka pytań. Możesz opowiedzieć mi o porwaniu? Może widziałeś porywaczy? – wpatrzył się w chłopaka z napięciem.

Młodzieniec nie podniósł oczu, tylko wciąż gapił się na kosz. Po chwili jednak zaczął mówić:

– Nie pamiętam momentu porwania. Pamiętam tylko sny. A właściwie koszmary. Wciąż widziałem w nich diabła, pochylającego się nade mną i mówiącego ze złośliwym uśmiechem: „Co śmieciu, w końcu wpadłeś do kosza”. Diabeł miał długie, kręcone rogi...

– Jak u byka? – chciał wiedzieć Terry.

– Podobne, ale to były rogi diabelskie. Miał też bezlitosny wzrok.

Terry uznał, że w tej chwili niczego więcej od chłopaka nie wyciągnie. Był w zbyt dużym szoku, trzeba było dać mu czas na ochłonięcie. Chociaż rogi diabła z pewnością pozostaną w jego snach do końca życia. Najważniejsze, że słowa uprowadzonego potwierdziły udział w porwaniach człowieka z rogami. Podziękował mu za rozmowę, po czym wyszli z sali.

Już bez słowa wrócili pod drzwi stołówki, gdzie na chwilę się zatrzymali.

– Czy za kilka dni będę mógł ich przesłuchać? – zapytał Terry.

– Nie mamy powodu, aby ich zatrzymywać. Jak tylko lekarze wykonają

wszystkie badania, odwieziemy ich do Nowego Jorku.

Terry skinął głową.

– Frank, mam ochotę powiedzieć ci wiele gorzkich słów, ale nie sądzę, żeby miało to większy sens. Teraz grasz w inną grę niż ja. Chociaż ty pewnie uważasz, że to ta sama gra, tylko wyższa liga. I niech tak zostanie – oznajmił Terry, nie mając już ochoty na dalszą rozmowę. – Co zamierzasz z nami zrobić?

– Nie wiem, Terry – pułkownik wydawał się skwaszony. – Wdepnęliście w gówno, więc nie uciekniecie przed smrodem. Nie ode mnie zależy, jak utytłani wyjdziecie z tego szamba.

Dalszą rozmowę z Terryem przerwał Frankowi sierżant, który podbiegał do niego z telefonem w ręku.

– Panie pułkowniku, ważny telefon do pana – zameldował, trzymając w wyciągniętej dłoni aparat przypominający cegły do łączności satelitarnej sprzed 40 lat. Baza była odcięta od infiltracji elektronicznej i do komunikacji zewnętrznej musiano używać specjalnych urządzeń.

– Zaraz odbiorę – odparł lekceważąco pułkownik.

– To naprawdę bardzo ważne – nalegał sierżant. Ostatecznie Frank nakazał wartownikowi odprowadzić Terrego i odebrał połączenie.

– Tu Damiano Haddad. Senator Eagleclow powiedział mi, że to pan jest odpowiedzialny za przejęcie dokumentacji profesora Garilicy – usłyszał w słuchawce.

– Tak, zabezpieczyliśmy ją – rzekł ostrożnie. Raził go nonszalancki ton gówniarza w wieku jego syna, lecz wiedział, że może jedynie zgrzytać zębami z bezsilności. Sugestie senatora były jednoznaczne: Haddada nie można zrazić, jego pomoc dla wojska jest bezcenna.

– Nie interesują mnie próbki zabrane przez was z kliniki. Możecie je zatrzymać. To były pokątne interesy Garilicy, prowadzone poza moją wiedzą. Ale czy przypadkiem wśród dokumentacji nie zawieruszyło się kilka... osób? Sprawdziłem bardzo dokładnie zdjęcia z monitoringu i odnalazłem nieścisłości. Liczba ludzi wchodzących do kliniki, a później z niej wychodzących – lub wywiezionych w czarnych workach – nie zgadza się. Brakuje czterech osób.

Pułkownik zaczął zastanawiać się, skąd Haddad ma taką pewność, że ludzie ci trafili do bazy? Ale szybko zrozumiał, w czym rzecz – okulary GDV! Po prostu mając do nich dostęp, miliarder widział wszystko, co wydarzyło się w klinice.

– Z jakiego powodu oni pana interesują? – próbował nie ustępować Frank.

– Czuję się odpowiedzialny za los każdego człowieka, także tych, o których mówi się, że są śmieciami. Czyż nie udowodniłem tego, wspierając opieką medyczną weteranów? – usłyszał cyniczną odpowiedź. – A tak się składa, że wśród brakujących osób znajduje się bardzo bliska mi odkrywczyni grobu centaury, pani profesor Ann Laskowski.

Frank westchnął ciężko. Z chęcią spuściłby gówniarza w kiblu, ale nie mógł tego zrobić. O ile oczywiście chciał odmienić swój los. A chciał. Wszedł w świat polityki niedawno, ale już bardzo nie lubił polityków. Nie tylko z powodu cygar senatora. Najbardziej nie cierpiał ich za przekonanie, że świat bez nich rozpadnie się, nie poradzi sobie z konfliktami, nie będzie wiedział, którą drogą podążać – jakby zapomnieli, że to politycy kreują problemy, a wojskowi muszą po nich sprzątać.

– Mogę pana uspokoić, panie Haddad. Mam u siebie grupę, wraz z Ann Laskowski, która dotarła tu z kliniki Garilicy. Przypadkiem zaplątali się w nasz transport. Odnaleźliśmy ich jakieś pół godziny temu.

– Chcę mieć ich wszystkich u siebie – oznajmił Haddad, jakby zamawiał pizzę. – Z chęcią spotkam się z nimi, podziękuję za wykrycie machlojek i rozwikłanie sprawy porwań.

– Co pan proponuje? – Frank nie wierzył w intencje Haddada, ale nie mógł nic więcej zrobić.

– To proste. Załatwi pan ich zwolnienie, a ja ich odbiorę. Już wysyłam transport.

Pułkownik MacCormack uznał, że to najlepsze rozwiązanie. Pozbędzie się Terrego z tajnego ośrodka, udowodni Haddadowi, że wojsko jest lojalne, a jednocześnie zatrzyma okazy i wyniki badań Garilicy dla siebie. Trzy pieczenie na jednym ogniu. A może i cztery – bo tak mistrzowskie rozegranie może zostać docenione przez senatora i w końcu otrzyma szlify generalskie i zmianę przydziału.

–Dobrze, mój podwładny wypuści ich za pół godziny.

## Nie my was zapraszaliśmy

Do stołówki wszedł trzydziestolatek w stopniu kaprała. Młody rocznik, świeżo po szkole, z regulaminowo przystrzyżonymi włosami oraz wypiekami na twarzy. Był mocno stremowany, co starał się ukryć przez zdecydowane ruchy. Jednak zbyt energicznie odsunięte krzesło omal się nie wywróciło, a z rzuconej na stół sterty dokumentów kilka kartek spadło na podłogę. Żołnierz musiał przyklęknąć, aby je podnieść.

–A gdzie pułkownik MacCormack? –zapytał Terry. Kaprał spojrzał na niego wzrokiem przepełnionym błaganiem o litość. Usiadł i w milczeniu zaczął sortować papiery. Później nabrał powietrza i ciężko wzdychając, odważył się spojrzeć w oczy zatrzymanych.

–Przygotowałem deklaracje lojalności. Możecie je dokładnie przeczytać, ale szkoda na to czasu. Ogólna wymowa jest taka, że jeżeli cokolwiek powiecie, napiszecie lub narysujecie na temat tego, co widzieliście w tej bazie –to czeka was długotrwałe więzienie bez procesu oraz bez prawa do odwiedzin.

Przed każdym położył jeden komplet dokumentów i długopis.

–Ale to chyba niemożliwe? –zachnęła się Ann, odsuwając od siebie papiery.

–On ma na myśli Guantanamo, czyli oskarżenie o terroryzm. W tym wypadku jest to zgodne z prawem –wyjaśniła spokojnie Subira. Ann spojrzała na nią przerażona.

–Wojsko ma wiele za uszami, ale to nie oni stoją za porwaniami weteranów. To ślepy trop, musimy wrócić do poszukiwań rogakza –rzekł Terry, chwytając pod stołem dłoń Ann. Odetchnęła z ulgą.

–Aha... –mruknęła i już bez chwili zwłoki złożyła podpis. Terry też sięgnął po długopis. Subira i Federico spojrzeli po sobie pytająco i po krótkim wahaniu również podpisali deklaracje. Kaprał zebrał papiery

i uderzając plikiem kart o blat stołu wyrównał krawędzie. Wreszcie mógł z ulgą odetchnąć.

– Skoro podpisaliście deklarację milczenia, nic więcej do was nie mamy. Możecie odejść – oznajmił wstając od stołu.

– Czy teraz nas odwieziecie? – z uśmiechem zapytała Ann.

– Nie my was zapraszaliśmy. Nie mamy obowiązku was odwozić – odpowiedział butnie, zatrzymując się w drzwiach.

– A gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał Federico.

– To może chociaż zamówicie nam taksówkę? – poprosiła ironicznie Ann.

Kapral wymknął się bez słowa. Po chwili do stołówki weszło czterech żołnierzy, nakazując im iść za sobą.

\*\*\*

Najpierw długo jechali wagonikiem w tunelu, a później zaprowadzono ich do windy, która szybko ruszyła w górę. Po kilkunastu sekundach znaleźli się na powierzchni. Żołnierze kazali im wyjść, a cylinder windy natychmiast ponownie schował się w ziemi.

Znajdowali się na jakimś pustkowiu. Szaro-żółtym, bez śladów zielonej roślinności. Tylko piasek i kamienie wielkości dyni. W zasięgu wzroku nie było widać żadnych zabudowań. Obok wjazdu przebiegała udeptana droga, ciągnąca się ze wschodu na zachód, w dolinie pomiędzy wysokimi pagórkami, aż po horyzont. Było dopiero wczesne południe, a słońce już przypiekało. Nie było gdzie się przed nim schować.

– Świetnie, to w którą stronę idziemy? – z rezygnacją zapytała Ann.

– Na wschód. Wcześniej czy później dojdziemy do wybrzeża, a słońce nie będzie nam świecić w oczy – rzekł zdecydowanie Terry. Był zaskoczony. I miejscem, gdzie się znajdowali, i decyzją pułkownika, żeby wyrzucić ich na tę patelnię. Coś tu nie grało, przecież nie skazał ich na śmierć z pragnienia. Z pewnością decyzja zapadła ponad jego głową, ale jaki był jej cel?

– Idźmy na zachód – nie zgodził się z nim Federico. – Z pewnością



byliśmy w bazie 51, a ona znajduje się w Nevadzie. Do zachodniego wybrzeża mamy znacznie bliżej. Jestem pewien, że jak będziemy szli dokładnie na zachód, z czasem droga skręci na południe i dotrzemy do Las Vegas.

– Nim tam dojdziemy, uschniemy z pragnienia – zauważyła Subira.

– Musimy złapać autostop – Ann była pewna, że znalazła idealne rozwiązanie.

– Czy sądzisz, że to uczęszczana droga? Może od razu udamy się do baru? Z piwem, coca-colą i hamburgerami – zapytał ironicznie Federico.

– Ktoś nią jeździ – próbowała pocieszyć ich Ann.

– A w nocy z pewnością lata tu UFO – zaśmiał się Federico.

Przez kilka minut szli w milczeniu. Byli zdruzgotani tym, co zobaczyli w tajnym ośrodku wojskowym, a teraz kazano im zmierzyć się z kolejnym wyzwaniem – drogą bez końca, skąpaną w piekielnym skwarze słońca.

– Skoro jesteśmy w strefie UFO, to mogę wam zdradzić, nad czym zastanawiałam się przed ostatnim piątkiem wolności – oznajmiła Ann. – Rozważaliśmy wtedy wykorzystanie kodu DNA od strony komercyjnej, zapominając o innych możliwościach.

– Co masz na myśli? – zapytała Subira.

– Lub kogo? – wtrącił Federico.

– Choćby raelian – odpowiedziała. – Jest taka sekta, która uważa, że 20 tysięcy lat temu odwiedzili nas kosmici, a Adam i Ewa zostali wypuszczeni do Edenu z ośrodka badawczego, w którym zmieniono ich DNA.

– Ci realianie są mało realni – zaśmiała się Subira.

– Raelianie a nie realianie – poprawiła ją Ann. – Nazwa sekty nie wywodzi się od słowa real, a od imienia ich boga: Raël. Tak przy okazji, to ciekawe, że nazwano boga słowem podobnym do określenia rzeczywistości. To podprogowa sugestia, że to prawdziwy bóg.

– To dlaczego je przekreślono? – zaciekał się Federico.

– Bóg nie może być zbyt blisko ludzi. Gdyby miał na imię Realny, opadłaby zasłona niedostępności. A imię Raël kojarzy się z realnym, ale nie jest nim w sensie dosłownym.

–No dobrze, ale co ci raelianie mają wspólnego z genetyką? –zapytał Terry.

–Hybrydy pojawiają się we wszystkich źródłach pisanych. W apokryficznych księgach *Starego Testamentu*, Henoch wspomina olbrzymów o sześciu palcach, a Baruch mówi, że było ich ponad 4 miliony i wytepił ich dopiero potop. Euzebiusz w *Kronikach*, cytując egipskiego kapłana Manethona, powiada, że bogowie stworzyli ludzi o podwójnych, a nawet poczwórnych skrzydłach, o dwóch głowach, ludzi z kozimi nogami i rogami na głowie, a także osoby w postaci psów z czterema głowami, i wiele innych krzyżówek. Na asyryjskim obelisku powstałym tysiąc lat p.n.e. widoczne są stwory o ludzkich głowach i ciałach lwa. Nie wspominając już o Homerze, który opisuje centaury, syreny, cyklopy i pegazy. A ja udowodniłam, że –przynajmniej w jednym przypadku –opisywał on istniejące hybrydy. A co, jeżeli i inne potwory żyły naprawdę? Do niedawna poglądy podobnych sekt mogliśmy uznawać za urojenia –ale dziś to już nie urojenia, to nasza codzienność. Dla raelian nie istnieje bóg nadprzyrodzony, gdyż rolę tę odegrali kosmici, odwiedzając naszą planetę, a gatunek *Homo sapiens* powstał w wyniku ich eksperymentów genetycznych. Tak przy okazji –dla nich jest to także sposób na nieśmiertelność. W ostatni piątek Subira wspomniała o klonowaniu ludzi przez biochemiczkę Brigitte Boisselier. Nie wiedziała lub uznała za mało istotny fakt, że pani Boisselier jest nie tylko biochemikiem, ale też biskupem kościoła raelian. Zarządza projektem „Clonaid” finansowanym przez Valiant Venture –firmę utworzoną przez twórcę ruchu raelian Vorilhona.

–A kim jest ten Vorilhon, piewca nowej religii? –zapytał skołowany tym wywodem Terry.

–Zapytaj kim on nie był –zaśmiała się Ann. –Jako nastolatek utrzymywał się z grania na gitarze na ulicy. Z czasem, gdy go zauważono, zaczął nagrywać piosenki dla radia. Ale nie rozwinął talentu, gdyż jego promotor popełnił samobójstwo i przestano puszczać jego utwory. Wtedy przerzucił się na wcześniejszą swą pasję i wziął udział w wyścigach samochodowych. Później postanowił samemu je organizować oraz pisać o nich we własnej gazecie. Ale los dotknął go ponownie –rząd wprowadził ograniczenia

w organizowaniu wyścigów i Vorilhon musiał szukać nowego źródła zarobku. A miał już wtedy żonę oraz dzieci. Na szczęście przyśnił mu się sen, w którym kosmita zabrał go na pokład pojazdu kosmicznego, oznajmiając, że został wybrany do przekazania ludziom prawdy o bogu.

– Życiorys i zakończenie historii typowe. Bogowie nie rodzą się z cnoty, a z niepokojów duszy. Z tym, że kiedyś proroków zabierano do nieba w rydwanach, a dzisiaj czyni się to na pokładzie statku kosmicznego – skomentował słowa Ann Terry. – To o nich są te nowe książki, które ostatnio czytałaś?

– Tak. Najpierw poszperałam w sieci, a później kupiłam kilka książek.

– Czyli wiedziałaś już o tym wszystkim, gdy dyskutowaliśmy w piątek o genetyce? – zapytała Subira, spoglądając groźnie na Ann.

– Troszeczkę... Nie gniewaj się, ale to wydawało się tak – można by powiedzieć – nieraadne, że wolałam o tym nie wspominać – odpowiedziała przepaszajaco Ann. Wzrok Subiry złagodniał.

\*\*\*

Pośród szarżółtego pustkowiea szli już od godziny. Terry z Ann z przodu, Subira z Federico kilka metrów za nimi. Słońce przesunęło się ze wschodu na zachód. Równie dobrze mogliby dreptać w miejscu – nic się nie zmieniło. Wciąż kurz i słońce, teraz palące nie w kark, a w twarz. Musieli jednak iść – tego Terry był pewien. Dopóki będą szli, będzie w nich nadzieja. Gdyby przysiedli na poboczu, zrezygnowali z pokonywania trasy – nadzieja wyparowałaby z nich szybciej niż kropla wody na rozgrzanej patelni. Poza tym może w końcu dojdą do rozstaju dróg, skrzyżowania z drogą już nie piaszczystą, a betonową lub asfaltową, którą pojazdy przemierzają częściej niż raz na dobę.

Terry spojrział na Ann. W wieczorowej sukni i zbyt dużych butach nie marudziła, tylko dzielnie dotrzymywała im kroku. Terry żałował, że za jego przyczyną zetknęła się z ciemną stroną świata, omal nie straciła życia, a z pewnością utraciła część swojej niewinności, widząc do czego prowadzą

chore ambicje ludzi. Ale i cieszył się, że była przy nim i mogła poczuć, z jakimi emocjami od lat walczył. Wytrwała. I ta świadomość była warta tych ciężkich chwil. Już był pewien, że zawsze będzie mógł na nią liczyć, że go nie zawiedzie.

–Może zrobimy małą przerwę? – zaproponowała Ann widząc, że Terry coraz bardziej utyka. Udawał, że nad wszystkim panuje, ale dostrzegła, że przy każdym kroku zaciska z bólu zęby.

– Jeszcze nie teraz. Jak dojdziemy do skrzyżowania – zbył ją.

Ann przypomniała sobie poranek pośród zielonych łąk sprzed tygodnia. Miała wrażenie, że zdarzyło się to całe lata temu. Jakże pamięć może być zawodna. Możesz spędzić dziesięć lat nic nie robiąc, a wyda ci się, że był to ledwo tydzień. I przeżyć jeden, pełen wrażeń dzień, a będziesz miał o czym wspominać przez następne lata. Szkoda, że nie była żoną Terrego. Mogłaby wtedy powiedzieć, że są już starym, zgranym małżeństwem.

Nagle coś zwróciło jej uwagę.

– Czy to fatamorgana? – zapytała, wskazując na mały punkt zawieszony ponad drogą.

Przystanęli. Punkt nie był większy od ptaka. Ale, jeżeli był to ptak, to chyba jedynie gołąb z wiadomością, ponieważ leciał wytrwale w linii prostej. Nie zbaczał przy tym z trasy, aby przysiąść na ziemi, wydziubując kilka ziaren, ani też nie polował na owady.

– Moim zdaniem to nie przywidzenie – odpowiedziała Subira. – Ale też nie ptak.

Punkt powiększał się błyskawicznie. Zbyt szybko jak na ptaka. Już byli pewni, że to pojazd mechaniczny.

– No nie, będą na nas polować jak w filmie Hitchcocka *Północ, północny zachód* – jęknął Federico. Subira spojrzała na niego pytająco. – Nie widziałaś? Człowiek, który przypadkiem znajduje się w centrum intrygi szpiegowskiej, zauważa lecący dwupłatewiec. Tylko że Cary Grant na otwartym terenie mógł schować się pośród wysokiej kukurydzy, a tu nic nie rośnie!

Wrzasnął i rzucił się do ucieczki, lecz Subira była szybsza.

– Federico, nie jesteś w kinie! – warknęła groźnie, przytrzymując go za

kołnierz bluzy. Był taki irytujący, bojaźliwy i słaby... że aż musiała się nim zaopiekować. Tylko ona mogła znieść jego przycinki, wesprzeć go swą siłą. Bez niej utopiłby się w wodce.

– Nawet jeżeli się rozproszymy, mogą nas wystrzelać jak kaczki. Nie uciekniemy przed nimi. – Może to nie było najlepsze wyjaśnienie dla cywila, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Dodała więc: – Wolę już zginąć trzymając cię w ramionach.

– To jakaś zagrywka psychologiczna, żebym nie popełniał głupot? – Federico, wciąż z paniką w rozbieganych oczach, spojrzał na nią nieufnie.

– Ostatnio nie tylko się zawieszasz, ale chyba szwankuje ci także system – zażartowała, przyciągając go do siebie. – Chodź tu głuptasie.

Terry i Ann spojrzeli na nich z uśmiechem i również przytulili się do siebie.

– Co ma być, to będzie. Ważne, że z tobą – rzekł Terry.

Gdy pojazd znalazł się bliżej, dostrzegli niezwykle kształt maszyny. To jednak nie był samolot, a śmigłowiec o bardzo dziwnej sylwetce. Poza wirnikiem na górze miał też dwa śmigła na skrzydłach.

– Co to za... hybryda? – jęknął Terry. – Czy już nie istnieje nic, co byłoby jednym w jednym? Zawsze musi być dwa lub trzy w jednym?

– To Eurocopter X3 – wyjaśnił Federico. – To cywilne maszyny, nie wojskowe. Atak więc chyba nam nie grozi. Machajcie rękoma, może złapiemy autostop.

– Chyba śmigłostop – poprawiła go Ann. – Ale ja już widziałam taką maszynę. Damiano Haddad przyleciał identyczną na konferencję do kliniki Garilicy.

Terry spojrzał zamyślony na śmigłowiec. Czyżby Frank MacCormack wydał ich Haddadowi? Tylko kim byli dla tego młodocianego miliardera: łupem wojennym czy zagubionymi wojownikami walczącymi o prawdę?

Śmigłowiec szykował się do lądowania. Zwolnił, wysunął podwozie i osiadł na środku drogi, 20 metrów od nich. Po obydwu jego stronach otworzyły się drzwi. Miał bardzo niskie zawieszenie, nie potrzeba było żadnych schodków, by wejść lub wyjść ze środka. Z wnętrza pojazdu wyskoczyło dwóch mięśniaków z bronią automatyczną w rękach. Chociaż

byli ubrani w paramilitarne spodnie i bluzy, nie reprezentowali żadnej, znanej Terremu formacji wojskowej. Jeżeli ktoś miał jeszcze wątpliwości co do ich zamiarów, to następna osoba wychodząca ze śmigłowca z pewnością je rozviała. Był to poszukiwany przez nich od pewnego czasu człowiek z rogami.

Terry mógł w końcu dokładnie mu się przyjrzeć. Mężczyzna miał szczupłą twarz, zimne oczy. A jego wąskie, zaciśnięte wargi układały się w grymas uśmiechu wędkarza, który właśnie nadziewa na haczyk robaka. Rudawe, rzadkie włosy, ledwo zakrywały czoło. Lecz wzrok przede wszystkim przyciągały rogi. Terry już nie miał wątpliwości, że wyrastają one wprost z czaszki.

– Witam państwa! – krzyknął w ich stronę rogacz. – Proszę się nie niepokoić, przychodzę z dobrą nowiną. Damiano Haddad zaprasza was na obiad.

Ann ścisnęła dłoń Terrego, domyślając się, jakie myśli kotłują się w jego głowie. Zerknęła na jego twarz, lecz poza chęcią mordy, niczego nie dostrzegła. Jeszcze mocniej ścisnęła jego dłoń. Przedłużającą się chwilę milczenia przerwał nieśmiałym głosem Federico:

– Jestem głodny, może skorzystamy z zaproszenia? – zaproponował. Subira odsunęła go od siebie, spoglądając groźnie. Wtedy dodał po cichu: – Obiecuję, że w odpowiedniej chwili sam nabiję mu guza.

Terry uśmiechnął się.

– Masz rację. Mi też burczy w brzuchu, a rogacz już nam nie ucieknie.

Podchodzili pojedynczo do śmigłowca, dając zakuć się w kajdanki. Po kilku minutach maszyna wzbiła się w niebo i odleciała w kierunku słońca.

## Rozdział 8.

# Śmieciowa kolacja

### W siedzibie Haddada

To Damiano Haddad, filantrop i wynalazca, stoi za porwaniami –takie stwierdzenie nie po raz pierwszy pojawiło się w głowie Terrego. Dotychczas je odrzucał, po części dlatego, że człowiek ten tak hojnie wsparł badania Ann. Bez wątplenia najbardziej obciążającym dowodem przeciwko miliardderowi był trzymający ich na muszce rogacz. Wszystko układało się w logiczny ciąg wydarzeń, który napędzała chęć poznania kodu DNA mitycznych stworów Homera. Niestety nadal brakowało motywu.

Gdy śmigłowiec podchodził do lądowania na dachu siedziby Haddada, Terry nie był pewien, czy pozna odpowiedź. Taką miał nadzieję. Choćby z powodu Ann, siedzącej w milczeniu obok, wpatrzonych w plener za oknem. Trzymała go mocno za dłoń, jakby bała się, że Terry odleci, pozostawiając ją samą z pytaniami bez odpowiedzi. Gra, rozpoczęta kilkadziesiąt godzin wcześniej od włamania do kliniki profesora Garilicy, balansowała teraz na granicy grozy i farsy, nie dając najmniejszej szansy odgadnięcia, jakie będzie jej zakończenie. Czy przy suto zastawionym stole dojdzie do wyjaśnienia wszystkich nieporozumień, czy też będzie to ich ostatni posiłek przed tragicznym finałem?

\*\*\*

Federico rozpoznał miejsce, nad którym kołowali. Była to południowa część zatoki San Francisco, za mostem San Mateo, tam, gdzie znajdowała się główna kwatery Facebooka, Microsoftu i wielu innych koncernów. Swój ciągnie do swego – stwierdził. Z góry wyraźnie było widać, że siedziba GDV to w istocie walec, wzorowany na architekturze Koloseum. Federico nie pamiętał dokładnych wymiarów rzymskiego amfiteatru, ale wydawało mu się, że siedziba Haddada jest zbliżona gabarytami do oryginału. Z tym, że puste miejsca arkad wypełniały tu tafle szkła, miejsca dla widzów były sześcianami biur, natomiast arenę dla walczących gladiatorów porastał gęsty las. Gdy śmigłowiec zatoczył krąg, zauważył, że tak właściwie była to dżungla, z tropikalnymi drzewami, a nawet kilkoma wodospadami.

Gdyby on sam miał tyle pieniędzy, pozostawiłby w środku czysty piasek, aby na arenie mogli walczyć gladiatorzy, zwierzęta albo roboty. Ale takie pieniądze były poza jego zasięgiem... Co zrobił źle, że ich nie miał? Jeszcze piętnaście lat temu sukces wydawał się bardzo bliski, jak sięgnięcie po następną puszkę piwa. A może problem polegał na tym, że za często po nie sięgał? I okazało się, że obudził się przygnieciony ich stertą, a jedyny dom, jaki mógłby zbudować, to nie dom ze szkła, a z puszek po piwie. Miał równie wspaniałe, a może nawet bardziej błyskotliwe pomysły niż ten, na którym Haddad zbudował swoje imperium. Bo pomysł miliardera nie był niczym szczególnym, młokos odniósł sukces jedynie dlatego, że uparł się postawić wszystko na jedną kartę, a ojciec wyłożył miliony, pozwalając przekonać do tej idei resztę świata. Fortuny buduje się za grosze, oferując rzeczy potrzebne miliardom. A jeżeli te miliardy jeszcze nie wiedziały o tym, że muszą je kupić – to uruchamiało się machineę, mającą ich przekonać, że tylko palec wskazujący jest ważny. Bowiem kciuk to dodatek bez znaczenia, palec serdeczny służy wyłącznie do oznakowania stanu cywilnego, a palec mały to szczątkowa wypustka. Dla Federica podobne zabiegi zasługiwały jedynie na pokazanie palca środkowego. Nie interesowały go pieniądze, a tym bardziej przekonywanie innych osób, że tylko on ma rację. Mimo że



wielu mu to zarzucało, nigdy nie był zafiksowany na jedną drogę. Nie zazdrościł miliardów Haddadowi i nie oczekiwał wiele po spotkaniu, które ich czekało. Wystarczy, że napełni brzuch, wypije dobre piwo i dowie się w końcu, dlaczego miliarder porywał tych wszystkich ludzi. No, może jeszcze przydałoby się dać prztyczka w nos rogaczowi, jak to obiecał Subirze. Bowiem sam Haddad z pewnością okaże się prostackim gówniarzem, uważającym, że bez jego wynalazku ludzie nadal porozumiewaliby się za pomocą znaków dymnych. A prawda była taka, że telefony, Internet, Facebook i okulary GDV potrzebne są korporacjom do mnożenia zysków, a nie zwykłym ludziom.

\*\*\*

Po przylocie do flagowej siedziby Haddada zdjęto im kajdanki, pozwolono się odświeżyć i zaproponowano czyste ubrania. Lekkie spodnie lub spódniczki z lnu oraz T-shirty z nadrukiem logo koncernu GDV. Zgodnie uznali, że czyste ubrania się przydadzą.

Teraz, wyglądając jak pracownicy koncernu, czekali na obiad z szefem w jego gabinecie. Zbyt dużym, zbyt pustym; z bogatym wyposażeniem, lecz pozbawionym duszy. W stylu mieszkań Gatesa lub Jobsa. Jedyne, co można było powiedzieć dobrego o siedzibie Haddada to to, że nie było tu tworzyw sztucznych, a wyłącznie materiały naturalne. Solidne drewno, kamień, marmur oraz szkło. Tylko że wszystko było w nim za duże. Siedzenia krzesel, na których bez problemu zmieściłyby się dwa tyłki dorosłych osób; talerze, na których jabłko wyglądało jak śliwka, a pomarańcza jak zasuszona figa; ekrany telewizorów, zmuszające do obracania głowy jak podczas meczu tenisa ziemnego. Z pewnością chodziło o onieśmienie klientów miliardera. Wchodziłeś targować się o miliony, a czułeś się jak uczeń w pierwszej klasie. Ciekawe, czy ktoś znalazł w sobie tyle odwagi, by zachować się tu kiedyś jak psiak obsikujący latarnię uliczną?

Jeżeli coś mogło jeszcze bardziej podważyć ich poczucie pewności siebie,

był to bez wątpienia taras. Zawieszony na wysokości 4 piętra, ponad zielonymi liśćmi palm, paproci i bananowców, rozbrzmiewający świergotem ptaków. Widzieli to wyraźnie, gdyż podłoga tarasu była wykonana ze szkła i mimo woli stawiali stopy ostrożnie, bojąc się pęknięcia posadzki i upadku. Terry zauważył, że ponad tarasem, na krawędzi walca rozpięto gęstą sieć. Być może dlatego, aby do ogrodu nie przefrunęły drapieżniki. Szkoda, że jednocześnie nie pozwalała wydostać się na zewnątrz ptakom uwięzionym w ogrodzie. Szybko wrócili do sterylnego gabinetu, z ogromnym stołem. Nie był niestety zastawiony obiecany obiadem, a już wszyscy odczuwali głód.

Wreszcie do środka wszedł pan i władca, w towarzystwie dwóch mięśniaków oraz rogowca. Terry zauważył, że tym razem człowiek z rogami nie ma ulubionego uzi, a broń większego kalibru – stosowaną do usypiania dzikich zwierząt. Na kogo będzie polował? Czyżby to oni byli zwierzyną? Damiano nie podszedł do nich, ale zapraszając gestem do pustego stołu, usiadł przy jednym jego końcu. Za plecami miliardera stanął rogowiec. Grupa usiadła przy drugim krańcu blatu.

Ann, z bólem rozczarowania, wpatrywała się w Haddada jak zahipnotyzowana. Miała nadzieję, że dostrzeże ogrom pogardy w jej oczach. Najgorsze było jednak to, że pogardę odczuwała także w stosunku do siebie. Pomagając mordercy, nawet bezwiednie, sam stajesz się mordercą. Czy ona, pomagając Haddadowi odnaleźć centaury, została współniczką porywacza? Z pewnością tak. Miliarder dał jej szansę zrealizowania marzeń, jednocześnie zatruwając całą radość. Nie podejrzewała, aby młodzieniec odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia, lecz niech przynajmniej wie, że ona już w niczym mu nie pomoże.

– Witam serdecznie i przepraszam za spóźnienie. Z pewnością macie wiele pytań, ale może najpierw coś zjemy? Co zamówić? Do wyboru mamy dania z Uncle Vito's Pizzeria, MacDonalda, KFC i Burger Kinga – Damiano pstryknął palcami i na ekranach wyświetliło się menu wymienionych restauracji. – Mam nadzieję, że posiłek was nie rozczaruje, bo mnie wciąż bardziej kusi pizza Red Eye od Uncle Vito's, niż pieczony królik z duszonymi ślimakami i truflami.

Subira zaśmiała się. Znając Haddada jedynie z Internetu i opowieści Ann,

wyobrażała go sobie jako schowanego za grubymi okularami, wychudzonego wymoczką o bladej skórze, a tu zobaczyła nieoczekiwanie całkiem apetyczne ciasteczko. I to z niespodzianką w środku –gustem niewypaczonym bogactwem.

–Może na początek butelkę zimnego piwa – zaproponował Federico.

–Proszę mi wybaczyć, Federico –pozwolicie, że tak będę się do was zwracał, w firmie mówimy sobie po imieniu –ale nie mam jeszcze skończonych 21 lat. Wolałbym, aby nie posądzono mnie, że łamię prawo, więc w całym budynku nie ma alkoholu –rozłożył bezradnie ręce.

W kilka minut uporali się z wyborem dań, a później siedzieli w milczeniu.

–Może w oczekiwaniu na obiad zajmę was czymś innym? Czy wiecie, co oznacza nazwa mojej firmy? –zapytał miliarder.

–Zawsze myślałem, że to zapis trudnej do zapamiętania choroby. Skrętu żołądka u psów – Gastric Dilatation-Volvulus. A ciebie uważałem za chłopca, który za to, że w dzieciństwie stracił ulubionego psa, w perfidnym żarcie wyżywa się na całym świecie – wypalił bez zastanowienia Federico.

–Cenię cięty dowcip, ale to nie czas na żarty –odparł zimno Haddad.

A jednak odpowiedź urażonego chłopca –stwierdził z zadowoleniem Terry. Zleceniodawca porwań ujawnił swoją słabość: nie lubił, gdy ktoś z niego żartował. Ta cecha mogła okazać się przydatna w dalszej rozmowie. Po chwili Damiano podjął temat:

–GDV to przede wszystkim „Global Digital View”. Jednak to nie jedyne rozwinięcie tego skrótu. Wielu tłumaczy go sobie jako „Good Day for Victory”. Ale tak naprawdę te trzy litery ukrywają słowa: „Gadda-Da-Vida”.

–O! Muszę przyznać, że masz dobry gust muzyczny –zauważyła z uznaniem Subira.

–Pamiętasz to nagranie? –zapytał zaskoczony Damiano unosząc lekko brwi.

–Czy pamiętam?! –odparła oburzona. –To najlepsze rockowe nagranie na świecie.

–Tylko trzeba słuchać je głośno –dodał Damiano.

–Ta perkusja –westchnęła, unosząc oczy do góry.

–Klawisze też są doskonałe –pokiwał głową miliarder.

Najwyraźniej Subira i Damiano ugrzęźli w rocku na dłużej. Pozostali rozejrzeli się po sobie pytająco.

– A jednak okazuje się, że różne pokolenia mają coś ze sobą wspólnego – skomentował ich fascynację Terry.

– Halo, jesteśmy tutaj! – wtrąciła Ann, machając dłonią. – Może ktoś wyjaśni nam, o czym rozmawiacie?

Podeksytowana Subira odwróciła się do niej.

– *In-A-Gadda-Da-Vida*, to uproszczona pisownia „In the Garden of Eden”. Chodzi o nagranie zespołu Iron Butterfly. To najpiękniejszy utwór ciężkiego brzmienia, jaki znam. 17 minut, zajmujących całą stronę winylowego albumu, to w istocie katorga dla uszu, z zaledwie kilkoma linijkami tekstu. Skład zespołu typowy dla tamtych lat. Czterech facetów: gitara, gitara basowa, perkusja, organy oraz wokół. Po niecałych dwóch minutach zwykły utwór przeistacza się w improwizację, solowe popisy każdego członka zespołu. Z rozrywającą na strzępy solówką na perkusji. Z wibrującą, kłującą w uszy solówką organów. I, gdy po tych solowych popisach, wszyscy zaczynają znów wspólnie grać, następuje pełna synchronizacja instrumentów, a wtedy nawet ciężki, zachrypnięty, a jednocześnie nieco flegmatyczny głos śpiewający „W rajskim ogrodzie pokochasz mnie”, wydaje się ciepłym wyznaniem miłości – wyjaśniła, po czym, zwracając się z wyrzutem w głosie do Damiano, dodała: – Jak można tak sprofanować muzykę, nazywając tym tytułem firmę?

– Lubię prowokację – zaśmiał się Damiano. Jedyne Subira mu zawtórowała.

– Świetnie. A czy wyjaśnienie pochodzenia nazwy koncertu pomoże nam zrozumieć, dlaczego twój rogacz porwał ludzi? – zapytał Terry. Oczy pozostałych skupiły się na miliardrze. Skończyła się muzyka, nadszedł czas konkretnych odpowiedzi – zdawały się mówić.

– Jak najbardziej – odparł zdawkowo Damiano, spoglądając na nich ironicznym wzrokiem.

– I sponsorowania wykopalisk w Grecji? – zapytała z niedowierzaniem Ann.

– Ależ oczywiście, nazwa wiedzie wprost do powodu podjęcia

poszukiwań mitycznych stworów. –Dobry humor nie opuszczał Damiano. Terry musiał się temu przeciwstawić.

–A w jaki sposób połączysz nazwę GDV z opieką zdrowotną dla tysięcy osób? –nie ustępował. –Od razu powiem, że bardzo doceniam twój wkład finansowy w ten projekt, ale wydaje mi się, że jego celem było po prostu znalezienie ludzi, których –z nieznanych mi powodów – zamierzałeś porwać.

–Masz rację. Odnalezienie tych osób było pierwszym krokiem do udzielenia im pełnej pomocy. Jednak tych, których określasz jako porwanych, ja nazywam pierwszymi. Pierwszymi, którym pomogę zrzucić bagaż ich przeszłości.

–Nie interesują mnie twoje motywy, przestępstwo pozostaje przestępstwem –burknął Terry. –Zleciłeś uprowadzenie wielu ludzi i będziesz za to odpowiadał przed sądem. Dopiero zaczynasz życie, ale nie wyjdiesz już z więzienia, nawet gdybyś dożył stu dwudziestu lat. Przynajmniej w jednym przypadku mam niezbite dowody: kapral Trotter nie poszedł dobrowolnie z twoim rogaczem, bronił się przed porwaniem, a atakował go twój pracownik, to indywiduum –wskazał palcem na ochroniarza.

Uśmiech Damiano zgasł. Terry odetchnął z ulgą, odniósł wrażenie, że wreszcie go przyszpilił. Młody pewnie jeszcze o tym nie wiedział, ale był już jak eksponat motyla, o pięknych skrzydłach, w zakurzonej gablocie szkolnej. Terry –przez zdmuchnięcie wiecznego uśmiešku miliardera –zdobył przekonanie, że za porwaniami stoi właśnie ów młokos. Teraz, gdy miał to już za sobą, przyszedł czas na zastanowienie się, jak stąd uciec. Wartownicy nie spuszczali ich z oczu, a poprzez system monitoringu najprawdopodobniej byli obserwowani przez inne pary oczu. Siedząc przy stole ani on, ani Subira nie mieli szans, by zbliżyć się do Damiano i wziąć go jako zakładnika. Będą musieli cierpliwie czekać na inną okazję.

Damiano, po dłuższej chwili milczenia, w końcu się odezwał. Jego głos zabrzmiał teraz inaczej niż poprzednio. Już nie był władczy, stracił swój zwykły, żartobliwy ton.

–Zasmucasz mnie. Wyrosłeś tak bardzo z dzieciństwa, że zapomniałeś

o tym, że nieważny jest sposób, w jaki coś się dzieje, a cel. Co z tego, że wdrapując się na najwyższe drzewo podarłem spodnie. Ważne, że mogłem oglądać świat z wierzchołka drzewa, na które nikt inny się nie wdrapał. Ty już nie potrafisz się cieszyć. Owszem, czujesz radosne wirowanie w głowie, ale jedynie po wypiciu kilku drinków. Widzisz błyski genialnych pomysłów, lecz tylko po zderzeniu ze ścianą w toalecie. Zaczynam się obawiać, czy jesteście w stanie pojąć, o czym mówię i co tak naprawdę zrobiłem.

– Nic nie wiesz o marzeniach Terrego – zaprotestowała Ann.

– Mylisz się, Ann. On nie ma marzeń. Podobnie jak Federico czy Subira – odpowiedział niezrażony Haddad. – Jedynie ty miałaś siłę wytrwać w swoich marzeniach. Tak jak ja. W wieku 14 lat wiedziałem dokładnie, czego oczekuję od życia. Dwa lata później miałem opracowany precyzyjny plan, jak to osiągnąć. I realizuję go dzień po dniu, punkt po punkcie. Oczywiście, są w nim punkty niepewne, jak na przykład odnalezienie centaury. Nie potrafię przewidywać przyszłości, jedynie ją planuję. Dlatego też nie trzymam się jednej drogi, lecz mam w pogotowiu kilka wariantów.

– Czy chcesz powiedzieć, że gdybym znalazła centaura rok temu, nie porywałabyś ludzi? A przez to, że tak długo nie potrafiłam odnaleźć jego grobu, musiałeś uruchomić plan awaryjny?

– Nie, te punkty planu uzupełniają się. Kod DNA centaury po prostu przyśpieszył prace, w innym przypadku musiałbym wydać znacznie więcej pieniędzy.

– Musisz być nieszczęśliwy uważając, że wszystko ma swoją cenę – westchnęła z bólem Ann. Damiano pokręcił przecząco głową.

– Koszty ponosimy zawsze. A pieniądze stanowią najmniej cenny środek płatności.

Rozmowa toczyła się ponad głową Terrego, tak, jakby go tu nie było. Nie przeszkadzało mu to, a nawet cieszył się, że Ann dała się wciągnąć w tę dyskusję. Byłoby gorzej, gdyby wciąż milczała. Lepiej wściekać się, przeklinać, nawet płakać ze złości, niż stracić czucie, zamykając się w sobie.

W końcu do gabinetu weszło dwóch uzbrojonych mężczyzn, niosąc sterty kartoników i kubków. To jednak twierdza, a nie biuro czy arena sportowa –

pomyślał Federico, widząc nowych wartowników. Ale bardziej zainteresowały go ich pakunki. Cztery pizze od Uncle Vito's, dwie Red Eye oraz Pesto i Tia Mia, trzy zestawy z kurczakiem – dwa z Grander Texas i jeden Qurrito, cztery sałatki Caesar Grill i jedna Piccante oraz trzy kubelki frytek. Na deser dostali lody i kawę z Burger Kinga.

– Zróbmy przerwę na posiłek – zaproponował Damiano, a czwórka gości zgodnie przytaknęła. Odpowiednie dania trafiły do każdego i gabinet pogрузił się w ciszy, przerywanej jedynie delikatnym siorbaniem i mlaskaniem.

– Skoro to nie jest obiad przy białym obrusie, przy świetle świec, ze srebrnymi sztućcami z uchwytyami z masy perłowej, zastawą z miśnieńskiej porcelany, tylko zwykły, amerykański posiłek – to może nie będziemy milczeć jak dystyngowani gogusie, tylko pogadamy po amerykańsku, wykładając karty na stół? – przerwał milczenie Terry, wypowiadając niebywale długie, złożone zdanie. Pozostała trójka spojrzała na niego z nieskrywanym zdziwieniem.

Damiano nie odpowiedział, tylko wbił śnieżnobiałe zęby w kawałek pizzy Red Eye.

– Terry ma rację – poparła go Ann, przełykając kęs kurczaka Qurrito. – Ostatni dzień to ciągle tajemnice i przykre niespodzianki. Mam już tego dość, w końcu chciałabym poznać odpowiedzi.

– Zaplanowałem inny przebieg naszego spotkania, ale jestem elastyczny, mogę go zmienić – odpowiedział Damiano, powstrzymując się od sięgnięcia po kolejny kawałek pizzy. – Co więc chcielibyście wiedzieć?

– Dlaczego porywałeś ludzi? – Terry nie pozostawił wątpliwości, co go najbardziej interesuje.

Damiano skrzywił się z niesmakiem.

– Jesteś mało ciekawym rozmówcą. Od razu chcesz usłyszeć ostatnie słowo. A gdzie miejsce na wprowadzenie, rozwinięcie tematu, przerywnik w postaci anegdoty?

– Co ma wspólnego tytuł nagrania *In-A-Gadda-Da-Vida* z twoimi badaniami? – zapytała Subira, dodając: – Ale teraz na poważnie, nie mów mi, że lubisz prowokację.

–O! To jest pytanie otwarte. Jestem pewien, że nim zdążę na nie odpowiedzieć, będziecie wysysać ostatnie resztki mięsa z kości kurczaka i wyławiać ostatnie frytki z kubelka.

–To zacznij wreszcie mówić, co takiego jest w ich kodzie DNA? –Terry nie ustępował. Damiano spojrział na niego z rezygnacją.

–Spróbujcie chociaż przez chwilę mi nie przerywać. Kiedy skończę, przyjdzie czas na pytania. Wtedy wytłumaczę wszystkie niejasności.

Bez słów, a jedynie skinieniami głów, udzielili mu głosu.

–Już w dzieciństwie moją uwagę zwróciły opisy biblijne, a także poematy Homera, mówiące o tym, że kiedyś żyli na Ziemi przedstawiciele gatunku ludzkiego, posiadający cechy zwierzęce. Dla wielu były to bajki, lecz ja postanowiłem sprawdzić, czy to jest w ogóle możliwe. Genom owadów skrywa w sobie instrukcje trzech różnych organizmów, może człowieka także? –zastanawiałem się. Kod DNA jest najbardziej skomplikowaną instrukcją budowy. Powstanie gwiazd, galaktyk, a nawet czarnych dziur to instrukcja zapisana na kartce papieru, natomiast genom organizmów żywych jest jak wielotomowa encyklopedia. Wgłębiając się w tajniki kodu DNA, zwróciłem uwagę na pewne niekonsekwencje. Podobno jesteśmy najbardziej rozwiniętym gatunkiem na planecie, a mamy najwięcej zbędnego kodu, nazywanego śmieciowym DNA. Z jakiego powodu tak się dzieje, co on ukrywa? –dziwiłem się. A jeżeli opisane przez Homera hybrydy to nie byli mutanci, nie bogowie –choćby mniejsi, a po prostu ludzie, których śmieciowe DNA nie było tak wymieszane, jak u pozostałych? Otóż dla mnie jest to nie śmieciowy, a boski kod DNA!

–Jesteś raelianem? –nie wytrzymała Ann. Spojrzała na Damiano speszona i wyszeptała: –Przepraszam, już nie będę ci przerywać.

Pewnie jej skrucha zmiękczyła złość Damiano, który odpowiedział spokojnie:

–W porządku, Ann, rozumiem twoją ciekawość. Znam tę religię, ale nie należę do jej wyznawców. Nie chodziło mi o to, że śmieciowe DNA pochodzi od Boga. Zamiast słowa „boski” powinienem był użyć określeń: cudowny, niesamowity. Chociaż, jeżeli wierzy się w boga –można uważać, że to on pomieszał nam kod DNA, tak jak wcześniej sprowadził na ludzi



potop. To typowe dla boga, w którego wiarę wyznajemy. Jest on tyranem karcącym nie tylko osoby łamiące jego prawa, lecz i tych, którzy wątpią, czy są one słuszne. Natomiast jeżeli jest się zwolennikiem teorii mówiącej o przeskoku od małpy do człowieka w wyniku ingerencji w nasz kod kosmitów – to można powiedzieć, że przylecieli, pobawili się w tworzenie hybryd, a później znudzili się, posprzątaali ślady po swojej zabawie i odlecieli. Istnieje wiele wersji doniesień o ich pobycie, wersja raelian jest jednak zbyt... realna. Vorilhon za bardzo starał się połączyć zachowanie kosmitów z przekazami biblijnymi. Stworzył raczej materiał na komiks, czy film fantastyczny. Ale że nasze poznanie coraz częściej ogranicza się do nagłówków, liczba zwolenników jego hipotezy wciąż rośnie. Zgubienie klucza do śmieciowego DNA równie dobrze mogło być procesem naturalnym. Kod DNA jest samolubny tylko wobec fragmentów istotnych dla bytu. Utrata ważnych informacji genetycznych kończy się śmiercią przed osiągnięciem zdolności prokreacyjnych i kod nie zostaje powielony. Jednak jego fragmenty, niewpływające bezpośrednio na zdolności reprodukcyjne, a przydatne w skrajnych przypadkach, mogą być przekazywane z coraz większymi błędami, aż to utraty funkcjonalności ukrytych w nich planów budowy genów. Stąd nazwa śmieciowe – czyli zbędne, mało istotne, niepotrzebne – DNA. Tak więc wybór wersji – boskiej, kosmicznej czy naturalnej – stanowi kwestię drugorzędną. Najważniejsze jest to, że ten śmietnik nam ciąży. A nie da się go wyrzucić. Postanowiłem zatem go uporządkować. To dlatego, Ann, wyłożyłem pieniądze na twoje poszukiwania centaura. Muszę ci powiedzieć, że kilka ekip, wciąż bez rezultatów, nadal szuka grobów biblijnych hybryd. Homer okazał się najbardziej wiarygodnym źródłem, a ty najlepszą tropicielką. Nawiązałem również kontakt z profesorem Garilicą. Szkoda, że przez mojego wuja, który okazał się nie katolickim cherubinkiem, a żydowskim cherubem. Garilica o wiele wcześniej zainteresował się śmieciowym DNA, podejrzewał nawet, że mogą być w nim ukryte skarby. Zwrócił moją uwagę na to, że u niektórych osób można odnaleźć pewne specyficzne fragmenty kodu. Nazwaliśmy je *Hidden Gem*. Co ciekawe, najczęściej znajdowaliśmy je u ludzi przegranych, nieradzących sobie w życiu. A takimi są nierzadko

weterani wojenni. Potencjalne centaury, cyklopy, harpie, chimery czy hydry. Stąd pomysł uruchomienia programu charytatywnego, pozwalającego wyłuskać odpowiednie osoby do dalszych badań. Nie chciałem im szkodzić, zamierzałem pomóc.

Zakończył, odsuwając puste opakowanie po pizzy i sięgając po lody i kawę. Nikt się nie odezwał. Ann już od dawna raczyła się deserem, Subira i Terry wyjadali ostatnie frytki, a Federico kończył sałatkę Piccante.

– Czego nie zrozumieliście? – Damiano spojrział na nich z pewną wyższością. – Co mam wytłumaczyć?

– Wszystko jest jasne. Mówisz o śmieciowym DNA i znacznikach, które ja nazwałem *Trash Tags* – wymamrotał z pełnymi ustami Federico. Damiano spojrział na niego zdziwiony. – Tak, wiemy o ukrytym kodzie. Ustaliliśmy też, że posiadają go wszyscy porwani przez ciebie ludzie.

Informacja ta zaskoczyła miliardera. Po raz pierwszy nie wiedział, jak na nią zareagować. Wybrał wariant podszytego kpina entuzjazmu.

– Brawo, zaskakujecie mnie – to były krótkie słowa uznania. Zaraz potem przeszedł do wykazania swej wyższości. – Uważam, że nazwa *Hidden Gem* jest bardziej trafna. Określenie „śmieciowy znacznik” słyca wartość kodu, natomiast nazwanie go „ukrytym klejnotem” budzi nadzieję. Można powiedzieć, że śmieciowe znaczniki wskazują miejsca ukrycia klejnotów. Każda z osób ze znacznikiem *Hidden Gem* posiada niezmiernie rzadkie cechy. Nie zagrażają one ich życiu, zwiększają nawet popęd płciowy, pozwalając powielać się genom w licznych kopiach. Jednocześnie jednak dodają określone – niezbyt pożądane – zachowania.

– Tak czy siak są to znaczniki śmieciowe – wzruszył ramionami Federico. – Można nazwać głupca osobą inaczej myślącą, lecz będzie to fałsz. Albo ulegasz nakazom współczesnej poprawności politycznej, albo czynisz to świadomie, naginając fakty. A te są takie, że próbujesz usprawiedliwić porwania ludzi, nazywając to udzielaniem pomocy.

Federico umilkł, zabierając się za deser lodowy. Tę chwilę wykorzystała Subira.

– A gdzie w twoim podręczniku miejsce na ewolucję? Zapominasz o niej, wybierając jedynie pasujące ci puzzle, nie zważając na to, że ułożony obraz

będzie niekompletny, wykoślawiony próbą naginania faktów. Wyrośliśmy z tego samego pnia ewolucji, część naszych genów jest taka sama, jak u bananów, a nawet bakterii.

– Zarzut z pozoru słuszny, tylko że... nietrafny. Ja nie mówię, że 20 czy 30 tysięcy lat temu naszą planetę odwiedzili kosmici, przekazując nam dar wyprostowanej postawy, język i krtań w gębie – dzięki czemu możemy się kłócić – a odebrali ogony.

– To skąd ten boski kod w naszych genach? – nie ustępowała Subira.

– On tam był od samego początku. Zgadzam się, że wszystkie zwierzęta go mają i nosimy w sobie ich dziedzictwo. Zdolności salamandry do regeneracji kończyn. Możliwość oddychania tlenem w wodzie, podobnie jak czynią to kraby na pierwszym etapie rozwoju. Ewolucja to, by tak rzec, hazardzista...

– Niektórzy powiedzieliby, że szuler – mruknął Federico, z żalem spoglądając na puste opakowania po jedzeniu.

– Nie, ewolucja nie oszukuje. Ona nie dba o wynik gry, bawi się samą grą. Tylko że im dłużej jesteś w drodze, tym bardziej ciąży ci przebyta trasa. Pamięć poprzednich rzutów kośćmi staje się większą przeszkodą, niż możliwość wykorzystania doświadczenia w przypadku zagrożenia. Kosmici mogli przybyć na Ziemię już po oddzieleniu się małpy i człowieka. Zauważyli potencjał tkwiący w śmieciowym kodzie i postanowili go uporządkować. Choćby po to, aby zobaczyć, kim mógłby być człowiek, gdyby nie zgubił mrocznego dziedzictwa.

– Jak to możliwe? – zapytała Ann, potrząsając z niedowierzaniem głową.

– Broniąc słoni przed kłusownikami nauczyliśmy się blokować geny odpowiedzialne za wyrastanie ciosów, potocznie nazywanych kłami. Coraz większa część populacji słoni jest dzięki temu bezpieczna – kłusownicy stracili motyw zabijania. A gdy ludzie w końcu zrozumieją, co pewnie potrwa wiele dziesięcioleci, że ciosy w głowie żyjącego słonia są dużo więcej warte niż spinki do mankietów, szpilka do krawata, figurka z kości słoniowej na półce czy sproszkowane jako afrodyzjak, będziemy mogli odblokować te geny i słoniom ponownie zaczną wyrastać ciosy.

– Natura też może sobie z tym poradzić. Porównując dane o długości

ciosów z ostatnich lat, łatwo zauważyć, że są one coraz krótsze – dorzuciła Subira. – To skutek przetrzebienia dominujących samców. Proces doboru naturalnego, który możemy obserwować niemal na żywo.

– Ale mimo wszystko zbyt wolny, by ochronić resztkę żyjących słoń – stwierdził Damiano.

– To prawda – zgodziła się Subira. – Bardziej skuteczna będzie ingerencja człowieka w ich genom. Tylko ona tak naprawdę może je uratować.

– Co słonie mają wspólnego z nami? – zapytał skołowany tą wymianą zdań Terry.

– Już mówię. Nasuwa się pytanie, czy przed tysiącami lat nie postąpiono podobnie z naszymi genami? Po odczytaniu genomu centaury z całą pewnością mogę odpowiedzieć: oczywiście tak! W zamierzchłej przeszłości zablokowano nam geny, pozwalające być kimkolwiek byśmy chcieli. Cierpimy z tego powodu.

– Ale mówisz, że te geny są nieaktywne. Więc jak mogą wpływać na nasze zachowanie? – zapytała Subira.

– Geny są poszatkowane i nie zbudują żadnego białka. Lecz te śmieci nadal mogą produkować genetyczne induktory – hormony, enzymy, neuroprzekazniki, cząsteczki RNA – wrażliwe na sygnały środowiska, wpływające na pracę mózgu. Nasze myśli, sny i marzenia. Ale jest to układ sprzężony, więc także sny, lektury książek, obejrzone filmy, dobijają się do drzwi niefunkcjonalnych już genów, nieustannie usiłując sforsować ich zamki. To ciekawa przewrotność losu. Najbardziej dotknięci światłem boga są jednocześnie najszabszym jego ogniwem, przysparzając mu nieustannych trosk. Uporządkowanie śmieciowego kodu pozwoli ten rozdźwięk zniwelować. Ludzie ze znacznikami w śmieciowym DNA znów będą mogli wybrać, kim chcą być.

– Twoje wyjaśnienia są tyle warte, co śmieciowe jedzenie, które nam zaserwowałeś – podsumował jego słowa Terry. – Według mnie chcesz po prostu uzyskać złagodzenie wyroku, oświadczając przed sądem, że porwaleś ludzi, aby ich wyleczyć. Ale to nie przejdzie, ława przysięgłych ci nie uwierzy.

– Terry, zapewniam cię, że porwani weterani z uporządkowanym

genomem czują się o wiele lepiej niż wtedy, gdy widziałeś ich ostatnio. Za chwilę zresztą będziesz mógł się sam o tym przekonać.

–Gdzie ich więzisz? –zapytał Terry. W końcu pojawiła się jakaś konkretna informacja.

–Zjedźmy na dół. Tam znajdziecie odpowiedzi na wszystkie pytania i ujrzycie nowe tożsamości porwanych.

Terry najchętniej związałby miliardera i doprowadził go do najbliższego posterunku policji. Jednak w tej chwili nie miał szansy tego zrobić. Może później znajdzie jakąś okazję? Uznał również, że dobrze będzie zgromadzić więcej dowodów winy. Miliarder z pewnością posiadał kutych na cztery nogi adwokatów.

–Dobrze, jestem bardzo ciekaw, w jaki sposób ich odmieniłeś –rzekł, wstając od stołu, co momentalnie wywołało reakcję rogacza. Nie tylko uniósł łufę, ale też uśmiechnął się, szczerząc białe zęby, jakby chciał powiedzieć: „No, daj mi pretekst!”.

## Zwiedzanie rajskiego ogrodu

W windzie nie było okazji do zaatakowania Damiano. Rogacz i dwaj wartownicy trzymali ich pod łufami, ściśniętych w jednym kącie kabiny, oddzielając od miliardera szpalerem. Rogacz miał znudzony wyraz twarzy, lecz jego małe, zimne oczka nieustannie ich obserwowały. Beznamiętne oczy węża, oceniającego szansę ataku na żerujące w pobliżu myszy –podsumował ten obrazek Terry. Twarz rogacza kogoś mu przypominała, ale nie pamiętał kogo. Nieistotne, najgorsze, że nie dawał im żadnej szansy na ucieczkę. Wyszli w pustym, przeszklonym pomieszczeniu, z wartownikami stojącymi na baczność po obu stronach drzwi windy.

Wyszli na szeroki korytarz otaczający okrąg siedziby GDV na wysokości pierwszej kondygnacji. Trwało piątkowe popołudnie i promenada była pusta, pracownicy już pewnie szaleli na falach oceanu albo w knajpach. Zewnętrzna strona promenady prowadziła do licznych biur, które co kilkadziesiąt metrów

rozdzielały boksy ze stolikami i automatami z napojami i łakociami. Natomiast w dole, po wewnętrznej stronie znajdowała się dżungla. Z góry było widać, że od promenady oddzielał ją szeroki na dwa metry rów z wodą w kolorze błękitnej laguny, jakby przetransportowaną w cysternach wprost z Fidzi. Rów bardziej przypominał fosę, broniącą dostępu do zamku, niż sielską rzekę, wijącą się pośród łąk – to był jedyny element psujący iluzję. Dalej była piaszczysta plaża, z pojawiającą się tu i ówdzie zielenią. Początkowo tylko trawa, ale już dalej paprocie oraz wysokie palmy, a nawet drzewa bambusowe, rosnące tak gęsto, że nie można było dostrzec, co kryje się w sercu tej sztucznej dżungli. W niektórych miejscach widniały wysokie pagórki, z których spływały skrzące się tysiącami iskier kaskady wody. Za kurtyną wody Terry wypatrzył reflektory, pozwalające osiągnąć ten efekt, niezależnie od pory dnia. Z buszu dochodził głośny śpiew ptaków, ale pewnie odtwarzany z głośników, gdyż żadnego nie było widać. Podobnie jak krabów czy żółwi na plaży, albo małp na drzewach. Sztuczny las tropikalny – tak sztuczny jak sztuczny był właściciel tego rajskiego ogrodu.

– Tym widokiem może cieszyć się każdy pracownik. Wypocząć, coś zjeść, a nawet pracować, gdyż nie interesuje mnie styl pracy, a wyłącznie efekty – przechwalał się Damiano.

– Czy założyłeś nam jakiś rodzaj szkieł kontaktowych GDV? – zapytał Federico, machając dłonią przed oczami. Damiano zaśmiał się.

– Nie, to świat na żywo, nie wirtualny. Ale masz rację, niebawem dużo bardziej cudowne światy będzie mógł oglądać każdy z nas.

– Każdy, kto wyłoży niemałą kasę – zauważył cierpko Federico.

– Marzenia kosztują... – wzruszył ramionami miliarder. – Sądzisz, że znajdą się rodzice, którzy odmówią nastolatkowi kupna choćby pakietu podstawowego?

– Nie! – odpowiedział bez wahania Federico. – Jestem pewien, że zrezygnują z wakacji, kupna samochodu, operacji zmarszczek żony i odsysania brzucha męża, ale szczeniaki będą uczyć się, jeść i spać w wirtualnych światach – urwał, by po chwili, krzywiąc się, z udawanym niesmakiem, uzupełnić: – I nie tylko dzieciaki, ja również się temu nie oprę.

– Wojsko też z pewnością kupi szkła kontaktowe GDV. Informacje będzie

można wyświetlać bez konieczności zakładania hełmofonów czy gogli 3D – dodała Subira.

Damiano pokręcił przecząco głową.

–Niestety nie. Szkła kontaktowe nie sprawdzają się na polu walki, żołnierze gubią je podczas akcji. Wojsko testuje wszczepianie czujników GDV wprost do mózgu – uzupełnił.

–Dlaczego zabraniasz pracownikom wchodzenia do środka? Boisz się, że zdeptają kwiatki? –zapytał Terry.

–Powód jest inny –odparł chłodno, lecz wciąż uprzejmie miliarder. – Kilka kroków dalej znajduje się elektroniczna zasłona.

–Aha! Więc to jednak jest sztuczne! –wykrzyknął z satysfakcją Federico. –A za zasłoną schowałeś betonowe serce dżungli: rury, kable, generatory prądu.

–Nie, odwrotnie –zaśmiał się Damiano. –Prawdą jest, że obraz dżungli w głębi jest wirtualną projekcją, lecz z innego powodu niż myślisz. Pracownicy zajmujący się szklami kontaktowymi GDV mogą tutaj wypoczywać, oglądając zewnętrzną powłokę rajskiego ogrodu. Lecz jest za wcześnie, aby ujawnić przed nimi całą prawdę. Nie widzą prawdziwych cudów, po prostu nie są jeszcze na nie gotowi.

–Skoro niebawem takie światy będą tworzone w oku każdego, kto założy twoje szkła, to w jakim celu zbudowałeś ten rajski ogród? Nie wystarczą ci wirtualne światy GDV? –zapytała Subira.

–Nie wszyscy lubią żyć na niby. Są tacy, co wolą prawdziwy pot i łyżę...

–A gdzie obiecane wyjaśnienia? –zniecierpliwił się Terry, mając już dosyć puszenia się miliardera. Wkurzała go też atencja Subiry i Federica dla jego osoby. Jedyne Ann zachowywała resztki rozsądku, niestety nie był pewien, czy i ona nie ulegnie urokowi Damiano.

–Jeszcze chwilę cierpliwości. Zaraz zjedziemy do części zamkniętej, w której znajdują się połączenia z rajskim ogrodem. –Mówiąc to miliarder zachwycał się tak, jakby był prestidigitatorem i trzymał w kapeluszu królika. –Tam będziecie mogli zobaczyć wszystkie jego cudowności. Pierwsza i druga kondygnacja pracuje nad szklami GDV, dolna przeznaczona jest dla projektu uwolnienia genetycznych śmieci.

Przeszli do pomieszczenia z windą. Z zewnątrz nie było widać środka – szkło okazało się lustrem weneckim. Rogacz przejechał kartą przy czytniku i drzwi rozsunęły się. Za nimi, nadal na baczność, stali ci sami wartownicy. A może to tylko wirtualne postacie? – zastanowił się Terry, mając ochotę przesunąć dłonią przez sylwetkę jednego z nich. Po chwili wysiedli na parterze, biegnąca tu promenada była podobna do tej z wyższej kondygnacji.

Podeszli do kładki, łączącej promenadę z plażą. Damiano wydał dyspozycję wyłączenia zasłony elektronicznej, odczekał kilka sekund i dopiero wtedy na nią wszedł. Ruszyli za nim. Przechodząc kładką Terry zauważył, że poziom wody w fosie jest zaledwie o kilka centymetrów niższy od jej brzegów. Wypatrzył również, ukryte co dziesięć-dwanaście metrów, niewysokie prostokąty. To mogły być generatory zasłony elektronicznej. Przytrzymał Subirę za ramię i wskazał jej te miejsca wzrokiem. Skinęła głową potwierdzając, że przyjrzy im się dokładnie.

Gdy Terry obrócił się za siebie, zobaczył, że znikła promenada i wyższe piętra siedziby Haddada, a na ich miejscu wyrosły porośnięte drzewami pagórki. Pojawił się również widok krat, z żarzącymi się na czerwono prętami.

– Tu już nie musisz ukrywać prawdy? – zapytał Terry wskazując kraty.

– To ostrzeżenie dla tych, którzy zechcą wyjść z rajskiego ogrodu – wyjaśnił Haddad. – Okazało się, że jego mieszkańcy przejawiają tendencję do zapominania o ograniczeniach i wciąż próbują przekroczyć granicę. Widok krat, może niebyt dobrze się kojarzy, lecz skutecznie im o tym przypomina. Nie pozwala opuścić raj u niesfornym... ptaszkom.

Ci z zewnątrz nie wiedzą, do jakiego więzienia się pakują; natomiast uwięzieni są dodatkowo karani widokiem wolności, którą im odebrano. Co za perfidia, rodem z czerwonej Rosji – pomyślał Terry.

Gdy weszli na plażę, piasek zaczął chrzęścić pod butami, zachęcając do ich zdjęcia. Z plaży w głąb dżungli prowadziła szeroka na dwa metry ścieżka. Po kilkunastu metrach wyszli na polanę, z gładem i wodospadem spadającym do jeziora większego od basenu olimpijskiego. Nic tylko zrzucić ubranie i zanurkować nago w krystalicznie czystej wodzie. Ale trzeba



by zachować majtki – stwierdził Federico, zauważając, że z kąpieli korzystały już jakieś osoby. Dwie, półnagie kobiety, śmiejąc się, ochlapwały się wodą w pobliżu wodospadu. Jedna była Azjatką. Miała kruczoczarne włosy i małe, sterczące piersi z czarnymi sutkami; druga miała biały kolor skóry, srebrne włosy i duże piersi, zwisające pod własnym ciężarem.

– Federico, halo! Kobiet w negliżu nie widziałeś? – zachnęła się Subira.

– To nie to. Nie patrzę na ich piersi... – wybąkał speszony, nie przestając zerkać na dziewczyny. – Patrzę niżej...

– Federico?!

– Subira, naprawdę nie patrzę na cycki, a tym bardziej cipki. Bo one ich chyba nie posiadają. Mam wrażenie, że zamiast nóg mają... rybie ogony.

Kąpiące się usłyszały rozmowę, pomachały im rękoma i zanurkowały, wywołując plusk wody. Ich szybkie zniknięcie nie pozwalało potwierdzić, czy Federico ma rację. Po kilku sekundach wypłynęły po lewej stronie jeziora i schowały się za głazami. Jednak, gdy po chwili wdrapały się na skałę, układając na niej długie, pokryte łuskami ogony, ich wåtpliwości znikły. Dziewczyny, rozczesując sobie nawzajem włosy, wciąż się śmiały, zerkając na nich ukradkiem.

– To syreny... – wyjąkała Subira.

– Przecież mówiłem ci, że nie patrzę na ich cycki... – odparł urażony Federico.

– Nie jesteś jedynym podglądaczem – zauważył Terry, wskazując na gęstwinę zarośli po przeciwnej stronie jeziora. Pośród liści wypatrywał starszego mężczyznę, który jedną dłonią odsuwając gałęzie, podpatrywał syreny. Jego twarz zastygła w dziwnym grymasie, trudno było powiedzieć, czy to oznaka bólu, czy euforii. Mężczyzna miał długie, rozrzucone w nieładzie siwe włosy, spod których wystawały krótkie rogi. Jego oblicze przypominało Terremu pewnego mężczyznę z kartoteki porwanych, lecz nie mógł przypomnieć sobie nazwiska tego człowieka.

– Rzeczywiście, ledwo zipie, lecz po jego twarzy widać, że pali się do dziewczyn, jak pies do kości – zgodziła się z Terryem Subira. Po chwili jednak zbladła, domyślając się powodu fascynacji syrenami. Skrzywiła się z niesmakiem: – Hej, ty! Przestań! – krzyknęła, rozglądając się

w poszukiwaniu kamienia, którym mogłaby w niego cisnąć.

Zauważył ich, rzucił jakieś przekleństwo i odszedł. Gdy przechodził przez wolną od roślin przestrzeń, mogli dostrzec, że ma... koźle nogi. Mocno owłosione, z kopytami. Terry uznał, że będzie lepiej, gdy jego nazwisko pozostanie bezimienną twarzą z kartoteki.

– Fuj! To już chyba przesada... Gdzie my jesteśmy? Kto to był? – zapytała zde gustowana Subira.

– Satyr. Według mitologii satyrowie, jak centaury, miały górną połowę ciała ludzką, a dolną zwierzęcą. To demony leśne, bóstwa płodności, należące do bogów mniejszych. Chadzali własnymi drogami, nie za bardzo przepadając za ludźmi, ale za to lubiąc wino, śpiew i rozkosz miłosną. Homer nic o nich nie pisał, ale inni greccy epicy tak. Rzymianie zwali ich Faunami, a w średniowieczu stali się wzorcem dla postaci diabła. Dzisiaj to słowo ma dużo szersze znaczenie. Jak widać słuszne – wyjaśniła Ann, nie wiedząc, czy zgorszyć się widokiem podglądacza, czy też zachwycić się tą mitologiczną istotą. Poczowała jeszcze większy podziw dla Homera. Nie kłamał, po prostu z wielkim taktem opisał ciemne strony bogów. Może dlatego nie wspomniał o satyrach, gdyż nie chciał obnażać ich prawdziwej natury?

Naraz usłyszeli szelest poruszonych z tyłu liści. Do polany zbliżał się mężczyzna w średnim wieku, z nagim torse, dziwnie kołysząc się i machając rękoma, jakby odganiał się od much. Ale przecież na szczęście much tu nie było, tak jak i innych owadów – zauważył przytomnie Terry. Mężczyzna był nieogolony i wyglądał jak po tygodniowej popijawie. Mamrotał coś pod nosem, lecz trudno było zrozumieć co. Ale to przestało być istotne, gdy wyszedł z gęstwiny. Mogli wtedy dostrzec, że jego tors został nasadzony na... tułów konia. Kołysanie, które widzieli, nie było więc objawem pijaństwa, a amortyzowaniem chodu końskich kończyn.

– To centaur! – wykrzyknęła Ann, zasłaniając z przerażeniem usta. A gdy po kilku sekundach przyszła jej do głowy pewna szalona myśl, spojrzała z wyrzutem na Damiano. – Sklonowałaś Eurytiona?

– Skądże, nie urósłby tak szybko – odparł, wzruszając ramionami.

– A dlaczego tak bełkocze? – chciała wiedzieć Subira.

– Jeszcze nie zdecydował czy chce parskać jak koń, czy mówić po ludzku. To kwesta szalejących hormonów, jak u osób wchodzących dopiero w dojrzałość. Lekarze mówią, że za dzień-dwa zrozumie, że nie jest ani człowiekiem, ani koniem, tylko centaurem. Nauczy się porządnie chodzić, a rzeć jak koń będzie jedynie w chwilach kopulacji lub walki.

Centaur, nie zważając na nich, zniknął w gęstwinie. W milczeniu patrzyli na kołyszące się gałęzie.

– I jak wam się podobają stworzenia z rajskiego ogrodu?! – przerwał milczenie Damiano, rozglądając się tryumfalnie po grupie. Wciąż milczeli, więc skupił wzrok na Ann, jakby od niej oczekiwał fanfar.

– To nie Eden – odpowiedziała, krzywiąc nosek. – To raczej ogród ziemskich rozkoszy Hieronima Boscha.

– Masz rację, to z pewnością nie rajski ogród, a wybieg dla dziwolągów – poparła ją zde gustowana Subira.

– Rajski ogród został nazwany ogrodem rozkoszy – odparł urażony Damiano. Chyba spodziewał się innej odpowiedzi i nie potrafił ukryć rozczarowania.

– W rajskim ogrodzie było drzewo poznania dobra i zła. A w twoim ogrodzie są jedynie mitologiczne stwory. Chociaż nie widzę jednorożców... – oznajmiła ze smutkiem w głosie Ann.

Damiano spojrzał na nią zdziwiony.

– To zwykły koń, tylko z długim rogiem – rzekł sucho. – Albo wymysł, albo wymarły gatunek. Nie ma powodu, żeby je odtwarzać.

– Szkoda... są takie piękne – westchnęła Ann. – I mają podobno czarodziejską moc.

Damiano nie był pewien, czy profesor archeologii z niego żartuje, czy mówi poważnie.

– Czy twój ochroniarz, rogacz, to też efekt transformacji? – zapytał Terry.

Damiano uniósł dłoń i kiwnął palcem na stojącego za nim rogacza. Ten podszedł bliżej i skłonił się z ironicznym uśmiechem.

– Przedstawiam wam Miszę Plutina. Pierwszy obiekt transformacji. Od lat marzył, by zostać Minotaurem, ale udało się nam odtworzyć jedynie geny odpowiedzialne za poroże. Jednak niebawem wejdzie ponownie do zbiornika

i opuści go jako kompletny Minotaur.

Terry już rozumiał kogo przypominał mu rogacz. Ten sam cyniczny wyraz twarzy kłamcy, który wie, że bez żadnych konsekwencji może wciskać innym kit. Do czasu, do czasu, panie Putin. Nadejdzie chwila, gdy ten kit zostanie wepchnięty do twojego gardła. Tak samo, jak pojawi się okazja, aby wyrwać te rogi twojemu krajanowi.

– Czy porwani są obiektami doświadczalnymi? – dopytywał się Terry. Damiano skinął lekko głową. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że to kiepska linia obrony?

– Nie znasz wszystkich faktów – odparł z uśmiechem wyższości miliarder. – Zarzucacie mi, że wykorzystywałem badania do poszukiwań ukrytego kodu. A czyż nie realizowałem hasła „Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie”? Naprawiałem śmieciowy kod, ofiarowując nieszczęśnikom szczęście. Jestem bliski przywrócenia porządku, w którym śmieci znów stają się skarbami. Dojdzie do tego, gdy człowiek odzyska szansę przemiany swego ciała w dowolną, mityczną postać.

– Ale w jakim celu? Czy po to, by satyr mógł zaspokajać swe żądze i podglądać syreny? Albo centaur zastanawiał się, czy jest zwierzęciem czy człowiekiem? – Terry aż kipiał ze złości. – Oni mieli własne życie i święte prawo do własnych – choćby najgorszych – wyborów. A ty nie tylko ich porywasz, więzisz, ale i zamieniasz w potwory.

– A ty, dzieciaku z górnej półki, kim chcesz zostać: centaurem czy satyrem? – Subira także zaatakowała Damiano.

– Wciąż nie rozumiecie siły śmieciowego DNA. Człowiek posiadający gen budowy skrzydeł odczuwa nieodpartą pokusę latania, marzy, by zostać pilotem. Ludzie o dwóch twarzach to schizofrenicy. Osoby lubiące biegać, odwieczni podróżnicy, to centaury. Kochający pływanie, marzący o ściganiu się z delfinami, to syreny lub trytony.

– I myślisz, że są szczęśliwi pływając w stawie? – zapytała Subira.

– A ty byś nie była? Przecież o tym marzysz. Byłabyś piękną syreną.

Subira spojrzała na niego z wściekłością.

– Lubię pływać, ale to jeszcze nie znaczy, że chcę mieć ogon. Marzę o pokonaniu własnych słabości, nie marzę o płetwach zamiast nóg. Poza tym,

równie mocno jak pływanie, kocham taniec. A z ogonem nie będę mogła tańczyć ani biegać.

–Ale ładnie śpiewasz. A to znany atrybut syren przywołujących mężczyzn.

–Chyba mnie nie słyszałeś –zaśmiała się Subira. –To była kapela hardrockowa. Teksty utworów wykrzykiwałam, trudno to nawet nazwać śpiewem.

–Nie wszystkie, mieliście też nastrojowe utwory.

–Słuchałeś moich nagrań? –zapytała zaskoczona.

–Zawsze kompletuję dokładne dossier. Inaczej nie odniósłbym sukcesu w biznesie –wyjaśnił, a po chwili dodał: –To świetne nagrania, dodałem je do listy moich ulubionych.

Subirze pochlebily jego słowa. Na jej twarzy było widać walkę. Damiano otworzył na nowo zabliźnione rany.

–Nie przekonałeś mnie, wolę pozostać sobą –odpowiedziała z nutką żalu.

–A na jaką mitologiczną postać wskazują moje znaczniki? –Federico dał wciągnąć się w tę zabawę.

–Jesteś cyklopem –odparł bez wahania Damiano.

–Nie czuję się cyklopem. Mam dwoje oczu i mózg potrafiący rozróżnić prawdę od fałszu –zaprotestował cyklop Federico.

–No nie wiem... –zastanowiła się Subira, co jeszcze bardziej rozzłościło Federica.

–Uważam jednak, że więcej uczynisz dobrego z dwojgiem oczu, niż z jednym –oznajmił Damiano. Federico odetchnął z ulgą. Ann nie zamierzała brać udziału w tej dziwnej grze, lecz Damiano zajął się i jej transformacją.

–Natomiast Ann jest jak Echitna.

Spojrzała na niego z irytacją.

–To była przerażająca półkobieta-półwąż, żywiąca się ludzkim mięsem. Tak mnie widzisz?

–Ale trzeba też pamiętać, że była matką wszystkich stworów. A ty zwróciłaś mityczne stworzenia świata. Bez odnalezienia centaury nie udałooby się tak szybko odtworzyć kodu śmieciowego DNA.

Ta informacja nie pocieszyła Ann.

– A Terry kim by był? – zapytał Federico.

– Nazwisko Mykonos wskazuje, że jego przodkowie pochodzą z Grecji. Sprawdziłem to – wywodzą się z Ikarii. To wyspa słynąca z długowieczności jej mieszkańców. Żyjący tam ludzie rzadko chorują na raka, nie grozi im też zawał serca.

– To również wyspa, na której Dedal pochował syna – dodała Ann, zaciekawiona, do czego zmierza Damiano.

– No właśnie... W mitach Dedal buduje dla siebie i syna skrzydła. Ale może nie musiał ich budować, gdyż obydwaj już je mieli? A po śmierci syna ojciec pozostał na wyspie dłużej i spłodził tam dzieci. – Damiano wydawał się oczekiwać od Ann odpowiedzi. Ona jednak przejrzała już plany miliardera i nie zamierzała mu pomagać. Zawiedziony Damiano musiał sam odpowiedzieć na własne pytanie: – Terry może być jego potomkiem. Ma niepowtarzalny genom, którego nie odnajdujemy u innych ludzi. Naukowcy są pewni jednego: Terremu mogą wyrosnąć skrzydła.

– Hm, Terry zawsze chciał zostać kosmonautą – mruknął Federico. – To ma sens.

– No właśnie – ucieszył się Damiano. – A mając skrzydła, zapomni o swej chorej nodze.

– Uważaj, żebym tą chorą nogą nie kopnął cię w dupę! – warknął Terry.

Damiano zignorował go.

– Przejdźmy do pomieszczeń badawczych, w których medycy i genetycy pracują nad transformacjami.

## Wasze transformacje

Raj opuścili z ulgą, ale już po kilku minutach nie byli pewni czy dobrze zrobili. Sala, do której weszli, wypełniona była dziesiątkami akwariów, podobnych do tych z kliniki profesora Garilicy. Różniły się jednak zawartością. W zawieszynie płynów pojemników Haddada unosili się dorośli ludzie. Jego akwaria również emanowały zieloną poświatą, a pływające

w nich organizmy zostały podłączone do systemów podtrzymywania życia pępowiną –jednak nie do pępka, a do ust. Nozdrza zakrywały maski; widocznie nie potrafili oddychać tlenem zawartym w wodzie. Na oczach mieli opaski. Może, aby nie mogli zobaczyć wyrastających im kończyn?

–To trochę inny rodzaj zbiorników. Nie hodujemy tu ludzi począwszy od embrionów, tylko stwarzamy dorosłym osobnikom warunki do szybkiej przebudowy narządów. Przekształcenia są energochłonne. W naturze zachodzą niezmiernie rzadko. Ale my mamy przygotowane odpowiednie pożywki, pozwalające na dokonanie metamorfozy w ciągu paru dni. Nie trwa to tygodniami. Dostarczamy im tyle środków odżywczych, by bez przeszkód mogli je zbudować – wyjaśnił Damiano.

Niektóre hybrydy Terry potrafił rozpoznać z opisów, inne były tak dalekie od wyglądu człowieka, że bez pomocy Ann nie potrafiłby ich nazwać.

–To chimera – wyjaśniła Ann, gdy przechodzili obok akwarium, w którym pływał mężczyzna z głową lwa, tułowiem kozy oraz ogonem pokrytym skórą węża.

–A to groźna harpia –tak Ann nazwała kobietę, z górną połową ciała ludzką –oprócz ostrych szponów zamiast palców –a dolną ptasią, najprawdopodobniej orlą lub sępią. Poza tym miała nagą skórę do wysokości kolan oraz grube szpony. Z pleców kobiety wyrastały, w tej chwili złożone, ptasie skrzydła. Terry rozpoznał tę osobę. To była Claudia Hurtad, która kiedyś służyła w Navy Seals. Mimo równouprawnienia, nie było łatwo dostać się do tej formacji, a ona po kilku udanych akcjach została dowódcą drużyny. Aż do wydarzeń w al-Szabab. Co tam się stało, Terry nigdy się nie dowiedział, to była tajna informacja. Po powrocie z misji Claudia odeszła ze służby. Spotkał się z nią kilka razy; w czasie ich rozmowy zachowywała się tak, jakby za chwilę miał do nich wpaść oddział terrorystów. Było rzeczą oczywistą, że jej psychika jeszcze nie wróciła z wojny. Jej wzrok nieustannie lustrował okna oraz drzwi, siedziała spięta, gotowa do skoku; a w zasięgu jej rąk zawsze znajdował się nóż. Terry był pewien, że w cholewie wysokich butów ma ukryty jeszcze jeden, a z tyłu, za paskiem spodni, tkwi rewolwer. W czasie służby nazywano ją Jasnowłosą Mścicielką, z uwagi na długie blond włosy oraz nieustępliwość, jaką wykazywała w walce. Czy będzie

równie bezlitosna jako harpia? Ten młokos igrał z żądzami, o których nie miał pojęcia.

– A to meduza – wykrztusiła Ann, nie mogąc oderwać wzroku od kobiety, z której głowy wyrastało dziesięć węży.

Subira to zauważyła i siłą odciągnęła ją od szyby. Ona sama starała się nie przyglądać ludziom w akwariach. Nie było to łatwe, wzrok mimowolnie ześlizgiwał się na zdeformowane ciała. To taka dziwna ułomność ludzkiego mózgu, pomimo wstrętu każąca przyglądać się wypadkom, kalekom, zabitym. Tak, jakby mózg czerpał jakąś występłą radość z oglądania cierpień innych. Antidotum na to, które odkryła Subira, było skupienie się na konkretnym problemie. Właśnie dlatego przez cały czas szukała dogodnej okazji do zaatakowania ochrony miliardera. Dziwiła się opanowaniu Terrego. Był jakiś inny niż na polu walki. Może bał się, że podczas starcia ucierpi Ann i to go powstrzymywało?

– Mieliście okazję obejrzeć przyszłych mieszkańców rajskiego ogrodu – rzekł z dumą Damiano, gdy przeszli do ostatniego akwarium z hybrydą. Szereg zbiorników ciągnął się dalej, z tym, że w tej chwili były puste. – Zaczęliśmy od odtworzenia najprostszego kodu, genów znanych z innych gatunków. Teraz pracujemy nad złamaniem kodu bardziej złożonych mitycznych stworzeń – twarz Damiano rozpromieniła się. Terry stracił już pewność, czy miliarder jest świadomy tego, co mówi.

– Gówniarzu, od nadmiaru kasy przewróciło ci się w głowie – westchnął z bezsilnością. Od wielu minut dręczyła go myśl, że równie dobrze w jednym z oglądanych tu akwariów mógłby znaleźć się on sam. Teraz był już pewien, co ich czeka. Jednak musiał zachować spokój, aby dowiedzieć się, jak przywraca się pierwotną, może i ułomną, ale w pełnym tego słowa znaczeniu ludzką postać.

– Wiedziałem, że gdy zabraknie ci argumentów, wypomnisz mi mój młody wiek. Tak, to prawda – jesteś starszy o prawie 20 lat, co oznacza jedno pokolenie. Czas, gdy o losach świata decydowali stetryczali dziadkowie, odszedł w niepamięć. Nie zauważyłeś, że nastąpiła epoka ludzi młodych, otwartych na śmiałe idee?

– Chciałeś zapewne powiedzieć: czytelników komiksów? Gówniarzy,



którzy uważają, że świat czeka na Supermana – wtrąciła Ann.

– W tym wypadku raczej pasowałyby Hulk albo Spider-Man – włączyła się do dyskusji Subira, nie dając Damiano czasu na odpowiedź. – Oni zyskali możliwości dzięki genetycznym modyfikacjom, podczas gdy Supermen posiadał po prostu genom kosmitów. Albo kapitan Ameryka, któremu wstrzyknięto serum, dzięki któremu stał się nadczołowiekiem...

– Nie wiedziałem, że znasz tytuł komiksowych bohaterów – Federico z uznaniem spojrzał na Subirę. Jej wzrok zdawał się mówić: „Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz, chłopcze”. – Jednak, według naszego gospodarza, my również możemy mieć kosmiczne DNA, a zatem Ann miała rację – najbardziej pasuje tu Superman – podsumował Federico, spoglądając ironicznie na Damiano. Ten milczał, nie będąc pewnym, czy mówią poważnie, czy żartują. W końcu chrząknął i, usiłując ukryć irytację, stwierdził:

– Zapomnieliście, że w ich wypadku te komiksy liczą sobie wiele tysięcy lat. Tak więc wszystkie komiksy mogą mieć źródła w legendach.

– I tak przewróciło ci się w głowie – zamknął dyskusję Terry.

– Wiesz co, szalony miliarderze? Mamy już dosyć twoich chorych wynurzeń. Dziękujemy za podrzucenie do miasta, nawet za śmieciowe żarcie, ale teraz chcielibyśmy odejść – powiedziała zboląłym głosem Ann, przytulając się do Terrego. Nie mógł jej odsunąć, chociaż przeszkadzała w ewentualnym ataku na wartowników.

– Obawiam się, że to niemożliwe... – powiedział cicho Damiano. Jednocześnie rogowacz z ochroniarzami podeszli do nich bliżej i unieśli lufy. – Muszę was zatrzymać. Wcześniej czy później ujawnilibyście związek porwań z moimi badaniami, a to byłoby bardzo niekorzystne. Świat jeszcze nie jest przygotowany na prawdę.

– Chcesz nas uwięzić? – Ann w ostatnich godzinach straciła wiele złudzeń, lecz nadal wierzyła, że ten koszmar kiedyś się skończy. I że będzie mogła wziąć prysznic, poddać się gorączce miłości, a potem jeszcze raz wziąć prysznic, położyć w ręczniku na łóżku i zanurzyć nos w książce. Najlepiej lekkiej, bez problemów psychologicznych, za to z jednorożcami w tle. Niestety miliarder, sponsor i gówniarz – jak słusznie nazwał go Terry –

odebrał jej tę nadzieję.

–No cóż, tak naprawdę potrzebowałem tylko ciebie, Ann. Ale pozostali byli w pakiecie, więc zaprosiłem wszystkich. Można powiedzieć, że przed śmiercią profesor Garilica załatwił ci dalsze życie. Zaciekały mnie jego rewelacje przekazywane przez ciebie –ale nie zdążyłem ich dokładnie poznać. Teraz będziesz miała szansę opowiedzieć mi o tym ze szczegółami.

–A co zrobisz z pozostałymi? Zamierzasz wpakować nas do zbiorników?  
–zapytała Subira.

–Nie wszystkich. W czasie rozmowy uznałem, że mogę wykorzystać umiejętności Federica, pomoże mi w pracy nad rozszyfrowaniem śmieciowego kodu. Tylko ty i Terry nie jesteście mi potrzebni, a nawet stanowicie w pewnym sensie zagrożenie –Damiano umilkł na chwilę. –Mój rajski ogród jest na razie dość ubogi, przydadzą się nowe okazy, więc i dla was znajdzie się tu miejsce. Powinniście się cieszyć, dziś jeszcze nie umrzecie. Otrzymacie bilet do nowego życia. To czas waszych transformacji.

Damiano skinął głową w kierunku Plutina. Ten postąpił krok naprzód, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Jednak nie był on szczery, wargi miał zaciśnięte, a oczy lekko zmrużone. Uniósł broń, po czym nacisnął spust, błyskawicznie zmienił cel i drugi raz otworzył ogień. Terry trzymając się za szyję, bezwładnie osunął się na podłogę. Chwilę później upadła również Subira. Rogacz spojrział na Damiano, przesuwając lufę w stronę Ann i Federica, lecz ten pokręcił przecząco głową.

## Rozdział 9.

# Więżniowie rajskiego ogrodu

### Federico w przedszkolu

Następnego dnia po uśpieniu Subiry oraz Terrego, Damiano zaprowadził Federica do nowego miejsca pracy. Dużej, przestronnej sali z graffiti na ścianach, mnóstwem kolorowych baloników przy suficie oraz wieloma manekinami postaci z filmów. R2-D2 z Chewbaccą, Batmanem bez Robina, niebieską Neytiri i obcym Hansa Gigera. Był też Optimus Prime, zarówno we wcieleniu ciągnika siodłowego, jak i robota. A nawet Królowa Śnieżka, zapewne dla dziewczynki z warkoczykami, która nie mogła mieć więcej niż trzynaście lat. Wyglądała nawet sympatycznie, uśmiechając się do niego zawadiacko, lecz Federico podejrzewał, że nieźła z niej rozrabiaka i wolał nie reagować. Okazało się, że trafił do zespołu przedszkolaków. Tak ich widział, gdyż od najstarszego, 15-16 letniego wyrostka, i tak był dwa razy z okładem starszy. Gdyby bardziej przykładał się do obowiązków patriotycznych i dbał o stworzenie armii dzieciaków mających utrzymać go na emeryturze, mogłyby to być jego córki i synowie. Dzieciaki nie bawiły się jednak w kółko graniaste, a żonglowały zerami i jedynekami. Nic dziwnego, czym skorupka nasiąknie za młodu, tym na starość trąci. On też zaczynał przygodę z kodem w ich wieku. Tylko że nie dostawał za to pieniędzy, a ryzykował zakazem zbliżania się do komputerów. Poszedł bowiem utartą drogą,

zaczynając od burzenia tego, co zbudowali ojcowie. Może współczesne dzieciaki, nim oderwą się od sutka matki, wiedzą już, że powinny zadbać o zastępczy sutek?

Dzieciaki przywitały go buzieniem.

Damiano zaprowadził go do biurka trzynastolatka, w metalowym nocniku, ze skrzydłami na głowie. Monitor wypełniały hieroglify, jednak Federico od razu je rozpoznał.

– Porządkują śmieci? – zapytał, chociaż był pewien odpowiedzi.

– Możesz im pomóc?

– Daj mi kilka minut.

Damiano skinął głową, a dzieciak przy klawiaturze wstał i z kąśliwym uśmiechem ustąpił miejsca Federico. Pozostali wyciągnęli głowy, chcąc zobaczyć porażkę staruszka. Biurko było niskie i Federico musiał wyprostować nogi, żeby zmieścić je pod blatem.

Wystarczyło przejrzanie kilku linijek kodu, aby zorientował się, że dzieciaki pracują na bazie jego starego programu do zamiany liter nukleotydów na kod binarny, wyłapując sekwencje startowe budowy białek, rozkazów i pętli. Program został rozbudowany, ale z pewnością opierał się na jądrze, które on kiedyś napisał. Nakładki usprawniały pracę, jednak dodający je programiści bali się tknąć jądra – mógł udowodnić, że to jego program. Zwrócił na to uwagę Damiano.

– To mój program. Należą mi się tantiemy – oznajmił, starając się, by w jego głosie ton władczy zapanował nad płaczliwym. Damiano nie był zdziwiony jego pretensjami.

– Nie używam pirackiego oprogramowania. Kupiłem go. Nie dostaniesz ani centa – odpowiedział bez emocji.

– Sprzedałem ten program jakiejś małej firmie, już nawet nie pamiętam jej nazwy. Z pewnością nie twojemu koncernowi. Oni chcieli drukować koszulki z zero-jedynkowym zapisem kodu genetycznego, ale nie przesłali mi nawet jednej. Myślałem, że dawno zbankrutowali.

– To był moja firma – odpowiedział Damiano z uśmiechem meduzy na twarzy. Sprawa była przegrana, nie miał nawet szans na tantiemy. Spróbował więc z innej strony:

– A nie szukasz kogoś, kto by go udoskonalił? Napisałem go w kwadrans, po pięciu piwach, i jestem pewien, że można całość ulepszyć. Ile proponujesz?

– Mógłbym powiedzieć, że miliard – uśmiechnął się dobrodusznie, jak pies trzymający kość w zębach.

Oczy Federico zaśniły.

– ... Ale nie dam ci nawet stu dolarów – tym razem pokazał uśmiech żaby. Federico skrzywił się.

– Dostałeś coś cenniejszego. Zapominasz, że podarowałem ci życie. Więc pokaż mi, że jesteś wart tej bezcennej inwestycji.

Federico już więcej nie wracał do tematu. Wiedział, że ten wąż może go ukąsić. Skupił się na pracy.

Zadanie dzieciaków polegało na uporządkowaniu śmieci. Nie było to łatwe zadanie, gdyż kod genetyczny nie dawał się czytać tak, jak zwykły program. Były w nim algorytmy, lecz głównie – instrukcje budowy białek. Bardzo różnych, tak odmiennych, że zmiana jednego znaku mogła zniszczyć jego pożądane właściwości. Zamiast wodolubnego mogło zostać zbudowane wodowstrętne, prawoskrętne – lewoskrętne, sprężystego – łamliwe. Tak więc konieczne okazało się nie tylko ustalenie czy w analizowanym fragmencie znajduje się algorytm czy przepis, ale ten przepis musiał być jeszcze bezbłędnie rozszyfrowany.

To było jak czytanie instrukcji w nieznanym języku, w której ani jedno słowo nie zostało napisane poprawnie. Mogło to wydawać się absurdem, lecz na szczęście w każdej książce popełniono inne błędy. A oni, dzięki akcji charytatywnej Damiano, mieli już spory księgozbiór. I z sumy błędów udawało im się układać poprawne słowa. Jednak nawet odtworzony kod centaury nie mógł przyspieszyć tego żmudnego procesu. On był ułożony poprawnie tylko w części odpowiedzialnej za zbudowanie białek kopyt, pędin czy innych końskich narządów. Chcąc odtworzyć kod pozostałych hybryd, musieli rozgryzać kolejne rozdziały książki – słowo po słowie.

– Mam kilka pomysłów – oznajmił, usiłując wstać. Oczywiście uderzył kolanem o blat. – Ale potrzebuję większego biurka.

## Ann w bibliotece

Ann miała ochotę wydrapać oczy miliarderoi, jednak równie dobrze mogła płakać, krzyczeć lub robić sto tysięcy innych rzeczy – wszystkie one i tak nie pozwolą jej odzyskać Terrego. Ale jednego już była pewna – ze skrzydłami czy bez – to był jej Terry! Dlatego wbrew sobie, zgodziła się na współpracę, czekając na zakończenie jego transformacji. W zamian wytargowała z Damiano możliwość codziennych wizyt. Stawała przed zielonym akwariem, obserwując jak z pleców wyrastają mu skrzydła i klnąc w duchu, że wciąż nie ma pomysłu jak pomóc jemu i Subirze.

– Czego potrzebujesz? – zapytał ją Damiano, gdy po raz pierwszy stanęli na progu olbrzymiej biblioteki. Pomimo półokrągłego okna z jednej strony oraz szklanej ściany z widokiem na rajski ogród z drugiej, panował tu półmrok, rozświetlany jedynie punktowo lampkami z zielonymi abażurami. Ann westchnęła z zazdrością – jakże lubiła podobne klimaty. Biblioteka przypominała zakonne skrytoria. To samo skupienie, zanurzenie w niezliczonych słowach ksiąg. Jedynie na większości blatów nie leżały rozłożone manuskrypty, stały natomiast monitory. W sali pracowało kilkanaście osób, w wieku zbliżonym do Ann lub starszych.

– Myślałam, że stawiasz na młodość – powiedziała kąśliwie, ignorując jego pytanie.

– No cóż, w tym wypadku potrzebni są starsi, mający czas przeczytać wiele ksiąg. Młodzi jeszcze nie znaleźli czasu, aby je poznać.

– Aha, czyli jestem dla ciebie zakurzona bibliotekarką? – Tego dnia była wyjątkowo złośliwa.

– Ann, sama wiesz, że idee rodzą się w okresie młodości. Później trzeba tylko się ich trzymać, odnaleźć siłę, by nie zrezygnować.

Kazała zamówić blisko dziesięć ksiąg. Niektóre z nich były białymi krukami.

– Obawy naukowca – skomentował jej listę. – Nie chcesz wskazać mi, w której księdze jest ukryty przekaz z przeszłości, o którym mówiłaś profesorowi Garilicy?

– Tak mogłoby być. Ale prawda jest inna: chcę porównać zapisy – odpowiedziała speszona. Damiano miał rację, chociaż z innego niż podejrzewał powodu: takiej książki po prostu nie było. – Nie muszą być oryginały, wystarczą kserokopie – dodała.

– Kopie są dla mas, sprowadzę oryginały – oznajmił urażony.

Odetchnęła z ulgą. Nie tylko zyskała na czasie, ale już wiedziała, jak grać na uczuciach Damiano.

Jednak w tej chwili nie pozostawało jej nic więcej, jak udawać, że pracuje nad tłumaczeniem bajki wymyślonej w gabinecie profesora Garilicy. Zawsze uważała, że nie potrafi kłamać, ale ostatnio przychodziło jej to z coraz większą łatwością, tak, że sama była tym zdziwiona. Może dotychczas nie miała ważnych powodów do kłamstw? Bajdurzyła, jakby opowiadała bajkę na dobranoc, a on słuchał, jakby był dzieckiem. A może naprawdę nim był? Przerośniętym dzieciakiem z górnej półki, wciąż uważającym, że za siedmioma górami, za siedmioma lasami, można żyć długo i szczęśliwie. W jego przypadku długo – oznaczało wiecznie.

– A czy pomyślałeś, kim będziesz za dwadzieścia lat? – zapytała go, wracając w pamięci do ostatnich rozmów przed umieszczeniem Terrego i Subiry w zbiornikach. – Nie boisz się, że twoje dzieci również wyrzucą cię na śmietnik?

Nie zaśmiał się, nie oburzył, odpowiedział jej bardzo szczerze. Była pewna, że w tym momencie odsłania ukrytą tkankę osobowości, pozwalając jej wejść do zakamarków swoich myśli. Szalonych wizji – uzupełniła na własny użytek, nie chciała bowiem poczuć współczucia dla jego samotności.

– Boję się tego od wielu lat, a dokładnie – odkąd skończyłem dwunasty rok życia. Nie chcę się zestarzeć, nie chcę stać się taki, jak wy. Ciało dwudziestokilkulatka jest w sam raz, później niestety zaczyna się umieranie. Największe umysły znamy dzięki ich pracom z młodości. Albert Einstein opracował szczególną teorię względności mając 26 lat; Alan Turing, który zbudował w głowie komputer, w wieku 26 lat został nazwany jednym z najgenialniejszych matematyków na świecie; Mark Zuckerberg wpadł na pomysł Facebooka około dwudziestki. Mimo że urodziłem się w czasach

elektronicznego czytelnictwa, uwielbiałem drukowane książki. Miałem szczęście. Chociaż ojciec przeglądał jedynie wykresy i tabele na ekranie, moja mama kochała książki, a pieniądze ojca pozwalały zgromadzić ich tysiące. Uczyłem się jeździć na trójkołowym rowerku w labiryncie regałów z woluminami, zdobywałem sprawność wspinając się na górne półki jej prywatnej biblioteki. Pochłaniałem wszystko, od komiksów po manuskrypty, kaligrafowane przez zakonników tysiąc lat temu. I, jak widzisz, nostalgia lat dziecięcych pozostała we mnie do dzisiaj. Pośród wszystkich światów, zaklętych w słowach, największe wrażenie wywarły na mnie strofy Homera i księgi *Starego Testamentu*. Nie wierzę w metafizycznego Stwórcę, lecz wizja rajskiego ogrodu rozpałała moją wyobraźnię. Od najmłodszych lat miałem taką wizję. Wyobraź sobie Ziemię kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy lat temu. Nie ma już dinozaurów, ale nie ma też jeszcze wieżowców, autostrad, a nawet słupów telegraficznych. W ogrodach Edenu przechadzają się centaury, pegazy, ludzie o dwóch twarzach i inne hybrydy, znane z eposów Homera. Postać boga – boga dla ludzi, a tak naprawdę przybysza z innej planety – przygląda się im, widzi ich odmienność i radość z bycia sobą. On też jest zadowolony, że pozwolił ludziom odzyskać utracone dziedzictwo. Nagle wkracza inny bóg, oświadczając, że już dosyć tworzenia hybryd. Mówi, że zbyt wielu spośród nich wymyśla nowe hybrydy jedynie po to, aby zaspokoić seksualne żądze; że inni traktują ludzi jak obiekt badań pseudonaukowych; a jeszcze inni bawią się w strategów, podsuwając im fałszywe wiadomości potrzebne do skłócenia żon z małżonkami, królów z królami. Oznajmia pierwszemu bogowi, że ukryje fragmenty kodu DNA, pozwalające na dowolną zmianę postaci, pośród innych fragmentów, tak, aby nie można było ich wykorzystać. I w ten właśnie sposób straciliśmy dziedzictwo przodków. A bogowie-kosmici odlecieli, pozostawiając nas z wymieszanym DNA.

Damiano przerwał na chwilę, dając jej czas na obcowanie z rajskim ogrodem. Wcześniej mówił, że śmieciowy kod jest śmietnikiem minionych etapów ewolucji. Jednak teraz przyznał się, że chciałby, aby była to interwencja, w dzieciństwie jeszcze boska, teraz już tylko kosmitów.

– Houellebecq widzi szansę na nieśmiertelność w przeniesieniu pamięci



człowieka do komputera. Ty też chcesz przenieść swój umysł na cyfrowe byty? – zapytała, przypominając sobie jedną z powieści tego pisarza, łączącą dwa tematy: raelian i nieśmiertelność.

– To dobry pomysł, ale znam lepszy. Odtworzenie śmieciowego kodu pozwoli na wieczną regenerację ciała. I to nie w jednej, a w wielu postaciach. Znudzi mi się być człowiekiem, to zmienię się w pegaza; znuży mnie bycie centaurem, to stanę się Minotaurem. Bez pomocy techniki, jedynie za sprawą własnej woli.

– Powiedzmy, że ci się uda – z niechęcią uznała, że to możliwe. – Przyjmijmy, że znajdziesz sposób, by twoje ciało nie zestarzało się...

– To nie założenia, jestem bliski realizacji tego projektu – przerwał jej obcesowo.

– Dobrze. Znalazłeś sposób, aby twoje ciało pozostało wiecznie młode – zgodziła się. – A mózg? Mózgu przecież nie odmłodzisz. Sam mówiłeś, że genialne pomysły rodzą się jedynie w świeżych mózgach. A ty za sto lat, w ciele dwudziestolatka, będziesz miał przeterminowany, pracujący na wolnych obrotach, stodwudziestoletni mózg.

– Stan umysłu zależy od stanu ciała. Będę miał stodwudziestoletnie doświadczenie oraz wiedzę – przy ciekawości świata dwudziestolatka – odpowiedział po chwili wahania.

– A ja sądzę, że umysł również się wypala. Będziesz z wyglądu dwudziestolatkiem, który oglądając wiadomości, powie: „To już widziałem, pokażcie coś nowego”. Tylko że już nie będziesz miał nowych idei, będziesz jedynie błąkał się w labiryncie wspomnień.

– To są myśli straconego życia – Damiano pokręcił przecząco głową. – Ludzi, którzy nie wiedzą, czego by chcieli. Ja nie mam czasu się nudzić.

– Tak? A czym będziesz chciał się zająć po tym, jak wprowadzisz już na rynek soczewki GDV; gdy zaaplikujesz sobie ten bosko-kosmiczny kod?

– Uwierz mi, mam jeszcze wiele celów do realizacji.

Zaprotestował, jednak bez zwykłego entuzjazmu w głosie. Ann mu nie uwierzyła, ale zostawiła tę obserwację dla siebie. Gdyby drążyła temat, dla przekory, nawet wbrew sobie, mógłby uwierzyć, że rzeczywiście będzie miał cel. Wolą, by pozostały w nim wątpliwości.

– Skoro uważasz moje pokolenie za hamulec postępu, śmieci, które należy wyrzucić do śmietnika, to dlaczego chcesz wskrzесиć mityczne stwory? – zmieniła temat.

– Wy jesteście po prostu starzy, one są legendą – odpowiedział, tym razem z uśmiechem, a po chwili dodał: – Niegdyś istniała jedynie magia. Ludzie byli z nią oswojeni, była jak dzień i noc, deszcz i wiatr. Wszystko, co niezrozumiałe, stawało się magiczne. Z tego niezrozumienia, które ludzie próbowali okiełzać, odnosząc się do wyższych bytów, najpierw zrodziła się magia, a później wiara w boga. Nauka wyrzuciła te gusła. Lecz im głębiej sięga zrozumienie, tym silniejsza jest nadzieja, że nie wszystko można wyjaśnić. To atawistyczne zachowanie. Tak zabobonnego społeczeństwa, jak nasze, nie znaliśmy od kilkuset lat. W cyberświecie potrzebna jest wiara w magię, mity, nawet dla boga znajdzie się miejsce. Można biegać za Pokemonami, tymi śmiesznymi, rysunkowymi potworkami, lecz nie ma nic lepszego, niż walka z prawdziwą harpią czy hydrą. Ja podaruję możliwość transformacji każdemu.

I tu Ann musiała przyznać mu rację – mógł to zrobić.

## Nie chcę płetw

Subira była wściekła. Mogła zaatakować Damiano nie czekając na Terrego. Zaufała mu i straciła... nogi. Dlaczego akurat w jej genetycznym śmietniku znalazł się klucz do odtworzenia zapomnianego kodu syreny? Ten ogon był niepraktyczny, pomagał chyba tylko w ogłuszaniu ryb.

Jak ma teraz pójść na tańce, wcisnąć pedał gazu? Już nigdy też nie stanie na scenie. Bo i jak? W wannie? Choć to może i dobrze. Niepewność, czy za kurtyną świateł, w mroku widowni jej śpiew będzie przyjęty z entuzjazmem, czy też zostanie wygwizdana, była okupiona wysoką ceną. Alkoholem, lekami, narkotykami, seksem. Przez wiele nocy uznawała, że nie jest to zbyt wygórowana cena, długo udawało się jej w tym trwać. Aż uległa, rezygnując z dalszej kariery, kiedy tak wyczekiwany kontrakt, mający

przynieść jej sławę, wciąż się nie pojawiał. A ze sławą nadeszłaby niezależność finansowa, bardzo potrzebna do utrzymania stabilności emocjonalnej, uzyskanej dzięki przeświadczeniu, że skoro ludzie wydają pieniądze na twoje nagrania, to znaczy, że są dla nich ważne. To daje potężnego kopa do walki z własnymi słabościami, z brakiem wiary w sens podobnej walki. Bez pieniędzy, bez odbiorców twojej twórczej pracy, szybko przestaje się wierzyć, że ta cała męka artystyczna ma jakikolwiek sens. Teraz jej tego brakowało. Źle zrobiła rezygnując ze śpiewania. Wreszcie rozumiała, że to było dla niej najważniejsze. Powinna śpiewać, choćby tylko dla jednego słuchacza. Ale kto dziś zostanie jej słuchaczem? Nawet wędkarze będą ją przeganiać, złorzecząc, że płoszy im ryby.

\*\*\*

Z zero-jedynkowego przedszkola Federico udał się do rajskiego ogrodu zobaczyć się z Subirą. Jej transformacja trwała krócej niż ta u Terrego. Z pozoru zdawało się to dziwne: zamiana nóg w ogon wydawała się trudniejsza, niż zaopatrzenie kogoś w skrzydła. Może jednak budowa skrzydeł była bardziej skomplikowana?

Odnalazł ją, rzewnie łkającą, na głazie przy stawie. Wciąż tam przesiadywała, przeganiając pozostałe syreny. Miała przewagę, one były cywilami, ona żołnierzem. I chociaż nie mogła ich kopnąć, to cios na odlew, zadany ogonem, był równie bolesny. Nauczyły się już, że lepiej ustąpić nowej syrenie i pozostać w wodzie.

–Subira, nie płacz –poprosił, przysiadając obok na śliskim kamieniu, z obawą zerkając na drgający nerwowo, potężny ogon. Nową obsesją Subiry stało się smętne śpiewanie. Enya, Lisa Gerrard czy Elizabeth Fraser –to były jej obecne idolki. Chociaż musiał przyznać, że wniosła swój własny rys do ich brzmienia. Tamte dziewczyny śpiewały z nostalgią, może nawet ze smutkiem, czasem z gniewem –Subira łkała, szlochała i tęskniła, uwiązana do struny, dźwigającej los całej planety. Jakże Federico chciałby, aby zagrzmiała, zakipiała, wybuchła. Jednak te nuty –używając, ostatnio

przeklętego, wodnego porównania – wyparowały z butnej aury wcześniejszej osobowości jego koleżanki.

Subira urwała śpiewo-płacz, a Federico – na szczęście – nie dostał po pysku rybim ogonem.

– Ale ja nie chcę tych płetw – spod spuchniętych powiek spojrzała na niego zaczerwienionymi białkami.

– To oczywiste. Ale nie płacz, nie ma nic gorszego niż zawodzenie syreny.

To nie był najlepszy pomysł na uspokojenie Subiry. Wybuchnęła jeszcze głośniejszym, przeszywającym mózg lamentem. Chciał ją przytulić, lecz odepchnęła go. Podwinął więc nogi, obejmując rękoma kolana i patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie. Po kilku minutach Subira uspokoiła się.

– Dlaczego nie patrzysz na moje piersi? Są brzydsze niż piersi tamtych syren?

Federico westchnął. Co miał odpowiedzieć? Gdy stwierdzi, że są najpiękniejsze na świecie, ona odpowie, że co jej po tym, skoro nie ma nóg. A gdy przekornie oświadczy, że nigdy nie widział piękniejszych piersi, rozpłacze się.

– Udało mi się posłuchać *In-A-Gadda-Da-Vida* – spróbował przejść do innego tematu.

Nie wykazała zainteresowania. Nie zraził się tym i mówił dalej:

– To naprawdę ostra muzyka. Te rozstrojone organy, uszczypliwa gitara, perkusja jak kafar, początkowo mnie odrzuciły. Ale wytrwałem, a nawet zacząłem z niecierpliwością czekać na kolejne nuty. I chyba zrozumiałem, w czym tkwi siła tego utworu. On jest jak *Bolero* Ravela. Solówki poszczególnych członków zespołu są jak powracający motyw *Bolera*. U Ravela on się rozwija, staje się coraz bardziej agresywny – u Iron Butterfly poznajemy różne jego odsłony.

Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy.

– Federico, nie masz gustu, ale ja nawet to lubiłam. Teraz zgoliłeś wąsy i brodę – i wcale mi się nie podobasz – skomentowała jego poświęcenie.

– Pracuję w przedszkolu, dzieciaki patrzyły na mnie, jak na dziadka – spróbował zażartować.

–Federico, ty masz soczewki GDV! –nagle krzyknęła z odrazą.

–Tak, otrzymałem je do testów –wzruszył ramionami, nie rozumiejąc dlaczego tak ją to zdenerwowało.

–Nagrywasz mnie. Puścisz mój płacz na YouTube! –wybuchnęła kolejnym spazmem płaczu.

–Ależ Subira, jak możesz mnie o to posądzać –zaprotestował. Na nic zdałyby się wyjaśnienia, że nie miał pełnego kontaktu ze światem, nie mógł wysłać komunikatu SOS. Nie słuchała go. Miał jej tyle do powiedzenia, a nie mógł. Subira, kąśliwymi uwagami, ironią, a nawet złością, zawsze pomagała mu utrzymać grunt pod nogami. Co za ironia. Ile by dał, by teraz on mógł ją postawić na nogi.

\*\*\*

Federico wrócił z rajskiego ogrodu do przedszkola i utonął w kodzie. Dzieciaków już nie było, zabrały je mamy, by ułożyć do łóżeczka, więc nikt mu nie przeszkadzał. Marzył, by choć na chwilę zapomnieć o własnej bezsilności. Nie mógł pomóc Subirze, na nic jego wszystkie zabiegi. Dopóki nie odzyska nóg i nie zrzuci rybich łusek, będzie nieszczęśliwa.

Przesiedział przy monitorze do rana. Sala zaczynała ożywać, przychodziły kolejne dzieciaki, włączając następne monitory. Spoglądając ukradkiem na staruszkę, zastanawiając się, dlaczego spędził całą noc przy komputerze, zamiast spać z głową przytuloną do poduszki z wizerunkiem księżniczki Lei.

Gdy Federico odsunął od siebie klawiaturę i odchylił się w fotelu, splatając ręce za głową, ujrzał wpatrzony w siebie oczy dzieciaków. Szybko odwróciły głowy, udając, że nad czymś intensywnie pracują.

–Wiecie co... –powiedział, przyciągając ponownie spojrzenia. –Wiem, nad czym głowiliście się bez rezultatów od wielu tygodni. A staruszek zrobił to w jedną noc.

Damiano pojawił się po kilku minutach.

–Zadziwiasz mnie. Udowadniasz, że nie każdy mózg na starość rdzewieje –powiedział, kierując te słowa bardziej do dzieciaków, niż do Federica. –Co

znalazłeś?

–Odtwarzaliście kod nie zwracając uwagi na znaczniki *Trash Tags*, traktując je jak słupy graniczne – celowo użył własnej nazwy, co Damiano przełknął bez grymasu. –A to w nich zakodowana jest informacja, jakiej hybrydy kod znajduje się dalej, ale też i jaki klucz szyfrujący zastosowano.

Zapadła długa cisza. Tryumf Federica był całkowity.

Pierwszy ochłonął Damiano.

–Federico, jesteś wart miliarda, którego się domagałeś –oznajmił z prawdziwym uznaniem.

–Wolę wolność –westchnął Federico.

–Ależ to oczywiste, przecież wolności ci nie zabierałem. Jedyne ograniczyłem ją na pewien czas. Gdy przeprowadzę akcję uwolnienia śmieci dla każdego mieszkańca na planecie, cała wasza czwórka wróci do domów.

Wyglądało na to, że Damiano mówi szczerze, chociaż Federico trudno było w to uwierzyć. Poza tym, nie wyobrażał sobie piątku wolności z Subirą z rybim ogonem. Damiano przywołał dzieciaki do siebie i krzyknął z tryumfem:

–Dzięki poznaniu całości kodu ukrytego w śmieciowym DNA staniemy się jak bogowie.

–Będziemy przewidywać przyszłość? Chodzić po wodzie? –zapytał ironicznie Federico. Twarz Damiano stężała, ze złotolicej stając się spiżową; oczy zaczęły ciskać gromy; dłonie zacisnęły się, wyciskając soki z globu ziemskiego. Słowa Federica zdarły młodemu bogowi maskę obłudy. To była niepotrzebna brawura i Federico już żałował zbyt gibkiego języka. Zaczął się tłumaczyć:

–Wybacz, ale nie wierzę w boga i nie umiem powstrzymać się od komentarza, gdy ktoś próbuje mi wmówić, że istnieje jakaś istota, połączona boskimi synapsami z każdą cząstką elementarną wszechświata, czuwająca w nieczynie nad naszym bytem. Naukowiec może obserwować zachowanie mrówek w mrowisku, lecz z pewnością nie będzie ingerował w porządek prawny rządzący mrowiskiem. Niech chodzą własnymi ścieżkami, żrą to, co lubią, zabijają kogo uznają za wroga. To ich mrowisko i jeżeli nie będą postępować słusznie, przyczynią się do własnej zagłady.

Bowiem tylko tyran może pragnąć kontroli każdej myśli poddanego. A to już chyba byłaby przesada, gdyby wszechświat miał powstać z woli tyra.

Gdy to mówił, ujawnione oblicze rozkapryszonego dziecka stopniowo łagodniało i na koniec znów oblekło się w maskę znudzonego miliardera.

– Rozumiem cię, to ponownie moja wina. Za często używam słowa bóg. Mówiąc, jak bogowie, miałem na myśli jedynie nieograniczone możliwości. Gdyż, choćby z merkantylnych powodów, obstawiam wizytę kosmitów. Gdyby to bóg stworzył kod genetyczny, a później namieszał w śmieciowym DNA, trudno byłoby skłonić go do zmiany zdania. Jest uparty i nie znosi konkurencji. Natomiast umiejętności kosmitów są do odtworzenia – zaśmiał się, a wraz z nim dzieciaki z przedszkola, pilnie – choć ukradkiem – przysłuchujące się ich rozmowie. Z oporem, lecz i na twarzy Federica w końcu pojawił się uśmiech. Musiał zgodzić się z Damiano – nie znał większego zazdrośnika i narwańca niż bóg. Damiano się rozkręcał. Uniósł prawą rękę i krzyknął głośno: – Czy jesteście gotowi wydrzeć bogu jego boskość?

– Jesteśmy! – wrzasnęły dzieciaki, również wyciągając zaciśniętą prawą pięść.

– Uwolnimy skarby śmieciowego DNA wszystkich ludzi? – grzmiał miliarder.

– Uwolnimy! – las pięści ponownie wzniósł się w górę.

Początkowo Federico był zdziwiony tym, że Damiano ujawnia plany wobec dzieciaków, którym nie zamykają się usta. Nie bał się, że powiedzą o tym rodzicom lub nauczycielom? Później uznał, że przecież i tak nikt im nie uwierzy. Matki i ojcowie pomyślą, że ich pociechy fantazjują, przerzucając wyobrażenia z pracy nad grą na świat realny. A była to bardzo intratna praca, przychodziły na kilka godzin, kiedy chciały, a zarabiały więcej niż rodzice.

Bez odpowiedzi pozostawało pytanie, w jaki sposób Haddad chce dokonać uwolnienia śmieciowego DNA? Chyba nie planował porywać na zabieg w zielonym zbiorniku każdego człowieka?

– Jak zamierzacie je uwolnić? – zapytał.

Damiano spojrzał na niego z zagadkowym uśmiechem.

– Chciałbyś dołączyć do zespołu?

Dla Federica wszystko teraz stało się oczywiste. Nie-bóg z armią dzieciaków-aniołów postanowił uszczęśliwić ludzi boskimi zdolnościami, nie interesując się, czy oni tego pragną. Przynajmniej w tym przypadku stanie się równy Bogu – też bez pytania narzucającemu własną wolę. Co miał odpowiedzieć miliarderowi?

## Przebudzenie Terrego

Nie wiedział dlaczego, ale spadał na Słońce. Nogami w dół. Nie miał skafandra, nie miał nawet butów. Już czuł, jak pętle plazmy przypiekają mu pięty. Powierzchnię gwiazdy widział w kolorze zielonym, więc chyba miał okulary z filtrem pokazującym długości fal niedostępnych dla ludzkiego oka. Przypomniawszy sobie, że w takie obiektywy zostały zaopatrzone sondy STEREO. Jednak, mimo że były bezzałogowe, to nie zbliżyły się tak blisko do naszej gwiazdy! Co tutaj robił? Jak uchronić się przed upadkiem? Gdyby miał skrzydła Ikara, wosk stopiłby się w ułamku sekundy. Lecz nie miał skrzydeł, a machanie ramionami nie spowolni spadania nawet o tysięczną część sekundy. Upadku nie powstrzyma, na szczęście nie groziło mu połamanie kończyn. Spłonie – już teraz czuł skwar gwiazdowego kotła. Z trudem oddychał. Ale przecież tu nie ma tlenu! Nie próbował szukać odpowiedzi – ważne, że potrafił jeszcze myśleć. Tylko czy znajdzie rozwiązanie, pozwalające mu uratować się przed zieloną kipiela? Może byłoby lepiej, gdyby spadał bez świadomości przegranej? Widział dokładnie chłodniejsze i gorętsze obszary Słońca, tylko że każdy z nich i tak był zdolny rozerwać atomy jego ciała na cząstki elementarne. Fotonów tych nikt nie dostrzeże na Ziemi, chociaż w grupie wielu pomogą nabrać czerwieni zielonemu jabłku. Całkiem dobry powód do życia – stwierdził z zadowoleniem, przestając martwić się stopieniem w tyglu gwiazdy.

Przebudził się. Mógł oddychać. Otworzył oczy. Nie tonął w zielonej kipieli, nie przypiekały go wiązki magnetycznych lass. Odetchnął z ulgą,



to był tylko koszmar. Pewnie wspomnienie zielonych akwariów, sugerujące, że i on się w nich znalazł. No właśnie, gdzie się znajdował? Ostatnie wspomnienie to zimne oczy Plutina, rozbłyskające ogniem rozkoszy w chwili naciskania spustu karabinku. Ułamek sekundy później Terry poczuł ukłucie w szyję. I to wszystko. Ten rogacz go uspił!

Naraz usłyszał szelest za plecami. Obejrzał się, nikogo nie było. Chyba wciąż szumiało mu w głowie.

Usiadł na skraju tapczanu. Był jedynie w szortach, ktoś zdjął z niego ubranie. Rozejrzał się po wnętrzu. Pokój jak cela. Bez krat w drzwiach, ale i bez okna, za to z panoramicznym ekranem na ścianie, wyświetlającym obraz rajskiego ogrodu. Poza tym wnęka na ubrania, szafka z minibarem oraz drugie drzwi, prawdopodobnie do łazienki. W lodówce nie było alkoholu, za to osiem rodzajów jogurtu. Na szczęście znalazła się też butelka wody mineralnej, szkoda, że niegazowanej. Terry pociągnął spory łyk i włączył ekran. Połączenie z Internetem było jednokierunkowe, nie miał szansy przekazania informacji na zewnątrz. Przełączył ekran na odbiór telewizji. CNN mówił o zielonych ludzikach Kremla w Estonii, Fox News o rozruchach nacjonalistów dążących do przyłączenia Estonii do Niemiec. Tych wiadomości nie dało się pogodzić. Ale nikt nie oglądał prawej i lewej strony jednocześnie, każdy wybierał tę stację, której interpretację faktów chciał usłyszeć.

Poczuł ciśnienie na pęcherz, więc wstał i przeszedł do łazienki. Z umywalką, prysznicem i dużym lustrem. Z ulgą oddając mocz, spojrzał na odbicie w lustrze... i zamarł. Z pleców wystawały mu skrzydła. Podwójne, przezroczyste, z widoczną siatką naczyń krwionośnych. Z pewnością nie były to skrzydła anielskie, a owadzie. Zobaczył na plecach duże zgrubienie, jakby dwa garby. Pewnie mięśnie umożliwiające wprawienie ich w ruch tak szybki, jak łopaty śmigłowca. A jednak był w akwariu. Koszmar okazał się przebłyskiem świadomości z zielonej brei! Zawsze marzył, by latać, ale nie w ten sposób. Nie za cenę normalności.

Gdy wrócił do pokoju, zastał tam starszą, zasuszoną lekarzkę w białym kitlu, z nieodzownym stetoskopem na szyi i rogowymi, grubymi okularami na nosie.

–Przepraszam za najście. Pukałam, lecz nikt się nie odezwał – usprawiedliwiła się beznamiętnie.

Nie odpowiedział. Miał ochotę chwycić ją za kołnierz, unieść wysoko i puścić. Niech połamie te chude nogi i grube okulary. No nie, zaczynam myśleć jak owad – skrzywił się z niesmakiem.

–Czujniki wykazały, że już się przebudziłeś. Chciałam sprawdzić stan twojego zdrowia.

–Jestem głodny – mruknął.

–Zaraz po badaniu możesz pójść do stołówki.

–Mogę wyjść? – spojrział na nią, jak na wariatkę, chociaż sam nim był. Nawet nie sprawdził, czy drzwi są zamknięte, zakładając, że Damiano go uwięził.

–Ależ oczywiście. Przecież rajski ogród jest twoim nowym domem – odparła zdziwiona.

A jednak był więźniem. Będzie musiał żyć z centaurem, satyrem i syrenami. Trzema syrenami – uświadomił sobie nagle. Bo, jeżeli Damiano spełnił swoją zapowiedź, to Subira miała w tej chwili rybi ogon.

Nie chciał wychodzić, by to sprawdzić. Przysiadł na tapczanie, składając skrzydła jak do snu.

\*\*\*

Nagle, bez pukania, drzwi otworzyły się i do środka wbiegła Ann. Przytulili się. Znów usłyszał za sobą szum. Teraz już wiedział, że to radosny łopot skrzydeł. Będzie musiał nauczyć się nad nimi panować. Ann zaczęła płakać.

–Nie martw się, skrzydła mnie nie zmienią – próbował ją uspokoić, chociaż powinien to powtarzać samemu sobie.

–Oj, Terry. Jak żałuję, że zaczęłam szukać centaura.

–Dobrze zrobiłaś. Trzeba znać swoją przeszłość, a to, że niektórzy wykorzystują ją do innych celów niż poznanie prawdy, to nie twoja wina.

–I co teraz zrobimy?

–To oczywiste. Poszukamy drogi ucieczki.

Podniosła głowę i spojrzała na niego z figlarnym błyskiem w oczach.

– Masz już plan? – zapytała cicho.

– Jeszcze nie... Nawet nie zdążyłem wyjść na zewnątrz.

\*\*\*

Dopiero następnego dnia Terry postanowił udać się na obchód rajskiego ogrodu i sprawdzić jego zabezpieczenia. Ze swego pokoju wyszedł na promenadę. Po jednej i drugiej stronie znajdowały się inne drzwi, a naprzeciwko bezpośrednio zejście na plażę. Zszedł na piasek, zamierzając sprawdzić, czy może obejść rajski ogród dookoła.

Naraz usłyszał stukot kopyt, a po chwili zobaczył centaura. Innego, niż w czasie pierwszej wizyty z Damiano. Ze zdumieniem rozpoznał go po rysach twarzy. To był kapral Trotter. Terry wyszedł na środek plaży i zaczął machać rękoma. Centaur zatrzymał się, nerwowo grzebiąc kopytem w piasku.

– Witaj kapralu Trotter. Długą drogę przebyłem, wiele poświęcając, aby cię odnaleźć – powiedział z radością, rozkładając skrzydła, aby jego dawny podopieczny mógł zobaczyć, co ma na myśli.

– A dlaczego mnie szukałeś? – skrzydła nie wywołały większego wrażenia na kapralu. Założył ręce na piersi i z groźnym wyrazem twarzy przyglądał się Terremu.

– Nie pamiętasz? Zostałeś porwany.

– No cóż, rzeczywiście tak było. Diabelski rogacz, niech no tylko nawinie się pod moje kopyto, a rozbiję mu czaszkę.

– No właśnie. Porwał cię, by zamienić w centaura.

Kapral spojrzał na Terrego beznamiętnie.

– Początkowo byłem wściekły, teraz nie wyobrażam sobie powrotu do ludzkiej postaci. Tylko przestrzeni tu brak, tęsknię za polami, nieograniczonymi siatką pod prądem.

– Zostaniesz tu?

– Ucieknę, chociaż na razie nie wiem jak. Ale nie mam zamiaru wracać do Nowego Jorku. Niepotrzebnie mnie szukałeś.

Terry stał, nie wiedząc co odpowiedzieć. Nie tego się spodziewał.

– Zejdź z drogi, przeszkadzasz mi w codziennej przebieżce.

Zrezygnowany Terry ustąpił mu miejsca. Centaur Trotter zarżał, dodając sobie animuszu, uderzył kopytem dwa razy w piasek i ruszył kłusem. Po chwili zniknął, zasłonięty drzewami.

\*\*\*

Dalszą drogę przegrodził mu strumyk. Niezbyt szeroki, góra na półtora metra, przeskoczyłby nad wodą bez trudu. Przystanął jednak przed korytem, zagryzając górną wargę. To dobra okazja, aby sprawdzić siłę nośną skrzydeł – uznał po długim wahaniu. Nie jak człowiek-owad, a naukowiec testujący nowe urządzenie. To, że w tym przypadku był to narząd jego ciała, nie miało znaczenia.

Cofnął się o kilka kroków, biorąc pod uwagę, że będzie musiał się rozpędzić, jak startujący samolot. Niepotrzebnie. W chwili, gdy podjął decyzję wzniesienia się w górę, skrzydła zafurkotały. Odwracając głowę, kątem oka dostrzegł jedynie szary cień. Poczł, że mięśnie grzbietu układają się pod innym kątem i zaczął przesuwać się do przodu. Patrząc w dół, widział śmiesznie zwisające nogi, jak w snach. Lecz najważniejsze było to, że frunął. A gdy znalazł się na drugim brzegu strumyka, odwrócił się w powietrzu, jakby wykonywał rutynowy zwrot w tył. Gdy postanowił wylądować, furkot skrzydeł zmniejszył się, a on delikatnie osiadł na ziemi.

Roześmiał się. To było niesamowite doświadczenie. Równie ekscytujące jak przejażdżka jego *Trzmielem* na maksymalnych obrotach silnika. Westchnął z żalem, przypominając sobie kubelkowe siedzenia. Czy ze skrzydłami zmieści się w nich? Będzie miał jeszcze szansę wcisnąć pedał gazu?

\*\*\*

Przed Terryem, przedzierającym się przez gęste zarośla ledwo widoczną

ścieżką, wyrosło naraz ogrodzenie z krat. Odłamał gałąź i rzucił w ich kierunku. Przeleciałaby, gdyby... nie została spopiелona. Widok krat nie był wirtualnym ostrzeżeniem, ten teren ochraniała sieć energetyczna. Spoglądając w górę zauważył, że kraty łączą się, tworząc energetyczną klatkę.

Na polanie za ogrodzeniem, nerwowym krokiem przechadzała się harpia. Z długimi po kostki nóg oraz wystającymi metr ponad głowę skrzydłami. Jej twarz otaczał pukiel rozsypanych blond włosów, a piersi przykrywał puch piór. Gdyby nie ramiona, od łokcia pokryte łuskami, oraz palce zamienione w szpony, wyglądałaby jak anioł. To była Claudia Hurtad, którą obserwował w jednym ze zbiorników podczas transformacji. Gdy zobaczyła Terrego, błyskawicznie przyskoczyła do krat.

– Chodź do mnie. Jesteś szczupły, przeciśniesz się. Zabawimy się – wyszeptała zmysłowo, potrząsając głową, a jej skrzydła zalotnie zafalowały. Wyglądała jak aniołek Victoria's Secret Fashion Show. Tylko te pazury, nerwowo przebierające, jakby tęskniła za rozpruciem mu brzucha.

– Z chęcią, jeżeli lubisz zabawę z grillowanym kurczakiem – zaśmiał się, po czym, oceniając odstęp między kratami, dodał: – Aż tak chudy nie jestem.

Harpia fuknęła z gniewem i odwróciła się, zamierzając odejść.

– Claudia! – zawołał.

– Skąd znasz moje imię? – zatrzymała się i spojrzała na niego ze złością.

– Pracuję dla „Lost in Life”, odwiedziłem cię... dwukrotnie.

– Rzeczywiście, spotkaliście się. Mówiłeś, że mi pomożesz – jej spojrzenie złagodniało, może nawet na moment pojawiła się w nim nostalgia, lecz trwało to tylko chwilę. – Pomóż mi teraz, znajdź sposób i przejdź przez te kraty.

Terry, patrząc na jej zachowanie, zaczął domyślać się powodów odejścia kobiety z wojska. Przeczował, że rozsmakowała się w zabijaniu. Broniła się przed tym, a jednym ze sposobów było odcięcie sprzyjających okazji. Dlatego wróciła do cywila i zamknęła się w domu. A teraz hamulce puściły. Miał nadzieję, że energetyczne kraty będą działały i harpia nie wydostanie się na wolność.

–Wybacz, lepiej będzie jak zostaniesz tu, gdzie jesteś.

\*\*\*

Terry poszedł nad stawek z wodospadem. Powinien odwiedzić to miejsce jako pierwsze, lecz bał się spotkania z Subirą po transformacji i odwlekał tę chwilę. Dwie, znane mu już syreny, bezustannie chichocząc, obmywały nawzajem swoje ciała. Czy one całymi dniami tylko myją się i czeszą? – zastanowił się. Jednak tym razem ich obecność w wodzie była uzasadniona – na głazie niepodzielnie panowała nowa syrena: Subira. Potężny, rybi ogon, zakończony podwójnymi płetwami, leżał na skale niczym wyrzut sumienia. To nie była monopłetwa czy żarty w gabinecie Butchersteina. Ann mówiła Terremu, że Subira przez cały czas wznosi rzewne lamenty. W tej chwili milczała, lecz wyraz jej twarzy wystarczył, by zrozumieć, jakie myśli pływają w jej głowie. Czy to przez niego Subira stała się syreną? Na przeprosiny za wciągnięcie jej w śledztwo było już za późno, zresztą Subira była na froncie i znała ryzyko. Jedyne, co mogło obudzić w niej otuchę, to świadomość, że jej były dowódca ma plan i znajdzie sposób wydostania się z potrzasku. Obok Subiry siedział Federico. Dobrze, że przy niej jest – uznał Terry. Często się sprzeczali, może był to element gry, jak widziała to Ann? Ale przyjaciół poznaje się w biedzie, więc nie wiadomo, jak to się zakończy.

Terry stanął przed głazem, tak, by mogli go dostrzec, i zawołał:

–Hej tam na górze! Znajdzie się miejsce dla mnie?

Terry nie skorzystał ze skrzydeł, chociaż kusiło go, by jeszcze raz sprawdzić nowe umiejętności. Uznał jednak, że podobna manifestacja źle wpłynie na Subirę. Wdrapując się, siłą woli musiał powstrzymać ruch skrzydeł, układających się wbrew jego decyzji w pozycji do lotu.

Federico, obchodząc Terrego naokoło, długo przyglądał mu się z uwagą.

–No cóż, orłem to ty nie jesteś –podsumował kąśliwą uwagą swoje oględziny.

–Ty też nie wyglądasz najlepiej. Wpadłeś pod kosiarkę? –odgryzł się

Terry. Twarz Federica, pozbawiona zarostu, lepiej zdradzała jego myśli. Terry był pewien, że właśnie wylatywał w powietrze po nadeptaniu na minę.

– Jakie mają osiągi? – zapytał Federico, gdy szczątki Terrego opadły na ziemię.

Terry spojrzał na niego, marszcząc czoło. Federico wskazał na skrzydła:

– No, jak się lata? Chyba je przetestowałeś?

– Troszeczkę...

– Silnik *Trzmiela* katowałeś, a własnych skrzydeł nie chcesz rozwinąć?

Terry zaśmiał się. Przynajmniej on pozostał sobą.

– Terry, musisz z Ann i Federico przygotować imprezę. Ja, z tym ogonem, nie będę mogła ci pomóc – powiedziała, odgadując, co chce im zaproponować. Musiał ją przekonać, że jest niezbędna do realizacji planu ucieczki.

– Imprezę? Jaką imprezę? – zaczął nerwowo dopytywać się Federico, patrząc to na Terrego, to na Subirę. – Z alkoholem?

– A ty co, nie chcesz iść? – Terry zdziwił się, że Federico nie zrozumiał przenośni.

– Dopóki Subira nie odzyska nóg, nigdzie nie idę – odpowiedział hardo. – Nie zostawię jej samej.

– Federico, nie mów mi, że nie pomożesz Terremu w przygotowaniach... do imprezy – fuknęła Subira, uderzając mocno ogonem o skałę. – A o alkoholu zapomnij.

– Pójdziemy wszyscy albo żadne z nas. Nad zrzuceniem kostiumów będziemy zastanawiali się po imprezie – postanowił Terry.

– Aaa, impreza... – w końcu zrozumiał, o czym mówią. Bez konserwacji alkoholowej jego mózg chyba zardzewiał.

– To ja trochę pośpiewam, a wy pogadajcie – zaproponowała Subira. Federico spojrzał na nią przerażony, Terry jeszcze nie wiedział, co go czeka.

– To kolejny piątek bez wódki. Czy kiedyś jeszcze napijemy się w piątek wolności? – mruknął z żalem Federico.

– Ty może tak, ale mnie z tymi płetwami nie wpuszczą do baru – westchnęła Subira przerywając na chwilę lamenty.

– Jest sposób, abyśmy w następny piątek mogli się napić – odpowiedział

tajemniczo Terry.

– Jaki? – zapytał, bez cienia nadziei w głosie, Federico. A po chwili, z rezygnacją dodał: – Nawet ty, ze skrzydłami, nie wyfruniesz z tej klatki.

Terry wzruszył ramionami, całą uwagę poświęcając obserwacji kąpiących się syren. Federico westchnął z rezygnacją.

– No dobrze, mów co wymyśliłeś.

– W tej chwili to jedynie szkic. Znam relację Ann, teraz ty mi powiedz, co tutaj się wyprawia.

\*\*\*

Wracając do klatki, Terry spróbował podsumować rekonesans. Jedno było pewne – nie będzie łatwo uciec. Płot energetyczny otaczał rajski ogród w każdym miejscu, nawet nad klatkami dla przetransformowanych. Jego wyłączenie to był pierwszy problemem. Jednak, chociaż na razie nie wiedział dokładnie, jak to zrobić, płot nie stanowił głównej przeszkody. Równie ważne było znalezienie sposobu na cofnięcie transformacji. A za najważniejsze, do czego doszedł po rozmowach z Ann i Federico, należało uznać powstrzymanie tego szalonego, młodego boga przed rozpyleniem wirusa. To była najważniejsza kwestia, która nie mogła czekać i której musiał poświęcić wszystkie swoje umiejętności. Dawne, jak i nowo nabyte.

## Pierścienie Rotwanga

Federico z przedszkola został przeniesiony do szkoły. Tu też pracowały osoby młodsze od niego, lecz byli też starsi. Głównie biolodzy, z ciekawymi specjalizacjami, jak wirusologia czy chirurgia genetyczna. Widocznie niektóre dziedziny wiedzy wciąż wymagały doświadczenia, podczas gdy inne bez oporów poddawały się pędowi młodości. Czy jego czas, jako informatyka, kończył się i będzie musiał poszukać nowego zajęcia? Miał



nadzieję, że nie. Że udowodni świeżość spojrzenia na kod – taką, jaką mogłaby pochwalić się trzynastolatka z warkoczykami.

Wprowadzeniem go w zadania szkoły zajął się trzydziestoletni Tahir. Już z piwnym brzuszkim i zakolami łysiny na głowie. Przyjął Federica z nieufnością, jakby był pupilkiem Damiano, na siłę wciśniętym do zespołu, i próbował go nakryć na niekompetencji – udowadniając, że to on jest informatykiem alfa. Przeglądali kod wirusa od kwadransa, a Federico wciąż nie wiedział, jakie zadanie mu wyznaczono.

– A do czego potrzebny jest ten fragment kodu? – zapytał go Tahir, wskazując kilkadziesiąt linijek. To było jądro programu, z ukrytą sygnaturą i wytrychem do utajnionego kodu. Nie mógł tego zdradzić, był pewien, że daje mu to przewagę, jakiej ani dzieciaki, ani Damiano, nie podejrzewali.

– Żeby to ja wiedział... Napisałem go po pijaku, a gdy wytrzeźwiałem – nic z tego nie rozumiałem. Ale wiem jedno – bez tych linijek program nie działa. Lepiej nie ruszać tego fragmentu, nie wpływa on na wydajność pracy.

Tahir nie był zadowolony z wyjaśnienia, lecz nie oponował. Na szczęście już wiedział, że – pomimo, wydawałoby się, prostych zer i jedynek – informatyka kryje w sobie wiele magicznych formuł.

– No dobrze, na czym ma polegać moje zadanie? – zapytał Federico, chcąc szybko zmienić temat. I nareszcie poznać skutki zapowiadanej pandemii.

– Wirusy komputerowe znasz, o wirusach biologicznych pewnie słyszałeś. Ale może nie wiesz, że wirusy nie mogą być zbyt duże, gdyż inaczej nie będą zdolne unosić się w powietrzu.

– Trzeba je odchudzić? – domyślił się Federico.

– Tak. Informatycznie. Biologicznie są już dopracowane. Potrafią przedrzeć się przez zapory systemu odpornościowego, namnożyć we wszystkich komórkach. Ale nie potrafimy zapakować do nich wymaganej ilości informacji. Ty podobno odczytałeś jakieś znaczniki?

– *Trash Tags*. Tak, to prawda – skinął głową.

– Można je wykorzystać do kompresji danych? – zapytał od niechcienia Tahir, spoglądając jednak z ciekawością na Federica. Pewnie w oczekiwaniu, że przyzna się do porażki.

– Z pewnością. Może nawet o połowę – odparł nie dając mu okazji

do satysfakcji.

– Aż tak bardzo? To niemożliwe!

– Wszystko jest możliwe, gdy mam zgrzewkę piwa przy monitorze – powiedział z niewinnym uśmiechem Federico. Tahir zaśmiał się nerwowo, kręcąc przecząco głową.

– To nie wchodzi w rachubę – szepnął.

– Trudno, musiałem spróbować – wzruszył ramionami Federico. – A jaką chorobę ma wywoływać ten wirus?

– To wirus nowej generacji – odpowiedział z dumą Tahir. – Biologicznie jest podobny do wirusa grypy, lecz bez uciążliwych oznak choroby, może poza nadmierną koniecznością kichania. Jednak jego jedynym zadaniem jest przeniesienie programu komputerowego, który uporządkuje śmieciowe DNA.

– Ciekawe połączenie wirusa biologicznego z komputerowym – uznał Federico. Już znał sposób, w jaki Damiano planował zamienić tłumy ludzi na skrzyżowaniu Broadwayu i Siódmej Alei – w tłum centaurów, cyklopów i satyrów. I musiał przyznać, że był to bardzo realistyczny plan.

Naraz Tahir wyprostował się, jakby połknął kij, a Federico usłyszał za plecami szuranie butów i skrzypienie krzeseł. Odwrócił się. To Damiano, z rogaczem bez kagańca, weszli do pokoju.

– Tahir już ci wytłumaczył, czego potrzebujemy? – zapytał Damiano, podchodząc do nich i poklepując rozanielonego Tahira po plecach.

– Tak, wyłuszczył, w czym problem – mruknął Federico, wciąż stojąc na skrzyżowaniu w Nowym Jorku i, dodał z entuzjazmem, którego się nie spodziewał: – Muszę przyznać, że to genialne posunięcie.

– Cieszy mnie to. Aby pokazać, jak jest to ważne, zademonstruję ci pewne cacko. Wstawaj, przejdziemy się.

\*\*\*

Przeszli do dużej, niemal pustej hali. Ekipa budowlańców w czerwonych kombinezonach i czapczkach, uszczelniała oraz malowała ściany, inni ustawiali siedzenia. Było widać, że trwają prace wykończeniowe. Przy innej

ze ścian pracowali technicy, montujący puzzle z logo koncernu. Na tle liter wyglądali jak krasnale. W centrum pomieszczenia znajdował się jedynie okrągły postument, wysoki na pół metra, o średnicy góra trzech metrów. Na suficie Federico zauważył podobny cylinder, do którego podłączono liczne pęki rur i kabli. Scenografia narzucała mu pewną odpowiedź, lecz Federico wolał poszukać innej.

Damiano podszedł do pulpitu ustawionego z boku i wdusił kilka przycisków. Rozległo się niskie buczenie, a po chwili z góry zaczęły spływać świecące kręgi. Również na dole pojawiły się podobne, zaczynając wędrówkę w górę. Kręgi zaczęły się przenikać, tworząc świetlistą kolumnę. Federico nie był wielbicielem *Star Treka*, ale pierścienie do złudzenia przypominały urządzenia do teleportacji z tego właśnie serialu.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał. Damiano roześmiał się.

Teraz Federico nie pozostała już inna odpowiedź, niż ta odrzucona. Podium, z wirującymi pierścieniami, było jakby wyjęte z kadru filmu *Metropolis*. Świetlne pierścienie Rotwanga, otaczające siedzącego na krześle fembota, w czasie eksperymentu mającego przenieść do jej mózgu osobowość prorokini. Jedynie w tle nie było pentagramu, a logo koncernu Haddada. Czyżby miliarder chciał stworzyć sztuczne hybrydy? Lub ożywiać trupy? Spojrzał na krezusa z przerażeniem. Ten chyba wziął jego obawy za objaw podziwu, gdyż powiedział:

– Nie, to nie są teleportery. – Słowa Damiano potwierdziły jego obawy. – To najnowsze maszyny do transformacji ciał. Przemiana za ich pomocą nie będzie trwała godzinami – wystarczy minuty – wyjaśnił z dumą. – Tylko nie pytaj, jak to działa. Bo chociaż mógłbym odpowiedzieć, przez wzmocnienie pola kwantowego oraz lokalne zaburzenia czasoprzestrzeni – to prawda jest taka, że nie wiem. To ostatni projekt profesora Garilicy.

– Po co cylindry transformacyjne, skoro chcesz rozpylić wirusa?

– Mówiłem ci już, że w trojaki sposób można wyjaśnić istnienie śmieciowego DNA. Ewolucyjny, kosmiczny i boski. Jak wiesz, stawiam na kosmiczny. W ewolucyjnym ten bałagan istniałby od dawna, nawarstwiał się z gatunku na gatunek i nie byłoby możliwe, by na dalszych etapach rozwoju, nagle, sam z siebie, uporządkował się. Tak nie działają prawa

fizyki. A że tak się zdarzało, wiemy z licznych zapisów oraz po odkopaniu przez Ann szkieletu centaury.

Federico musiał się z nim zgodzić. To byłoby nielogiczne i –co ważniejsze – nieinformatyczne. Jeszcze nigdy źle napisany kod programu nie uporządkował się sam, natomiast błędy można było bardzo łatwo do niego wprowadzić.

–Celem kosmitów mogła być chęć stworzenia hybryd, jednak podejrzewam, że nie zamierzali ich jedynie obserwować. To naturalne, że pragnęli sprawdzić przemiany na własnej skórze; jak to jest mieć ogon lub skrzydła, cztery nogi albo rybi ogon. Jestem pewien, że pełen śmieciowy kod pozwala na przemianę w dowolną hybrydę. Jak też na powrót do... kosmicznej postaci.

–A wiesz jak oni wyglądali? – zapytał.

–Nie. Chociaż pewne poszlaki możemy odnaleźć w zapisach historycznych.

Jak i w filmach – dodał w myślach Federico, wyobrażając sobie miliardera jako ET – duża głowa w okularach GDV. Albo obcego ze statku *Nostromo* – mniejsza szczeka w dużej szczęce odrywająca kawałek pizzy.

Damiano też się zamyślił, tylko że jego uwaga podążała całkiem inną drogą:

–Straciłem zaufanie do Ann. Mogę nawet zrozumieć jej słabość do Terrego, ale ona nie widzi, że przez to zaniedbuje szansę wejścia do annałów nauki – skupił się na żalach. Federico znał jej problem, lecz nie zamierzał ujawniać go Damiano. To on podsunął jej pomysł na legendę, zdolną zaspokoić wymagania miliardera. Dogonowie idealnie tu pasowali. O ich wierzeniach dowiedziano się z opowieści przekazywanych ustnie. Ann mogła powiedzieć, że odnaleziono rękopis sprzed wieku, opisujący nieznaną legendę. Damiano chyba opacznie zrozumiał jego zatroskaną minę, bo dodał: –Widzę, że ty jesteś inny, potrafisz zapomnieć o uczuciach, nieistotnych urazach i dać porwać się wyzwaniu.

Z pewnym niepokojem Federico musiał przyznać mu rację. Rzeczywiście, chyba dał się złapać na lep jak mucha. Jednak to było ciekawe informatyczne wyzwanie; wydawało mu się, że przysiadł tu tylko na chwilę i w dowolnym

momencie będzie mógł odlecieć. Czy było już za późno? Bez skutku będzie próbował wyrwać się z lepkiej mazi słów Damiano, aż ulegnie, stając się kolejną wydmuszką w jego teatrze bzdur?

– Musisz wiedzieć, że Terremu mogą wyrosnąć skrzydła, lecz rybi ogon już nie. Proste uporządkowanie kodu, pozwalające na metamorfozę, pozwala tylko na jeden rodzaj transformacji. Nie odnaleźliśmy ani jednej osoby, której śmieciowe DNA pozwalałoby na dowolny wybór postaci. To nie działa jak studnia życzeń: wrzucam jedną monetę i zamieniam się w satyra, wrzucam kolejną i zostaję lamią – Damiano zawiesił głos, czekając na reakcję Federica. Udał zainteresowanie, lecz bez zbytniego entuzjazmu, którego nie potrafił w sobie wykrzesać. Miliarder zaczął mówić dalej: – Nie można też cofnąć zmiany powłoki. Wyniki badań DNA osób już po transformacji wykazały, że typowo ludzkie fragmenty kodu genetycznego ulegają degradacji. Proces transformacji, to jakby ewolucja w przyśpieszonym tempie, pozbywająca się niepotrzebnych fragmentów kodu.

Dopiero ostatnie słowa Haddada przeraziły Federica. Czy już nigdy nie będzie mógł zobaczyć swoich przyjaciół w dawnej postaci? Teraz naprawdę zaczął go słuchać, mając nadzieję, że to jedynie część prawdy i istnieje jakiś sposób na to, by Terry odrzucił skrzydła, a Subira wysunęła się z rybiego ogona, jak z niewygodnego śpiwora.

– Jestem jednak przeświadczony, że pełne uporządkowanie kodu stało się udziałem kosmitów, pozwalając im na wielokrotne przemiany. Mój zespół pracuje teraz nad pełnym kodem, dzięki któremu będzie można uzyskać możliwości przemiany w dowolną postać. I to jest moim głównym celem – zakończył.

Federico odetchnął z ulgą. Wersja o kosmitach głosząca zasadę: przybyliśmy – pobawiliśmy się w przebieranek – pora zrzucić kostium i wracać do domu, bardzo mu odpowiadała.

– To co, pomożesz? – zapytał Damiano, bacznie przyglądając się Federico.  
– Sprawdzimy, jak to jest zostać... bogiem?

– Pomogę! – oświadczył. Co dziwne – zabrzmiało to szczerze. W trakcie wypowiedzi miliardera neurony w jego mózgu pracowały z mocą obliczeniową 32-rdzeniowego procesora. Gdy usłyszał, że nie ma możliwości

przywrócenie nóg Subirze – spadał do podziemi. Gdy pojął, że możliwe jest cofnięcie transformacji, jego mózg dostał nowy, 64-rdzeniowy procesor i błyskawicznie wzleciał do nieba.

Gotów był poświęcić wszystko, aby odnaleźć ten kosmiczny kod. Spojrzał na świecące pierścienie Rotwanga. Były puste, ale już widział w nich kobietę, którą kochał.

## Udany lot Terrego

Terry zmęczony przysiadł na kamieniu. To był piękny lot. Owadzie skrzydła pozwalały na niezwykle manewry; mógł lecieć do tyłu, bez problemu zawisnąć w jednym miejscu, potrafił szusować pośród pni drzew, jak podczas slalomu na stoku narciarskim. Mógł podlecieć do korony palmy i zrywać kokosy zawieszane na wyciągnięcie ręki; wzniósł się nawet na wysokość trzeciej kondygnacji, obserwując siedzących za biurkami pracowników korporacji Damiano. Niestety, nie miał szansy wyfrunąć z rajskiego ogrodu, gdyż drogę do wolności zagradała sieć energetyczna. Tego się spodziewał, chciał jednak spojrzeć na miejsce uwięzienia z wysokości, mając nadzieję, że wypatrzy lukę w zabezpieczeniach.

Terry rozumiał, że to nie skrzydła mu przeszkadzają. Owszem, niewygodnie się w nich spało, nie widział też siebie wyskakującego z pracy, na kawę z ciastkiem, nie na nogach, a przez okno, ze świstem skrzydeł w locie. Najbardziej jednak drażniło go zamknięcie i brak celu. Nie cierpiał beczynności. A tutaj nie miał co robić, bo chyba nie liczono na to, że będzie zapylał kwiatki.

– Miałem rację, twoje skrzydła sprawdzają się – usłyszał nagle głos Damiano, który z przybocznym rogaczem, Plutinem, pojawił się na polanie. Podeszli do niego powoli, rogacz pozostał w odległości niepozwalającej na bezpośredni atak, miliarder stanął tuż przy Terryem i wyciągnął dłonie. W jednej trzymał opakowanie kefiru z owsianką o smaku truskawkowym, w drugiej – bananowym.

–Który wybierasz? –zapytał. Terry miał ochotę odpowiedzieć, że żaden, ale nagle poczuł nieodpartą potrzebę uzupełnienia zapasów energetycznych. Sięgnął po truskawkowy.

Damiano usiadł obok, otworzył opakowanie i zanurzając w nim łyżeczkę, zaczął mówić:

–Czyż to nie piękna realizacja marzeń, poszukiwanych od wieków ideałów?

Terry tak nie uważał. Powstrzymał się jednak od kolejnej próby skopania tyłka miliarderowi, a jedyną oznaką jego złości był delikatny szelest skrzydeł. Nie wytrzymał jednak długo w milczeniu i patrząc cierpko na Damiano, stwierdził bardziej zrezygnowanym niż gniewnym głosem:

–Porządkujesz śmieciowe DNA, obdarowując ludzi zwierzęcymi cechami. Ja, ze skrzydłami czy bez nich, poradzę sobie. Niektórzy, jak syreny, satyr czy centaur Trotter, nawet są zadowoleni. Ale nie wszyscy. Wiem, że ich i moje życie na pewno nie było idealne. Lecz to były nasze wybory. Urodziliśmy się z takim, a nie innym zestawem genów; w takiej, a nie innej dzielnicy miasta –Terry starał się mówić spokojnie, lecz z każdym słowem narastał w nim gniew. Na szczęście jogurt zneutralizował złość, więc, w miarę spokojnie, dokończył: –Kto dał ci prawo do decydowania o ich życiu? Zrozum to, głupcze, i cofnij nasze transformacje. My chcemy być sobą, niepotrzebne nam twoje... ulepszenia.

Spojrzał na Damiano, nie spodziewając się wiele. Nie mylił się. To była zbyt spokojna mowa, by poruszyć sumienie miliardera. O ile je w ogóle miał. Można było założyć, że nie, ponieważ odpowiedział:

–To Bóg decyduje o wszystkim. Wielcy wodzowie, tacy jak Cezar, Napoleon, a nawet Hitler, decydowali o losach wielu narodów. Bill Gates wyprowadził świat z ery elektryczności i wprowadził go w erę cyfryzacji. Mark Zuckerberg scalił świat plemienny w globalny. Każdy z nich podejmował decyzje sam, ryzykując życiem. Podjęli się tego wierząc, że to będzie dobre dla większości. Możesz mi zarzucać, że niektórzy nie są zadowoleni z odzyskanego kodu. Podjąłem tę decyzję za nich i będę z nią żył do końca swoich dni. Ale wierzę, że tak właśnie należało uczynić. Większość ludzi z trudem utrzymuje się na powierzchni życia, nie mając czasu

na marzenia. Ja marzę za nich, realizując ideały, o których im się nawet nie śniło.

– Ideały są piękne, ale to opium dla ubogich. Dla posiadaczy milionów, jak i dla polityków, są jedynie usprawiedliwieniem ich własnych kaprysów. Prawo i sprawiedliwość? Prawo naginane do potrzeb, sprawiedliwość według uznania – skrzydła Terrego zafurkotały, musiał się opanować. – Nie da się ukryć: żyjemy w szambie. Wojsko śmierdzi, politycy śmierdzą, religia śmierdzi, biznes też cuchnie. A nieliczni, którym udaje się utrzymać na powierzchni, którzy za nic mają tonących w gównie, bawią się w bogów. Jednak prawda jest taka, że wszystko, co pływa na powierzchni szamba, również jest gównem. Najgorsze, że od masy zanurzonej w szambie wymaga się czystości wobec prawa, karząc za każdą próbę złapania haustu powietrza. A oni są zbyt uczciwi, aby włączyć na plecy drugich. Dla tych z powierzchni prawo nic nie znaczy. Łamią je codziennie, naginając pod spełnianie swoich kaprysów. Ty należysz do tego gówna pływającego na wierzchu i uważasz, że masz prawo decydować o losie innych.

Damiano skrzywił się, zatrzymując łyżeczkę z porcją jogurtu w połowie drogi do ust.

– Trochę niesmaczne porównanie, użyłbym innego, ale to prawda. To, że potrafię pływać na powierzchni jest najlepszym dowodem na to, że mam prawo podejmować decyzje w imieniu tonących w szambie. Wiem, co należy zrobić, aby pomóc im wydostać się na powierzchnię.

– No właśnie... Nawet nie poczuwasz się do winy – mruknął z rezygnacją Terry.

– Już rozmawialiśmy na ten temat. Jesteś reliktem przeszłości. Obydwojaj żyjemy w czasach rewolucji cybernetycznej. W pędzie do nowej epoki, niepotrafiący się odnaleźć zostają w tyle. Ich wiedza staje się nieprzydatna, a oni sami są obciążeniem dla młodych osób, rwących się do nowego. Ludzkość już przechodziła podobne okresy przyspieszonej ewolucji, kiedy to do śmietnika historii pokotem wpadali ci, którzy nie umieli się odnaleźć. Ludziom żyjącym w okresach stagnacji żyje się spokojnie. Syn ceni wiedzę ojca, nie musi zmieniać co dwa lata zawodu. Moja niechęć do ciebie nie jest niechęcią osobistą, to rozczarowanie generacyjne. Nie rozumiem twojego



uporu przy trwaniu w stagnacji, a ty nie rozumiesz moich wyborów. Nie tylko, że czytałeś inne książki, chodziłeś na inne filmy, to jeszcze nie używasz okularów GDV, a komputer wciąż jest dla ciebie magicznym pudełkiem.

Skrzydła Terrego zatrzepotały, zdradzając jego myśli. Najgorsze, że ten gówniarz miał wiele racji – stwierdził, przypominając sobie babcię, która z prowincji przyjechała do miasta na Święto Dziękczynienia. Niska, niemal okrągła staruszka, z nieodłącznym uśmiechem na twarzy, którego nawet zmarszczki nie zdołały ukryć. Nigdy nie krzyczała, wciąż myliła imiona wnuków, co może pomagało jej zachować pogodę ducha w tym zatłoczonym, hałaśliwym, wciąż pędzącym miejscu. Zastał ją w nocy w kuchni, gdy wyjmowała naczynia z suszarki i myła je ręcznie w zlewie. „Nie wierzę maszynom, wolę je domyć” – wyjaśniła, gdy zapytał, co robi. Może i on bronił stylu życia, w którym się wychował? Stylu obcego młodemu pokoleniu. On już wiedział, że pociąg pędzący na kamerę go nie rozjedzie, lecz widzowie sprzed wieku chowali się przerażeni za krzesłami. Dla niego szkła kontaktowe GDV były jak drzazga za paznokciem, a przecież wiele osób nosi szkła kontaktowe. Dla młodych byli jak jesienne liście. Piękne plamami barw zaraz po opadnięciu z drzewa, lecz potem szarą masą szpecącą krajobraz, czekającą na grabie ogrodnika.

– Pożyjemy, zobaczymy czyj styl życia przetrwa – powiedział pojednawczo Damiano. Terry nie potrafił przyjąć tej gałązki oliwnej. Obydwaj wiedzieli, kto będzie górą, to były puste słowa.

– Nie mogę powiedzieć, że nie żałuję żadnego dnia. Żałuję, i to wielu dni. Ale wiem również, że bez nich nie byłbym tym, kim jestem. To prawda, nie używam okularów GDV, a telefon komórkowy zdarza mi się zostawić w domu. Nie zasypiam grając w *Watch Dogs*, a profil na Facebooku odwiedzam tylko w swoje urodziny. Ale wiesz..., jest mi z tym dobrze, gdyby zabrakło prądu, akurat tych nowinek najmniej bym żałował. Natomiast wy, młodzi, już nie umiecie bez tego żyć. Dzisiaj dzieci potrafią odpowiedzieć na pytania, które pół wieku temu sprawiłyby kłopot mędrcom. Ale to nie znaczy, że są od nich mądrzejsze. Wiedza młodego pokolenia jest powierzchowna. Żyjecie w natłoku informacji. Poznaliście wszystko, lecz

jest to mądrość pozorna. Wiecie o setkach tysięcy, milionach rzeczy, lecz w żaden problem nie zanurzacie się głębiej niż na 140 znaków. Dawniej ludzie znali dziesięć, góra sto zagadnień, lecz o każdym mogliby mówić tygodniami. Żyjesz w złudnym świecie. Nie wiesz, co znaczy obudzić się z kacem, po wieczorze lewitowania w otwartym kosmosie bez skafandra, a jedynie w slipach. Podejrzewam, że nie wiesz czym jest dobijanie się do bram piekieł kobiety i euforia, gdy się przed tobą rozwierają. Znam twoją odpowiedź. Powiesz, że to nieistotne, masz ważniejsze cele, teraz nie możesz się rozpraszać. A to, o czym mówię, to mało istotne bóleści lub przyjemności, po które zawsze możesz sięgnąć w odpowiednim czasie. Otóż mylisz się. To błędne spojrzenie, typowe dla wirtualnych wyobrażeń. Nasze światy rozwarstwiają się. Na Ziemi za sto lat nie będą żyli Morlokwie i Eloje, a Eskeipowicze, śniący w wirtualnych światach, uważający, że zawsze mogą wdusić przycisk Esc lub Ctrl+Z – oraz ci, których klawiatury tych klawiszy będą pozbawione, a dodatkowo funkcyjny klawisz pomocy F1 zablokowany.

Terry wstał i rozejrzył się w poszukiwaniu kosza na śmieci, ale – oczywiście – w rajskim ogrodzie nie przewidziano kubłów na odpadki. Wcisnął więc kubek w rękę Damiano, dziękując za poczęstunek, odwrócił się na pięcie i odfrunął.

## Rozdział 10.

# Być jak bogowie

### Ucieczka

To nie było łatwe, ale Terremu udało się namówić syreny oraz centaury Trottera do małego przedstawienia. Dla nielicznej, lecz bardzo ważnej widowni – techników ze znużeniem śledzących na monitorach cuda rajskiego ogrodu. Miał nadzieję, że teraz skupili wzrok na centaurze, obwożącym na swym grzbiecie dwie syreny. Zespół w pełnym składzie – Ann, Subira, Federico i on – potrzebował kwadransa na konsultacje bez świadków. Ukryli się w jeziorku, tuż za wodospadem, wystawiając ponad wodę jedynie głowy. Wyjaśnienie planu ucieczki oraz uzgodnienie szczegółów z każdym z osobna trwałoby wiele dni. Zbyt wiele, biorąc pod uwagę informacje Federico o postępach prac nad wirusem. No i te skrzydła... Uwierały Terrego coraz bardziej. Nawet teraz nie mógł powstrzymać się przed nieodpartą chęcią wyskoczenia z wody – skrzydła nie znosiły wilgoci.

– On chce być nieśmiertelny – zakończyła swą relację Ann.

– Wiem nawet, gdzie chce dokonać transformacji. W cylindrach Rotwanga. Ale to jego problem – dodał Federico. – My mamy większy. Ten dzieciak z górnej półki zamierza rozpylić wirusa porządkującego śmieciowe DNA. Niebawem stworzenia, podobne do tych z rajskiego ogrodu, będą biegały po ulicach każdego miasta na Ziemi.

– Transformacja dla każdego – skrzywiła się Ann.

– Jak więc widzicie, nie wystarczy, że zniszczymy laboratoria oraz rajski ogród. Pieniądze Damiano pozwolą je odbudować w ciągu tygodnia – wrócił do tematu Terry.

– Przecież powiemy innym, co się tu dzieje – zaproponowała Ann. – Władze nie pozwolą na dalsze eksperymenty.

– Podejrzewam, że ma układy z wojskiem. Zablokują przepływ informacji, nikt się nie dowie – Subira była sceptyczna. – A badania będą prowadzić w tajemnicy. Zamienią ten wirus w nową bombę genetyczną.

– To musi być finał, jak z wysokobudżetowego filmu – wtrącił, nie na temat, Federico. – Bez dbania o zasadność działań, tak widowiskowy, że każdy go obejrzy.

Terry skrzywił się z niesmakiem.

– Pozwolę ci wyreżyserować akcję, ale może najpierw napiszemy scenariusz? A teraz zatkaj się!

Federico szybko zanurzył się w wodzie aż po nasadę nosa. Wolał nie dodawać, że jego imiennik najlepsze filmy nakręcił bez scenariusza.

– Jak więc widzicie, przed ucieczką i zniszczeniem laboratorium, musimy unieszkodliwić działanie wirusa. Federico obiecał, że rozgryzie ten problem – wyjaśnił Terry, spoglądając na przyjaciela. – Wynurz się, bo jeszcze utoniesz.

Federico posłusznie wynurzył się i zaczerpnął głęboki oddech.

– Sprawdziłem, jaką część kodu musiałbym wyciąć. Solidnie go odchudzimy – zmaleje z 3.2 do 2.6 GB. Ciekawe, czy będziemy sprawniej działać?

– A masz pewność, że bez skutków ubocznych? – zapytała Subira. – Nie wszystko w sobie lubiłam, ale przyzwyczaiałam się do własnych fobii i zachcianek. Bez nich nadal będę się czuła, jak ryba wyrzucona na brzeg.

To nie było najlepsze porównanie – pomyślał Federico. Subira też uświadomiła sobie, że przecież już jest rybą. Łzy napłynęły jej do oczu, wydawało się, że za chwilę ponownie wybuchnie płaczem. Ann objęła ją ramieniem i mocno przytuliła.

– Subira ma rację. Wrzuć wirusa do cyfrowego miksera. Poszatkuj,

przemiel tak, aby powstała breja, w której nie rozróżni się żadnych składników.

– Ale i wtedy możemy coś stracić – zauważył Terry.

– No tak. To co da się zrobić? – zapytała Subira.

– Wyczyść tylko znaczniki – zaproponowała Ann, patrząc na twarze pozostałych. – Niech już nikt nigdy nie pomyśli, że w kodzie są ukryte skarby. Niech śmietnik pozostanie śmietnikiem.

Zgodnie skinęli głowami.

– To powinno być jeszcze łatwiejsze – Federico był optymistą.

– Nie bądź taki pyszałkowaty! – wzburzyła się Subira, rzucając gniewne spojrzenie na Federica.

– Subira, nie w tym rzecz – zaczął się tłumaczyć. – Jądro programu wirusa oparte jest na moim starym programie. A umieściłem w nim kilka ukrytych furtek.

Twarz Subiry złagodniała.

– Fajnie, że już wiemy, czego chcemy. A kto mi powie, jak to zrobić? – zapytała Ann.

Terry wystawił rękę pod strugi wody. Rozpryskujące się krople zrosiły ich twarze.

– Rozejrzyjcie się naokoło. Wodospad, stawy, fontanny, fosa. Z grubsza licząc do zbiornika wpływa kilka tysięcy litrów wody na minutę. Co będzie, gdy woda nie znajdzie ujścia? – dopytywał z chytrym uśmiechem.

– Wyleje się – wzruszył ramionami Federico.

– Jak chcesz to zrobić? – Subira była bardziej konkretna.

– Ty to zrobisz – odparł lekkim tonem Terry, patrząc na syrenę. – Zatkasz wylot rury.

– Terry, ta rura, jak mówisz, będzie miała ze sto metrów długości.

– Jestem pewien, że dasz radę.

– Nigdy nie przepłynęłam tyle pod wodą. To niemożliwe – pokręciła przecząco głową. Miała ochotę podjąć wyzwanie, ale już wejście do wody na naradę przygnębiło ją. Odkąd zyskała ogon i łuski, straciła miłość do wody. Całe dni przesiadywała na głazie, jedynie na chwilę zanurzając ogon w wodzie, gdyż zbyt suche łuski swędziały ją.

– Zapominasz, że jesteś syreną. Jestem pewien, że potrafisz przepłynąć pod wodą o wiele dłuższy dystans.

Subira była na granicy płaczu. Nie mogła podjąć się tego zadania.

– A co później? – zapytała, mając nadzieję, że dostrzeże luki w dalszej części planu i będzie mogła wytknąć je Terremu, zmuszając do wymyślenia nowego wariantu – już bez wody.

– Pamiętacie paraliż linii lotniczych Delta Air Lines kilka lat temu?

– Coś tam pamiętam. Mówiło się o ataku hakerów – mruknęła Ann.

– System komputerowy Delty poległ w czasie awarii prądu w Atlancie – wyjaśnił Terry. – Ale to nie był atak hakerski, wystarczyły przerwy w zasilaniu w jednym z oddziałów, by padł system na całym świecie.

– I sądzisz, że awaria prądu w naszym kompleksie również spowoduje zawieszenie się systemu rajskiego ogrodu? – próbowała odgadnąć plan Terrego Ann.

– Nie – odpowiedział zdecydowanie. Ann zaniemówiła.

– No to już nic nie rozumiem – jęknęła. – To w jakim celu zmuszasz Subirę do ryzykownego nurkowania?

– Awarię systemu komputerowego wywołałam ja, wprowadzając do niego wirusa – wyjaśnił Federico.

– Powódź ma być jedynie wyjaśnieniem oddalającym od nas podejrzenia – domyśliła się Subira.

Terry skinął głową.

– Oraz wyłączy zapory energetyczne, skupiając całą uwagę służb na uciekających hybrydach. W tym chaosie nikt nie zauważy, że ktoś grzebie w komputerach – Terry zatrzepotałby z zadowoleniem skrzydłami, gdyby nie to, że byli w wodzie.

Ann przez kilka chwil trawiła w milczeniu ich słowa.

– Niech wam będzie... – skinęła w końcu głową. – A co dalej?

– Następny ruch będzie należał na ciebie, Ann.

Ann spojrzała na Terrego przerażonymi oczami.

\*\*\*

Subira zrezygnowała ze stałego miejsca na głazie przy wodospadzie i przysiadła na plaży, przy fosie, w pobliżu kładki, przez którą weszła do rajskiego ogrodu. To nie był najlepszy pomysł, ziarna piasku wchodziły jej między łuski, lecz była niecierpliwa i jak najszybciej chciała zobaczyć efekt swojego poświęcenia. Czuła się dumna z przełamania niechęci do wody.

Plan Terrego był ogólnikowy i gdyby Federico go nie dopracował, nie miałyby szans realizacji. Problemy pojawiły się już przy pierwszym, szczegółowym pytaniu Subiry: czym mam zatkać rurę? Padały różnorodne pomysły, lecz po krótkim namyśle każdy był odrzucany. Kamienie, orzechy kokosowe nie zapewniały szczelności. Zapchanie rury ubraniami wymagałoby z tuzina szaf gwiazd filmowych. I dopiero Federico znalazł prosty, niewymagający dźwigania ciężarów, sposób.

Do rury o średnicy niewiele większej niż szerokość bioder – dobrze, że przez ostatnie dwa tygodnie nie miała ochoty na jedzenie – zanurkowała ciągnąc za sobą pokrowiec, przypominający worek na kapcie szkolne. Prąd był silny i nie musiała mocno machać ogonem, aby szybko płynąć. Jednak to uświadomiło jej, że jeżeli dobrze nie wypełni zadania, już nie wypłynie na powierzchnię. Nie będzie w stanie pokonać tak silnego nurtu. Tylko zatykając rurę powstrzyma nurt i zdoła jakoś wrócić.

Po pięćdziesięciu metrach wąska rura połączyła się z głównym odpływem, szerokim na półtora metra. Po dalszych stu metrach dopłynęła do kratownicy, z oczkami niepozwalającymi nawet przecisnąć głowy. W tym miejscu zgromadziło się trochę śmieci. Wolą nie przyglądać się dokładnie, co zniósł prąd wody, jednak wyczulony nos lub inny – nowo nabyty – zmysł zasugerował najgorsze odpowiedzi. To nie mogło jej powstrzymać, wiedziała, że im prędzej wykona zadanie, tym szybciej będzie mogła zacząć oddychać powietrzem.

Przyciągnęła worek i wyjęła pojemnik. To była pianka poliuretanowa w aerozolu. Federico zapewniał, a testy to potwierdziły, że zwiększa ponad stokrotnie swą objętość. Następnie wyjęła sflaczały balonik, skradziony przez Federica z przedszkola. Przytknęła końcówkę pojemnika do ustnika i przez trzy sekundy przytrzymała wciśnięty spust. Ten czas wystarczył

do wypełnienia balonika. W kilka sekund później miała już gotowy pierwszy element zapory. Puściła balonik, a prąd wody cisnął nim o kratownicę. W kilka minut napełniła wszystkie baloniki. Mogła wracać. Wykonała zwrot w ciasnym kanale i, nie czując ciśnienia wody, popłynęła do wyjścia.

\*\*\*

Ann, obgryzając paznokcie, z niecierpliwością czekała na Damiano.

– Jak swoją transformację odbiera Terry? – zapytał, wchodząc do biblioteki z nieodłącznym rogaczem przyklepionym do jego cienia.

– Skrzydła przeszkadzają mu w czasie snu – odpowiedziała. – Ale chyba wyleczył ranę nogi.

– A nie mówiłem? Uporządkowanie genetycznego śmietnika leczy nie tylko urazy psychiczne, lecz również rany fizyczne.

Dyplomatycznie milczała. Nawet zrezygnowała z wbicia szpilki, przez przypomnienie, że w transformacjach upatrywał sposobu na odmłodzenie się. Terry rzeczywiście odzyskał pełną władzę w nodze, ale na szczęście nie stał się dwudziestolatkiem.

Według planu, Ann musiała zatrzymać miliardera przez pół godziny, a wciąż nie wiedziała, jak to zrobić. *Biblię*, którą można próbować odczytywać na tysiące sposobów, miała pod ręką. Tylko że żadna z interpretacji *Biblii* nie zmieni faktu, że to jedynie przerysowany zapis faktów, będących podstawą do stworzenia mitów, wzmacniających nieomyślność i przebiegłość wodzów. Kosmici się w niej nie pojawiali. Było tam jedynie kilka bajek – jak to określiła jej rodaczka – spisanych przez naćpanych facetów. Może i nie byli naćpani, lecz z pewnością nie zapisywali prawdy. Odgrywali jedynie rolę notariuszy władców, spisujących sfalszowaną prawdę ku pokrzepieniu serc: ucieczka w kłamstwo; usprawiedliwianie czynów niegodnych; retuszowanie idei płynących rzekami krwi. Pozostałe księgi leżały dalej niż na wyciągnięcie dłoni. Tylko w jakim celu miała to robić, skoro i w nich nie znajdzie pożądaną przez miliardera odpowiedzi. Nie było bogów, choćby z kosmosu, ustanawiających byt ludzi.



To my sami ponosimy odpowiedzialność za całe zło.

I nagle, bez wyraźnej przyczyny, wszystko ułożyło się w jej głowie. Już rozumiała dlaczego u profesora Garilicy wypłynął z niej podobny potok bzdur, i wiedziała, jak pociągnąć ten wątek dalej, aby na twarzy Damiano wykwitły rumieńce, niczym przy pierwszym pocałunku. Stało się dla niej jasne, że podstawy opowieści zaczerpnęła nie z ksiąg, a z własnej pamięci, z czasów gdy mieszkała jeszcze we Wrocławiu. To miasto było kluczowe, gdyż tam mieszkali również twórcy mitu, który swobodnie rozwinęła. To było ważne, że mit pochodził ze źródła raczej niedostępnego miliarderoi. Musiała go jedynie rozbudować, przenieść z mediów do nieznanych, starożytnych ksiąg i połączyć z innym, już ogólnie znanym mitem.

– Musisz wiedzieć, że przybysze z kosmosu wielokrotnie ingerowali w nasz genom. Może stąd tak wiele, często sprzecznych wersji. Zależą one od regionów i czasów, w których dochodziło do prób poprawy ludzkiego genomu. A gatunek *Homo sapiens* można nazwać *Homo peregrinus*. Wystarczy kilka tysięcy lat, aby zmiany genetyczne rozprzestrzeniły się wśród ludów od północy po południe, od wschodu po zachód. To, co wyczytałam z manuskryptów, łączy w całość dwie, do tej pory niespójne wiary. Starotestamentowego boga Izraelitów z przekazami Dogonów, od setek lat wiedzących, że gwiazdny dom ich przodków znajduje się tak daleko, że gołym okiem nie widać go na nocnym niebie.

Ann przerwała na chwilę, sięgając po butelkę wody mineralnej. Naprawdę czuła suchość w ustach, lecz nie z powodu długiej przemowy, a z lęku, że nie będzie potrafiła dalej kłamać.

\*\*\*

Oczekując na przelanie się wody i przerwanie zapory energetycznej, Subira coraz bardziej wpadała w złość, z dziką pasją drapiąc się po swędzących łuskach. Coś poszło nie tak. Poziom wody nie podnosił się tak szybko, jak wyliczył to Federico. Niemożliwe, aby się pomylił – tego była pewna.

Zrozumiała, że to ona musiała źle uszczelnić wylot rury. W worku został jej jeszcze jeden pełen i drugi do połowy opróżniony pojemnik, pewnie wtryskiwała za mało pianki do balonów. Nie pozostało jej nic innego, jak ponownie zanurzyć się w rurze i spróbować wypełnić pianką nieszczelności.

Podpłynęła do zapory, poprawiła ułożenie kilku baloników i pozostałą pianką zapchała szczeliny. Teraz zapora wyglądała na szczelną. Dla pewności postanowiła odczekać kilka minut. W ostatnim pojemniku pozostało jeszcze trochę pianki, będzie mogła zasklepić wyrwę, gdyby okazało się, że nadal przecieka. Jedyny minus stanowiło to, że nie będzie mogła zobaczyć wylewającej się na promenadę wody, ucieczki hybryd z rajskiego ogrodu i przerażenia pracowników. Szkoda, lecz ważniejsze jest, aby plan został zrealizowany i mogła wrócić do fosy, skąd Federico i Terry przeniosą ją do cylindrów. A wtedy, zanim Elizabeth Fraser zdąży wyśpiewać *Pieśń dla syreny*, skończy się ten rybi koszmar i odzyska nogi. A potem zrobi to, z czego nie powinna była nigdy rezygnować. To będzie ciężka droga – pływanie w kanale zdawało się niczym w porównaniu z tym, co ją czeka – ale nabrała absolutnej pewności, że gdy odzyska nogi, stanie na scenie.

\*\*\*

Ann musiała brnąć w kłamstwa. Czyniła to już bez oporów, a nawet z coraz większą łatwością. Chyba polubiła opowiadanie zmyślonych historii.

–Może i kosmici przybyli w celach badawczych, lecz dalszy rozwój wypadków świadczy o tym, że potrzebowali robotników. Terry odpowiedział mi, że prawdopodobnie musieli uzupełnić zapasy, głównie metali. Część mogli zdobyć, łowiąc planetoidy lub komety, lecz niektóre występują tylko na planetach. Są na tyle rzadkie, że do ich wydobywania nie można użyć maszyn ciężkich, potrzebni są ludzie. Lub roboty, ale ludzie są tańsi... Wybrali kilku przedstawicieli praludzi, bo to jeszcze nie byli ludzie, chociaż już nie małpy człekokształtne, i wprowadzili poprawki do ich genomu. Nie wszystkie ulepszenia sprawdziły się, więc kosmici wielokrotnie

klonowali pierwszego Adama, a nawet przekazali mu kilka własnych genów. Może nie było to rozsądne, lecz przecież nie mogli czekać dziesiątek czy setek lat, aby wyhodować potrzebnych im pracowników. Wtedy dodali też znaczniki, jakby wypalając znaki właściciela na bydło. Ostrzegały one, że genom jest ich własnością intelektualną i nie wolno go wykorzystywać bez opłat licencyjnych. To o tych znacznikach wspominałam profesorowi Garilicy.

Ann przerwała na chwilę. Celowo rozgadała się, wplątując w swoje kłamstwa Terrego, który nic o tym nie wiedział. Jednak chciała, aby jej opowieść stała się wiarygodna, a dodatkowo zamierzała dać prztyczka w nos zadufanemu gówniarzowi.

– Nie musisz mówić co było dalej – przerwał jej obcesowo Damiano. Czyżby wyczuł, że zmyśla? – przeraziła się. Nie wydawał się jednak zły czy poirytowany. Było raczej odwrotnie, od początku wyglądał, jakby jego myśli krążyły w wyższych, niebiańskich sferach. – Wiesz Ann, w tej chwili jest to tylko jedna z wielu historii. Przyznaję, ciekawa, być może najlepsza, jaką słyszałem. Może nawet jest prawdziwa... – Ann wciąż nie wiedziała, jak traktować słowa Damiano. – Tylko że dzisiaj stało się to już mało istotne.

Damiano, z uśmiechem modliszki, wyjął z kieszeni próbkę.

– Tu mam pierwszą próbkę wirusa porządkującego całe śmieciowe DNA. Nie fragmenty, jak u zwykłych ludzi, mogących przemienić się w syreny czy bąki – prychnął z pogardą. – Kosmiczni władcy potrafili przybrać dowolną powłokę. To jest mój sposób na nieśmiertelność. A w cylindrach transformacyjnych w ciągu kilku minut stanę się równy kosmicznym bogom!

\*\*\*

Pomimo zewnętrznych dowodów zaufania ze strony Damiano, Federico miał bardzo ograniczone możliwości. Miliarder nie odciął go całkowicie od wewnętrznej sieci komputerowej, jednak każda prośba o dostęp do potrzebnych danych musiała być autoryzowana. Z tego ograniczenia Federico postanowił uczynić swój oręż i zaczął wysyłać żądania otworzenia

niemal każdej szuflady z pamięci komputera, mając nadzieję, że Tahir pogubi się, która z nich jest ważna, a która otwierana jedynie dla zabawy – i nie będzie przyglądał się uważnie, do czego te wszystkie dane są potrzebne temu szalonemu informatykowi. Była to długa droga do celu, wymagająca od Federica siedzenia po 18 godzin przy klawiaturze, lecz w końcu tak pogmatwał ślady, że mógł wykonać zaplanowane zmiany w systemie, a także opracować informatyczną szczepionkę z wirusem cofającym transformacje Subiry i Terrego. Jednak, aby uruchomić lawinę zmian, konieczny był restart systemu. A zwarcie linii energetycznych wciąż nie następowało.

Czyżby Subirze zabrakło powietrza, aby dopłynąć do kratownicy? A może pianka nie sprawdziła się lub balony pękały w czasie wypełniania? Federico siedział przy jednym z komputerów szkoły, po raz dziesiąty układając pasjansa, wciąż powtarzając w głowie te same pytania. Zauważył, że przygląda mu się z uwagą trzynastolatka z warkoczykami, którą zabrał z przedszkola. Wydawała się nadzwyczajna, zadawała za dużo pytań, podkładała mu pinezki na krzesła, lecz była dobra w układaniu informatycznych klocków. Musiał się pilnować i niczego nie zdradzić w ostatnich minutach przed finałem – spróbował zapanować nad sobą, na siłę pochylając się nad klawiaturą.

– Po odejściu taty, mama powiedziała, że go nie potrzebuje, że sama mnie wychowa – niespodziewanie odezwała się smarkula. O czym ona mówi? Spojrzał na nią. – On jest starszy od ciebie, dużo starszy. Byłam jego oczkiem w głowie, ale tylko przez pierwszych kilka lat, gdyż później znudził się zabawą w ojca. Odszedł do młodszej kobiety, być może myśląc o nowych oczkach w głowie.

To pewne, wybrał nowszy model – zgodził się z nią Federico, lecz nic nie powiedział. Dziewczynka wstała i podeszła do jego biurka, wspięła się na palce i z trudem przysiadła na blacie. Na szczęście nie spojrzała na monitor, gdyż zauważyłaby, że Federico zbija bąki.

– I może by tak było, ale ja go potrzebowałam.

– I co zrobiłaś? – dał się wciągnąć w rozmowę.

– Odszukałam go, zhakowałam jego firmę, doprowadzając do bankructwa.

Wtedy skruszony wrócił do mamy – odpowiedziała z uśmiechem.

Może wcześniej pomyślałby, że to niewinny uśmiech dziecka, jednak nie po tym wyznaniu. Te dzieci potrafią być bardziej okrutne niż tyrani – westchnął, zlany zimnym potem.

– Lubisz tę nową syrenę, Subirę. Ma bardzo piękny głos, szkoda jedynie, że śpiewa smutne piosenki. Ale jestem pewna, że zrobisz wszystko, aby była szczęśliwa i zaśpiewała radośnie.

– Tak – odpowiedział, chociaż to nie były pytania, a stwierdzenia.

Dziewczynka kiwnęła ze zrozumieniem głową i – rozglądając się, czy nikogo nie ma w pobliżu – oznajmiła:

– Pomyliłeś się, twój plan nie zadziała.

– To niemożliwe!

– Nie wzięłeś pod uwagę drugiego systemu zasilania awaryjnego. To starszy system, od dwóch miesięcy mamy nowy, jednak dawny pozostawiono.

Federico zdrętwiał. Podwójnie – o ile to możliwe. Raz, że nawet nastolatka przejrzała jego plany, dwa, że rzeczywiście o tym nie pomyślał.

– Nie martw się. Ja mam dostęp do sieci wewnętrznej i tak ją przestawiłam, że zignoruje sygnał. Co prawda można go wyłączyć ręcznie, lecz to potrwa co najmniej kwadrans. Tyle chyba wam wystarczy?

Nie zdążył jej podziękować, gdy oświetlenie, monitory i komputery zgasły. Dziewczynka z warkoczykami zeskoczyła z biurka i krzyząc: „Przerwa, przerwa”, wybiegła na zewnątrz. Jednak nikt za nią nie pobiegł. Byli od niej starsi i pracowali na etacie. Siedzieli, rozglądając się po sobie, dziwiąc się, co się stało. „Przerwa w dostawie prądu? To przecież niemożliwe?!” – krzyczały ich spojrzenia. Po odcięciu zasilania powinien uruchomić się system awaryjny. Ale Federico zadbał o to, aby odwlec tę chwilę o kilka sekund – co wystarczało, by padł cały system komputerowy. I nim technicy zdążyli zareagować, system już restartował. „Trudno, to tylko chwilowa przerwa, za minutę wszystko będzie w porządku” – na takie właśnie myśli techników liczył Federico. No cóż, nie wiedzieli, że restart uruchomi również wirusa, pozwalającego mu przejąć kontrolę nad systemem. Plan się powiódł! – ucieszył się, w końcu oddychając z ulgą. Z niewielką pomocą małej, przebiegłej, aczkolwiek często nieznośnej,

przyjaciółki – musiał dodać, postanawiając, że kiedyś zabierze ją na duże lody.

Naraz przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Zbyt szalony – odrzucił go. Jednak on powracał. A właściwie, dlaczego nie? Plan został zrealizowany, Damiano o tym jeszcze nie wiedział, ale już spadał z górnej półki, boleśnie tłukąc sobie tyłek. Przyda się atak psychologiczny – usprawiedliwił się, włączając na cały regulator przez głośniki nagranie *In-A-Gadda-Da-Vida*.

\*\*\*

Centaur William Trotter czekał przed mostem, nerwowo uderzając kopytem w piasek. Za kilka minut będzie wreszcie wolny – o ile ten facet ze skrzydłami owada mówił prawdę. Woda przybierała wolno, lecz w końcu jej poziom zrównał się z brzegami fosy. Bezpieczniki powinny wyłączyć zasilanie, ale centaur wciąż widział znieawidzone, żarzące się czerwienią kraty.

Przestrzeń wzywała go od zawsze. W Afganistanie był wolny przez pięćdziesiąt kilometrów, lecz nie mógł delectować się tą wolnością, gdyż spieszył z pomocą dla przyjaciół. Teraz, już za chwilę, będzie mógł biec tylko dla siebie. Nic i nikt nie powstrzyma tego biegu.

Rozejrzał się. Wciąż nie mógł dostrzec smutnej syreny Subiry. Wiedział, że powierzono jej niebezpieczne zadanie. Czyżby kobiecie zabrakło powietrza i nie zdołała wrócić? Trudno, podobno była żołnierzem, więc wiedziała, że najważniejsza jest misja.

Naraz kraty zniknęły, zabierając ze sobą również przestrzeń pagórków. Centaur Trotter nie martwił się tym, wiedział że musi przekroczyć mostek i poszukać najbliższego wyjścia. A wtedy będzie mógł biec bez żadnych przeszkód.

Syrenki niespokojnie pływały w fosie, obserwując centaura. Były smutne. Widziały jak wkracza na mostek, zatrzymuje się przed zewnętrznymi barierkami, by po chwili wahania przekroczyć ostatnią zaporę. Zatrzymał się

na promenadzie, odwrócił i rozejrzył po niedawnym więzieniu.

Ujrzał dwie głupiutkie syrenki i pomachał im na pożegnanie. Jednak dzielnej syreny Subiry nie wypatrzył. Kapral Trotter westchnął z żalem – syrena-żołnierz zginęła, lecz wypełniła rozkaz. Cześć jej pamięci – zasalutował i rozpoczął swój bieg ku wolności.

\*\*\*

Dostęp do pokoju Damiano był niemożliwy bez wsparcia drużyny komandosów. Można było dostać się do niego jedynie windą, która – na dole i na górze – była pilnowana przez kilku uzbrojonych strażników. Ale, jak to zwykle bywa, istniał jeden słaby punkt. W tym przypadku był nim taras ze szklanym dachem. Terry nie mógł doczekać się chwili, gdy woda wywoła spięcie zasilania i wyłączenie osłony energetycznej, a on będzie mógł wzbić się do lotu. Miał wrażenie, że na błonach skrzydeł zbierają mu się kropelki potu. Zatrzepotał nimi nerwowo – to był najgorszy czas na to, by go zawiodły.

Aż w końcu wirtualna zasłona opadła, odsłaniając ponurą materię świata. W tym momencie przypomniał sobie obsesyjne przekonanie Philipa K. Dicka o życiu ludzi w iluzji. Szkoda, że tak nie jest. Można by przebudzić się z koszmaru, powracając do szarej, lecz zwykłej codzienności. W realnym świecie o tę codzienność trzeba walczyć – pomyślał, wzbijając się w powietrze. Nawet bogowi z najwyższej półki nie pozwoli ona zmieniać ludzi według własnego widzimisię. Niech każdy pozostanie tym, kim chce być!

Gdy wylądował na tarasie i wszedł do pokoju, zauważył, że zasilanie siedziby Haddada częściowo powróciło. Tak miało być. Potrzebowali prądu do uruchomienia komputera miliardera, tak jak i do uruchomienia cylindrów; natomiast zasłona energetyczna powinna pozostać wyłączona. A dla zwiększenia chaosu, w pozostałych sekcjach miało dochodzić do ciągłych przepięć, aby technikom nie zabrakło zajęć.

Terry rozejrzył się po pokoju, w którym kilka tygodni temu jedli

śmieciową kolację. Pierwszym krokiem powinno być znalezienie komputera Damiano, do którego nie było dostępu przez sieć. Przed akcją Federico dał mu szkła kontaktowe GDV. Na nic się zdały próby protestów, przeważyły argumenty. Założył je z niechęcią, lecz teraz musiał przyznać, że bez nich nie mógłby poradzić sobie z zadaniem. W pamięci podręcznej szkielec GDV Federico zaprogramował szczegółowe instrukcje, co i kiedy Terry ma wykonać. Pozostało mu siedem kroków do podmienienia programu wirusa porządkującego śmieciowe DNA, na taki, który zamieni je w bełkot nie do odszyfrowania. Jeśli Haddad jednak w jakiś sposób wypuściłby wirusa – i tak nie osiągnie swojego celu.

\*\*\*

Dzieci ze śmiechem wybiegły z przedszkola. Promenadę pokrywała cienka warstwa wody. Nie miały kaloszy, a jedynie kapcie, które szybko przemokły. To im nie przeszkadzało. Były szczęśliwe mogąc ochlapywać się wodą, piszcząc, krzycząc i biegając wokół. Omal nie zderzyły się z tabunem centaurów. Równie jak one rozradowanych, brykających w lekkim kłusie, jakby wciąż nie potrafiły uwierzyć, że mogą biegać bez ograniczeń.

Centaurzy minęły dwa zwaliste, stojące plecami do siebie, cyklopy. Te swoiste słupy milowe były zdezorientowane, nerwowo kręcąc głowami, usiłowały zorientować się w chaosie. Obok nich przebiegały dzieci, centaury i centaurydy, satyrowie i chimery, a oni – łypiąc w prawo i lewo jednym okiem – wciąż nie mogli podjąć decyzji, w którą stronę pójść. Najgorsze, że mieli w tej kwestii odmienne zdania, a żaden nie chciał ustąpić.

– Musimy iść w moją stronę. Jestem tego pewien – przekonywał wyższy, młodszy.

– Mylisz się. Wyjście jest przed moim okiem – nie ustępował niższy, lecz za to starszy wiekiem.

Gdy tak stali, wciąż niezdecydowani, kolejne centaury, gorgony oraz lamie poszukiwały drogi ucieczki z rajskiego ogrodu.



\*\*\*

Zdumieni kierowcy zjeżdżający z Seaport Boulevard w Bayshore Road dostrzegli, że ze schodów siedziby koncernu GDV wylewa się woda. To było dziwne, lecz najdziwniejsze miało się wydarzyć dopiero za kilka chwil. Po schodach zaczęły bowiem zbiegać jakieś niesamowite postacie. Projekcja wirtualna czy przebierańcy? – zadawano sobie pytanie.

Niektórzy sięgnęli po smartfony lub okulary GDV, inni, wdeptując pedał gazu, czym prędzej zaczęli z tego miejsca uciekać. Nie obyło się bez stłuczek, chór klaksonów rozbrzmiał w całej okolicy. Droga została zablokowana, a pomiędzy autami zaczęły biegać mityczne stwory.

– Podrzuć mi ślicznotko do najbliższego klubu nocnego? – zapytał obleśny facet z małymi różkami i kopytami zamiast obuwia, wskakując do kabrioletu przejrzałej piękności w jaskrawożółtym kostiumie, czerwonym szalu boa na szyi i kilogramie pudru na twarzy.

\*\*\*

Gdy Ann wciąż patrzyła na fiolkę w rękach Damiano, zgasło światło. W jednej chwili ujarzmiona wcześniej biblioteka stała się biblioteką tajemnic. Światło słoneczne, wpadające przez półokrągłe okno, zamieniło oswojone regały z woluminami w mroczny tunel wiodący do światła poznania. Ann od wielu minut czekała na tę chwilę z niepokojem, sądząc, że gdy nadejdzie, będzie mogła odetchnąć z ulgą. Tak się jednak nie stało. Teraz zaczęła martwić się czy zasłona energetyczna została wyłączona, czy Terremu uda się podmienić próbki, czy... Już wolała nie myśleć, o co jeszcze mogłaby się martwić.

Damiano, chowając fiolkę do kieszonki marynarki, podjął ożywioną dyskusję z licznymi rozmówcami. Był zdenerwowany, przysła gdzieś pozorowana ogłada, ujawniając może nie bestię, lecz na pewno wrzaskliwego dzieciaka, któremu właśnie odebrano zabawkę. Wsłuchując się w prowadzone rozmowy, zorientowała się, że na szczęście miliarder nie

podejrzewa dywersji. Równocześnie ukradkiem zerknęła przez szybę na promenadę i rajski ogród. W chwilę później, widząc Terrego stojącego na balustradzie tarasu, nie mogła powstrzymać okrzyku.

–Terry! Uważaj! –pewnie jej nie usłyszał, lecz Haddad i Plutin jak najbardziej. Jeżeli mogli mieć jeszcze wątpliwości, co się dzieje, to widok Terrego rozwiązał je ostatecznie. Damiano spojrzał zimnym wzrokiem na Ann.

–To wasza sprawka... – wysyczał.

Nie próbowała nawet zaprzeczyć. Naraz usłyszała dźwięki piskliwych klawiszy, do których dołączyła ciężka perkusja oraz gitara basowa, a po kilkunastu sekundach głos wokalisty:

–W rajskim ogrodzie kochanie, czyż nie wiesz, że kocham cię?

Rozpoznała tę stylistykę sprzed pół wieku, domyśliła się, że to Federico postanowił wykorzystać ulubiony utwór miliardera, jak Coppola muzykę Wagnera w *Czasie Apokalipsy*, w scenie ataku śmigłowców na wietnamską wioskę. Chyba troszkę przesadził –pomyślała. Ale tylko troszeczkę – uśmiechnęła się widząc osłupienie miliardera.

–Nie zrujnujcie moich planów, o nie. To się wam nie uda –wykrztusił łamiącym się głosem. –Idziesz ze mną! Będziesz świadkiem mojej transformacji. Opiszesz ją w niezapomnianych, jak u Homera, strofach.

–Nie mam zamiaru – odparła ze śmiechem Ann.

Uderzył ją w twarz. To ją jedynie rozsierdziło. Próbowała mu oddać, lecz rogaty pachołek chwycił wzniesioną rękę dziewczyny w mocne kleszcze. Nie zdołał jednak powstrzymać jej przed atakiem słownym:

–Wreszcie ujawniłeś swe prawdziwe oblicze. Rozpieszczonego gówniarza, który nie może pogodzić się z porażką!

Spojrzał na nią wzrokiem urażonego dziecka.

–Ja nigdy nie przegrywam. Za kilka minut stanę się bogiem, a wtedy zetrę was wszystkich w pył – wysyczał.

\*\*\*

Subira nie wiedziała, czy woda już przelała się przez fosę, wywołując

zwarcie, czy też jej poziom wciąż jest za niski. Przykładając dłoń do baloników z pianką, nie wyczuła żadnego ruchu wody, uznała więc, że zator był szczelny. Stwierdziła, że już nic więcej nie może zrobić i postanowiła wracać.

Zdążyła odpłynąć zaledwie na dwa metry, gdy nagle porwał ją prąd, zakotłował w wirze, i wyrzucił z kanału. Tama puściła! Wyższy poziom wody musiał mieć takie ciśnienie, że wypchnął zaporę jak korek z butelki. Ale to nie była butelka szampana, a raczej gorzki tonik – tylko że bez ginu.

Dopiero po kilkunastu sekundach udało się jej zapanować nad paniką. Nurt był już słabszy, mogła go pokonać. Wynurzyła się. Unosiła się na spokojnym lustrze wody, w otoczeniu kolorowych baloników. Zobaczyła walec siedziby Haddada z jednej, a zielony pagórek z drugiej strony. Była zmęczona. Postanowiła, że przed powrotem do kanału odpocznie na zielonej trawie.

\*\*\*

Promenada drugiej i trzeciej kondygnacji wypełniła się pracownikami wirtualnej potęgi Haddada. Stali bez ruchu, nie wiedząc czy to, co widzą, jest grą, akcją promocyjną, czy też ujawnioną prawdą? Ci zatrudnieni do uporządkowania śmieciowego DNA, zajmujący dolną kondygnację, okazali się bardziej żywiołowi. Młodszy, jak to dzieci, wykorzystywali każdą okazję do zabawy; starsi rozmawiali przez komórki ze znajomymi, tweetowali, przekazywali relację na Facebooka czy YouTube. A do tego jeszcze ta muzyka. Nie było jej w planie, to musiał być pomysł Federica – uznał Terry. Nawet udany – muzyka przyspieszała i tak już wysokie tętno skołowanych sytuacją serc. Niektórzy przesłaniali uszy, nie wiedząc, czy ciężkie brzmienie tętniące z wszystkich głośników, to wynik awarii, czy atak jakichś nieznanymi sił.

Terry stał na krawędzi tarasu i obserwował chaos w dole. Mógł skoczyć, to nie byłby skok w przepaść, jak w przypadku bohatera suity *Na krawędzi* – przecież miał skrzydła. Jednak wciąż się wahał. To nie był rajski ogród,

a raczej szambo – jeżeli żeglowanie przez życie nazwiemy płynięciem w górnice. Czy warto się w nie zanurzać? Na szczęście miał dla kogo wracać. Nie tylko dla Ann czy Subiry, lecz również dla samego siebie. Podjął decyzję. Trudno, zatka nos i popłynie wśród ścieków.

Skoczył. Spadał tylko przez chwilę, skrzydła go uniosły, pozwoliły wybrać dowolny kierunek. Jeżeli wszystko poszło z planem, to Subira czekała na niego przy mostku. Stamtąd, przy pomocy Federica, przeniosą ją do sali ze świecącymi cylindrami. Naraz zobaczył nad sobą białe skrzydła harpii. Nie pikowała na niego jak orzeł na kaczkę, gdyż miała rozłożone skrzydła, nie zmieniało to jednak faktu, że był atakowany.

Wcześniej widział, jak wokół jej więzienia zniknęły kraty, a Claudia Hurtad usiłowała wzbic się w powietrze. Jednak machanie skrzydłami nie pomagało, była zbyt ciężka. Później Terry zajął się akcją, sądząc że harpia pozostanie na ziemi. Tak się jednak nie stało, musiała wejść na wzniesienie i wykorzystać siłę nośną skrzydeł w locie ślizgowym, a później skorzystać z prądów wznoszących, aby wzbic się wysoko, wyżej niż poziom tarasu, na którym przed chwilą stał Terry.

Szybko zbliżała się do niego. Widział jej napięte do granic mięśnie szczęki. Trochę mi przykro, ale z przyjemnością cię zabiję, rozerwę bebechy szponami – zdawały się szeptać jej zaciśnięte usta.

Gdy już mieli się zderzyć i harpia mogła wbić ostre szpony w jego ciało, Terry błyskawicznie wykonał unik. Przemknęła obok, nie mając szansy go dosięgnąć. Poczł jedynie delikatne muśnięcie jej piór na policzku. Zanim harpia zmieniła kierunek lotu, on znajdował się już wiele metrów od niej. Po chwili go dogoniła, lecz ponownie ułamek sekundy wystarczył na wykonanie uniku, a harpia znów leciała tam, gdzie go już nie było. Skrzydła owada okazały się bardziej przydatne do walki, niż skrzydła anioła. Jego skrzydła były zwrotne, pozwalały na błyskawiczne wykonywanie manewrów, zmian kierunków lotu, zawiśnięcia w jednym miejscu. Po kolejnym nawrocie Terry doskoczył do jej pleców i uczeplł się podstawy skrzydeł. Nie mogła go dosięgnąć szponami. Straciła siłę nośną, zaczęła spadać. Spadał razem z nią, a gdy znaleźli się tuż nad ziemią, oderwał się od niej i wzbil w górę. Harpia uderzyła o skały, biel jej skrzydeł zrosiła

ciemnoczerwona krew.

Terry nie mógł tak po prostu odlecieć. Wylądował obok skręconego ciała i, zachowując ostrożność, podszedł do Claudii. Jedna jej dłoń nerwowo orała szponami skałę, druga schowała się pod ciałem. Twarz wykrzywił grymas bólu, źrenice oczu były przygaszone. Wydawało się, że patrzy w nieskończoność, lecz harpia dostrzegła Terrego. Spojrzała na niego przepełnionym porażką wzrokiem, a rysy jej twarzy złagodniały.

– Chciałam służyć ojczyźnie, nie chciałam zabijać. Ale później wszystko się poplątało, zaraziłam się bakcylem nienawiści i już nie potrafiłam przestać. Wybacz.

Terry zauważył, że szpony nie mają już siły drapać skały. Uniósł tę – jeszcze przed chwilą – zabójczą dłoń i mocno ścisnął.

– To nie twoja wina. To ty mi wybacz, że nie potrafiłem ci pomóc.

Oczy Claudii zgasły. Terry odniósł wrażenie, że w ostatniej chwili pojawił się w nich błysk ulgi.

\*\*\*

Jeszcze przed wejściem na salę z cylindrami Federico czuł, że coś jest nie tak. Słyszał narastające buczenie, jakby transformator pracował na pełnej mocy. Gdy przekroczył próg, okazało się, że miał rację – pierścienie Rotwanga wirowały, oświetlając upiornym światłem stojącego na środku Damiano. Przed cylindrami dostrzegł dwie osoby: Ann i Plutina. Rogacz był czujny, zwierzęcym zmysłem wyczuł, że ktoś wszedł do sali. Obejrzał się i bez chwili wahania ruszył w jego stronę, nie dając Federico czasu do zastanowienia.

Federico rzucił się do ucieczki na oślep. Nie znał tej części budynku, nie wiedział więc, gdzie się ukryć. Po kilku minutach, już ledwo dysząc, wbiegł do długiego korytarza, z wieloma drzwiami po bokach. Postanowił zobaczyć, co znajduje się za ostatnimi, na końcu korytarza. To były solidne drzwi, z litego drewna, a nie sklejk. Może prowadziły do następnych korytarzy, gdzie w końcu będzie mógł zgubić ścigającego go rogacza? Otworzył je i

wpadł do środka. Nie było dalszych możliwości ucieczki – znalazł się w pomieszczeniu bez wyjścia. Zwierzę zagnało pasterza do zagrody... Po co wstawiać tak solidne drzwi do pomieszczenia, które nie ma znaczenia? – rozzłościł się. Stał w otwartych drzwiach, zastanawiając się, czy uda mu się przedrzeć obok rogacza. Bez szans – uznał. Korytarz miał najwyżej dwa metry szerokości. Plutin chyba odgadł jego zamiar, gdyż śmiejąc się pokręcił przecząco głową, a nawet pogroził mu palcem. Federico już czuł kule wbijające się w jego ciało. Oby już pierwsza przerwała męki.

Naraz rogacz przełożył broń do tyłu, pochylił głowę, uderzył butem o podłogę i natarł na niego. Federico widział już taki sposób ataku na filmie. Byczki znają tylko ograniczony zasób metod walki, wszystko chcą wziąć na rogi. Co to znaczy nazbyt utożsamiać się z zewnętrzną powłoką – zaśmiał się w duchu. Odczekał aż rogacz znajdzie się metr przed nim i zatrzasnął drzwi. Rogi przebiły się przez deski, jednak Plutin nie zdołał ich rozwalić. To były naprawdę porządne drzwi. Odskokczyły, ponownie otwierając się na oścież. Uwieczony ochroniarz próbował uwolnić się z pułapki, zapierając rękoma o framugę. Pochylony, wystawiał tyłek, wprost zachęcając do wymierzenia mu kopniaka. W ostatniej chwili Federico zmienił cel i kopnął rogacza w krocze.

– Auuuu!

To nie był ryk zranionego byka. Rogacz zwiśł bezwładnie.

Federico odebrał Plutinowi uzi i, z dużą odrazą, trzymając broń w wyprostowanej ręce, wycelował w tył jego głowy.

– Powinieneś wiedzieć, że obiecałem to Subirze, a dla niej zrobię wszystko – powiedział. Nie mógł nacisnąć spustu. Potrafił włamać się do każdego systemu komputerowego, wiedział nawet, jak uporządkować śmieciowe DNA, a nie umiał wykonać niewielkiego ruchu palcem. Przecież to jak przewinięcie strony na smartfonie, odrzucenie połączenia telefonicznego lub decyzja zakupu akcji wartych całą fortunę Damiano – westchnął z irytacją. Okazało się to łatwiejsze niż zabicie jednej gnidy. W zdrętwiałej dłoni lufa uzi zaczęła skakać jak kukurydza na gorącej patelni. Trudno, miał nadzieję, że Plutin nie ocknie się zbyt prędko.

Gdy opuszczał ramię, przypadkowo drgnął mu palec. Seria z uzi przeorała

plecy rogacza.

\*\*\*

Centaur Trotter zwolnił, nawet jego cztery nogi nie wytrzymały tak ostrego tempa. Może, gdyby nie biegł po betonowej drodze, przy zetknięciu z kopytami rwącej ścięgna, a po uginającej się trawie, nie poczułby takiego zmęczenia.

Gdzie jest wolność? Wciąż gnał ścieżkami labiryntu cywilizacji. Droga, budynki po lewej i prawej, światła na skrzyżowaniach. Ciężko oddychając, zastanowił się, jak powinien postąpić. W końcu uznał, że jest już blisko wyjścia z tego labiryntu. Było coraz więcej drzew, a posesje skrywały się za wciąż gęstszymi zaroślami. Wolność musiała być gdzieś tu, obok. Jeszcze tylko trochę wysiłku.

Wciągnął głęboki haust powietrza i z nadzieją zmusił swoje cztery kończyny do dalszego biegu.

\*\*\*

Mark Zuckerberg obchodził teren Bedwell Bayfront Park, niecałe dwa kilometry od głównej kwatery Facebooka. Wzniesienie nieużytków, z których widać było pasmo wzgórz oddzielających zatokę od oceanu. Nie mógł wybudować tu wysokich budynków, ale mógł wpuścić je w ziemię. Tak jak i parkingi, aby wokół zabudowań, zamiast setek samochodów, rosły tysiące drzew i krzewów. Trochę pieniędzy – był pewien, że wystarczy kilka miliardów – i te nieużytki zamienią się w bajeczny ogród, który przyćmi siedzibę Haddada. Teren centrali GDV pozostanie większy niż Facebooka, na to Mark nie miał wpływu, ale Haddad nie posiadał zmysłu marketingowego. Zamiast pochwalić się taką lokalizacją, ogrodził się, nie pozwalając nikomu wejść do środka. Co tam ukrywał? Mark Zuckerberg, jak i jego „księga twarzy”, niczego nie ukrywali.

Martwiła go jedynie zatoka Ravenswood Slought. Przeciągnięto przez nią

wiele linii energetycznych, które szpeciły widok. Jednak i w tym przypadku pieniądze mogły zapewnić pewne rozwiązanie –linie można było puścić dnem zatoki. Najgorsze, że wypełniająca ją woda nie miała koloru lazurowego i w żaden sposób nie przystawała do jego estetycznej wizji. W wielu miejscach była czerwonawa, a brzegi pokrywał biały nalot. Zuckerberg nie wiedział, czy to sól, czy glony, Będzie musiał sprawdzić w Facebooku, z pewnością otrzyma odpowiedź od wielu fanów.

Naraz w wodach zatoki zauważył jakiś ruch. Czyżby przedostał się tu wieloryb? Musiał to ujrzeć z bliska. Nigdy nie widział nic ciekawego na żywo, żył w świecie Facebooka. Szybko podbiegł do brzegu.

To była kobieta. Młoda, ładna i naga.

– Witaj, kim jesteś? – zapytał.

– Nie widziałeś syreny? – odpowiedziała ze złością nieznamoma i demonstracyjnie wynurzyła z wody ogon.

Zuckerberg oniemiał, zastanawiając się nad tym, co go spotkało. Facebook może pomóc wielu osobom. Niepewnym własnej wartości, przekonanych, że niczym się nie wyróżniają. Lecz nic nie zastąpi kontaktu twarzą w twarz. W wielu takich spotkaniach runą marzenia, ale w jednym na tysiąc uda się przekroczyć barierę światła. A to jest warte wszystkiego – uznał Mark, chłonąc wzrokiem sylwetkę syreny.

– Zaczekaj chwilę! – poprosił, wyciągając telefon. Musiał uwiecznić to spotkanie na swoim profilu. W ostatniej chwili zreflektował się. A może syrena nie chce upublicznić swojego wizerunku? – Mogę? – zapytał nieśmiało.

– Jasne, pstrykaj zboczeńcu – odpowiedziała z kwaśnym uśmiechem. – Sprzedajesz prywatność miliardów, dlaczego więc miałbyś przejmować się jedną, małą syrenką.

– Przepraszam... – odpowiedział skruszony, chowając komórkę do kieszeni.

Naraz Subira usłyszała ciche dudnienie. Od razu poznała rytm, wiedziała czym są te dźwięki. Wzywano ją, przypominając, że wciąż nie wyzwoliła się spod wpływu rajskiego ogrodu.

– Wybacz, muszę spływać – powiedziała i zanurkowała, na pożegnanie



mocno uderzając ogonem w lustro wody.

Ocierając twarz, Mark Zuckerberg poczuł wibrację telefonu.

– Mark, musisz natychmiast wracać! – usłyszał.

– Co się stało?

– Grozi nam przeciążenie serwerów. Na Face miliony komentarzy na temat mitycznych stworzeń uciekających z rajskiego ogrodu. To obok miejsca twojego spaceru.

– Wiem... I bez Facebooka jestem w środku wydarzeń – odpowiedział z dumą. – Właśnie rozmawiałem z syreną.

– To żart? Nie widzę jej zdjęć na twoim profilu.

Mark nie odpowiedział. Zbyt dużo musiałby wyjaśniać.

\*\*\*

Ann nie potrafiła oderwać wzroku od dokonującej się na jej oczach przemiany Damiano. Przed chwilą wszedł do cylindrów jako młody, zdrowy mężczyzna. Jako kto z nich wyjdzie? – na to pytanie nie знаła odpowiedzi.

Gdy Damiano zażył szczepionkę i stanął na platformie, Putin uruchomił różnobarwne cylindry, które zaczęły się wolno poruszać. Pomyślała nawet, że w tym tempie przemiana miliardera będzie trwała wieki. Lecz po 2-3 minutach liczba cylindrów wzrosła i wszystkie zaczęły tak szybko wirować, że nie można było rozróżnić pojedynczych kręgów, a niezliczone przewody tłoczyły do środka jakieś płyny. W tej chwili cylinder przypominał tubę, wypełnioną gęstą zawiesiną, w której szalała burza z błyskawicami. Przy czym wyładowania elektryczne nieustannie uderzały w ciało śmiałka, który znajdował się w ich wnętrzu.

Ann próbowała nie odrywać wzroku od tuby, wmawiając sobie, że ogląda film przyrodniczy, w przyśpieszonym tempie pokazujący transformację poczwarki w imago, na końcu której owad rozprostuje skrzydła i odleci. Do jakże krótkiego, choć również najbardziej efektywnego etapu życia. Metamorfozy Damiano nie kończyły się na jednej przemianie, a ciągnęły w nieskończoność, jak przymierzanie w sklepie butów. Raz zmieniał ludzkie

nogi na orle, by za kilkanaście sekund przymierzyć koźle, końskie, lwie, a nawet kacze. Jego ciało pokrywało się puchem, później piórami, a za chwilę zrzucił opierzenie i skóra zaczynała obrastać łuskami węża, jaszczurki czy ryby, a jeszcze później sierścią mały lub psa sąsiada, białego cocker-spaniela w czarne ciapy. Najgorsze były jednak przemiany głowy. Jeśli ludzka zamieniała się w małą, oznaczało to jedynie kosmetyczne zabiegi: cofnięcie czoła, wysunięcie szczęki. Gorzej było z psim czy wilczym pyskiem: szczeka rosła jak nos Pinokia, a czaszka zostawała spłaszczona jak pod prasą hydrauliczną. Ciekawe było pojawianie się rogów: kozich, bawolich – kręconych, żłobkowanych. Najbardziej efektowny wydał się jej rozwój poroża jelenia czy łośia, rozwidlającego się jak konary drzewa.

Miała wrażenie, że genom miliardera poszukuje odpowiedniej formy ostatecznej, lecz żadna się nie sprawdza. Odrzuca więc kolejne i wciąż testuje nowe. Ta ewolucja w przyśpieszonym tempie, którą sam Damiano nazwał rewolucją, w tym przypadku była jak niekontrolowana reakcja łańcuchowa w bombie atomowej.

Dlaczego tak często nie chcemy być tym, kim jesteśmy? – westchnęła z goryczą. Na deskach sceny można zostać i księciem, i żebrakiem. Czytając książkę można stać się jej głównym bohaterem. To naturalna chęć złapania oddechu, poznania spojrzenia innych ludzi. Jednak żeby wcielić się w inną skórę na zawsze? – tego nie potrafiła zrozumieć. Osobną kwestią było, że niektórzy ukrywają swe prawdziwe oblicze. Bo tak każą rodzice, ksiądz z ambony, szef w pracy. Gdy te więzy zostały zrucone, maskujący się od razu korzystali z pierwszej nadarzającej się okazji, aby ujawnić skrywany dotąd wizerunek. Nie zawsze bywało to dobre, zarówno dla tych zrzucających skórę, jak i dla ludzi, którzy stanęli im na drodze. Byli wśród nich mordercy, fanatycy, politycy mszczący się na innych za swą własną indolencję. Damiano nie chciał się zmieniać, nie ukrywał też swojej osobowości. On chciał wybierać, jaka powłoka będzie odpowiednia dla innych. To często występujące pożądanie u bogaczy, polityków oraz tych, którzy uważają, że przemawiają w imieniu prawdy. Ludzi zaślepionych, ale mających siebie za najdalej, najwnikliwiej i najgłębiej spoglądających. A tak naprawdę praktykujących patrzenie konia z kłapkami na oczach,

ograniczających prawdę do celu, i eliminujących przepiękne pobocze, mijane w trakcie pokonywania drogi. Wiśta, wio, zbawiciele świata! W nagrodę dostaniecie worek owsa, odjętego od ust tych, których okłamywaliście. Prr..., dosyć tego! – zacisnęła w złości dłonie. Już nie żałowała Damiano. Czynicie nas satyrami, chimerymi, harpiami, cyklopami dla własnej zabawy. Testujcie to na samych sobie!

Naraz poczuła, że ramieniem obejmuje ją Terry.

– Jesteś... – z ulgą przytuliła się do niego. Szczęśliwa, że nic mu się nie stało, zadowolona, że pomoże jej przebrnąć przez ostatni etap tego koszmaru. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział zdawkowo i zapytał: – Był tu rogacz?

Ann rozejrzała się z niepokojem. Jak mogła zapomnieć o ochroniarzu Haddada?

– Tak..., ale nie wiem, gdzie jest teraz.

Pocałował ją i wskazał na wirujące cylindry.

– Co tu się dzieje? Powiesz mi, kto poddaje się transformacji?

Z niechęcią przeniosła wzrok na pojemniki. W swej aktualnej wersji upierzona postać posiadała kogucie nogi, skrzydła jak u nietoperza oraz długi ogon jaszczura. Gdyby kreatura ta miała również kogucią głowę z czerwonym grzebieniem, powiedziałaby, że to bazyliszek opisany przez Pliniusza Starszego. Ale to była głowa lwa. Może akurat miliarder porzucał skórę bazyliszka i zaczynał przemieniać się w sfinksa? Nic dziwnego, że Terry nie rozpoznał w tej poczwarze właściciela koncernu GDV.

– To Damiano – wyjaśniła, a widząc niedowierzające spojrzenie Terrego, dodała: – Postanowił zostać bogiem. Już chyba od pięciu minut testuje ciała wszelkich mitycznych stworzeń, lecz wciąż je porzuca.

– Czy to możliwe, żeby... – zaczął Terry, lecz zaraz umilkł.

– Żeby został bogiem? – Ann domyśliła się, o co chciał zapytać. Jednak nie знаła odpowiedzi. – Nie wiem tego. Zauważyłam jedynie, że transformacje są coraz głębsze. Mówiąc prościej, coraz mniej jest człowiekiem, a coraz bardziej zwierzęciem.

Nieoczekiwanie, tuż obok nich, pojawił się Federico. Był przygaszony, a przecież powinien cieszyć się z udanej akcji. Zaniepokoiło to Ann. Nie

zainteresował się nawet kolejnymi przemianami Damiano.

– Coś poszło nie tak? – zapytała z lękiem.

– Wszystko według planu – odparł, krzywiąc się jednak przy tym tak, jakby rozdeptał ślimaka. – Można powiedzieć, że nawet lepiej – pomogłem rogowi Haddada nadzieć się na drzwi.

– Federico, czy przemiany Damiano to działanie twojego specyfiku? – zapytał Terry, starając się o lekki ton. Mimo to Federico wyczuł w jego pytaniu niepokój. Nie zdążył odpowiedzieć, uprzedziła go Ann:

– To nie wirus Federica – powiedziała zdecydowanym głosem. – Damiano sporządził szczepionkę mającą odtworzyć cały – jego zdaniem – boski kod. Gdy wciskałam mu kit o kosmicznych ingerencjach w nasz genom, miał już przygotowaną szczepionkę...

Federico spojrział na pierścienie, myśląc o tym, jaki niesamowity jest kod genetyczny. Nasz genom to mniej bitów niż zapis filmu w formacie DVD, a człowiek od człowieka różni się zaledwie kilkoma kadrami, od mały kilkoma scenami, nawet w porównaniu z amebą to w dużym stopniu nadal ten sam film. A w ilu kadrach zakodowana jest nasza psychika? Czy można je odnaleźć, wyodrębnić w postaci zwięzłych rozkazów czy – jak wolą wierzący – przykazań? Kiedyś muszę ich poszukać – postanowił.

– A kim jest teraz? – zapytał Terry.

Ann spróbowała dopasować postać do znanych jej mitycznych stworzeń, lecz żadnego nie rozpoznała.

– Hm, nie mam pojęcia... – powiedziała.

– Może to jakaś kosmiczna hybryda? – rzucił Federico, któremu figura ta przypominała nieco Yodę z sagi George`a Lucasa. Tylko nie u schyłku życia, a młodego, gdy ciężenie planety jeszcze nie przyduśliło go do ziemi, a wiek nie odcisnęła się na twarzy licznymi zmarszczkami.

Terry pomyślał, że właściwie jest obojętne, jak będzie wyglądał, ważne, żeby nowe ciało miliardera nie miało atrybutów, które mógłby wykorzystać jako broń.

– Może wyłączymy pierścienie? – zasugerował, uznając, że w tej postaci nie będzie groźny.

– Nie! – zaprotestowali jednocześnie Ann i Federico.

Spojrzał na nich wzrokiem domagającym się wyjaśnienia.

– Nie chcesz dowiedzieć się, jak wyglądali przybysze odwiedzający Ziemię? – zdziwiła się Ann.

Uznał, że to dobry powód.

– Nie wiemy, czy to nie zepsuje maszyny – tłumaczenie Federico było równie przekonujące.

– A jak wyjdzie z nich... jako bóg? – Terry nie mógł zlekceważyć zagrożenia.

– Mam uzi Plutina – powiedział Federico, przekazując broń Terremu. – Ty lepiej potrafisz się tym posługiwać.

Terry sprawdził magazynek. Brakowało jedynie kilku nabojów.

– Patrzcie, on nie ma już włosów! Ani nawet łusek. Traci też tkankę tłuszczową i mięśnie – wykrzyknęła Ann widząc, że coś złego dzieje się z Damiano. Skurczył się, niemal nie miał mięśni, tak że wyglądał jak szkielet, na który naciągnięto sztuczną skórę z innego, mniejszego modelu.

– Co tam włosów, on nie ma chuja! – zaśmiał się Federico. Ann spojrzała na niego z wyrzutem, lecz wzruszył jedynie ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Przecież należało mu się”.

– Cały się trzęsie, przemiana pochłonęła chyba wszystkie jego siły – zauważył Terry.

Najwyraźniej odżywcze płyny przestały dopływać i Damiano zaczął czerpać soki do dalszych przemian z własnego organizmu. Spalał samego siebie, kurczył się coraz bardziej, mierzył teraz nie więcej niż metr wysokości. Jego skóra przypominała wyschniętą, spaloną słońcem ziemię. Popękane platy burego koloru. Jedynie głowa nie zmalała, a oczy stały się nawet większe. Przemieniony Haddad z trudem wyciągnął dłoń, a jego wąskie, sine usta, zdawały się szeptać: „Pomocy”. Ann chciała krzyknąć: „Wyłączcie maszynę, przerwijcie jego cierpienia”, lecz nie zdążyła. Ciało Damiano zapadło się w sobie i z chłupotem opadło na dno tuby, jak roztopiony w mikrofalówce śnieżny bałwan. Cylindry zgasły, ustało buczenie. Miliarder przemienił się w kałużę błota.

– Biedaczek – westchnęła Ann. Spojrzenia przyjaciół omiotły ją ze zdziwieniem. – Był świrem, w dobrym tego słowa znaczeniu,

i wizjonerem. To nie jest złe. Jego błąd polegał na tym, że swą wizję postanowił narzucić innym. Ale nie życzyłam mu takiego końca.

Przez chwilę milczeli.

– Cofnął się do aminokwasowej brei czy może urządzenie jest niesprawne? – zapytał Terry, wracając do niepokojącego go tematu.

– Nie mam pojęcia... – Federico nie wiedział co powiedzieć.

– Podejrzewam, że maszyna jest sprawna – rzekła po namyśle Ann, wcale nie będąc przekonana, czy ma rację. – A koniec Damiano wynika najpewniej z powodu błędu w założeniach. Uważał, że powłoka kosmitów pozwoli mu stać się jak bogowie. W naszym genomie co prawda istnieją – może nawet pochodzące z kosmosu – geny bakterii, wirusów, porostów, bananów i dinozaurów, lecz zaadaptowane do naszych potrzeb. Nie ma natomiast żadnego przepisu na ciało kosmity.

– I dlatego jego genom zapętlił się i doszło do przypadkowych, niekontrolowanych przemian – aż do totalnego rozpadu informacji genetycznej – Federico kontynuował te wyjaśnienia. Spojrzał na Terrego, lecz ten wciąż czekał w napięciu na jednoznaczną odpowiedź. Szybko więc dodał: – A to znaczy, że pierścienie Rotwanga są sprawne.

– Możemy śmiać się z łatwowierności Damiano wierzącego w kosmitów-bogów, ale kto mi odpowie na pytanie: skąd w naszym śmieciowym DNA kod innych zwierząt? – zapytała Ann.

Nikt nie podjął tego tematu.

Zabrzmiały ostatnie akordy *In-A-Gadda-Da-Vida*. Kilka uderzeń perkusji – i nastąpiła cisza. Wszyscy odetchnęli z ulgą. To był jednak utwór dla prawdziwych melomanów – stwierdził Federico, uznając, że zbyt pochopnie podjął decyzję. Pewnie jedynie Subira była zadowolona. Obejrzał się, chcąc ujrzeć jej uśmiech.

– A gdzie Subira?! – krzyknął zaskoczony.

\*\*\*

Centaur Trotter biegł kłusem bez wytchnienia Woodside Road, która

po minięciu wiaduktu, z czteropasmowej zamieniała się w dwupasmową, aż dotarł do drogi ukrytej pośród drzew. Nie zatrzymał się, a jedynie zwolnił, i już truchtem zaczął poszukiwać miejsca, gdzie mógłby odpocząć.

Przystanął dopiero wtedy, gdy wybiegł z gęstwiny leśnej i ujrzał pagórki porośnięte trawą. W oddali, za płotem z drucianej siatki przymocowanej do pochyłych, drewnianych słupów, pasło się kilka bizonów. Nie było widać budynków, a droga prowadziła w dół, w krainę dalszych pagórków.

Nareszcie był wolny.

## Piątek wolności: Powrót do normalności

Terry przyglądając się w taksówce Kajtka ulicom, stwierdził, że przez ostatnich kilka tygodni Nowy Jork w ogóle się nie zmienił. Zdawał sobie sprawę, że to nie była odkrywczą myśl, lecz podświadomie oczekiwał, że skoro w jego życiu doszło do tak wielu zmian, to i cały świat powinien być inny. Zwłaszcza, że mało brakowało, a po ulicach biegałyby centaury, a chodnikami spacerowały cyklopy i satyrowie. Na szczęście miasto pozostało takie, jakim było wcześniej. Ludzie wciąż żyli tymi samymi, mało istotnymi – chociaż dla nich najważniejszymi – problemami i problemikami, nie myśląc o ratowaniu świata. Jak dobrze do tego wrócić – odetchnął z ulgą, ściskając dłoń Ann.

– Widziałem wasze przedstawienie. Nie myślałem, że pracujecie w show-biznesie – rozpoczął rozmowę po złamaniu licznika Kajtek. Terry, Ann i Federico pojawili się na nielicznych ujęciach, można powiedzieć, że byli aktorami drugiego planu. Co innego Subira, ona została gwiazdą przedstawienia. Stało się tak po tym, jak jej syreni śpiew trafił do Internetu, z czym – jak zarzekał się Federico – on nie miał nic wspólnego. Na szczęście Kajtek nie czekał na wyjaśnienie, tylko od razu przeszedł do innego tematu: – Złapaliście mnie w ostatniej chwili.

– Coś się stało? – zapytał z grzeczności Terry.

– Wracam do kraju. Czuję, że Polacy niebawem wyjdą na ulice, obalając

pomniki Kaczyńskiego. Muszę im pomóc, mam doświadczenie w walce z partiami jedynie słusznej prawdy.

–To okropne, nie ma innego sposobu? –w Ann odezwały się polskie korzenie.

–Okropne jest to, że wielu obywateli mojej ojczyzny dało się zwieść rozkapryszonemu dzieciakowi z górnej półki, szeryfowi mniej niż zero oraz mścicielowi o fizjonomii i fobiach Feliksa Dzierżyńskiego. Teraz w końcu nastanie czas przebudzenia. Wiosną udało nam się przeciąć sznurki marionetce udającej prezydenta, za kilka tygodni –w opóźnionych wyborach parlamentarnych –zabierzemy krzyżak temu dzieciakowi. Tylko że on nie będzie chciał oddać władzy, trzeba będzie mu ją wydrzeć. To będzie krwawa walka, ale trudno –muszę to zrobić.

Kajtek zatrzymał się przed restauracją Leyenda, odwrócił do Ann i Terrego i, patrząc im prosto w oczy, powiedział:

–Wy macie jeszcze czas na dobry wybór, nam została już tylko ulica. Pamiętajcie o tym w listopadzie i już nie eksperymentujcie wybierając kłowna.

–Nie będziemy – obiecał śmiejąc się Terry.

–Pozdrów Polskę –dodała ze smutkiem Ann.

\*\*\*

Siedzieli we czwórkę w patio, pijąc ulubione drinki sprzed poznania Absysu. Wódka na genetycznie zmodyfikowanych drożdżach dobrze wchodziła i rzeczywiście syndrom drugiego dnia nie był po niej tak okrutny – tylko że nie miała duszy, była zbyt perfekcyjna. Zgodnie uznali, że wolą poczuć to coś, choćby okupione niesmakiem i kacem gigantem.

A mieli co opijać. Nie tylko stracone piątki wolności, lecz również wypuszczenie wirusa Haddada, zmodyfikowanego przez Federica. To nie była łatwa decyzja.

–Stracimy medyczne możliwości regeneracji narządów i organów... – zgłaszała zastrzeżenia Ann.



–Ale też wojsko nie dorwie się do hodowania super-żołnierzy – przypomniał jej Terry. –Pamiętaj też o tym, że wszystkie hybrydy stworzone przez Damiano, poza kapralem Trotterem, zostały złapane i zamknięte w tajnych ośrodkach armii. I dopóki nie wrócą do ludzkiej postaci, pozostaną w nich uwięzione i będą poddawane licznym badaniom.

–Omawialiśmy to już setki razy – Subira była zmęczona przeciągającą się dyskusją. –To co postanawiamy: wypuszczamy wirusa czy go niszczymy?

–Nie jest groźny? – Ann wciąż nie mogła podjąć decyzji.

–Może wywołać najwyżej swędzenie nosa. Jedno, dwa kichnięcia, które pomogą rozpylić wirusa dalej – uspokajał ją Federico. Ann w końcu skinęła głową.

–A jak go rozprzestrzenimy? – Terry bez zwłoki przeszedł do ostatniego problemu.

–Pójdźmy do kina! – Federico już to przemyślał.

–Ale nie na ekranizację komiksu! – wykrzyknęła Subira.

Poszli na nową komedię Woody’ego Allena ze Scarlett Johansson i Dwaynem Johnsonem *Fallen Tower*. Scarlett grała lesbijkę, prowadzącą blog dla mężatek, Dwayne – facetą z kłopotami z erekcją, pracującego jako ochroniarz prezydenta. Para ta spotykała się na cotygodniowych wizytach u psychoterapeuty – granego przez samego Allena. Nic nowego, dużo dialogów o seksie, Bogu i współczesnych mediach, chociaż jak zwykle podanych w strawny, a czasem wręcz smakowity sposób. Smaczkiem, nawiązującym do tytułu, było to, że gabinet psychiatry znajdował się w nowym Białym Domu – Trump Tower.

Mała akcja dywersyjna przed seansem pozwoliła im wprowadzić wirusa do klimatyzacji. Później zasiedli w sali, ciesząc się z każdej salwy śmiechu, gdyż zwiększała powodzenie akcji. Rozprzestrzenianie się wirusa po całym kraju potrwa kilka tygodni, na świecie – miesiące, lecz wirus z pewnością dotrze do każdego człowieka, pozbawiając całą ludzkość znaczników śmieciowego DNA.

To było dwa dni temu. Dzisiaj Terry mógł przekazać im inną wiadomość.

–Przychodzę z dobrą nowiną – śledztwo zostało zamknięte. Nikomu z nas nie są w stanie udowodnić czynnego udziału w akcji. Jesteśmy wolni,

możemy wracać do starego życia... lub zacząć nowe – dodał tajemniczo.

Zapadło milczenie.

– I co teraz będziecie robili? – chciał wiedzieć Terry.

– Ja już wiem – uśmiechnęła się tajemniczo Ann.

– My też – machnął lekceważąco ręką Terry.

– Jesteś taki pewien? – zapytała urażona Ann. – Obyś się nie zdziwił.

– Niech najpierw odpowie Subira – odezwał się Federico.

– Przecież już wiecie, to żadna tajemnica – odparła, zakłopotana jak nigdy wcześniej. Dla niej ostatnie dni były niczym sen.

– No mów! Podziel się nowinami – Federico już je znał, ale chciał to jeszcze raz usłyszeć.

– Ze mną sprawa jest prosta. Podjęłam decyzję, czekając na was na plaży – spojrzała z wyrzutem na Federica i Terrego. – Zapomnieliście o mnie, każąc czekać na przeniesienie do pierścieni Rotwanga. Z nerwów zaczęły mi wypadać łuski z ogona. To wtedy postanowiłam, że jak wyjdę z tego bez ogona – na własnych nogach, to powrócę do pasji, którą porzuciłam – do śpiewania.

– Brawo! – Ann rzuciła się przyjaciółce na szyję i wycalowała ją.

– A za tamto zapomnienie, jeszcze raz przepraszamy! – uderzył się w pierś Terry.

– Za karę musicie przyjść na mój pierwszy koncert – nie dała się tak łatwo udobruchać.

– A zmieniłaś repertuar? – zaryzykował Federico. Subira spojrzała na niego groźnie. – Bo jedna z twoich miłośniczek bardzo by chciała, abyś zaśpiewała coś weselszego... Obiecałem jej, że zrobię wszystko, abyś była bardziej radosna.

– Masz szczęście, udało ci się. Wybaczam ci brak taktu. Ale za karę teraz ty powiesz, co postanowiłeś.

– Zajmę się stworzeniem programu dla sztucznej inteligencji – odpowiedział Federico, z dumą podkreślając odrastającą końcówkę wąsa.

– Może zacznij od poprawienia własnej – zaśmiała się Subira. Federico nie obraził się.

– To duże wyzwanie – zauważył Terry.

– Nasza psychika jest kształtowana systemem nagrody i kary przez hormony rozdzielające sygnały szczęścia lub kopniaki. W ten sposób uczymy się, co jest dobre, a co złe dla organizmu. Jeżeli myślimy o budowie robotów ze sztuczną inteligencją, to tym kijem może być niedostatek smarów, a marchewką ich nadmiar. Taki byt można dodatkowo zabezpieczyć trzema prawami Asimova. Jednak gdy planujesz wykreować sztuczną inteligencję zaklętą w odizolowanej skrzynce, rozwiązującej boskie problemy – to kij czy marchewka się nie sprawdzi. Trudno wymóc na bitach pożądane zachowanie, oferując tabliczkę czekolady czy smar naturalny z pierwszego tłoczenia. Ale marchewką dla sztucznej inteligencji może być harmonia liczb, a kijem – chaos. A harmonia to również muzyka, więc potrzebna mi będzie pomoc Subiry – zakończył Federico.

Terry z ciekawością spojrzął na przyjaciółkę. Wciąż się kłócili na temat muzyki, ciekawe co zrobi teraz? Subira pocałowała Federica w policzek, szepcząc mu do ucha:

– Dla ciebie wszystko, mój miły.

– Wiesz, do jakich głównie celów zostanie wykorzystany twój program? – Terremu podobał się pomysł Federica, lecz nie mógł powstrzymać się od sceptycyzmu. Przyjaciel skinął głową.

– Patrzyłem, jak na różne sposoby wojsko tworzy maszyny do zabijania, wykorzystując do sterowania nawet ludzkie mózgi. Nie mam złudzeń, że sztuczna inteligencja też zostanie użyta do budowania doskonalszych maszyn śmierci. Ale chyba już lepiej, aby na polu bitwy naparzały się roboty, niż ludzie?

Zgodnie uznali, że ma rację.

– No to teraz czas na Ann – oznajmiła Subira. – Czego, niemożliwego do znalezienia, będziesz szukać?

Ann pokręciła przecząco głową.

– Jeżeli myślicie, że będę poszukiwała Atlantydy, to odpowiadam zdecydowanie: nie!

– A Yeti? – zaśmiał się Terry.

– Yeti to ty jesteś – odszczeknęła mu szybko, wywołując ogólną salwę śmiechu.

– To może... – Federico nie zdążył wymienić choćby jednej możliwości.

– Nie, nie i nie. Nie będę niczego szukać. Niech mity pozostaną mitami. Nie chcę zostać odkrywcą grobu ze szkieletem 33-letniego mężczyzny, z koroną cierniową na głowie oraz śladami gwoździ na dłoniach.

– No to co będziesz robić? – zapytała Subira.

– Będę je tworzyć. Zostanę bajkopisarką lub autorką fantasy, bo to przecież bajki ery cyfrowej.

– Już tyłu jest złoustych, może zajmiesz się science-fiction? – zaproponował Terry, starając się ukryć grymas niezadowolenia.

– Wiem, z chęcią zaprowadziłbyś mnie do gwiazd, pokazał jasne strony czarnych dziur. Ale ja już nie chcę poszukiwać prawdy. Nie mam nawet ochoty prorokować, jak może wyglądać nasza przyszłość. Umieć – i chcę – marzyć – odpowiedziała ze śmiechem Ann. Terry ścisnął jej dłoń. Mocno, szczerze. Ann uśmiechnęła się, wciąż trochę zakłopotana. – A ty? Masz jeszcze marzenia? Nadal lubisz obserwować chmury na niebie?

Terry nabrał powietrza i uśmiechnął się do Ann z lekką naganą.

– Czy mam marzenia? A co powiesz na to, że dzisiaj zwolniłem się z „Lost in Life”?

– Powiem: brawo! – odpowiedziała klaszcząc w dłonie. Także Subira i Federico przyłączyli się do aplauzu.

– Skrzydła przypomniały mi o marzeniach. Wracam do nauki. Jednym z porwanych był wynalazca, który sądził, że wpadł na pomysł napędu pozwalającego podróżować z prędkością światła, a później ogłosił, że się mylił. W rajskim ogrodzie miałem czas zastanowić się nad tym problemem i chyba wiem, gdzie popełnił błąd. Muszę to sprawdzić.

Zakończył, patrząc po twarzach przyjaciół. Kilka miesięcy temu płynęli w nurcie gówna, nie zwracając uwagi na smród. Odbijali się od innych gówien, mieszały z moczem, podążając biernie do zlewni ostatecznej. Dzisiaj stać ich było na wyrwanie się z nurtu beznadziei, z braku wiary w siebie. Teraz zaczną płynąć wybranymi przez siebie dolinami, wciąż miotani wirami – ale własnych wyborów, nadal spychani na mielizny – lecz własnych słabości. Terry był z nich, i z siebie, dumny. To było warte następnej kolejki. A nawet kaca...